

Marian Czesław Sokołowski

peta*

nr 16

pod tytułem:

KABOTYN

CZEŚĆ A

Warszawa, 2024

* znak firmowy, znak towaru

© Copyright by Marian Czesław Sokołowski 2024

Marian Czesław Sokołowski
mariansokolowski8@gmail.com

jako motto:

*Póki w cienistych kniejach buja rześka łania,
I z lekkością marzenia suwa się po lesie,
Póty oko zachwyca – lecz gdy wiatr rozniesie
Garstkę spaczonych kości, które pleśń osłania,
Któż ten widok podziwi? Tak samo myśl człeka:
Zrazu wiele ma krasy, lecz gdy się rozsypie
W garść spaczonych wyrazów, które znów poszczypie
Pióro zatrutym żądłem – i tak porozwleka
Po bladych stepach księgi – cóż z tej pastwy gadu
Zostanie powabnego?...*

Cyprian Kamil Norwid, DO PISZĄCYCH



kabotyn pozer, człowiek zgrywający się, lubiący tanie efekty, komediant; lichy aktor, zgrywus.

— fr. cabotin „aktor wędrowny; komediant; jw.” od (*nieznanego*) nazwiska sławnego komedianta wędrownego z XVI w.

(wg Władysław Kopalinski, „słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych”)

Niestety opiszę tylko jedną stronę medalu, rewers pozostanie nadal tajemnicą. Choć mogą być wyczuwalne przestrzenie czasowe, których wydarzenia nie zostały ujawnione.

Poniższe „podziękowania” stanowią wykaz osób, do których na przestrzeni kilkunastu lat zwracałem się, a które to Osobistości mnie zawiodły, bo wcale nie reagowały, bądź odpowiadały złośliwie, a nawet przysparzały mi kolejnych zmartwień.

Podziękowania

(układ nazwisk według alfabetu)

- Ewa Adamska — Drukarnia Perfekt
- Ambasada Kanady w Polsce
- Jerzy Błoszyk — Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO — Polski Dom Wydawniczy „ŁAWICA” — Polish Pronting House — Poznań
- Dr Maciej Roman Bombicki — Polski Dom Wydawniczy „ŁAWICA” — Polish Pronting House — Poznań
- Monika Chrobot — WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE Spółka z o.o.
- Anna Chyckowska — SEKRETARIAT WYDAWNICTWA ISKRY
- Dorota Cymer — Krajowe Biuro ISBN
- Karol Czejarek — dyrektor departamentu książki i bibliotek — Ministerstwo Kultury i Sztuki
- Joanna Czupryńska — Archiwum — Zamek Królewski w Warszawie
- Klaudia Drózd — Redaktor Naczelny — Ossolineum
- Robert Dziwiński mgr — Wicedyrektor Departamentu w Ministerstwie Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa
- Władysław Fiałkowski — jeden z wielu felietonistów tygodnika KULTURA — lata siedemdziesiąte PRL
- Alicja Wancerz-Gluza DYREKTOR — Ośrodek KARTA — Archiwum Wschodnie — Archiwum Peerelu — Wydawnictwo Karta — Warszawa, ul. Narbutta 29

- prof. dr hab. Marek **Harat** — ordynator Kliniki Neurochirurgii 10 Szpitala Wojskowego w Bydgoszczy, 85-681 Bydgoszcz ul. Powstańców Warszawy 5
- Krystyna **Janda** — genialna aktorka nie tylko okresu PRL
- dr Józef **Kazimierski**, dyrektor, Archiwum Państwowe m. st. Warszawy
- Marta **Kesik** Biblioteka Główna Akademii Rolniczej, ul. Idziego Radziszewskiego 11, Lublin
- Adam **Kowalewski** — Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, doktor inżynier architekt
- mgr Anna **Kozłowska** — Kierownik Oddziału Rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie
- Jan **Koźbiel** — Prószyński i S-ka Spółka Akcyjna — ul. Garażowa 7, Warszawa
- Adam **Kraszewski** — Federacja Konsumentów
- Kustosz muzeum pamiątek po Tadeuszu **Łomnickim** — znakomitym aktorze warszawskim, twórcy Teatru na Woli
- Danuta **Łuniewicz-Koper** – Pierwszy Zastępca Dyrektora Zamku Królewskiego w Warszawie
- Wanda **Majcher** — Copernicus
- Caroline **Mierop** — Directeur „FONDATION POUR L’ARCHITECTURE” Bruxelles Belgique
- Krystyna **Milewska** — Kierownik Redakcji Polskiej Literatury Współczesnej — Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa
- Mariusz **Morga** — Redaktor Naczelny Wydawnictwa „Śląsk” Katowice
- Wiesława **Otto-Weissowa** — Kierownik Redakcji Literatury Polskiej — Wydawnictwo Literackie — Kraków
- Krzysztof **Penderecki** — Wola Justowska k. Krakowa — genialny kompozytor muzyki światowej
- Anna **Piotrowska** — Polish Library / Biblioteka Polska MPR Rapperswil Szwajcaria
- Marek **Rasiński** — ORBITA Spółka Wydawniczo-Poligraficzna z o.o. — Redaktor Naczelny Redakcji Polskiej
- Anna **Rąbalska** — Sekretarz Wydawnictwa — Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza – Poznań
- Barbara **Rogalska** — Kierownik Muzeum Drukarstwa – Warszawa
- Tadeusz **Różewicz** — pisarz, ul. Januszowicka, 53-135 Wrocław
- Paweł **Rudzki** — Internetowe Muzeum Polski Ludowej
- Artur **Sandauer** — popularny w czasach PRL pisarz
- Irena **Skoneczna** — tygodnik RZECZPOSPOLITA
- Andrzej **Skrzypiec** — Generalny Dyrektor Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” — lata 1980-1989[?]
- Marek **Sławatyniec** — Kierownik Działu Promocji i Reklamy - POLSKIE LINIE LOTNICZE * POLISH AIRLINES
- Hanna **Słomczyńska** — Komitet Dzielnicowy PZPR Warszawa – Żoliborz
- Leszek **Stępniewski** mgr — p.o. Vicedyrektora Izby Skarbowej
- Wilhelm **Szewczyk** — pisarz z czasów PRL
- Małgorzata **Świętochowska** — Kancelaria Prezydenta RP
- Elżbieta **Tarkowska** — Bank BPH PBK

- Aneta Trochim-Tuchorska — asesor Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie
- Władysław Tybura — zastępca redaktora naczelnego „ŻYCIA WARSZAWY”
- Tadeusz Walendowski, Polish Library in Washington
- Alicja Wancerz-Gluza — DYREKTOR Ośrodka KARTA Warszawa — Archiwum Wschodnie, Archiwum Peerelu, Wydawnictwo Karta
- Anna Wiejak — Wydawnictwo PWN
- Stefan Władysiuk bibliotekarz — Kanada
- Henryk Woźniakowski — Prezes Zarządu Społecznego Instytutu Wydawniczego ZNAK
- mgr Petr Žak — Kierownik Zakładu Uzupełniania Zbiorów, Sekcja Wymiany i Darów Biblioteki Narodowej w Warszawie



Nikt się mną nie interesuje i już przyzwyczailem się do tego, nawet, powiedzieć mi wolno, wrosłem w ten stan absolutnego nieistnienia. Chodzę po ulicach swobodnie, nikt mnie nie rozpoznaje, nikt mnie nie indaguje w żadnej formie o moje skojarzenia. Nawet powiem więcej, jestem absolutnie ignorowany jako człowiek przez innych ludzi; można coś mi sprzedać, odpowiedzieć na pozdrowienie i to wszystko, ale żeby choć odpisać na list, to już nie, żeby się uśmiechnąć, to już nie; jestem mniej niż powietrze, bo powietrze jest przynajmniej potrzebne. W konsekwencji może zbyt swobodnie poczynam sobie z rzeczywistymi ludźmi – tak jakbym o nich tylko myślał, nie opisywał w moich książkach.

Nawet powiedzieć pragnę, że dzięki temu mojemu nieistnieniu zdołałem napisać tych kilka książek i jestem absolutnie pewien, że w przeciwnym wypadku, to jest, gdybym miał kontakt z czytelnikami, napisałbym tych książek znacznie więcej. A tak... piszę dla siebie, ze szczerością jaka obowiązuje w rozmowie z samym sobą.

To moje pisanie jest w zasadzie otoczką tylko do mojej zasadniczej pasji filozoficznego zgłębiania istoty ogólności relatywistycznego istnienia i relacji istnienia wobec istoty ogólności. Aby to wyjaśnić, będę musiał stworzyć słownik objaśnień dla wielu słów, którymi opisuję te zagadnienia.

Nie uważam się za pisarza, tym bardziej za literata. Jeśli muszę już wspominać o sobie w tych kategoriach, to używam słowa „pisacz” — satysfakcjonuje ono mych recenzentów, a mnie uczy pokory.

Kiedyś, jest to wprost niewiarygodne, napisał do mnie sławny polski noblista (odpisał na mój list), że „widocznie nie pisał Pan całej prawdy”. Potem zdarzyło mi się przeczytać złotą myśl nieznanego mi A. Kumora, że „grafoman, to jest ktoś, kto nie ma nic dokładnie do powiedzenia i stara się to dokładnie opisać”.

Moi panowie, pisać może nie powinien ktoś, kto Wam w to uwierzy, uwierzy, że człowiek nie ma dokładnie nic do powiedzenia oraz że możliwe jest opisanie całej

prawdy. Przecież już Cyccero powiedział, że prawda jest najslabiej zdefiniowanym pojęciem. A mądrość górali mówi, że istnieją trzy prawdy: prawda, święta prawda i gówno prawda.

Zachodzi we mnie bardzo powolny, dziwny proces. Coraz trudniej wypowiadam się mową, gubię myśli, jestem bardzo ograniczony w wypowiadanych w rozmowie myślach. Ratuję się pisaniem...

Przed laty kolega pouczał mnie, że najgorzej jest, jeśli sam uwierzysz, że jesteś dziadem. A tu tyłu mi to na okrągło udowadnia, udowadnia przez dziesiątki lat, i chwytam się na tym, jakbym rzeczywiście wiedział, że jestem dziadem.

Narzędzia?

Pisałem dużo piórem, ołówkiem rysowałem, wszak jestem architektem. Komputer stał się niezbędnym narzędziem architekta, komputer zastąpił pióro. Są teksty, które istnieją tylko na dyskach, potem nadawałem im ostatni szlif poprzez kilkakrotne drukowanie ich, czytanie, poprawianie, uzupełnianie. Komputer tak dalece zawładnął mną, że bywały momenty, w których miałem wyraźne trudności w pisaniu piórem, ręka drżała, odwykła... Teraz, w wieku 84 lat, moja ręka rzeczywiście odmówiła mi posłuszeństwa, drży, pismo jest niewyraźne. Na szczęście jest komputer.

Metoda?

Pisałem, co we mnie tkwiło. Potem zalegałem na całe godziny na tapczanie, bywało, że na całe dni, i pilotem przełączałem kanały w telewizorze. Tych pięćdziesiąt kanałów władało moim umysłem i uwagą, ich treści przetaczały się przez mój mózg wymiatając wszelkie szумы, zbędne teksty, bo same nie miały szans zagnieździć tam na dłużej. Bywało, że po takim praniu mózgu znów myśl ożywała, wiedziałem, jak dalej pisać. Czasami tylko jakaś piękna muzyka, pieśń, scena – dawały asumpt, bo nie pomyśl, do dalszego pisania. Czasami była to piękna twarz... I znów pisałem. Ostatnio (październik 2013 roku) była to *Miłość do trzech pomarańczy* Siergieja Prokofjewa.

Kiedy?

Na ogół od czwartej rano, w ciszy budzącego się poranka, kiedy jeszcze majaki senne niezupełnie wygasły.

*

Wróciłem więc do kraju i miałem obowiązek wrócić do poprzedniego zakładu pracy, a ten zakład miał obowiązek mnie zatrudnić. Ale dawni podwładni, dawni moi zastępcy, a teraz już jego dyrektorzy, jego zwierzchnicy, a przecież koledzy, nie wiedzieli, co mają zrobić ze mną. Skwapliwie skorzystali z faktu, że miałem trzy miesiące zaległego urlopu. Jednak i to minęło, nadszedł październik i musiano mnie zatrudnić. Najpierw przyszedł do mnie do domu Piotrek Sembrat, który mieszkał w sąsiednim budynku i zapytał, czy zechcę pracować w jego zespole. Oczywiście ucieszyłem się. Piotrek też pracował w Algierii w Constantinie odległej sto kilometrów od Batny, więc go odwiedzałem.

Zatrudniono mnie jako głównego projektanta w pracowni P-4. Przypomnę hierarchię ludzi projektowania: naczelnny inżynier, kierownik pracowni, generalny projektant, główny projektant, starszy projektant, projektant, starszy asystent, asystent. Czyli nie spałem znów tak nisko, może dzięki niezaprzeczalnym kwalifikacjom.

Nasz zespół składał się z pięciu osób i opracowywaliśmy koncepcję urbanistyczną Julianowa – wsi położonej na południowo-wschodnich rubieżach Warszawy, jednak w zasięgu pyłów z kominów ciepłowni na Siekierkach. Wszyscy rolnicy z Julianowa mieli być wywłaszczeni, a my mieliśmy wolną rękę w zabudowie blokowiskami – jak wszyscy projektanci „Miastoprojektu – Warszawa”. Dostyc szybko się wkupiłem, bo trzeba było obliczyć powierzchnie wszystkich nowych obszarów zabudowy, koledzy byli tym skonsternowani, ale przyniosłem zamierzchny instrument – planimetr – i szybko splanimetrowałem cały Julianów, nawet nauczyłem kolegów posługiwania się planimetrem.

Chodziłem więc po „swym” Miastoprojekcie, witałem ściany, witałem ludzi, zaglądałem w oczy nie tylko niedawnym oponentom...

Powiedziałem kiedyś zespołowi, w którym mi przyszło pracować, że czuje się tak, jakbyśmy w roku 1981 wszyscy jechali w tłoku autobusem i wielu pokrzykiwało: — Wsiadamy! Wsiadamy! — Więc wysiadłem. Teraz w roku 1984, po powrocie widzę, że sam tylko wysiadłem z tego autobusu, a wy wszyscy pojechaliście nim dalej, choć z głupimi minami.

Zdecydowanie odmówiłem podpisania lojalki — oświadczenia, że przyrzekam pracować lojalnie i oddanie dla Polski Ludowej, którą podpisali wszyscy pracownicy Miastoprojektu, podobnie jak wszyscy pracownicy zakładów pracy w Polsce.

Na zebraniu pracowni, w którym kierownik pracowni był zobowiązany przeprowadzić głosowanie, kto jest za wstąpieniem do Związku Zawodowego Pracowników Budownictwa, tylko ja byłem przeciw.

Jednak nie wszystko w naszym zespole układało się dobrze. Kiedyś na indagację kierownika zespołu — Piotra Sembrata — abym przestał już nosić te dyrektorskie garnitury — odwarknąłem: — sama twoja dzinsowa bluza musiała ciebie więcej kosztować, niż takie trzy garnitury i kto tu się stroi.

Potem Sembrat miał poważne pretensje do mnie, że ukryłem ważny list z Kancelarii Sejmu, w którym Sembrat był zaproszony na obrady Sejmu, aby wygłosił opinię o pozytywach fabryk domów. Potem okazało się, że list ten zatrzymała sekretarka pracowni.

Wezwano mnie wreszcie na egzekutywę partyjną. Tam oświadczone mi, że w ramach akcji „powroty do partii” winienem powrócić do partii, wystarczy dobrze samokrytyczny mój list. To jest dla mnie duża szansa. Nie dopuszczają, aby ktoś taki jak ja teraz snuł się po zakładzie nie wyciągając prawidłowych wniosków. A jeżeli coś mi się nie podoba, to niech mówi, oni to pryncypialnie przeanalizują i prawidłowo naświetlą.

Patrzyłem więc w te oblicza, kolegów przecież. Ten — dobry naukowiec, teraz rzadko spotykany w pracy, bo został wyznaczony na ławnika w sądzie, awansował — może miało mu to utorować drogę do tytułu profesora... Ten — nie zabłysnął, a zawsze

sprawił wrażenie, że czai się do skoku, że jeszcze tylko moment. Tego nie znał — nowa twarz. A wśród nich ona — córka legendarnego lotnika z bitwy o Londyn — więc jednak wstąpiła do partii.

Cóż im można było powiedzieć? Rzekłem mimo to, że guza nie szukam, stąd dziś nie będę im nic uzasadniał. Chcę jedynie, aby wiedzieli, że decyzję swą podtrzymuję.

Jakoś kręcili się, moje słowa jakby grochem o ścianę znaczyły, bo wracali od początku do tych samych żądań. Zrozumiałem wówczas, że oni nie wykonali polecenia, że tak spraw nie mogą zostawić, będą nadal kluczyć. Zrozumiałem i powiedziałem:

— To wszystko nie ma większego znaczenia, bo postanowiłem odejść z pracy.

To ich uspokoiło. Załatwiło sprawę. A ja po swojemu miałem nadzieję, że zapewnią mnie o braku potrzeby tak drastycznego dla mnie postanowienia.

27 września 1985 roku żegnając mnie napisali mi na książce dedykację:

„Nie jest sztuką przeżyć,

sztuką jest żyć godnie.

Ty to wiesz”

Ta dedykacja była jakaś taka dwulicowa, bo napisał ją właśnie członek egzekutywy. A ja czułem tylko głęboki żal konieczności rozstania... Nikt mnie nie bronił, nawet żadnego wyrażenia żalu...

*

Napisałem już pety numer 2 i 3 i zachwycony zaniósłem je do PWN (Państwowe Wydawnictwo Naukowe) na Miodową. Wydawnictwo to przechodziło kryzys braku naukowych opracowań i ogłosiło w prasie, że podejmie się wydania każdej innej książki. Zaniósłem swe dzieła i aż drżałem na myśl, co to będzie, gdy PWN doczyta się do moich naukowych wywodów. Zresztą całe swoje pisanie traktowałem jako naukowe studium życia jednego współczesnego człowieka.

PWN zwyczajnie kazał mi zabrać sobie swe wypociny.

*

Od 1 października 1985 roku zacząłem pracować w Przedsiębiorstwie Eksportu Usług Technicznych „EXBUD-KIELCE” w jego oddziale — Biurze Projektów w Warszawie na stanowisku generalnego projektanta i kierownika pracowni architektoniczno-budowlanej. Stało to się za sprawą Kazimierza Szewczyka — dawnego mojego zastępcy w Miastoprojekcie — a obecnie wicedyrektora tegoż Zakładu Projektowania.

Jednak fatum ciągnęło się za mną straszliwie. Śmiertelnie obrażony na mnie Piotr Sembrat, najprawdopodobniej za moje poglądy na temat niesformnego projektowania Julianowa, poprzysiągł mi zemstę.

Nowa szefowa pety w Exbudzie — kierownik Zakładu Projektowania, pani architekt Zofia Dobrowolska-Hamera — już w pierwszej rozmowie oświadczyła mi, że wie od Sembrata, jak nielojalny wobec niego okazałem się, dodała, że nie chce czekać i uderzy pierwsza — przyrzeka mi solennie, że mnie wykopie przy najbliższej okazji.

Nowymi zadaniami byłem bardzo zaskoczony. Polecono mi, aby moja pracownia opracowała w głębokiej tajemnicy kilkanaście osiedli mieszkaniowych położonych w różnych częściach Polski dla znacznego zwiększenia ilości wojsk radzieckich w Polsce. Pech mnie nie opuszczał.

Zaskoczyło mnie wezwanie do telefonu do dalszego pokoju w biurze. Był to pokój sekretarza organizacji partyjnej EXBUDU. Sekretarz zniknął, zanim sięgnąłem po odłożoną słuchawkę. Jeszcze bardziej zaskoczyło mnie, gdy usłyszałem:

— Mówi komitet dzielnicowy. Towarzyszu, jak to z wami jest? Przecież wy jesteście nadal członkiem partii.

Potem na moje odpowiedzi padało:

— Wy musicie być członkiem partii.

— Przecież zawsze byliście tacy prostolinijni, budziliście zaufanie.

— A co wam się w partii nie podoba?

— A może już nie wolno mi zwracać się do was per towarzyszu?

— W każdym razie ja muszę mieć to wasze stanowisko na piśmie.

— To nie szkodzi, że pięć lat temu podobno napisaliście.

Napisałem więc i zaniósłem niezwłocznie, tuż przed 1 maja, a już w połowie maja na rozmowie u dyrektora tak się jakoś potoczyło, że napisałem rezygnację z pracy. Dyrektor z kolei tak dalece mnie rozumiał, że po następnych kilku dniach już nie byłem pracownikiem. Rozwiązanie umowy o pracę nastąpiło na zasadzie porozumienia stron i z pełną kurtuazją wypłacono mu ekwiwalent za urlop.

A ja rozstałem się ostatecznie również z pracą w ogóle — z własnego wyboru. Nie chciałem po raz trzeci zaznać wyrzucenia z pracy, zwłaszcza takiego w rękawiczkach. Nawet nie szukałem nowej pracy.

*

Oto ten dokument:

Warszawa, 1986.04.28

Komitet Dzielnicowy PZPR Warszawa — Żoliborz

Hanna Słomczyńska Warszawa, ul. Słowackiego 6/8

W nawiązaniu do telefonicznej rozmowy proszę o skreślenie mnie z członka PZPR. Powyższe stanowi pisemne potwierdzenie mojej decyzji z sierpnia 1983r., którą wyraziłem w KD, gdy oddawałem legitymację.

Informuję ponadto, że rok temu Egzekutywa w „Miastoprojekt — Warszawa” przeprowadziła ze mną rozmowę i gdy poinformowałem o powyższym, przyjęła moją decyzję. Przyczyną tego kroku jest moje rozgoryczenie, które może być bardzo subiektywne i dlatego oceniam, że nie należy wracać do przeszłości poprzez opisywanie wszystkiego tutaj. Tego co przeżyłem i tak nic nie cofnie, a teraz ja mógłbym skrzywdzić innych niewinnych.

*

W lipcu 1985 roku miał miejsce pobyt w Polsce francuskiego delegata loży masońskiej. Nawet w „Życiu Warszawy” ukazała się notka o tym pobycie, podano nawet adres do kontaktu listowego. Jakoś po swoim napisałem pod ten adres wykazując zainteresowanie działalnością Loży.

W lipcu 1986 roku przedstawiciel loży masońskiej z Francji przybył powtórnie do Warszawy, zamieszkał w Hotelu Europejskim. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu otrzymałem zaproszenie na spotkanie.

Mason spożywał obiad w restauracji hotelowej. Czekał na kogoś. Przybył jakiś Polak, a potem ja się zjawiłem. Zaczęliśmy jeść. Z masonem był drugi Francuz, też mason, ale nie znał języka polskiego. Pierwszy mason mówił po polsku, ale jakąś gwarą jakby spod Częstochowy, śmiesznie to brzmiało.

W odpowiedzi na mój list zjawili się obaj Francuzi. Wypytywali, czym się zajmujemy obaj. Pierwszy Polak to drobny wykonawca tandetnej biżuterii, czasami srebrnej, choć siebie nazywał rzeźbiarzem. Mówiłem do jednego po polsku, do drugiego po francusku. Pierwszy Polak nie znał francuskiego i tłumaczyłem na francuski jego wypowiedzi.

Za obiad zapłacił Francuz polskiego pochodzenia i zadysponował, abym przeszedł do pokoju z drugim Francuzem, a on sam przeszedł do swojego pokoju z pierwszym Polakiem. Wydaje mi się, że pierwszy Polak nie spełnił oczekiwań i podziękowano mu.

W tym czasie będąc w pokoju drugiego Francuza usilnie przekonywałem go o wielkiej nierozwadze zawartej w takim przyjeździe do Polski. Wyjaśniałem, że z całą pewnością są dokładnie inwigilowani. Przytaczałem przykład, że w czasie wojny alianckie samoloty bez większego trudu latały nad okupowaną Polską, a niechby teraz spróbowały, to zaraz byłyby przechwycone przez radar i zestrzelone przez Migie. Dokończył się duży postęp w technice przez te czterdzieści lat. Podobnie inwigilacja obecna posługuje się bardzo dobrym sprzętem i jest w Polsce wszędzie, zwłaszcza w hotelach. Francuz nie bardzo mi wierzył.

Potem zostałem zabrany do pokoju zajmowanego przez głównego masona. Tam rozmawialiśmy po polsku, w cztery oczy. Znow tłumaczyłem to samo o inwigilacji,

o nierozwadze, ale usłyszałem tylko: — To niech mnie pan aresztuje. — Tak się zachnąłem, że mój rozmówca zrozumiał wreszcie, że nie jestem agentem.

Usiłowałem wykazać się znajomością kultury francuskiej, ale gdy wspomniałem o Brillat-Savarin, Francuz wyraźnie nie wiedział, o czym mówię. Potem mason oświadczył, że dobrze mnie rozpoznali, że bardzo chcą mnie mieć w polskiej reaktywowanej Łoży. Wiłem się, nawet uciekłem się wreszcie do wyznania, że po swoich ciężkich przeżyciach nie zdecyduję się już nigdy na żadną przynależność. Mason jednak odrzekł: — Wiem o twoim PZPR, nam to nie przeszkadza, a interesuje nas twoje wielkie doświadczenie. — Wówczas sięgnąłem po karkołomny wywód, że zdaję sobie sprawę z wielkiego wpływu i jeszcze większych możliwości działania masonerii, ale ja teraz znajduję się zawodowo i życiowo w wielkim dołku, i gdybym teraz przystąpił do masonerii, mogłoby to być poczytane, że przyszedłem do nich jedynie po pomoc. Nawet zapytałem wprost: — Przecież ustawilibyście mnie w życiu? Zgadza się? — Mason z przekonaniem przytaknął, choć bez przekonania musiał przyjąć moją decyzję. Zakończył jednak stwierdzeniem, że miejsce dla mnie będzie czekało zawsze.

*

W „Życiu Warszawy” nr 189 z 15 sierpnia 1986 r. na stronie 12 jest ogłoszenie:

URZĄD MIASTA I GMINY w Brwinowie zatrudni architekta gminnego...

Odpowiedziałem na to ogłoszenie i zostałem przyjęty na okres próbny od 6 września 1986 roku. Jak sam mówiłem, poniżej mojego stanowiska jest już tylko palacz w kotłowni, bo nawet sekretarka urągała mi, gdy przyniosłem pismo do wysłania z nie zaadresowaną kopertą. Tym niemniej Naczelnik Miasta pisemnie pytał Urząd Miasta Stołecznego Warszawy, czy nie powinienem odbyć wymaganej przepisami aplikacji administracyjnej.

Dojeżdżałem swoim maluchem codziennie do Brwinowa i urzędowałem po swojemu, i narażałem się innym po swojemu, a po wsiach jeździłem za własne pieniądze. A podlegały mi wsie: Owczarnia, Żółwin, Podkowa Leśna, Otrębusy, Kanie i Biskupice. Prawo Budowlane nakazywało stawiać budynki: albo na granicy tak aby sąsiad mógł dobudować swój budynek, albo w odległości trzech metrów od granicy tak aby mogła przejechać straż pożarna, albo w odległości minimum czterech metrów jeśli miały być okna od tej strony budynku. Tymczasem we wsiach okolicznych chłopci stawiali budynki w odległości jednego metra od granicy. Okazało się, że miało to umożliwić sąsiadowi zaoranie pola do samej granicy, bo wówczas orczyk orzącego konia nie zaczepiał i nie niszczył ściany budynku sąsiedzkiego. Niezgodnie z prawem, ale miało to sens.

Gdy raz moja szefowa pochwaliła mnie za dobrą pracę mówiąc: — Nie spodziewałam się, że pan będzie tak dobrze sobie radził. — Odpowiedziałem szczerze: — Po tylu latach pracy jako dyrektor, taka praca jest dla mnie dziecinnie łatwa.

Jeszcze bardziej zrażałem sobie innych urzędników, w przeciwieństwie do wyraźnie zaskoczonych moich interesantów: brałem podanie jeden jedyny raz do ręki, czytałem je, wkręcałem papier w maszynę, pisałem od razu decyzję, sprawę wkładałem do akt, a sekretarce naczelnika polecałem wysłanie pocztą decyzji — zawsze pozytywnej dla zainteresowanego. Potem nawet interesanci zwiedziawszy się przychodzili bezpo-

średnio do mnie i po kilkunastu minutach wychodzili z gotową decyzją. Bo też wiele spraw było beznadziejnie głupich: Prawo Budowlane wymagało uzyskiwanie decyzji gminy na podłączenie gazu do budynku.



Urząd gminy Brwinów

*

Podjąłem się więc pracy jako zwykły urzędnik. Zaraz na początku przyszła interesantka, którą wielce skrzywdzono — poniosła znaczną stratę materialną — nie było żadnych wątpliwości, a już pięć lat chodziła po urzędach, lecz wszędzie ją zbywano.

W czasie gdy była internowana, odziedziczyła dom po ojcu. Dom był w jednej z wsi podbrwinowskich (Kanie). Pustym domem szybko zainteresowali się różni „ludzie”, rozkradli wszystko łącznie z oknami. Potem jej dom stał się meliną. Władze rozebrały dom do fundamentów, a działkę włączyły administracyjnie do pobliskiego lasu.

Chciałem, aby moja praca miała sens i na własną rękę zaprowadzałem sprawiedliwość. Przeprowadziłem w tej sprawie najpierw niezbędne utarczki z urzędem wojewódzkim, a potem wydałem pozytywną dla niej decyzję. Tak powinno być.

W jakiś czas potem pani ta przyszła znów i bez wielkich wstępów położyła na stole kopertę wyraźnie wypełnioną pieniędzmi. Tłumaczyłem się, że mam takie zasady, że przecież nie dla pieniędzy to zrobiłem, że niechże zrozumie.

Ona spojrzała coraz bardziej rozbawiona, a może nawet uhonorowana, bo z filuternym błyskiem w oczach zapytała tylko:

— To jakiej zapłaty pan oczekuje ode mnie?

Gdyby można było ten epizod oglądać z zewnątrz, to dla obserwatora byłby to klasyczny dylemat. Mnie jednak nie było wcale do śmiechu. Postanowiłem porzucić taką pracę — przecież traciła wszelki sens. Los znów ze mnie zakpił.

Jednak w jakiś czas później zostaliśmy z szefową wezwani do dyrektora Wydziału Geodezji na Plac Dzierżyńskiego i dyrektor oburzony usiłował mnie opieprzyć, a że nic sobie z tego nie robiłem, coraz bardziej się zaciętrzewiał.

*

Już teraz stale będę pamiętał ostatnie słowa ojca:

— Przecież ja już teraz nic...

A przepraszający wzrok ojca dodawał:

—...nie mówię, nie oczekuję.

Potem ten ostatni męski uścisk dłoni. Prawdziwe, szczere:

— Dziękuję ci, że przyjechałeś.

Więc taki los zgotowałem swemu ojcu? Czyż wobec tego mój los ma prawo być lepszy?

*

Trudności z dojazdem do Brwinowa, a i konieczność wielu służbowych wypraw po okolicznych wsiach czyniły tę pracę bardzo żmudną. Poprosiłem więc najpierw o zmniejszenie zatrudnienia w Urzędzie do pół etatu, a potem nawet poprosiłem o rozwiązanie umowy o pracę.

W roku 1988 podjąłem starania o zezwolenie mi na działalność zawodową w zakresie projektowania w budownictwie. Był to obłądny proces — zupełnie jakby chodziło o utworzenie dużego biura projektów. Musiałem więc uzyskać opinię SARP i w tym celu złożyłem w SARP do wglądu kilkanaście swoich projektów. Te same teczki z projektami załączyłem do podania skierowanego do Wydziału Planowania Przestrzennego, Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego – Urzędu m.st. Warszawy. Po kilku miesiącach zostałem wezwany na posiedzenie komisji Urzędu m.st. Warszawy, która miała rozpatrzyć mój wniosek. Tu przewodniczącym komisji okazał się być dawny mój zwierzchnik — Stanisław Kluszewski, który zaraz na wstępie zaznaczył: — Witaj Marian, zdejmij marynarkę, poczuć się tu swobodnie wśród nas. — Rozglądałem się po wielu zebranych, a w pamięci mojej przeleciały wszystkie upokorzenia ostatnich lat. Wykrztusiłem z całą powagą: — Nie śmiałybym.

Ostatecznie dostałem decyzję Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, która zezwalała mi na prowadzenie działalności zawodowej w zakresie projektowania w budownictwie w specjalności architektonicznej, decyzja ta miała być ważna do 14 lipca 1993 roku.

Nie gardziłem żadnym zleceniem, nawet najmniejszym. Projektowałem przebudowy domków, z rzadka trafiały mi się większe zlecenia. Takim był projekt domu mieszkalnego pod Brwinowem dla tamtejszego plantatora egzotycznych kwiatów, który już nie wiedział, co robić z pieniędzmi, w kolejnych koncepcjach okna były stale za małe. Przepis zezwalał na budowę domu o powierzchni do 240 metrów kwadratowych. Ale plantator w myśl przepisów prawnych był rolnikiem, a rolników nie obowiązywał przepis ograniczający wielkość domu mieszkalnego, więc zaprojektowałem mu wspinały dom o powierzchni aż ośmiuset metrów kwadratowych. Szklarnie plantatora zajmowały półtora hektara gruntu, więc plantator był małorolnym i jako małorolny dostawał koks do swych wielkich kotłowni za darmo.

Byli i tacy zleceniodawcy, którzy przynosili własne pomysły narysowane na papierze milimetrowym i nie pozwalali mi nic dodać od siebie. Potem okazywało się, że zatrudnieni górale postawili mu zupełnie inny dom, który wybudowali z pamięci. Ale ci drobni klienci przynajmniej płacili.

Trafił na mnie niejaki Kondratowicz. Zlecił mi opracowanie projektu domu z sześcioma apartamentami na Żoliborzu. Już przy podpisaniu umowy bardzo się ościagał i podpisał ją dopiero w przydrożnym ogródku z napojami, gdzie nie było jakichkolwiek świadków. Projektowałem już wówczas na komputerze, miałem dużą rutynę i dużą sprawność, więc zdołałem dotrzymać bardzo krótkiego terminu. Klient zadowolony odebrał projekt, zapewnił, że zapłaci w ciągu trzech dni, bo jego główna księgową tego wymaga; jeszcze namawiał mnie na zniżenie rachunku, ale nie chciałem, więc zlecił mi dalsze opracowania projektowe, wziął projekt i znikł — przestał być osiągalny telefonicznie, listownie — zupełnie kamień w wodę. Był już rok 1994, powstawały przedziwne firmy, po kilku miesiącach poszukiwań Kondratowicza zdecydowałem się i zlecił sprawę firmie od ściągania należności od dłużników za 20% należności. Już szóstego dnia odbyło się spotkanie, na którym Kondratowicz przeproszał mnie, wypłacił całą należność i nawet pokrył koszty agencji od długów.

Zlecenia były coraz marniejsze i coraz rzadsze, aż w ogóle przestały napływać mimo wielu ogłoszeń. Przez pół roku nie dostałem żadnego zlecenia. Trzeba było żyć tylko z emerytury żony.

*

Omawiając mnie jako architekta wybiegliśmy daleko naprzód. Wróćmy jednak do roku 1989 — roku historycznego przewrotu w Polsce, a potem rozpadu Związku Radzieckiego.

Udział mój w wydarzeniach był tym razem prawie żaden, nic sobą nie stanowiłem. Wczytałem jedynie na drzewie przy kościele na Rakowieckiej małą ulotkę, która informowała, że ordynacja wyborcza do sejmu tak została skonstruowana (przez dziejowy przypadek), że jeżeli obóz Jaruzelskiego nie otrzyma sześćdziesięciu pięciu procent głosów, to obóz komunistów w ogóle nie wejdzie do sejmu (znaczy groził, że się

obrazi!). Monstrualna konstrukcja myślowa — ale czy Jaruzelski wierzył, że tym postraszy Polaków?

Takich jak ja głosujących za Solidarnością było wielu i sprawa się ryła, doszło do zmiany ustroju.

Patrz peta numer 8 pod tytułem „Stado pasterzy” – a podtytuł to „Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie”.

Każde obecne wypadki dziejowe i zmiany polityczne sprawdzałem teraz według jednego kryterium:

Czy i na ile następuje zmiana we władaniu majątkiem narodu. Własność poszczególnych członków narodu winna stanowić przeważającą część majątku narodowego.

Bez żadnej obrazy zdajmy sobie sprawę z tego, że komunizm to wspólna własność, to sowchozy i kołchozy — nawet jeśli te ostatnie raz nazwiemy spółdzielniami, innym razem spółkami, bądź nawet akcjonariatem pracowniczym.

Jeśli zmiany własnościowe nie następowały, to takie wypadki dziejowe uważałem za nową formę kamuflażu komunistycznego. Powiadałem wówczas, że nadal obowiązuje zasada: „Jak zrobić inaczej, żeby było tak samo”.

*

Zapisałem kiedyś i spróbuję to zostawić:

Co w tym rozpoczynającym się, a danym mu dniu winien uczynić? Nigdzie go nie oczekiwano. Niczego odeń nie chciano. Nic nie musiał. Może i nikt o nim w tej chwili nie myślał. Nieprawdopodobna sytuacja — był sam ze sobą samym i sobie samemu zostawiony. Los poddał go więc i tej perfidnej próbie? Tak mógłby wyglądać ostatni dzień spełnionego życia — gdyby człowiek urządził ten świat.

Mógł przecież pomodlić się, a on pisał.

Modlił się swym pisaniem. Tak jak potrafił.

*

07.04.2000

Napisałem sześć książek (literatura). Chciałem jakoś dotrzeć z nimi do czytelników. Po wielu próbach namówienia wydawców postanowiłem umieścić je w Internecie. Utworzyłem własną witrynę. (Ta nazwa bardziej mi odpowiada niż „strona”). Postarałem się, aby była umieszczona na niektórych serwerach — na serwerach, które uznały, że jestem godny tego. Założyłem liczniki w witrynie, ale wykazywały minimalne zainteresowanie czytelników.

Po długim rozmyśleniu postanowiłem wysłać zawiadomienie o możliwości czytania moich książek w Internecie do konkretnych osób. Ogłoszenie brzmiało:

Temat: Lubisz? Czytaj.

<http://www.astercity.net/~peta> to literatura faktu.

6 książek do przeczytania tylko w Internecie.

Haj peta

Wziąłem miesięcznik INTERNET, tam w poczcie ogłaszało się szereg internautów z różnymi propozycjami, podając nazwiska, adresy poczty elektronicznej, a nawet numery telefonów. Do kilkunastu z nich wysłałem swój e-Mail.

Odpowiedzi dostałem trzy, jak niżej:

1.

> Witam

> Byłem przed chwilka na Panskiej stronie. Nie zdarzyłem jeszcze przeczytać wszystkich książek, ale po przeczytaniu pierwszego (a raczej drugiego)rozdziału "samczego happeningu" mogę powiedzieć tylko jedno:

> gratuluje talentu :)

> —Pozdrawiam—

> B..... B.....

2.

Dziękuję za informację.

Z poważaniem

M..... S.....

3.

Od: "RAmbo8 — adminiek" rambo@rambo.w.pl

nie lubie spamu!!!!

jeszcze jedno takie cos, a bedziesz dostawac co godzine swapa z mojego servera!!!

Ten trzeci e-Mail przyszedł jako pierwszy. Zgnębił mnie doszczętnie. Nie spodziewałem się takiej reakcji. Nie spodziewałem się, żeby ktoś tak nie lubił czytać. Na dodatek nie wiedziałem, co to jest „spam” — widocznie jest to to, co ja uczyniłem temu człowiekowi; przepraszam — temu „rambo”.

Kochany „rambo”, przepraszam Cię za mój spam. Gdybym wiedział, że czynię Ci spam, nigdy bym tego nie zrobił, a już z całą pewnością nie tobie.

Nie wiedziałem również, co to jest „swap”, którym groził mi rambo-admitek.

Kochany chłopcze, do mnie prawie nikt nie pisze, jestem starym człowiekiem, więc swap z twojego serwera co godzinę może by mnie ucieszył? A przecież tego nie chciałybyś, w życiu! Tak więc może dokonałeś już najważniejszej rzeczy w całym Twoim życiu, bo wspomniałem o Tobie.

Lubię takie listy, jak pierwsze dwa. Dotychczas gdy brałem papier i pisałem do kogoś list, nawet gdy dotyczyło to osoby nieznaną, w odpowiedzi nie groził mi swami, co najwyżej nie odpisywał wcale.

Gdy jako architekt pracowałem kilka lat za granicą, spostrzegłem niebywałą rzecz, która nie była mi znana z polskiej korespondencji służbowej, z listów między polskimi przedsiębiorstwami. Tam za granicą była żelazna zasada, że w liście nigdy nie mogło być żadnego obraźliwego zwrotu, żadnej insynuacji (swap?), nawet jeżeli korespondencja dotyczyła pretensji, nieuczciwości kontrahenta, czy braku zadowolenia. Może przynajmniej niektórzy internauci przejmą ten zwyczaj?

Ale swap i swam był — również w parę godzin później:

Dzwonek do drzwi. Nie lubię otwierać drzwi nieznaną osobą, ale była czternaście, przez wizjer zobaczyłem dwóch młodych ludzi, otworzyłem.

— Proszę pana. Wygrał pan nagrodę. Jako wieloletni widz telewizji i uczciwie płaćący abonament dostaje pan dziś od nas nagrodę — dekodery CANAL+. Dostaje go pan zupełnie za darmo. Dziś mija dokładnie pięć lat od powstania CANAL+ i jako pracownicy CANAL+ zostaliśmy rozesłani, aby takim jak pan wręczyć naszą wspólną nagrodę. Proszę zobaczyć, mamy już tylko dwa ostatnie dekodery, jeden dla pana i drugi dla pani z jedenastego piętra.

— I żadnych opłat nie będzie?

— Nie, żadnych opłat. Sprzęt dostaje pan całkowicie za darmo w nagrodę. To znaczy przez rok jest pan zwolniony z abonamentu. Ale jaka to wygoda. Lubi pan przecież piłkę nożną, tu będzie miał pan wiele wspaniałych meczy...

— Nie lubię piłki nożnej. Kiedyś nie opuściłem żadnego meczu. Teraz od czasu gdy zaczęli się bić, nawet nie włączam telewizora na mecze piłki nożnej.

— No, ale ogląda pan inne programy, prawda? Ile ma pan kanałów w telewizorze?

— Pięćdziesiąt. To dobra marka. Grundig.

— A z naszym dekodery będzie pan mógł oglądać do stu programów, bo na naszym dekodery będzie pan mógł nastawić sto kanałów. Rozumie pan? Dekoder CANAL+ ma aż sto kanałów!

— ...

— Może by pan nas wpuścił do mieszkania.

— Proszę. Mój telewizor ma wprawdzie pięćdziesiąt kanałów, ale telewizja kablowa „aster city”, z której korzystam, nadaje już 65 programów i zapowiada dalsze kanały.

— No, widzi pan, teraz będzie pan miał sto kanałów.

— I naprawdę nic nie będę płacił? Bo widzi pan, przy emeryturze osiemset złotych każda złotówka jest ważna.

— Tylko wpłaci pan 30 złotych w najbliższych trzech dniach w dowolnym banku na nasze konto.

— ...

— Poproszę pański dowód osobisty, abym spisał umowę. Proszę zobaczyć, jaki ładny dekodер, o tu go postawimy, tylko pan włączy i będzie działał.

— A mojej córce założyli dekodер taki malutki na kablu. Dlaczego ten jest taki duży?

— Tamten jest z telewizji HBO. Należy go natychmiast usunąć, bo on niszczy telewizor. Daję panu talon na zakup sprzętu SITA — nauka angielskiego — zakupi pan go ze zniżką. Daję panu talon na 200 zł. na zakup urządzenia do nauki hiszpańskiego. Daję panu prawie darmowe wczasy dla dwóch osób za granicą; zgłosi się pan do tej agencji turystycznej, tam panu powiedzą, ile trzeba wpłacić. Dostaje pan zwolnienie z abonamentu naszego na dwa miesiące wakacji, które to zwolnienie może pan przekazać na kogoś z członków rodziny, jeżeli zawrą z nami taką samą umowę.

— Chwileczkę... Przecież mówił pan, żadnych opłat.

— Tylko jeden złoty dziennie, czy to dużo? O, już wypisałem umowę. Proszę tu i tu podpisać. Będzie pan miał teraz cały świat do oglądania.

— Ale tu mam podpisać, że zgadzam się na przetwarzanie i udostępnianie moich danych osobowych...

— Takie są zasady, musi pan podpisać.

— Ale przecież zgodnie z przepisami winno tu być pouczenie, że zgoda jest dobrowolna.

— No, jest dobrowolna, bo stwierdza to pan swoim podpisem.

— Nie, mój panie, prawo...

— Jak pan sobie życzy, to mogę to wykreślić z umowy.

— Tak, życzę sobie.

— Proszę bardzo, już wykreśliłem.

— Tam wyżej zaznaczył pan, że zobowiązuję się płacić abonament przez 24 miesiące. Razem abonament miesięczny 63 złote. Nie tak pan mówił na początku. A tu w regulaminie jest napisane, że CANAL+ zastrzega sobie prawo podniesienia abonamentu w dowolnym terminie. A dalej że przyjęte w umowie zasady obowiązują do 1 czerwca br., a przecież już mamy kwiecień. A tu co to jest? Deklaracja wekslowa do weksla in blanco?!

— To jest zabezpieczenie roszczeń CANAL+, gdyby się pan nie wywiązywał z umowy.

— A tu dalej jest napisane w regulaminie, że dostarczony dekodery jest stałą własnością CANAL+. Dalej że przez cały okres odpowiadam finansowo za stan tego sprzętu. A mówił pan, że dekodery dostaję w nagrodę za darmo z okazji 5 lat istnienia CANAL+?

Tumaniony aż do skutku podpisałem umowę. Dostałem numery telefonów, pod którymi miałem zgłaszać się z wszelkimi problemami.

Dekodery wpiąłem. Nie działał. Zadzwoiłem. Instrukcja pomogła, polecono jednak zostawienie go na chodzie przez godzinę, aby się dobrze uaktywnił. Po godzinie zacząłem nagrywać na dekodery programy, ale okazało się, że mogę nagrać tylko czterdzieści kanałów.

Znów zadzwoniłem pod podany numer. Operator zdziwił się:

— Zawsze było i jest 40 kanałów. Kto panu takich bzdur nagadał?

— A czy mogę mieć część programów na telewizorze, a pozostałe odbierać z dekodera CANAL+?

— Nie. Chyba że pan wyłączy dekodery.

— To znaczy pilotem wyłączyć dekodery i już można odbierać kanały nagrane na telewizorze?

— Nie. Musi pan wpiąć dekodery CANAL+, połączyć bezpośrednio telewizor, tak jakby pan dekodera nie miał, i dopiero wówczas może pan korzystać z kanałów telewizora. Przecież sygnał z kabla astercity idzie do dekodera CANAL+, a z niego dopiero do telewizora. To na telewizorze będzie miał Pan tyle kanałów, ile ma dekodery, czyli czterdzieści.

— Ale, proszę pana, jaki ma sens dla mnie dekodery o 40 kanałach, skoro na telewizorze już mam ich 50?

— Czy ja panu mówiłem kiedykolwiek o stu kanałach?

— To ja chcę zwrócić ten sprzęt.

— Niech pan próbuje, ale to musi pan dzwonić pod numer 5453900.

Zadzwoiłem tam. Po wielu przekomarzaniach panienska kazała:

— Proszę dzwonić pod 6288458.

Zadzwoiłem. Usłyszałem:

— Trzeba dzwonić pod 5453900.

— To właśnie tamci kazali mi dzwonić pod ten numer.

— Nic na to nie poradzę. Ja panu tego nie załatwię. Trzeba dzwonić pod 5453900.

Zadzwoiłem znów. Znów długie wyjaśnienia. Usłyszałem:

— Niech pan przyśle fax.

— Skąd u mnie emeryta fax? Ja pani przywiozę.

— To niech pan wyśle pismo listem poleconym.

— Droga pani, list polecony będzie szedł sześć dni i stracę prawo do zwrotu, a prawo mówi, że w ciągu pięciu dni mogę zwrócić taki sprzęt. Proszę mi podać wasz adres, to wam przywiozę i pismo, i dekodery.

— Chwileczkę, zobaczę...

— ...

— Adres jest Warszawa, ulica Kawalerii 5.

— W jakiej części Warszawy jest wasza firma?

— Nie wiem, ja nie jestem stąd.

— No, przecież jakimś autobusem, czy tramwajem pani jeździ na tę ulicę Kawalerii?

Panienka rozłączyła się. Ja spakowałem nieszczęsny dekodery z chlubną nazwą CANAL+ i postanowiłem rano jechać z nim pod wskazany adres. Było to nawet blisko, w rejonie ulicy Szwoleżerów. Ale około dziewiętnastej znów ktoś zadzwonił do drzwi. Spojrzałem przez wizjer, to moi dwaj panowie. Czyżby ich zawiadomiono o moich pretensjach?

— Proszę pana, mamy dla pana wspaniałą nagrodę. Bezpłatny dekodery CANAL+.

— Ależ wejdźcie panowie. Czekałem na was.

— Jak to? Co się stało?

— No, nie bójcie się, wejdźcie.

Tym razem każdy z nich miał już pod pachami po cztery dekodery. Wydało się, że tylko jeden z nich przyszedł do mnie drugi raz. Tego pierwszego, tak nieuczciwego pana Jacka Szymaniaka, zastąpił nowy, bardzo elokwentny pan. A ten drugi, zupełnie milczący pan, był przysłany przez firmę, aby uczył się od mistrzów, jak się obrabia klienta — pracuje dopiero drugi dzień. Wy tłumaczyłem, że zostałem nabrany, bo dekodery ma tylko czterdzieści kanałów, a ja już mam w telewizorze pięćdziesiąt, to jaki to dla mnie interes? Oni byli również przekonani, że oferują sprzęt stukanałowy.

— I tak panu powiedział operator, że tylko czterdzieści?

— Tak. I sam nawet kilkakrotnie przewijałem i po czterdziestym kanale ukazywał się znów 01.

— To niesamowite. Przecież my nie sprawdzamy tego, co nam każą mówić szefowie. Niech mi pan wierzy, że nie wiedziałem, że jestem pośrednikiem w takim szalbierstwie.

— Spakowałem dekoder i jutro wam odwiozę. Z rana będę na Kawalerii 5 i zwrócę.

— Ale skąd pan wziął adres Kawalerii 5?

— Podała mi pani pod numerem telefonu 5453900. No, i taki adres jest na „umowie o abonament”.

— Tam nic pan nie załatwi. Niech pan zwróci uwagę, że pieczętka jest: AGENCJA ROZWOJU SIECI 05-500 PIASECZNO UL. PUŁAWSKA 42. To firma, która nas zatrudnia. Tam pan musi jechać w sprawie zwrotu.

— Toż stracę pół dnia. Nie mam samochodu. Czym ja tam dojadę? Zawału można dostać przez takie transakcje. Stanowczo uważam, że to wy, panowie, winniście zabrać sobie ten dekoder i tu u mnie unieważnić zawartą umowę z waszą firmą.

— Wie pan, myślę, że nie będę maczał rąk w tym draństwie, najwyżej rzucę tę firmę. Wezmę od pana dekoder. Proszę dać umowę, unieważnię pański egzemplarz dziś tu u pana, a naszą unieważnię jutro u szefa. Już dzisiaj nie pójde do następnych mieszkań, mam dość, wracam do domu.

— Proszę drugiego pana o podpisanie anulowania umowy. Uważam, że powinien pan podpisać, przecież jest pan świadkiem obu rozmów i jest pan pracownikiem tej samej firmy.

Potem rozmawialiśmy „jak Polak z Polakiem”.

A może powinien był tymi słowy przemówić do mnie domokrażca:

— Staruszkule! Przegrałeś w połowie, gdy otworzyłeś mi drzwi. Resztę przegrałeś, gdy pozwoliłeś mi wejść do mieszkania. Przecież ja ci wszystko wmówię i o wszystkim przekonam. Mam nad tobą przewagę w inteligencji. Narobię ci kłopotów, a potężne firmy, które stoją za mną, wyciągną z ciebie każde pieniądze. Nic na to nie poradzisz. Tylko będziesz płacił i płacił. Rzecz w tym, że ja mam od każdej takiej sprawy siedem złotych. Płacisz mi piątkę i nie było sprawy, obaj nie tracimy czasu.

Zapłaciłbym, słowo daję.

Ludzie! Nie otwierajcie drzwi!

Warszawa. 7 kwietnia 2000 roku.

*

Nie mogę przebić tego muru, już od wielu lat. Zobaczcie sami. Wszystkie niżej opisane przypadki zostały bez odpowiedzi, bądź (w kilku przypadkach) odpowiedź była negatywna. Nie będę więc powtarzał wielokrotnie, że skutek był żaden.

3 lutego 2000 roku uzyskałem dostęp do Internetu, uzyskałem konto adresowe, założyłem własną witrynę i zacząłem słać w świat e-Mail do wydawców, do gazet, do czasopism, radia i telewizji, do tych, o których piszę:

Wydawnictwo Ossolineum we Wrocławiu

Wydawnictwo Księży Sercanów w Krakowie – wszak tak miło wspominam ich w mej książce.

Telewizja Polska S.A.

Wydawnictwo „alta 2” we Wrocławiu

Wydawnictwo „Fabrica Librorum”

Wydawnictwo „Lux Libri” Kraków

Wydawnictwo „Książka i Wiedza”

Wydawnictwo KURPISZ S.C. Poznań

Wydawnictwo „Świat Książki”

Wydawnictwo „Czytelnik” w Warszawie

Wydawnictwo „Pomona” we Wrocławiu

Wydawnictwo „349” w Poznaniu

Wydawnictwo „Prima”

Główna Komenda ZHP — problemom harcerstwa poświęciłem kilkadziesiąt stron.

Drukarnia Anczyca

Telewizja Polsat

Radio Bis

Radio 90

Radio „Jedynka”

Wydawnictwo „Akant”

Redakcja „Salon Polski”

Radio „Trójka”

Zeszyty Literackie

Tygodnik „Polityka”

Miesięcznik „Exlibris” Warszawa

Kwartalnik Literacki „FA ART.”

„Książka i Prasa” w Warszawie

„Literatura na Świecie” czasopismo

„Odra” czasopismo wrocławskie

Miesięcznik „Przegląd Artystyczny i Literacki”

„Czas Kultury” dwumiesięcznik Poznań
„Dykcja” Pismo Literacko-Artystyczne Wrocław
„Frona” Pismo poświęcone Warszawie
„Kartki” Pismo literacko-artystyczne Białystok
„KurWar” Pismo poświęcone kulturze Miasta, Warszawa
„Portret” Pismo literacko-kulturalne Olsztyn
„Res Publica Nowa” miesięcznik Warszawa
„Wersja” Miesięcznik legnicki
„Notes wydawniczy” Miesięcznik wydawców Warszawa
„Literatura polska w internecie” Instytut Filologii Polskiej, Uniwersytet Gdański
52 Międzynarodowe Targi Książki Frankfurt 2000 — literatura polska

Nie odpowiedzieli... i nie mam IM za złe; może ledwo wiązą koniec z końcem, a tu jakiś debiutant im się narzuca; chyba że są tak wielcy, że tym bardziej nie zadają się z jakimiś debiutantami. Nie wiem, czas rozstrzygnie.

*

7 czerwca 2000 roku

Anonimowa recenzja „Czytaj !”

Pańskich fragmentów nie zamieściłem. Wstawki pseudoerotyczne dla mnie były rażące — czułem tylko niesmak. To jest erotyzm dla prostaków; do Czytaj! nie pasuje, proszę sprawdzić. Niezależnie od powyższego wydaje mi się, że treść Pańskich książek nie jest na tyle ciekawa, by usprawiedliwiać szczegółowość relacji. A może skrócić i zostawić to co najlepsze!?

*

2000-08-27

Co to było?

Na naszym osiedlu jest przychodnia, lekarska, państwowa. Mamy tam, nowość obecnych czasów, swoich lekarzy domowych, zwanych oficjalnie ‘lekarze pierwszego kontaktu’.

Poszedłem tam, był 25 sierpnia, z prośbą o zapisanie mnie do mojego lekarza. Receptjonistka zapisała mnie na 5 września. Daleki termin, ale trudno. Po powrocie do domu stwierdziłem, że mam lekarstw jeszcze tylko na tydzień. Wróciłem do recepcji i proszę:

— Proszę pani, zapisała mnie pani na 5 września, a ja mam lekarstw tylko na tydzień, proszę mi wyznaczyć troszkę wcześniejszy termin.

— Nie mam.

- Kiedy ja muszę dostać się do lekarza wcześniej.
- Powiedziałam, że nie mam.
- Lekarstw mi starczy tylko na tydzień...
- Krysiu, wytłumacz temu człowiekowi, bo ja już nie mam sił do niego.
- Przecież musi być jakiś sposób, żebym dostał potrzebne recepty. Tych lekarstw nie sprzedadzą bez recepty.
- Niech pan przyjdzie dowolnego dnia rano, tylko wcześniej, stanie w kolejce, to może pan dostanie. Albo niech pan zatelefonuje.
- Kiedy jak się telefonuje do was, to nikt nie odbiera telefonu.
- Dopóki jest kolejka, nie odbieramy telefonu.
- A jak nie ma już kolejki i odbieracie telefon, to już nie ma numerków. Czy jak przyjdę w poniedziałek rano, to dostanę się do lekarza? Mogę na to liczyć?
- Panie, do poniedziałku to ja mogę umrzeć, co ja tu panu będę obiecywać.
- Niech pani zrozumie, że jestem...
- To pan niech zrozumie, że nie dam.
- ...jestem chorym człowiekiem...
- Panie, tu sami chorzy przychodzą.
- Ale ja jestem chorym...
- Ja jestem bardziej chora niż pan!
- I dałaby mi pani na piśmie to swoje stanowisko?
- Na piśmie, to niech panu minister daje.
- Całe życie płaciłem składki...
- A ja to nie płaciłam?! — zwracając się do kolejnej za mną pacjentki: — Co dla pani?
- Zapytałam w gabinecie lekarkę, lekarka mnie przyjmie, poda pani kartę?
- Niech pani idzie, zaraz podam. A pani?
- Ta lekarka jest bardzo uczynna, przyjęła mnie bez numerka. Poproszę tylko o pieczętkę na recepcie. A pan...? — Pacjentka zwróciła się do mnie.
- Widzi pani, jestem chory na serce, muszę brać codziennie lekarstwa, a tu nie chcą zrozumieć, że nie mogę zostać bez lekarstw. Mogę dostać się do lekarza dopiero za dwanaście dni. Przecież to zawału można dostać.
- Niech się pan nie denerwuje...

— Staram się opanować. Zaskoczyło mnie takie potraktowanie, a lekarz kazał się nie denerwować za wszelką cenę.

— Niech pan się nie przejmuj, tylko idzie tak jak ja bez numerka. Ona pana przyjmie, jest bardzo miła.

— Prawda, ale tak się źle poczułem...

Odszedłem, stanąłem pod ścianą, pociemniało mi w oczach. Tylko spokój – myślałem. Potem zdołałem usiąść na krześle. Jakaś pacjentka pytała, co mi jest. Tak się źle czuję – odpowiedziałem. Ta recepcjonistka przechodziła koło mnie dwa razy niosąc dodatkowe karty do mojej lekarki, ale mną się nie zainteresowała. Wiedziałem już, że tylko sam mogę sobie pomóc – żadnego ruchu – powtarzałem w myślach. Do mojej lekarki wchodzili i wychodzili pacjenci, a ja tkwiłem w ratującym bezruchu. Po dwóch godzinach zdołałem wrócić do domu. Czy będę miał odwagę szukać tam pomocy lekarskiej?

Miałem odwagę. Stałem pod drzwiami przychodni o piątej rano, czekało już tam kilkanaście osób. O siódmej trzydzieści wpuszczono nas do recepcji i zaczęto wydawać numerki do lekarzy. Dostałem numerka. Potem informowałem swoją panią doktor — lekarza pierwszego kontaktu:

— Tłum tych schorowanych ludzi stoi na chłodzie pod drzwiami, stoi kilka godzin, zróbcie coś państwo, ...

— Widzi pan, służba zdrowia radziłaby sobie znacznie lepiej, gdyby nie ci starszowie — przychodzą co dwa, trzy tygodnie i zajmują miejsce innym chorym.

Potem jeszcze dodała:

— Ja pana muszę skierować z tymi pana zawrotami głowy do neurologa. Już panu wypisuję skierowanie.

— W telewizji nawołują, żeby tacy jak ja badali prostatę, nawet teraz przez tydzień można za darmo...

— O, tak, tak, niech pan koniecznie idzie. Dam panu jeszcze skierowanie na USG tętnic szyjnych i na prześwietlenie kręgow szyjnych też. Następnym razem dam panu skierowanie do kardiologa, bo musimy coś zrobić z tym pana wysokim ciśnieniem.

Był październik. Na USG chciano mnie zapisać na koniec grudnia. Zająłem się więc urologiem. Wizyta w Akademii Medycznej za dwa tygodnie. Na wizycie wciągnięto mnie do rejestru, kazano:

— Musi pan badać się koniecznie co roku, dam panu skierowanie na specjalne badanie krwi i na USG prostaty. Bez tych badań nic powiedzieć nie mogę.

Na każdym skierowaniu było podane, że badanie jest pełnopłatne. Oboje z żoną jesteśmy emerytami, chorymi, nie stać nas na pełnopłatne badania. Czyli powinienem znów dostać się do lekarza pierwszego kontaktu, od tego dostać skierowanie do urologa, dostać się do urologa, a tam uzyskać takie same dwa skierowania na bezpłatne tym razem badania.

Poszedłem więc do neurologa. Pod recepcją dwie godziny stania, pod gabinetem trzy godziny siedzenia, godzinę w gabinecie. Wszechstronne testy i opukiwania, wreszcie werdykt:

— Dam panu skierowanie na USG szyi; na prześwietlenie szyi nie warto iść, ale skoro pana lekarka skierowała, to niech pan idzie; dam panu ponadto skierowanie na komputerową tomografię głowy, ale się Kasa Chorych wścieknie, to jest bardzo drogie badanie.

Zacząłem wydzwaniać. USG mogą zrobić dopiero w styczniu przyszłego roku.

— Nie mogę tak długo czekać, przecież ja muszę się leczyć, kto mi może pomóc?

— Niech pan dzwoni do Kasy Chorych.

Zadzwoń. Bardzo miła pani opowiedziała mi obszernie, że jej tato zapisał się prywatnie do lekarza, bo Kasa Chorych zawarła umowy z wieloma lekarzami, to jest dobre leczenie, wykaz tych lekarzy znajduje się w Kasie Chorych. W mojej sprawie przełączy mnie do koleżanki. Tam usłyszałem:

— Nic nie mogę poradzić. Rozmawiał pan z kierownikiem placówki, która pana skierowała na to badanie? To jego sprawa.

— Was to też czeka. Też będziecie starzy. — Odparłem i rozłączyłem się.

Zadzwoń jednak do kierownika przychodni. Usłyszałem:

— Panie, mnie ukradli USG, nie mogę robić badań. Niech pan nie grymasi, zapisz się tam, gdzie chcą pana przyjąć i niech pan czeka nawet do lutego.

— Ale przecież mnie ten atak może trafić w każdej chwili, skąd pewność, że wytrzymam trzy miesiące?

— To pana weźmie pogotowie, zawiezie do szpitala, a tam już się będą martwili. Teraz niech pan nie grymasi.

Mam więc pięć skierowań na badania, których nie mogę zrobić po ludzku, a samym łożeniem po gabinetach przecież się nie wyleczę. Trzeba zachować honor i zwyczajnie wynosić się z tego świata.

W Polsce już nie trzeba rozważać legalizacji eutanazji.

Warszawa, 2000-12-02

Wypada dopisać posłowie:

Kilka miesięcy później ktoś kupił tę naszą wynędzniałą przychodnię, czyli zaczęła mieć właściciela, może jest nim jakiś lekarz? Zlikwidował stanowisko dyrektorki przychodni, która i tak nic nie robiła. Wyrzucił z recepcji te pyskate panie, dwie, które się ostały, stały się bardzo uprzejme, teraz nawet płaszcz odbiorą od pacjenta i powieszą w pobliskiej szatni. Wywalono z recepcji szklane okno mające niewielką dziurkę przy parapecie, przez którą pacjenci musieli wkrzykiwać swoje prośby — teraz jest lada jak

w przyzwoitej recepcji. Wymieniono obłazące z farby i wylatujące z futrynami drzwi do gabinetów — teraz są piękne dębowe. Zrobiono generalny remont, nie wiadomo kiedy, bo nie było żadnej przerwy w działaniu przychodni. Teraz jest piękna terakota na podłogach. Co raz pojawiają się nowi specjaliści od różnych chorób, jakoś znajdują się nowe gabinety dla nich. Znajdują się pieniądze na nowy sprzęt, jak na przykład ultrasonograf. Przychodnia jest teraz czynna nawet w soboty i niedziele, bo w tych dniach działa naprzeciwko giełda komputerowa i jej organizatorzy może zostali zobowiązani, a może docenili możliwość natychmiastowego udzielenia pomocy lekarskiej swoim klientom — oczywiście giełda sponsoruje przychodnię, o czym informuje tablica przy wejściu. Teraz można dostać się do lekarza każdego dnia, nawet wieczorem, nawet przechodząc obok mogą wstąpić na konsultacje. Gdy potrzebuję tylko receptę, to zgłaszam to w recepcji i tam odbieram gotową receptę. Bez trudu można zapisać się do lekarza nawet telefonicznie i właściwie nigdy nie brakuje numerków, co do niedawna było istną plagą. W przychodni raz po raz pojawiają się duże plakaty anonsujące jakąś akcję specjalistycznego leczenia: a to śledzenie cholesterolu, a to wykrywanie osteoporozy i tak dalej. Lekarze podczas wizyt namawiają do zrobienia takich badań, panie w recepcji zachęcają, bo są jeszcze wolne miejsca — wprost opędzić się nie można.

Żyć, nie umierać!

Ileż to jeden człowiek może zdziałać dobrego, jeśli jest właścicielem.

Warszawa, 2002-03-10

*

2 grudnia 2000 roku napisałem kolejne opowiadanie, które zatytułowałem:

starzec

Treść stanowiło jedno słowo:

Byłem...

To z pewnością najkrótsze opowiadanie na świecie.

*

Redaktor z sosnowieckiej gazety robił mi nadzieje na znalezienie wydawcy, ale...

Warszawa, 2001-01-30

WP. Dawid Władyka

Ul. Dziewicza 15/68, 41-200 Sosnowiec

Szanowny Panie —

Zwracam się z uprzejmą prośbą do Pana o odesłanie egzemplarza maszynopisu mojej książki pt. „±0”, którą Panu przesłałem 13 czerwca ubiegłego roku. Podejmę starania wydania tej książki w Warszawie.

*

Może biblioteki zainteresują się moimi książkami — rozmyślałem:

Szanowni Państwo –

Pragnę zaoferować Państwu do zbiorów Państwa siedem moich książek (polska literatura współczesna), które wydaję osobiście na prawach manuskryptu w unikalnej serii (kserokopie maszynopisu w twardej oprawie, z dedykacją). Z książkami moimi można zapoznać się w Internecie w mojej witrynie:

<http://www.astercity.net/~peta>

Książki te dla bibliotek przekażę po cenie moich kosztów, to jest za jeden tom: ksero ~40zł, ręczna oprawa ~50zł, wysyłka ~60zł, podatek ~30zł; razem za siedem książek ~1260zł.

Więcej o moich książkach i o mnie:

Jestem architektem, mam 68 lat. Książki moje piszę niemal od trzydziestu lat. Napisałem ich siedem. Starłem się, aby książki moje były współczesną literaturą, aby wniosły nowy wkład do teorii literatury, aby były dokumentem czasu, w którym przyszło nam żyć. Są one cyklem powiązanych treścią oddzielnych książek, wzajemnie się uzupełniają, rzucają nowe światło na wydarzenia opisane we wcześniejszych tomach. Aby jak najmniej naruszać prawo ludzi do własnej intymności piszę książki w zasadzie o sobie; aby stały się dokumentem, piszę o autentycznych wydarzeniach. Dlatego w życiu szukałem takiej pracy, gdzie mógłbym zaobserwować ważne wydarzenia. Równoczesna z pisaniem tych książek moja działalność na polu architektury w oparciu o solidne studia nad teorią sztuki wymogły na moich książkach koloryt z innych dziedzin sztuki, czułem, że literatura współczesna może być czymś nowym, odbiegającym od utartych kanonów pisarskich.

Cykl ma wspólny tytuł „peta” – tak w dzieciństwie mnie przezywano, sarkastycznie potraktowałem to jako znak firmowy i znak rodzaju towaru. Nie przypuszczałem wówczas, że pisarz kiedyś stanie się firmą, a literatura towarem.

Następnie opisałem moje pety.

Myślę, że mogłyby moje książki dotrzeć do czytelników tą drogą, czyli przez udostępnienie ich w bibliotekach, zanim tak zwani wydawcy przestaną interesować się książkami pisanymi jedynie dla zysku.

Pozdrawiam

*

To: P_Blajerowski@poczta.onet.pl

Subject: Re:

Date: 19 czerwca 2001 10:34

Szanowny Kolego (Młodszy) –

Bardzo dziękuję za miły list. Nie odpisywałem tak długo, bo właśnie byłem u brata w Sosnowcu. Znów dużo chodziłem po ulicach, tym razem po Modrzejowskiej, Małachowskiego, po Starym Sosnowcu, a głównie po centrum Katowic (moja córka zainteresowała się bardzo secesją katowickich budynków i pomagałem jej w fotografowaniu). Nawet któregoś dnia przeszliśmy ze Starego Sosnowca przez Dąbrówkę do Szopienic. Szopienice zamarły i przedstawiają przerażający widok swoją nędzą i zaniedbaniami. Zresztą jakiś dziwny klimat zaniedbania odczuwałem i w Katowicach, i w naszym Sosnowcu. Prawda, że wybudowano wielkie osiedla, że wybudowano kilka gmachów w centrum Sosnowca i Katowic, że dworzec PKP w Sosnowcu jest bardzo zadbane, ale ogólnie czuje się zatęchłą biedę. Nie stać na malowanie, poprawianie chodników, wyburzenia, remonty. Szkoda.

Zdjęć Sosnowca w mojej witrynie już nie ma. Musiałem zwolnić miejsce dla moich tekstów. Teraz dowiedziałem się, że mogę dokupić miejsca na serwerze, więc może przywrócę te zdjęcia.

Dziękuję za zidentyfikowanie ulicy Brackiej – w nowej edycji zdjęć już ją umieszczę.

W następnym e-mailu prześlę Panu kilka starych pocztówek z Pogoni. Nie mogę tego zrobić teraz, bo nie przygotowałem się.

Zapraszam Pana wraz ze znajomymi do mojej witryny <http://www.astercity.net/~peta>

pozdrawiam

*

W tym czasie odwiedzałem moich dawnych przyjaciół. Ziutek Dudkiewicz, dawny mój zastępca z War-Centu, teraz dyrektor Metroprojektu, wprawdzie zminimalizował swoje biuro projektów, a wolne pomieszczenia powynajmował, ale dzięki temu stał się bogaczem, bo w myśl prawa po sprywatyzowaniu stał się właścicielem 20% akcji Metroprojektu, no i odpowiednia część czynszów za wynajmowane lokale przy Marszałkowskiej wpływa do jego kieszeni. Opowiadałem mu między innymi, jak nam ciężko, że nie mam w ogóle zleceń od pół roku i żyjemy z emerytury żony, prosiłem o jakieś zlecenia, ale się nie odezwał.

W jakiś czas później musiałem przygotowywać dokumenty do własnej emerytury i odwiedziłem „mój” Miastoprojekt. Dawny zastępca, Kazik Grzegorzewski, teraz dyrektor Miastoprojektu, też właściciel 20% akcji, sprzedał jeden budynek, wynajął szereg lokali innym nowym firmom i też jest panem całą gębą. Mówiłem mu – czy nie mogłicie symbolicznie jednej akcji Miastoprojektu sprzedać mnie, bo przecież to ja go zorganizowałem i przez trzy lata nim kierowałem...

*

9 września 2001 roku

Dlaczego jestem za wejściem Polski do Unii Europejskiej

From: "Marian Sokolowski" Marian.Sokolowski@acn.waw.pl

To: info.negocjacje@kprm.gov.pl

Subject: dlaczego za

Date: 9 września 2001 10:44

Szanowni Państwo —

Pragnę podać kilka powodów, dlaczego jestem za wejściem Polski do Unii Europejskiej.

Jestem starym człowiekiem, ale już jako dziecko marzyłem o czymś takim jak związek państw europejskich. Przecież gdyby Unia Europejska powstała siedemdziesiąt lat temu, Niemcy nie napadłyby na Polskę, na Francję, Holandię i resztę Europy — obrażacie to sobie Państwo? — Nie byłoby drugiej wojny światowej! Była niestety. Ale dzięki Unii nie będzie w Europie trzeciej wojny światowej, nie będzie następnych, czyż to nie wspaniałe? Czyż nie godne każdej ceny?

W roku 1918 powstawało Państwo Polskie. Musiało scalić w jedną Polskę trzy fragmenty dawnych mocarstw — trzy bardzo już różne Polski. Musiało ujednoczyć administrację, wojsko, stworzyć jedno prawo, jednorodne sądownictwo, musiało pokonać bariery językowe nowego Państwa, musiało przełamać przywiązanie do marek niemieckich, marek polskich, rubli, szylingów i udało się wprowadzić jednorodną walutę. Złotówka przyniosła niezaprzeczalny rozwój gospodarczy. Udało się stworzyć Państwo Polskie. Polacy, każdy z osobna, w tym procesie jednoczenia zapłacił swoją cenę, ale wszyscy stwierdzili, że warto było.

Jakże daleko idące analogie obserwujemy przy tworzącej się obecnie Unii Europejskiej, analogie z tworzeniem wówczas Państwowości Polskiej — teraz też się uda. Przez wieki będziemy dumni z tego czynu.

Różni oponenci wiele mówią o zagrożeniach dla Polski po wejściu do Unii — niech oni zdadzą sobie sprawę, jak nędzną przyszłość Polsce oferują — dla Polski odizolowanej od reszty Europy. Nikt nie próbuje nawet przeprowadzić symulacji stanu Polski, gdyby nie weszła do Unii Europejskiej. Żałować raczej należy, że Polska nie weszła do Unii Europejskiej zaraz w roku 1989, samorzutnie, niejako w dziejową nagrodę. Zazdrościć należy energowcom, którym wystarczyło obalić mur berliński, aby z dnia na dzień stali się obywatelami Unii Europejskiej. Dziwić się należy Wałęsie, że nie zażądał od Państw Unii Europejskiej podobnego natychmiastowego włączenia Polski. Niestety — Wałęsa zadowolili się szabelką od królowej brytyjskiej.

Jechałem do wnuka do Holandii. Na granicy w Świecku trzymano nas aż trzy godziny. Potem, po wejściu do Unii, przejedzie się tak niezauważalnie, jak teraz przez nieistniejącą już granicę niemiecko – holenderską. Czyż to nie będzie wspaniałe, po stokroć wspaniałe?

Polacy, jako jednostki, są bardzo prężni, zaradni, przedsiębiorczy, sprytni nawet, mają otwarte i chłonne umysły, ich intelekt dał niejednokrotnie swój wyraz w nauce, sztuce, inżynierii, wreszcie w poświęceniu dla innych — szybko przekonamy resztę Europejczyków, że przyjmując nas do Unii przyłączyli bardzo wartościowy naród, a używając współczesnego żargonu – zrobili dobry biznes.

Świat ogarnia globalizacja — niesie ona korzyści dla jednych, poważne zagrożenia dla drugich. Duży organizm Unii Europejskiej będzie znacznie lepiej bronił interesów Europejczyków, niż wyobcowana Polska zdoła bronić swoich obywateli. Wymuszone przez globalizację „elastyczności rynku i pracy” będą znacznie strawniejsze i łagodniej będą rzutować na Europejczyków w dużym organizmie Unii Europejskiej.

Liczę dni pozostałe do wejścia Polski do Unii Europejskiej.

Chciałbym dożyć tej chwili

*

Słałem swe poglądy i szukałem kontaktu z ludźmi pod dowolnym pretekstem. Dlaczego zawsze natrafiałem na obojętność?

Warszawa, 15 października 2001

magazyn komputerowy „CHIP”

Szanowni Państwo —

Piszę ten list nie po to, aby Państwo go zamieścili w mk „chip”. Raczej oczekiwałbym możliwości przeczytania w którymś z kolejnych numerów „chip” profesjonalnej oceny zagadnienia, tak jak czynią to Państwo np. w sprawach kart płatniczych, czy wad oprogramowania („niechlubna lista dziurawego oprogramowania”).

Tym zagadnieniem są banki w Internecie.

Odnoszę wrażenie, że Banki traktują Internet jako jeszcze jeden prospekt — laurkę o wspaniałości Banku. Najistotniejsze sprawy dla klienta w witrynach internetowych banków są przemilczane. Nie potrafię znaleźć w tych witrynach żadnych informacji o konkretnych, aktualnych oprocentowaniach, czy o pobieranych opłatach i prowizjach Banku. Dopiero gdzieś głęboko po wejściu na osobiste konto dowiaduję się, że debet jest oprocentowany na 40%! (vide: Petrobank LGNet). Szereg banków w ogóle nie istnieje w Internecie — wystarczy na przeglądarce wpisać słowo „bank”, aby otrzymać raczej szczątkowy wykaz banków, bądź wtórne informacje o bankowości.

Szczególnym zagadnieniem jest posługiwanie się Internetem w operacjach bankowych. Osobiście łączę się z trzema bankami za pośrednictwem Internetu, widzę szereg wad i niewłaściwości w oprogramowaniu, ale nie ma możliwości dyskusji z bankiem — często jest to monolog.

Prawie żaden bank nie podaje w Internecie adresu do korespondencji internetowej. W najlepszym razie jest to kontakt na zasadzie „skrzynki gości”, gdzie trzeba wpisać szereg swoich danych osobistych, można tam w miejscu przeznaczonym na korespondencję wpisać kilkanaście słów zaledwie, a wysłanie takiej korespondencji do Banku jest uwarunkowane wyrażeniem zgody na przetwarzanie w celach marketingowych danych osobistych (vide: Bank Śląski).

W Citibank możliwość takiej samej (ograniczonej) korespondencji, jak wyżej opisana, znajduje się dopiero po wejściu w obszar kontaktu kodowanego. Słusznie taki

kontakt jest bardzo chroniony, bo tu operujemy pieniędzmi. Ale gdy chcę tu wpisać swoje zastrzeżenia, to szybko system informuje mnie, że przez dziesięć minut nie wykonałem żadnej operacji i zostaję automatycznie wyrzucony (system nie uznaje pisania listu do banku za wykonywanie jakiegokolwiek operacji).

Aby dostać się w obszar chroniony banku w Internecie, trzeba się zalogować, czyli podać swoje hasła i pozostałe identyfikatory. Zdarzało mi się, że po wpisaniu tych danych, system informował mnie, że właśnie jest uszkodzony, bądź przeciążony, czy zajęty i radził, abym spróbował później. Skąd mogę mieć pewność, że te dane nie zostały właśnie w ten sposób przechwycone przez niepowołane osoby i gdy połączę się „później” z Bankiem, moje konto już będzie opróżnione? Uważam, że taki sygnał o doraźnej niedostępności systemu winien być generowany przed podaniem przeze mnie mojego hasła.

Citibank po zalogowaniu się każdorazowo prezentuje tekst warunków korzystania z Internetu (jest to tekst zajmujący kilka stron maszynopisu) i system uzależnia przejście do dalszych operacji od wyrażenia zgody na te warunki. Nie ma opcji pozwalającej na wydrukowanie tych warunków. Tak więc Bank ma zgodę klienta, a klient nie może sobie zachować tekstu warunków, na które się zgodził. Może przesadzam, ale wydaje mi się, że jeżeli każdorazowo Bank wymaga wyrażenia zgody na warunki, to te warunki za każdym razem mogą być inne. Czytam je więc sumiennie za każdym razem, tak jak mnie życie nauczyło, ale zanim doczytam do końca, to system stwierdza, że przez dziesięć minut nie wykonałem żadnej operacji — i mnie wyrzuca. Zadzwoiłem do operatora i usłyszałem: „A kto panu każe czytać? Wystarczy zgodzić się na nasze warunki (sic!)”

Wykazy operacji, zestawienia kont ukazują się w Internecie, jest nawet klawisz: „drukuj”. Tylko że wydrukować się nie da. Telefonuję, pytam, każą czekać, sami kogoś tam pytają, odpowiadają: trzeba kliknąć na tekst, który ma być wydrukowany. Rozłączam się, klikam — nic. Dzwonię, radzą: bo trzeba kliknąć prawym klawiszem. Klikam, a gdy nie drukuje się, już sam dumny znajduję, że pod prawym klawiszem jest także „Drukuj”. Działa!. Tylko po co w programie Banku jest ten czerwony klawisz „drukuj”, skoro nie działa? A może by tak dodatkowy klawisz: „pomoc”? Ale niechby rzetelna.

Citibank poinformował mnie kiedyś, że nie wolno instalować przeglądarki Internet Explorer 6, bo system Banku nie uwzględnia tej nowej przeglądarki. Pozostałem więc przy Internet Explorer 5,5. Teraz ćwiczyłem połączenie internetowe z Bankiem Śląskim. Okazało się, że nie da się stworzyć łącza internetowego, bo ja mam Windows 98 i Internet Explorer 5,5. Operator radził wrócić do przeglądarki Internet Explorer 5,0, bo tylko tak możemy współpracować. Jeszcze przejście na przeglądarkę Netscape zadowalałoby Bank. A tak dawno wymyślono zunifikowany gwint do żarówki... — Czy informatycy bankowości nic nie wiedzą o kompatybilności? A może w walce konkurencyjnej Banków o to właśnie chodzi?

Może jestem zmorą porządnym Banków lub zwyczajnie nie mam racji. Może profesjoniści by się wypowiedzieli?

W podziękowaniu za doczytanie do końca opowiem Państwu autentyczną historię. W latach 1962-65 Amerykanie zezwolili Polsce na zakup pierwszych komputerów. Były to olbrzymie urządzenia, wymagające wielkich, specjalnych sal, komputery były szalenie drogie, więc pojawiły się najwcześniej w Ministerstwie Przemysłu Maszynowego, w Wojskowej Akademii Technicznej, potem w innych ważnych instytucjach. Jak przystało na tamte czasy te wielce ważne instytucje udostępniały swe komputery innym państwowym instytucjom, które musiały swe dane przygotować u siebie na kartach perforowanych. Problem był w tym, że komputer ówczesny był na stałe oprogramowany — potrafił coś szczególnie zrobić i nie potrafił zrobić nic innego. Tym razem była to możliwość optymalizowania. Ja na przykład optymalizowałem przewozy różnych materiałów budowlanych od różnych wytwórców na wiele placów budowy w Warszawie. Rzeczywiście wyniki były zaskakujące, bo okazywało się, że dotychczas powszechnie stosowany zdrowy chłopski rozum nie daje optymalnego rozwiązania.

Wojskowa Akademia Techniczna podjęła kardynalny problem dziennej diety żołnierza na froncie: jako kryteria wprowadzono do komputera ilość niezbędnych kalorii, witamin i innych temu podobnych składników niezbędnych do życia. Z drugiej strony wprowadzono wszelkie produkty spożywcze z ich wartością kaloryczną, zawartością witamin, z ceną itd. Spodziewano się, że wreszcie będą wiedzieć, ile czekolady winien dziennie zjeść żołnierz, a może banany załatwią sprawę... Zasadniczym kryterium była najniższa cena dziennej diety żołnierza. Jak piorun z jasnego nieba uderzyło w oczekujących niecierpliwie sztabowców — odpowiedź była zwięzła: 1500 gram razowego chleba i dwa litry wody.

Pozdrawiam

*

-----Wiadomość oryginalna-----

From: „Marian Sokolowski” Marian.Sokolowski@acn.waw.pl

Data: 11 listopada 2001 09:33

Temat: moje książki

Szanowni Państwo –

Pragnę zaoferować Państwu do zbiorów Państwa siedem moich książek (polska literatura współczesna), które wydaję osobiście na prawach manuskryptu w unikalnej serii (kserokopie maszynopisu w twardej oprawie, z dedykacją). Z książkami moimi można zapoznać się w Internecie w mojej witrynie:

<http://www.astercity.net/~peta>

Książki te dla bibliotek przekażę po cenie moich kosztów, to jest za jeden tom: ksero ~40zł, ręczna oprawa ~50zł, wysyłka ~60zł, podatek ~30zł; razem za siedem książek ~1260zł.

Pozdrawiam

Przychodziły odpowiedzi z bibliotek:

From: „Marta Kesik” agrobibl@eos.umcs.lublin.pl

Subject: Re: moje książki

Date: 9 listopada 2001 13:20

Biblioteka, kieruje się do grupy uczelnianych bibliotek naukowych – specjalnych o charakterze przyrodniczym. Gromadzimy zatem wyłącznie literaturę zgodną z profilem badań i dydaktyki prowadzonej w uczelni. Nie jesteśmy więc zainteresowani zakupem oferowanych nam pozycji, chociaż ofertę przejrzałam z dużą ciekawością.

Marta Kęsik Biblioteka Główna Akademii Rolniczej

ul. Idziego Radziszewskiego 11, Lublin

(ręczny dopisek pety: „to miłe i tak rzadkie”)

Ale i mniej przyjemne:

From: “Tadeusz Walendowski, Polish Library in Washington”

president@polishlibrary.org

Subject: Re: moje książki

Date: 11 listopada 2001 12:20

Szanowny Panie,

dziękuję za interesującą ofertę książkową. Biblioteka Polska w Waszyngtonie wstrzymała niemal całkowicie zakupy nowych książek kilka miesięcy temu, a to z powodu braku miejsca na półkach i dlatego nie będziemy mogli nabyć Pana książek. O tym, że są ciekawe przekonałem się w zeszłym roku (chyba tak?), kiedy napisał Pan do nas swój pierwszy list.

Co do polskich liter w komputerze, szereg popularnych programów takich jak Windows, Word i Outlook Express ma w swoich opcjach polską klawiaturę i wyświetla na ekranie polską czcionkę. Radzę szukać informacji w „pomocy” lub zwrócić się do życzliwego komputerowca.

Z poważaniem,

Tadeusz Walendowski

(ręczny dopisek pety: „Przecież radzę sobie z polskimi literami. Pisałem bez polskich liter tylko dlatego, że w USA wiele programów pocztowych nie zna polskich liter.

Jako plik załączyłem tekst z polskimi literami, więc po co te pouczenia i jeszcze zaznaczenie, że już rok wcześniej dostałem odpowiedź odmowną”).

From: "Stefan Władysiuk" stefan.wladysiuk@mcgill.ca

Subject: Odp: moje książki

Date: 11 listopada 2001 21:11

Dziękujemy serdecznie za Pana ofertę. W najbliższym czasie zostanie ona rozpatrzona. Jeżeli będziemy zainteresowani, damy Panu znać

Z poważaniem

Stefan Władysiuk bibliotekarz

zapraszamy do odwiedzenia naszej strony

<http://www.biblioteka.info/>

*

Myślałem o wydrukowaniu swoich książek przez drukarnie z pominięciem wydawców:

From: "bnisbn" bnisbn@bn.org.pl

Subject: Odp: nadanie ISBN

Date: 12 listopada 2001 13:56

Szanowny Panie,

numery ISBN (cała pula na 10, 100, 1000 tytułów książek) przydzielane są wyłącznie wydawcom książek.

Jeśli wydawcą będzie Pan jako osoba prywatna może Pan – oczywiście – wystąpić z pismem o przydzielenie numerów.

Wydawca sam oznacza numerami ISBN książki własnej produkcji wydawniczej.

W razie dodatkowych pytań proszę o tel. (022) 608-24-33, 608-24-10.

Z poważaniem

Krajowe Biuro ISBN

Dorota Cymer

*

From: „Polish Library / Biblioteka Polska”

biblioteka.polska@swissonline.ch

To: „peta” peta@astercity.net

Subject: Re: Biblioteka MPR

Date: 13 listopada 2001 08:30

Szanowny Panie,

Cieszy nas niezmiernie, że nasza skromna biblioteka zwróciła uwagę Pana i że postanowił Pan przesłać na nasz adres swoje książki.

Gdyby uważniej przeczytał Pan naszą stronę internetową zauważyłby Pan, że profil rapperswilskiej Biblioteki koncentruje się na problematykę emigracji, Szwajcarii, historii sztuki itp. Nie zbieramy beletrystyki ani współczesnej literatury wspomnieniowej. Pana książki, aczkolwiek nie wątpię, że wartościowe i ciekawie wydane, absolutnie nie pasują do naszych zbiorów i dlatego też mam nadzieję, że książek tych nie zdążył Pan jeszcze wysłać... Przykro mi, ale nie przyjmujemy ich do naszych zbiorów. Proponuję poszukać innej, bliższej możliwości promocji.

Z poważaniem

Anna Piotrowska

(ręczny dopisek pety: „...tyle uszczypliwości: i nieuważne czytanie, i rada szukania bliżej promocji”)

*

Walczyłem ze światem:

To: Kurier.Warszawski@wot.tvp.com.pl

Subject: śnieg, bilety, emeryci

Date: 12 grudnia 2001 13:55

Szanowni Państwo,

może mogliby Państwo pomóc emerytom w dwóch prozaicznych sprawach:

1. Jest taki bezpański chodnik w centrum stolicy, do odśnieżania którego nikt się nie poczuwa. Może zdołaliby Państwo ustalić, kto jest odpowiedzialny za odśnieżanie tego chodnika, a chodzi mi o chodnik ulicy Batorego od ulicy Wiśniowej do ulicy Waryńskiego. Chodnik ten biegnie wzdłuż ogrodzenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji. Wydaje mi się, że za stan tego chodnika odpowiada właśnie MSWiA, które ma adres Batorego 5. W ubiegłym roku usiłowałem zainteresować sprawą Urząd Gminy Mokotów, ale bezskutecznie.

2. Emeryci mieli mieć możliwość tańszej komunikacji, dawały to bilety po 1,05zł (do jeżdżenia od godziny 9 do 14 od poniedziałku do piątku) i bilety dziesięcioprzejazdowe w cenie 9x1,25zł.do jeżdżenia w pozostałych okresach. Nadzieja trwała krótko, teraz tych biletów nigdzie nie ma w sprzedaży, trzeba jeździć za droższe bilety. Jest punkt sprzedaży biletów MZK w rogatce na Placu Unii Lubelskiej, ale jak od lat jest nadal czynny tylko od 23 jednego miesiąca do 5 następnego miesiąca. MZK najwyraźniej nie dostrzegło, że z wielkim aplauzem zlikwidowało konieczność stania po bilety miesięczne przed każdym pierwszym. Czy emeryt musi jeździć po kupno takich biletów do Pałacu Błękitnego na Plac Bankowy? A może nawet tam nie ma takich biletów, tego już nie sprawdziłem.

Składam wyrazy głębokiego szacunku i w podzięcie zapraszam do mojej witryny <http://www.astercity.net/~peta>

*

Opowiadanie zamieszczone w Internecie:

25 grudnia 2001 roku

Przykro mi

W naszym społeczeństwie wytworzył się obrzydliwy zwyczaj nadużywania słów „jest mi bardzo przykro”. Słowa te zostały zdeprecjonowane totalnie i obecnie znaczą „na tym kończę zajmowanie się twoją sprawą i jest to ostatnia grzeczność, jaką ci uczyniłem”. Przecież jeśli komuś naprawdę jest przykro, to nawet nie umie tego nazwać przykrością. Coraz częściej słyszę te słowa.

— Chciałbym zwrócić bilety na przejazd z Warszawy do Amsterdamu. Mam wyznaczoną datę wyjazdu na dwudziestego szóstego grudnia.

— Musi się pan zwrócić tam, gdzie pan kupił bilety. Tam pana załatwią.

— Właśnie u pana kupiłem te bilety... i

— ... w warunkach mamy napisane, że bilety nie podlegają zwrotowi, jeżeli jest mniej niż siedemdziesiąt dwie godziny przed wyjazdem. Jedyne rozwiązanie to takie, że przepiszemy te bilety na inną datę, jeśli nie chce pan tracić pieniędzy.

— No, ja to inaczej rozumiem, zwłaszcza że angielski tekst na bilecie pisze o dwudziestu czterech godzinach. To się też liczy, albo przede wszystkim liczy.

— Proszę pana, ale tam jest taka pieczęć na tym bilecie, że obowiązują warunki przewozu wydrukowane na rozkładzie jazdy. W środku powinna być taka pieczęć.

— Hm... Proszę pana, teraz tak... Jaką mi pan da gwarancję, że ja wyjadę o planowanej porze, dojadę zdrowy na koniec i z niewielkim opóźnieniem?

— To znaczy, te autokary odjeżdżają...

— ...bo proszę pana, ja wczoraj byłem na dworcu.

— ychy ...

— ...zupełna rozpacz. Tak jak trzy godziny tam stałem, to nie przyjechał żaden autokar. Przyjechał tylko jeden z Francji. Kierowcy mówili, że straszne warunki w Niemczech, że boją się jechać z powrotem i nie wiedzą, czy pojedą z powrotem. ...chcieliby żywi dotrzeć na wigilię do swoich rodzin...

— ...to znaczy, proszę pana, nasze linie wyjeżdżają według rozkładu i będziemy jeździć...

— ...latem, ale teraz... Nie przyjechał wczoraj żaden wasz autokar...

— Żaden wczoraj autokar nie miał prawa...

— Jakżeż nie. Do Amsterdamu, powinien był, wczoraj, niedziela przecież...

— Ale wczoraj został odwołany... ponieważ chcemy, żeby nasi kierowcy spędzili wigilię w Polsce. I zostało to już tak ustalone...

— No, dobrze. Ale widzi pan...

— Natomiast mogę panu powiedzieć dzisiaj, że autokary wracające z Polski, czy z Holandii jadą na czas. Jeden jest opóźniony tylko jedną godzinę, a dwa, do Olsztyna i do Przemysła wracają na czas. Nie są wcale opóźnione.

— Proszę pana, więc...

— ...jeżeli nie chce pan jechać dwudziestego szóstego, to możemy przepisać ten bilet na jakąś inną datę w przeciągu pół roku.

— No tak, ale ja to bym pojechał w sierpniu następnym razem.

— Bo w tej chwili, siedemdziesiąt dwie godziny przed pana podróżą...

— Nie miałem szans wcześniej, bo wczoraj nie pracowaliście, przedwczoraj też nie.

— Przedwczoraj pracowaliśmy... do godziny osiemnastej ja osobiście byłem tutaj w firmie, od godziny ósmej. Od ósmej do osiemnastej.

— Podaliście mi, że pracujecie od dziewiątej do dwudziestej. Ale widocznie nie mogłem dodzwonić się... No, przykro. Jestem emerytem i takie straty ponoszę...

— Proszę pana...

— To co się tam wczoraj na dworcu działo, to była jedna rozpacz. Żadnej informacji. Są głośniki, prawda, informuje się o przejazdach...

— No dobrze...

— ...krajowych, a o waszych słowa, nic...

— ...bo my nie mieliśmy żadnego wyjazdu, żadnego autokaru, który miał wyjeżdżać, ani wracać... więc nie wiedzieli... o czym informować... o tym że nie jedziemy, to przecież żadna informacja...

— Nie udowodnię panu tego...

— ...ale ja panu mogę udowodnić, że wczoraj autokar nie miał jechać...

— Wie pan, żeby się nie przekomarzać, jest pan pewien, że przez głośniki podawane są komunikaty o waszych autokarach?

— O naszych autokarach nie.

— No właśnie...

— ...o żadnych autokarach międzynarodowych...

— ...i o tym mówimy.

— ...ponieważ te głośniki i ta osoba, która informuje, to jest właścicielem PKS. Jesteśmy prywatną firmą, a nie państwową.

— No zgoda, ale teraz prywatne są lepsze od państwowych i jeśli się ma poważną linię europejską, to trzeba się dogadać z tymi na Dworcu Zachodnim, żeby oni informowali również o autokarach międzynarodowych.

— Proszę pana, my mamy alternatywną możliwość. My tutaj jesteśmy pod telefonem w soboty i cały tydzień i jeżeli chce pan się dowiedzieć o nasze autokary wyjeżdżające i wracające, opóźnienia, czy przesunięcia kursów, to my tutaj pod telefonem służymy panu pełną informacją. W każdym razie.

— Dziwię się, że pan nie chce uznać tego typu sugestii klienta. Pan siedzi za biurkiem, a my tam stoimy na mrozie, trzeba być pół godziny co najmniej przed odjazdem, tak sobie życzyacie, prawda, i właściwie człowiek jest bezradny. Niczego nie wie, co się może stać. Jak ja mam się stamtąd z panem porozumiewać? Zwłaszcza gdy to jest dzień, kiedy nie pracujecie.

— To znaczy, proszę pana, no ja wiem, że tak, ale to już jest... Ja nie decyduję o naszej, jak to...

— Tak, ale możecie przekazać do Holandii te sugestie, do waszego zleceniodawcy. Prawda? Że niechby się szanowali i nas też, prawda. No, wie pan, na dworcu lotniczym jest informacja, co przyjedzie, kiedy przyjedzie, co spóźnione, prawda. Na kolei jest informacja, przez głośniki się to mówi. Na trasach krajowych jest informacja przez głośniki i się mówi. A o międzynarodowych cisza. Przecież płacimy za bilety, jest to stolica, jakby nie było, dużego państwa i moglibyśmy jako klienci oczekiwać informacji przez głośniki, prawda, również.

— Ja rozumiem, proszę pana, ale nasza firma, jak i wszystkie autokary międzynarodowe, to są dość powszechnie małe firmy i nie stać je na po prostu na ten... na takie duże wydatki.

— Dobrze. A teraz co pan powie o tym angielskim tekście na bilecie?

— To znaczy tak. Tam jest na bilecie, na środku jest przybita pieczętka. Bo te bilety zostały wydrukowane przeszło pięć lat temu, a od pięciu lat już od dawna zmieniły się nasze warunki przewozowe. My wręczaliśmy razem ze sprzedażą biletu nasze ulotki...

— Proszę pana, gdzie jest przybita pieczętka, jeśli pan uprzejmy...

— Powinno być...

— Na moim bilecie żadnej pieczętki nigdzie nie ma, na żadnej stronie. Jest tylko IN-POL, Dział Turystyki...

— ychy...

— To wszystko.

— A jak pan otworzy te warunki przejazdu...?

— ... to mam po angielsku i po holendersku, że na dwadzieścia cztery godziny przed terminem wyjazdu osiemdziesiąt procent zwracacie. Punkt trzeci.

— To znaczy, widzi pan, to wszystko, tylko że jest taka sprawa, że od... ważne... za każdym razem dołączamy do sprzedanego biletu nasze rozkłady jazdy. Zgadza się? Dostał pan od nas?

— Proszę pana, tak. Ale...

— ...i tam z tyłu są warunki przewozu i warunki zwrotu za niewykorzystane bilety.

— Tak, ale jesteście bardzo nieprzyjaźni klientowi. Powinno być napisane to samo, co i tu na bilecie po angielsku. Prawda? Bo przecież, gdyby pan zechciał mnie wysłuchać i ten bilet przyjął, to pan by dostał z Holandii pełny zwrot, prawda? Na podstawie tego, co Holendrzy piszą po holendersku i po angielsku na bilecie.

— Nie, proszę pana. Ja pana muszę rozczarować, ale Holendrzy respektują tylko te prawa, które są na tych ulotkach, ponieważ te ulotki są identyczne, jak w Holandii, tylko przetłumaczone na język polski. Te warunki, które ma pan na bilecie, to są stare warunki, kiedy jeszcze nasza firma nie jeździła...

— Proszę pana, słowa na moich biletach o tym nie ma. No, pójdziemy do sądu ze sprawą. Proszę pana — żadnej pieczętki na moich biletach nie ma i jest to rozbieżność. Tu pisze, że na dwadzieścia cztery godziny przed odjazdem, po angielsku, osiemdziesiąt procent będzie zwrócone. Prawda? I takie dostałem.

— Ale dostał też pan od nas nasz rozkład i gdzie jest inna informacja, sposób obliczania zwrotu.

— Ale nie miałem szans na siedemdziesiąt dwie godziny wcześniej, bo jak się wczoraj zorientowałem, co się dzieje na dworcu...

— Ale proszę pana, za to my nie odpowiadamy, że pan nie miał szans.

— No tak, lepiej brać pieniądze i za nic nie odpowiadać. Proszę pana, ja w tej sytuacji już więcej nigdy nie skorzystam z waszych usług. Lecę do Holandii samolotem i złożę oficjalną skargę na was w Holandii u przewoźnika. Bo jest to granda, po prostu.

— To znaczy, proszę pana, no, ma pan owszem do tego prawo, a my chcemy panu pomóc i po prostu przepisać na inną datę. Skończą się te złe warunki pogod-

we... Ale mogę pana zapewnić, że dwudziestego szóstego autokar nasz wyjeżdża z Lublina i na pewno dostanie się pan naszym autokarem...

— Nie patrzy pan na telewizję najwyraźniej. Niech pan zwróci uwagę, co podała polska telewizja na temat trasy Lublin, Warszawa, Łódź, Poznań, Świecko.

— Ale proszę pana, te autokary nasze wyjeżdżają i nic dotąd się nie wydarzyło, odpukać, w malowane drewno,... Proszę pana, te autokary wyjeżdżają i bezpiecznie dojeżdżają do miejsca przeznaczenia.

— Również Niemcy ostrzegają — nie jechać, kto nie musi.

— Ale proszę pana, to są autokary międzynarodowe, autokary muszą dostać się do Holandii i wrócić z Holandii. Mamy zakontraktowane przejazdy...

— Kierowcy tych autokarów międzynarodowych mówią: Panie — tak mi wczoraj powiedział ten z Francji, może rzeczywiście nie jest to Euro-Line, bo nie wiem, kto tam do Francji jeździ, ale wy to też jeździecie do Francji. Powiedział: — Proszę pana, przewróci się na trasie TIR na tych zaspach i oblodzeniach i już pięć godzin stoimy. Przyjechali z dziesięciogodzinnym opóźnieniem.

— Proszę pana, ale za tego tira przewróconego my nie możemy odpowiadać i pan nie może na nas składać odpowiedzialność...

— No, może. Ale widzi pan, musimy być ludźmi i jeśli ja się dowiaduję z wielu źródeł, powiadam: z telewizji zagranicznej, z telewizji polskiej, bezpośrednio od ludzi, którzy parę godzin temu tamtędy przejechali, że jest taka sytuacja...

— Dobrze. Jeżeli boi się pan wyjechać dwudziestego szóstego, może pan z nami wyjechać dwa tygodnie później, kiedy już może warunki pogodowe będą...

— Proszę mi jeszcze taką rzecz powiedzieć. Czy możemy przez telefon zmienić datę?

— Tak, może pan przez telefon zmienić datę.

— No bo co mi pozostaje?

— Zwrotu nie możemy dokonać, a mogę pana przepisać te dwa bilety na inną datę. Nie wiem, w przeciągu pół roku. Mogę na razie wpisać...

— Pół roku od kiedy liczymy?

— Od daty zakupu tego biletu.

— A tu żadnej daty zakupu na moim bilecie nie ma.

— Ale my mamy w naszym systemie komputerowym, kiedy został zakupiony ten bilet.

— Widzi pan, dlatego że ja byłem zapobiegliwy i kupiłem bilety dwa miesiące temu, to muszę do kwietnia wykorzystać.

— To znaczy proszę pana, w tej chwili możemy po prostu ten bilet, który ma pan, otworzyć i on będzie bez dat. Kiedy pan już będzie wiedział, kiedy pan chce jechać, zadzwonić do nas...

— No ale musi się to stać w ciągu pół roku od daty zakupu, czyli w kwietniu.

— Bilet pan kupił szesnastego listopada.

— No właśnie. Rozpacz. Znaczy że trzeba u was kupować bilety w ostatniej chwili, prawda? Jeśli nie liczy się do tego pół roku data wyjazdu, tylko data zakupu.

— To znaczy... To jest, proszę pana, tak: pół roku jest bilet ważny, ale tak...

— ... od daty wyjazdu... powinno być... prawda? Bo to jest tylko zapobiegliwość z mojej strony, że kupiłem te...

— Ja, proszę pana, ale ja panu tłumaczę, że on jest ważny pół roku od daty wyjazdu, ale jeżeli wpisujemy, jeżeli robimy go otwartego, to musimy mieć jakąś datę pewną, wobec którego ten bilet jest ważny, bo jeżeli otworzymy i później się... ten bilet przez dwa lata może pan po prostu nas trzymać w szachu i mówiąc, że pół roku nie minęło, bo daty wyjazdu nie było.

— Ale przecież na moich biletach data wyjazdu była od chwili zakupu...

— Nie, wie pan, pół roku to jest dosyć spory czas do zastanowienia się, kiedy...

— ...ale wie pan, nie od piętnastego listopada... Przecież na Boga, no, gdybym był samobójcą, to bym panu uwierzył i pojutrze wsiadł w ten autokar, jeśli przyjedzie. I może nawet przyjedzie, bo liczy się dla was tylko zysk i zmuszacie tych swoich kierowców, aby jechali wbrew rozsądkowi, aby ryzykowali życie swoje i swoich pasażerów. Firma wasza za to nie odpowiada. Wszak ubezpieczyliście dla formy podróźnych, ale ostrzegacie, że wasze ubezpieczenie nie będzie obejmowało sytuacji, gdy podróźny poniesie uszczerbek na zdrowiu poza autokarem. Potem będzie się dywagowało, czy miałem prawo uciekać z rozbitego waszego autokaru, bo gdybym siedział wewnątrz, mimo poważnego zagrożenia w nim, to nie potraciłby mnie inny pojazd. Przecież sprytnie sugerujecie, aby podróźny sam się ubezpieczył w zakresie dla niego odpowiednim. Widzi pan, jeszcze raz powtórzę, że gdyby nie nagła sytuacja strasznych warunków na drodze... pan mi zaraz odpowie, że pan za to nie odpowiada...

— Nie odpowiadam za pogodę.

— Przepraszam, już straciłem głos, zachryłem zupełnie... Przepraszam na moment. Gdyby nie... oj, przepraszam jeszcze raz, już zupełnie nie mogę wydobyć słów z siebie...

— ...

— Gdyby nie nagła sytuacja na drogach, prawda, to byłbym pojechał, prawda? Czyli firma, szanująca się firma powinna trochę mieć elastyczności i uwzględniać te nadzwyczajne sytuacje. A nie tylko spychać całe konsekwencje na klienta.

— Ale, proszę pana, nie może pan od nas wymagać, żebyśmy odpowiadali za coś, na co nie mamy wpływu. Owszem, odpowiadamy, nie wiem za co...

— Nieprzyjemny jest dla mnie sarkazm w pana głosie, który zabrzmiał przed chwilą. Fajnie, ale wie pan, szanująca się firma ma trochę tej tak zwanej elastyczności.

— My chcemy, żeby pan z nami w dalszym ciągu jeździł. I nie każemy panu wyjechać dwudziestego szóstego, żeby pan ryzykował życie, tylko mówimy panu, że jeżeli zmienią się warunki, może sam pan decydować, że w przeciagu pół roku pojedzie pan. I to jest moim zdaniem wyjście w stronę klienta. Nie każdemu my... żeby ten bilet przepadał, jeśli się boi, to go po prostu przepiszemy za dwa miesiące, żeby sobie jechał, kiedy już będzie słońce, kiedy będzie... dobre warunki na drogach. I to jest moim zdaniem...

— Pan pozwoli uwagi starszego człowieka. To przecież to, że mi pan pozwoli wyjechać później, to nie jest chyba żadna łaska wynikająca...

— To nie jest łaska...

— Czyli oczekiwaloby się, żeby firma w wyjątkowych sytuacjach, które bezsprzecznie w tej chwili istnieją, postępowała troszkę bardziej elastycznie. Bo wyjazd wynika przecież z jakichś planów naszych i tych, do których jedziemy. Nie jest obojętne, kiedy taki wyjazd następuje. Bo pół roku, to ja w każdej sytuacji mogę korzystać z tego biletu, nie jest to żadne pójscie mi na rękę. I dlatego, że kupiłem go tak wcześnie, prawda, poniosę teraz konsekwencje.

— To znaczy, proszę pana, pół roku może pan decydować się na wyjazd. Natomiast bilet będzie znowu ważny pół roku na powrót. Czyli nawet rok będzie ten bilet ważny, bo tutaj widzę, że ten bilet ma powrót otwarty. Jeżeli zdecyduje się pan nawet w kwietniu na wyjazd, to od kwietnia, od daty wyjazdu kwietniowej, będzie znowu pół roku na wykorzystanie miejsca powrotnego. Czyli dajemy panu naprawdę już takie możliwości skorzystania z tego biletu, żeby on nie przepadał i od pana tylko zależy, kiedy zechce go pan wykorzystać. Natomiast nie może pan starać się przepisać go na sierpień, bo to tylko na sześć miesięcy, a w tych warunkach, które pan określa, do zwrotu jest napisane, chyba w punkcie drugim, ile ten bilet jest ważny, znaczy pół roku.

— No, fajnie. Ja tylko mówię z punktu widzenia moich interesów, że jeśli wybieram się w taką drogą imprezę, w podróż, no to trudno co kwartał jeździć do Holandii, lecz powiem, gdyby mnie było stać, to bym jeździł i co miesiąc. I dawał wam zarobić. Proszę pana, no to przepisujemy.

— To znaczy tak. Na razie te bilety będą otwarte, czyli bez podania przez pana daty pana wyjazdu, jeżeli nie wie pan, jaką datę chce pan jechać. Zgadza się pan?

— Tak, no bo muszę, wie pan, zajechać, porozmawiać z rodziną, no i z tego wynika, kiedy nas będą chcieli zobaczyć powtórnie.

— Już chwileczkę. Te bilety są otwarte i kiedy pan zechce, proszę do nas zadzwonić.

— Dobrze. Tak stawiając kropkę nad i, do kiedy mogę zadzwonić? Jak by to wynikało? Żebym znowu się nie spóźnił kilka godzin.

— Czyli tak: szesnastego listopada była data kupna tego biletu, więc do szesnastego maja.

— A niech mi pan jeszcze, jeśli można, powie, czy gdybym dzisiaj chciał jechać i kupić bilety, to bym dostał? ...na dwudziestego szóstego?

— Tak.

— No widzi pan. Czyli jest pusto w autokarach. Czyli widzi pan, nawet taka rzecz. Dosyć mi podobaliście się, jako firma. Trzeba było temu starym człowiekowi powiedzieć: — Człowieku, nie kupuj w połowie listopada, bo tylko tracisz na tym. Przydziesz do nas dwa dni przed, tydzień przed i też kupisz bilet, też będzie to samo.

— Ale proszę pana, pan wybrał dosyć taką nieatrakcyjną datę. Przecież to jest drugi dzień świąt.

— No zgoda, ale o tym mówiłem, no dlatego, wie pan, że się spodziewałem, że będzie łatwiej jechać, że nie będzie tłoku i tak dalej. No ale, widzi pan, no, no, moglibyście szepnąć, że niech pan przyjdzie miesiąc później.

— To znaczy, proszę pana, my nie możemy tak w ten sposób wpływać na naszych klientów. Klient jest naszym panem. On decyduje, kiedy chce kupić, na kiedy chce ten... My nic nie możemy sugerować...

— Starym człowiekowi można zwrócić uwagę, że korzystniej dla niego będzie przyjść później...

— Boję się, że naprawdę nikt nie będzie sugerował, żeby pan przyszedł... To jest pana... pana pieniądze są inwestowane.

— No właśnie.

— To od pana zależy.

— Pewno. Żeby tylko... Gdy próbuję na waszą niekorzyść cokolwiek zrobić, to się rękami, nogami bronicie i nie pozwolicie sobie złotówki uszczknąć. Natomiast klient — jak głupi, niech płaci. Prawda?

— Nie. W żadnym wypadku nic takiego nie...

— Ale tak się zachowujecie.

— To znaczy, proszę pana, nas trzymają warunki, nas trzymają przepisy i my musimy...

— Proszę pana...

— ... to jest prawo...

— ...przepisy, to są na państwowych...

— ... nie, nie. Każda firma się...

— Ja kiedyś też miałem firmę, prywatną i ze mną się można było dogadać. Stanowiłem w firmie własne prawo. Bo jaki przepis prawa panu zabrania...

— Chciałem zauważyć, że my jesteśmy firmą zagraniczną i nas obowiązuje prawo...

— Proszę pana, pięć lat byłem za granicą i miałem do czynienia z różnymi firmami zagranicznymi. Tam się zawsze nasłuchuje i przynajmniej usiłuje się zrobić jakiś cień ruchu, żeby ten klient poczuł, że został wysłuchany. Ale dobrze.

— Ja przecież... ja panu nie... owszem, nie mogłem zwrócić, bo nie pozwalają mi na to przepisy, pozwalają panu otworzyć ten bilet, co jest też ograniczone, ale pozwoliłem panu otworzyć ten bilet i zostawić zdecydowanie się, kiedy chce pan jechać. Nie wszyscy klienci takie mają możliwości... na wyjazd, na powrót owszem.

— Wie pan, tak już na odchodnym, przy wigilii, żeby sobie i panu nie psuć zupełnie dnia. Proszę mi wierzyć, że przez te parę lat, jak byłem za granicą, znacznie łatwiej się tam dogadywało z firmami, z instytucjami niż w Polsce. My nadal stoimy na zasadzie takiej, jaką pan prezentuje. Wie pan, na pewno pan też się znajdzie w roli klienta nieraz jeszcze w życiu i poczuje pan, co to znaczy, jeśli się go tak jakoś, no, nie nazwę tego... Tym bardziej że sytuacja jest katastrofalna na drogach. No, dziękuję bardzo i wesołych świąt.

— Dziękuję i nawzajem. Do widzenia.

Dlaczego ja, stary człowiek, muszę być taki... upierdliwy wobec innych ludzi?

Przykro mi bardzo.

*

Inne opowiadanie z Internetu.

16 lutego 2002 roku

Dom

Słowo „dom” jest symbolem istoty człowieka, wraz z innymi ustanawia jego pełne człowieczeństwo — mówiąc górnolotnie.

Stara tradycja powiada: — Mężczyzna powinien postawić dom i zasadzić drzewo.

Dom — to cztery ściany, dach, do których zawsze można wrócić. Tam jest nasz kąt.

Wielu tęskni za własnym domkiem, za ogródkiem, choćby maleńkim. Tylko nieliczni są innego zdania — tak jak moja żona, która powiada: — Będiesz dozorcą we własnym domu. — Lub jej ciotka: — Mam ten dom, ale nigdy nie lubiłam pracy w ogródku. Robię to tylko dla sąsiadów.

Córka Zosia ma już trzeci dom w Holandii — tam na kupno domu bez trudu dostaje się kredyt na dwadzieścia pięć lat.

Córka Gosia niedawno oświadczyła: — Postanowiłyśmy z Agą kupić jakiś domek. Aga, to jej przyjaciółka.

Odparłem: — Bardzo pochwalam ten pomysł. Potrzebujesz większej powierzchni do życia. Twoje mieszkanie jest zbyt ciasne. Jesteś we właściwym wieku na taką decyzję. Stawiam jednak warunek: Ja muszę być konsultantem. Jako architekt robiłem to dla wielu, tym bardziej powinienem doradzić córce.

W jakiś czas potem Gosia zawiadomiła mię, że znalazły ciekawy domek, w bardzo dobrym punkcie Warszawy na Żoliborzu. One już go oglądały, ale umówiły jeszcze mnie na oglądanie.

W wyznaczonym dniu zjawiłem się pod podanym adresem. Byli już z pośredniczącej agencji nieruchomości i byli przedstawiciele sprzedających, to jest kościół. Pięć osób sprzedających i ja.

Obejrzałem dom, obejrzałem dokumenty. Dom dwupiętrowy, kostka z dwoma przyklejonymi garażami, otoczony wysoką zabudową, zacieniająca go. Małe ogródki, ale nic w nim nie chce rosnąć, bo słońce zasłaniają sąsiedzi. Elewacje dawno nieremontowane, obłazące, wewnątrz zaciekły, stare wanny, zniszczone ściany. Jakieś dziwne przeróbki lokatorów. Cztery samodzielne mieszkania z wejściami bezpośrednio z zewnątrz, stąd schodów co niemiara, a pokoi trzeba dobrze szukać w tym domu. Przed domem kilka samochodów w każdym wolnym miejscu. Zapytałem więc:

— To ile tu osób mieszka? Sądząc po tych samochodach...

— Och, prawie nikt. — Odpowiedział sprzedający. — Tylko dwoje starszych, już po siedemdziesiątce. Oni to nawet mają przydział z kwaterunku jeszcze z czterdziestego siódmego roku. Myślimy, że i państwo będą humanitarni wobec nich. To już starzy ludzie, nie pożyją długo, trzeba pozwolić im dożyć w spokoju. Mieszka tu jeszcze czterech studentów i jedna młoda dziewczyna, ale oni wyprowadzą się bez oporu. Na piętrze jest kaplica i na parterze biura kościelne.

— Nie możemy kupić domu z lokatorami. — Odpowiedziałem. — Przecież zdają sobie państwo sprawę z obecnie obowiązujących przepisów, w myśl których nie można usunąć z mieszkania nawet studentów, nie mówiąc już o osobach zameldowanych na stałe.

— W takim razie trzeba by znaleźć dla nich inne mieszkanie. — Zaznaczył sprzedający.

— Córka poinformowała mnie, że postawiły warunek, aby w chwili kupna budynek był bez lokatorów. Potem zostały poinformowane, że już podjęto starania na rzecz znalezienia mieszkań. Tymczasem dzisiaj słyszę, że znajdujemy się w punkcie wyjścia.

— Sprawa jest niesłychanie prosta. — Odpowiedziała właścicielka agencji nieruchomości. — Spiszemy umowę wstępną, w myśl której państwo dadzą zaliczkę...

— Zaliczka musi pokryć kupno mieszkania dla tych ludzi i koszty przeniesienia kaplicy do nowego lokalu. — Wtrącił przedstawiciel sprzedających.

— Sądzę, że nie damy żadnej zaliczki, dopóki dom nie będzie wolny. — Odpowiedziałem. — Sprzedający winien kupić mieszkanie...

— Kościół nie ma pieniędzy...

— To kościół powinien wziąć krótkoterminowy kredyt z banku...

— Kościół nigdy nie bierze kredytów.

— Jako ojciec nigdy nie doradzę córce takiego zakupu.

— Po co się pan gorączkuje. — Przejęła inicjatywę agencja nieruchomości. — Ja nie dokończyłam swojej myśli. W chwili sprzedaży spisujemy u notariusza jednocześnie trzy akty notarialne: dwa na kupno tych dwóch części domu i trzeci na kupno mieszkania dla tych lokatorów. I będzie pan miał sprawę załatwioną.

— Ja zostanę z trzema papierkami, wydam pieniądze, sprzedający weźmie pieniądze, agencja zakończy swoją misję i gdzie będę szukał zakończenia sprawy?

— Jeśli będą jakiegokolwiek trudności, to wystarczy, że poda pan sprawę do sądu... — przekonywała agencja nieruchomości.

— Podam do sądu i będę czekał trzy lata na wyrok, potem odwołanie od wyroku, potem apelacja, wmiesza się telewizja i będzie broniła krzywdzonych lokatorów...

— To kiedyś tak może było. — Broniła swego pomysłu agencja. — Teraz sąd panu załatwi w niecały miesiąc sprawę, a przecież i notariusz... żeby pan wiedział, jakie oni mają dojścia...

— Czy pani wie, co to jest etyka? Jak pani może twierdzić, że sądy teraz w miesiąc załatwiają sprawy? Cała prasa, radio i telewizja zgodnie trąbią, że latami ciągną się sprawy w sądach i końca rozstrzygnięć ani wyroku nie widać.

Dodałem:

— Ja sprawy nie poprę, nie wpuszczę córki w coś takiego. Państwo winni szukać czterech nabywców na te cztery samodzielne mieszkania. Teraz zrobienie z tego dwóch mieszkań będzie bardzo kosztowne i kłopotliwe. Przecież nie jest to jedyna oferta w Warszawie, abyśmy musieli kurczowo jej się trzymać.

— Czy ściany konstrukcyjne są dobre? — Zapytał przedstawiciel sprzedających.

— Aż za dobre. — Odparłem. — Jest ich aż za dużo. Jak powiedziałem, przeróbki będą bardzo kłopotliwe.

— Ale nie będą niemożliwe? — Indagował sprzedający.

— Proszę państwa, w technice prawie wszystko jest możliwe, jest tylko sprawa ilości pieniędzy, jakie takie przeróbki pochłoną. Trzeba państwu wiedzieć, że na którejś wystawie światowej postawiono dom do góry nogami. Z trawnika wychodził komin, z niego do góry spadzisty dach pokryty dachówką, wyżej były ściany z oknami, wejścia, a na samej górze fundamenty.

Strony postanowiły przemyśleć swoje stanowiska i na tym spotkanie się zakończyło.

Potem opiniowałem córce:

Potrafiłbym przerobić ten dom, ale to pochłonie drugie tyle pieniędzy, co kupno.

Będzie wiele działań wymagających decyzji urzędów, a to będzie trwało tygodniami, bo już nowa elewacja będzie wymagała zatwierdzonego projektu i pozwolenia na zajęcie chodnika; będzie wymagany projekt przeróbek wewnętrznych, bo trzeba wyburzyć schody i niektóre ściany, a to jest konstrukcja, przeróbki konstrukcyjne znów wymagają zatwierdzonego projektu.

Niepokoi mnie ten przydział kwaterunkowy mieszkania dla tych starszych ludzi — może się okazać, że budynek, bądź lokal nadal jest objęty publiczną gospodarką lokalami i gmina może wprowadzić tam następnego lokatora...

Jakiś czas później córka zawiadomiła mnie, że bank odmówił kredytowania takiej imprezy i tym samym sprawa upadła. Jednak postanowiłem pomóc zapracowanej córce i szukać dalej. Zwyczajnie kupiłem „Gazetę Wyborczą”, w której w środy na kilkunastu stronach są oferty sprzedaży i kupna różnych mieszkań i domów.

Analiza ogłoszeń była żmudna. Trzeba było zapoznać się z wszystkimi, zaznaczyć interesujące, potem powtórnie przeanalizować i zaznaczyć te najbardziej interesujące. Musiałem równocześnie analizować ceny. Część ogłoszeń nie podawało ceny, część ogłoszeń podawała cenę w dolarach, inne podawały cenę w złotych, a jeszcze inne podawały tylko cyfry i zera bez waluty. Następnie przeszedłem do wydzwaniania. Pytałem o lokalizację, walory budynku, pytałem o walutę ceny. Aby nie pogubić się w tym wszystkim, nagrywałem rozmowy, a potem je analizowałem i robiłem notatki. Ogłoszenia w zasadzie były zamieszczane przez agencje nieruchomości.

Z kilku jedno ogłoszenie rokowało nadzieje i zainteresowałem się nim, choć było bardzo lakoniczne, tylko: „dom, Mokotów, telefon”. Pani z agencji objaśniała mi szczegóły:

— Dom jest przedwojenny, są w nim dwa samodzielne mieszkania, trzeba zrobić w nim podłogi i jakiś taki ogólny remont, jest czterech współwłaścicieli, którzy chcą się rozliczyć i stąd sprzedaż domu. Działka nie podlega podziałowi, ale mieszkania mogą kupić dwie różne osoby. Cena sześćset siedemdziesiąt tysięcy złotych, ale rozmawiałam ze sprzedającym i wiem, że za sześćset tysięcy sprzedadzą. Ja prowadzę tę sprawę, więc proszę się ze mną kontaktować. Gdyby jednak pan chciał coś bliżej wiedzieć, to musiałby pan przyjść do agencji i zawrzemy umowę...

— Tak, rozumiem, znam te procedury.

Zapytałem jeszcze, w jakim rejonie dom jest położony.

— Na Mokotowie, za ulicą Goszczyńskiego.

Podziękowałem. A ponieważ było to niedaleko, więc wybrałem się tam na spacer. Nawet znalazłem dom odpowiadający opisowi, ale był w znacznie gorszym stanie, niż to wynikało z relacji agencji. Z córką długo nie mogłem się skontaktować, ale wreszcie przekonałem ją, że powinniśmy zainteresować się tą ofertą. Zadzwoiłem znów do agencji nieruchomości, zapytałem, czy sprawa jest aktualna i jaka jest cena. Usłyszałem:

— Tak, nadal mam w sprzedaży ten dom. Jak już panu mówiłam, można go kupić za sześćset tysięcy złotych.

— To moglibyśmy uczynić następny krok i obejrzyć ten dom. — Odparłem.

— Kiedy chciałby pan obejrzyć?

— Pogoda wspaniała, dziś jest dobry dzień na oglądanie.

— Muszę porozumieć się ze sprzedającym. Proszę mi podać swój numer telefonu, za chwilę oddzwonię.

Podaliśmy. Rzeczywiście po kilkunastu minutach miałem wiadomość, że dziś o szesnastej mogę obejrzyć dom. Zapytałem więc, czy mam wcześniej przyjść do agencji, aby spisać tę wstępną umowę. Pani postanowiła:

— Nie, to jutro spisujemy umowę, a dziś proponuję, abyśmy spotkali się przed tym domem. — I podała mi adres.

Oczywiście był to inny adres, niż ja rozpoznałem. Zaciekawiony bardzo, byłem na miejscu pół godziny wcześniej. Pod podanym adresem dom zupełnie nie odpowiadał opisowi. Wydawał się być większy i w lepszym stanie. Pomyślałem więc, że znów nie podano mi dokładnego adresu i że tu się spotkamy, a pójdziemy gdzieś dalej. No, trudno. Pani z agencji niewiele się spóźniła, jednak oświadczyła, że to ten właśnie dom. Byłem mile zaskoczony, ale szukałem przyczyny podanej ceny:

— Czy jest to własność hipoteczna?

— Tak.

— Czy są jakieś obciążenia na hipotecę?

— Ależ nie.

— Czy kupno przeprowadzimy aktem notarialnym?

— Oczywiście. Inaczej nie można.

— To może jakieś inne długi ciążyą na nieruchomości? Może są jakieś inne przykre niespodzianki w tym kupnie?

— Nie ma żadnych długów, ani niespodzianek. Wszystko jest w należyтым porządku.

Weszliśmy więc obejrzyć dom. Z każdą chwilą byłem bardziej zachwycony. Była to rzeczywiście okazja. Toteż pod koniec oglądania powiedziałem do sprzedającej i do pośredniczącej:

— Zapewne zachowam się mało zręcznie, ale powiem, że jeśli państwo byliby skłonni sprzedać bez targowania się za sześćset...

— Ja powiedziałam temu panu, że byliby państwo skłonni sprzedać za sześćset.
— Wtrąciła pośpiesznie pani z agencji.

— Ja też wolałabym się nie targować, chciałabym uniknąć tutaj wycieczek oglądających. — Dodała sprzedająca.

— Jakie warunki państwo stawiają? — Zapytałem.

— Zaliczka, te standardowe dziesięć procent. Jesteśmy otwarci na wszelkie propozycje na temat formy przekazywania należności. Od chwili zaliczki potrzebowalibyśmy dwa do trzech miesięcy, bo musimy kupić następne mieszkanie, mamy już upatrzone, ale ono jest w stanie surowym, czyli potrzebny jest czas na wykończenie.

— Te trzy miesiące byłyby korzystne i dla mnie, bo my sprzedalibyśmy w tym czasie nasze dwa mieszkania. — Odparłem, bo zaczynało mi się już zarysowywać rozwiązanie.

Sprzedająca dodała: — W chwili wymaganego opuszczenia przez nas tego domu musieliby państwo wpłacić co najmniej połowę kwoty, a co do reszty spłaty, to moglibyśmy dyskutować.

— Ja w zasadzie jestem zdecydowany, kupowałbym ten dom wraz z córką. — Stwierdziłem.

— Proszę jednak o dwa dni na porozumienie się z pozostałymi współwłaścicielami.

Podziękowaliśmy i wyszliśmy. Na ulicy oświadczyłem pani z agencji nieruchomości:

— Jestem absolutnie zdecydowany na kupno tego domu.

Pani z agencji nieruchomości miała jednak obiekcje:

— Musi pan uwzględnić, że jeszcze może trafić się nam kupiec, który da więcej...

— Przecież tak nie można...

— Poza tym my nie mamy wyłączności w sprzedaży tego domu. Inna agencja może już go komuś obiecała.

— Nic pani nie wspominała, że nie macie wyłączności...

— Nie zawarł pan jeszcze z nami umowy, więc wszystko może się zdarzyć.

— To jedźmy teraz zawrzeć tę umowę.

— Teraz, to ja jestem już po pracy. Proszę przyjść rano do agencji, to porozmawiamy.

Rozstaliśmy się. W domu zaraz zadzwoniłem do córki:

— Gosiu, ja właściwie już kupiłem ten dom.

— A to ciekawe. A czy pozwolisz przynajmniej obejrzeć ten dom?

— Gosiu, ładny dom. Właściwie nie wymaga remontu. Można się wprowadzić i poczekać dziesięć lat z remontem. Problemem jest, że wprawdzie są to dwa mieszkania, ale nie da się prawnie i technicznie podzielić budynku na dwie części. Również działka nie podlega podziałowi. Pomyślałem sobie, że gdybyś się zgodziła, to może zamieszkalibyśmy w nim razem. Sprzedalibyśmy nasze dwa mieszkania, przeznaczili całe oszczędności, resztę pożyczylibyśmy od rodziny, wreszcie jakiś niewielki kredyt...

gdybyś się zgodziła na takie rozwiązanie. Bo widzisz, kupując z Agą wcześniej, czy później mogą powstać różnice poglądów, czyj samochód ma stać w garażu, kto i z której części ogródka ma korzystać, jak rozliczać opłaty za ogrzewanie, prąd, gaz, czy wodę. A tak, to my staruszkowie mielibyśmy oko na całość i kiedyś całość byłaby twoja. Mama tu dodaje: „Kto to będzie sprzątał?”

— Och załatwienie sprzątanania wezmę na siebie. — Już nie miała wątpliwości córka. — Znajomi zatrudniają do sprzątanania nawet „Świadków Jehowy”. Poradzimy sobie. Już się cieszę. Załatwiaj więc, umożliw mi tylko obejrzenie domu jak najszybciej, bo mnie bardzo zaintrygowałeś.

— Jeśli ktoś mnie ubiegnie, to chyba dostanę zawału.

— To teraz ja ci powtórzę, abyś nie przejmował się, gdyby nie wyszło. — Zakończyła rozmowę córka. Rzeczywiście tymi słowy raczyłem niedawno córkę.

Zadzwoiłem zaraz do zawsze niezawodnego starszego brata. Z zachwytem opowiadałem o domu, o tym, jak bardzo ulegnie zmianie nasza sytuacja, jak bardzo się cieszę, że nie przypuszczałem, iż jeszcze kiedyś w życiu będę miał taki dom. Brat pochwalił, stwierdził, że zaczynamy być już w takim wieku, w którym powinny nasze dzieci mieć na nas baczenie. Zapytany, obiecał znaczną pożyczkę pieniędzy.

Zadzwoiłem do młodszej córki do Holandii. Podczas rozmowy moja euforia rosła. Nawet ją prosiłem o pożyczkę, choć oboje nie wiedzieliśmy, jak to przeprowadzić.

Tak byłem podekscytowany, że pobiegłem do sklepu i kupiłem na tę okazję wiśniowy „likier babuni”. Niewiele to pomogło i prawie nie spałem w nocy — snułem plany, wynajdywałem, co jeszcze należy sprzedać, układałem szczegóły przeprowadzek, nawet ustawiałem już meble — jakież to było przyjemne. Jedna, wielka radość.

Rano ubrany odświętnie podążyłem do agencji nieruchomości. Wcześniej jednak postawiłem na Totolotka — sześć zakładów na sześć losowań. Niczego nie zaniedbałem, tak wydawało mi się...

Punktualnie o dziesiątej rano wszedłem do agencji nieruchomości w chwili otwarcia jej. Pani przywitała mnie, posadziła na wspaniałej skórzanej kanapie, zaproponowała kawę, poprosiłem o symboliczną herbatę. Zaczęliśmy spisywać umowę z agencją. Właściciel agencji rozmawiał właśnie z inną panią, która chciała sprzedać mieszkanie. Jednak znad swojego biurka obserwował nasze poczynania. W którymś momencie zapytał:

— Kogo pani wpisała jako reprezentującego agencję?

— Wpisałam oczywiście siebie i pana.

— Tak nie można. Tylko ja mam licencję i należy wpisać tam tylko mnie. Tego wymagają przepisy.

— ...

— Przecież w pani sprawach nic się nie zmieni, będzie tak, jak się umówiliśmy. — Przekonywał dalej właściciel agencji.

— Już tyle napisałam... nie mam drugich druków.

— Zaraz pani dam nowy druk. — Właściciel agencji dał pani nowy druk.

— Ale ja potrzebuję dwa druki.

— Nie. Proszę wypełnić jeden druk, potem zrobić z niego ksero i to podpiszemy.

Obiecana herbata odchodziła jakoś w zapomnienie. Poprosiłem o możliwość zapoznania się z drukiem umowy. Cena sześćset tysięcy złotych się zgadzała. Zwróciłem uwagę na zapis, że wypłacę agencji 2,9% od ceny kupna domu. Ponadto agencja jakoś bardzo ogólnie opisywała dalsze swoje zobowiązania, zwłaszcza w zakresie doprowadzenia do aktu notarialnego.

— Możemy obniżyć naszą prowizję do dwóch procent. Tyle samo przyjęliśmy jako naszą prowizję od sprzedającego. Ma pan taką wspomniała okazję.

— Nie przeczę. Ile to złotych będę musiał zapłacić agencji?

— Dwa procent od sześciuset tysięcy to będzie dwanaście tysięcy złotych – stwierdziła pani.

— No, niech będzie. Ale wie pani, proponowałbym, aby pani już zadzwoniła do sprzedającego i umówiła nas na szczegółowe pertraktacje. Będzie to w zasadzie koordynacja naszych płatności i wzajemnych zobowiązań. Wczoraj sprzedająca mówiła, że najlepiej telefonować do niej przed jedenastą, a potem jest nieuchwytna.

Pani zadzwoniła i ostatecznie umówiła nas na czwartek wieczór, bo wtedy będzie już w Warszawie moja córka.

W tym czasie przysiadł się do nas właściciel agencji. Zaczęliśmy kulturalną rozmowę.

— Jako architekt, czy mógłby pan określić styl, w jakim budynek został wybudowany? – Pytał właściciel agencji.

— Proszę wybaczyć, ale najbardziej nasuwa mi się na myśl styl zwany w ostatnich czasach — „świdermajer” — tak zwykliśmy nazywać obecne realizacje o bardzo rozczłonkowanej bryle, nawet z wieżyczkami, jak zabudowa letniskowa nad Świdrem. W tym przypadku takie rozczłonkowanie bryły budynku wydaje się uzasadnione. Ale wie pan, kiedyś przez stulecia budowano w gotyku i nikt nawet nie wiedział, że jest to gotyk, dopiero w osiemnastym i dziewiętnastym wieku zaczęto wszystko szufladkować, nadawać nazwy. Teraz co kilka lat mamy rzekomo nowy styl, zwłaszcza w muzyce.

Wobec milczenia moich rozmówców podjąłem zasadniczy temat.

— Na świecie dom ogląda się przez pół roku, zastanawia, znów ogląda, pertraktuje, by wreszcie podjąć decyzję. Ja zachowałem się bardzo nietypowo, gdyż po obejrzeniu natychmiast zdecydowałem się, że chcę mieć ten dom.

— Tak, to jest wyjątkowa okazja. — Potwierdził właściciel agencji.

— Jeszcze dali państwo tak małe nic nie mówiące ogłoszenie... Przecież mogłem nie zwrócić na nie uwagi.

— Wie pan, sprzedający prosili o jak największą dyskrecję. Ale świetnie, że się pan zdecydował. Nie będzie pan tego żałował.

— Widzi pan — odparłem — tak sobie myślę, że należy nam się pożyć tych parę ostatnich lat w czymś takim. Tyle w życiu przeszliśmy...

Właściciel agencji zapytał panią: — Jeśli dobrze słyszałem, to pani już umówiła państwa na spotkanie? — Zapytana skinęła głową.

— Proszę pana — wtrąciłem — te sześćdziesiąt tysięcy złotych mogę wpłacić nawet dziś...

— To jest ile procent? — Właściciel zapytał agentkę.

— Dziesięć procent. — Odparła.

— Od jakiej kwoty?

— Chcieli najpierw sześćset siedemdziesiąt tysięcy, ale ostatecznie zgodzili się na sześćset tysięcy...

— ...czego?

— ...złotych...

— Jest pani pewna, że cena była w złotych?

— Ta... ak. — Potwierdziła pani niepewnie.

Pode mną już wszystko zaczynało się walić, choć nadal nie wierzyłem.

— Niech pani jednak zadzwoni do sprzedającego i upewni się. — Polecił właściciel agencji.

— To niesamowite! Przecież powinni państwo mieć jakąś dokumentację sprawy. — Zrozpaczony oponowałem.

Pan odszukał i przyniósł pisany dokument, gdzie obok niebieskich zapisów 670.000 było dopisane czarnym flamastrem: \$. W tym czasie pani wróciła od telefonu:

— Tak. Cena jest w dolarach.

— Jak tak można?! — Wydusiłem z siebie resztkami powietrza.

— Ja nigdy nie mówiłam, że cena jest w złotych. — Stwierdziła niespieszona pani.

— Proszę pani, ja dwukrotnie telefonowałem do pani i upewniałem się, czy cena jest w złotych.

— Nic takiego nie twierdziłam.

— Ja mam nagrane nasze rozmowy, wszystkie takie rozmowy telefoniczne nagrywam. Przecież nagrywałem również wczoraj podczas oglądania domu.

— Bardzo chciałabym przesłuchać te nagrania.

— Ależ nie może pani tego żądać od klienta. — Wmieszał się właściciel agencji.

Pani jednak tłumaczyła mi: — Przecież powinien pan się zreflektować, że taka cena nie może być w złotych...

— No, wie pani! Które z nas dwojga winno się zreflektować!

Zaznaczyłem jeszcze: — Sprawa stała się bezprzedmiotowa. — i zacząłem drzeć na strzępy przygotowaną umowę, nawet ich dokumentację byłbym podarł w ferworze, ale mi odebrali. Właściciel agencji jeszcze usiłował pomóc mi przy wkładaniu palta. Odetchnąłem głęboko i zakończyłem:

— Mimo wszystko musimy się rozstać jak ludzie. — Podając rękę: — Do widzenia pani. Do widzenia panu.

Nieprzytomny znalazłem się w Łazienkach. Powiadomiłem Gosię.

Wieczorem tłumaczyłem Zosi z Holandii, że to jest monstrualna sprawa z tymi cenami w Polsce. Rzeczywiście kiedyś, kilkadziesiąt lat temu najchętniej określaliśmy takie ceny w dolarach, ale wtedy złoty leciał na tak zwany pysk. Również po denominacji złotego ulubionym zwyczajem było podawanie na przykład obiecanych nagród w starych wartościach złotego, bo dobrze brzmiały te setki milionów, czy nawet miliardów. Obecnie złoty jest stabilny i nic nie wskazuje na konieczność posługiwania się dolarami, tym bardziej że przy płaceniu i tak posługujemy się złotówkami, nikt przecież nie skupuje dolarów, aby zapłacić. Już bardziej poprawne, bo przyszłościowe, byłoby posługiwanie się euro...

Zosia tylko stwierdziła: — To było okrutne...

Dla porządku trzeba zapisać, że za dolara płaci się ponad cztery złote. Cena więc była czterokrotnie większa.

Przez kolejne dni w milczeniu przeżywałem swoją klęskę, spadałem po kolei pod kolejnym względem. Nawet odczułem, jaką też jestem szmatą z tym tysiącem złotych emerytury wobec tych, którzy w Polsce rzeczywiście operują setkami tysięcy, milionami dolarów.

Nie mogłem uwierzyć w swą nieroztropność i beznadziejną naiwność. Na kilka godzin znalazłem się beczelnie wśród ludzi, których mój status profanował.

Nie chciałem dopuścić myśli, że dzieliłem skórę na niedźwiedziu.

*

8 marca 2002

Wydawnictwo KOPIA Sp. z o.o.

ul. Rydygiera 8, 01-793 Warszawa

oraz Pan Piotr Kuncewicz w miejscu

Wielce Szanowni Państwo,

po przeczytaniu książki Szanownego Pana Piotra Kuncewicza pod tytułem „Goj patrzy na Żyda” ośmielam się napisać tych parę słów do Państwa, zresztą zachęcony końcową sugestią Wydawnictwa.

Książka bardzo mi się podobała, a przede wszystkim wiele mię nauczyła. Przeczytałem każde słowo, poza skorowidzem nazwisk oczywiście. Dziękuję za napisanie czegoś takiego i za wydanie. Teraz po przeczytaniu postaram się ją nabyć, bo czytałem pożyczoną z biblioteki. Książka Pana Piotra Kuncewicza stanowi fundamentalne dzieło dające tak potrzebny pogląd na dzieje Żydostwa, daje bardzo potrzebną wiedzę współczesnemu Europejczykowi o naszych sąsiadach, pozwala ich lepiej zrozumieć. Jestem zachwycony olbrzymią pracą i erudycją Autora. Chylę czoło i gratuluję. Będzie Ona stała u mnie obok „Europy” Normana Dawiesa — drugiego podręcznika na XXI wiek.

Wychowałem się wśród Żydów i przez całe życie zawsze jacyś Żydzi byli obok mnie, choć nie zawsze zdawałem sobie z tego sprawę; współpracowaliśmy, choć nie stanowiło to niczego szczególnego; gdy ganiłem, gdy krytykowałem bądź byłem odmiennego zdania, nie byłem antysemitą, dla nich, mam taką nadzieję. Wychowałem się na Tuwimie, dzieci swoje wychowałem na Brzechwie; szokowali mię, ale stawali się moimi nauczycielami: wszak Ojstrach, Rubinsztajn, ale i Leśmian, ale i Freud, a nawet Infeld i Einstein byli moimi mentorami, przecież uważam się za humanistę, oni i wielu innych mnie humanistą robili.

Po sześćdziesięciu latach odnalazłem dawną koleżankę zabaw podwórkowych, a teraz pomagam jej w szukaniu śladu po jej starszej siostrze Gitli, po jej rodzinie, opowiadam jej, bo znacznie więcej pamiętam z jej żydowskiego mieszkania. Ale wróćmy do „Goja patrzącego na Żyda”.

Z rozrzewnieniem czytałem skrót ZSSR, to niezupełnie błąd maszynowy, tak w rozgardiaszu pisaliśmy, gdy zacierał się nam sens tego określenia. Z równym rozrzewnieniem natrafiłem na słowo „niczego” — to już wielka rzadkość; na przestrzeni kilku lat tylko raz w naszej telewizji ktoś nie miał „niczego” do powiedzenia; powszechnie króluje „nic”; a ja nadal z uporem myślę: „niczego sobie”, gdy spostrzegam na ulicy...

Pan Piotr Kuncewicz w jednym miejscu swej ważkiej książki stwierdza krótko o niejasnych przyczynach wydarzeń roku 1968 w Polsce. Zapewne nie cytuję dokładnie użytego zwrotu. Ośmielam się powiadomić Szanownych Państwa, że znaczną część mojej siódmej książki pod tytułem „Gag” poświęciłem wypadkom marcowym, byłem ich uczestnikiem, więcej, byłem w ich szczególnym źródle. Książki moje, dotąd nigdy niewydane, traktują po kolei o latach 1938 do obecnych czasów. Można się z nimi zapoznać jedynie w Internecie na stronie

<http://www.astercity.net/~peta>

Gdyby jednak Pan Piotr Kuncewicz zechciał zainteresować się moim opisem, to obiecuję przesłać kserokopie odpowiedniego fragmentu. Jednak błagam, proszę nie traktować tej mojej sugestii jako formy promocji dla mnie. Już zupełnie zżyłem się ze swoim nieistnieniem.

Bardzo proszę o przekazanie tego listu Panu Piotrowi Kuncewiczowi, co będzie dla mnie zaszczytem.

Nie chciał się zainteresować.

*

Z kalendarza pety:

2002.03.12

W gruncie rzeczy zło jest nieistotne.

Gdyby celem sztuki było wydobycie prawdy, to największym artystą byłby sąd. Może celem sztuki jest wydobycie czegoś, co nazwałbym „ponad to”: ponad prawdę, ponad życie, ponad myśl — usiłowanie osiągnięcia tego „ponad to”.

2002.03.13

Krytyk i ksiądz — obaj pouczają, co jest dobre, a co złe.

Tylko że krytyk nie napisał żadnej powieści, choć tak dobrze wie, jak powinna wyglądać genialna powieść. A ksiądz wybrał celibat, a mimo to wydaje mu się, że najlepiej wie, jak powinno wyglądać współżycie kobiety z mężczyzną i co w takim związku jest najważniejsze, a przede wszystkim wie rzekomo, jak doniosłe procesy zachodzą między kobietą i mężczyzną, procesy uświęcone przez Najwyższego.

Obaj głoszą coś, czego sami z własnego wyboru nie zamierzają doświadczyć, a może z obskurnej rzeczywistości ich prawdziwych możliwości nie są zdolni czynić tego.

*

----- Original Message -----

From: „Tomasz Bulczynski” tomasz@icpnet.pl

To: eldorado@o2.pl

Sent: Tuesday, April 02, 2002 2:51 AM

Subject: Witam.

Witaj.

Przepraszam że tak długo się nie odzywałem. Może już nawet nie pamiętasz skąd mnie znasz. Może zatem przypomnę.

Jakiś czas temu, opublikowałem Twoją twórczość w serwisie „Eldorado”, w którym byłem redaktorem naczelnym (założycielem).

Serwis „Eldorado” już nie istnieje, w dziwny sposób skończyła się współpraca z o2.pl i serwis znikł. Zresztą 1,5 roku trwają prace nad modernizacją (ciągle brakuje czasu), ale nie o tym chciałem Tobie pisać.

Raczej chciałbym się dowiedzieć, czy nadal piszesz?

Czy może gdzieś publikujesz swoje dzieła?

Czy takie miejsce jak „Eldorado” jest potrzebne?

Bardzo mi zależy na Twoim zdaniu, mam nadzieję że wkrótce odpowiesz.

Ja się wkrótce znowu odezwę. Pozdrawiam

Tomasz Bulczyński tomasz@wiedzmin.com

*

To: „Tomasz Bulczynski” tomasz@wiedzmin.com

Subject: Re: Witam.

Date: 3 kwietnia 2002 10:32

Witaj Tomasz,

dziękuję za list, ale przyznać muszę, że nie pamiętam – ale to u mnie nic nadzwyczajnego – mam tzw. „dobrą pamięć”. Podaj więc może adres Twojej strony w Internecie, to sobie więcej przypomnę. Pytasz, czy nadal piszę – tak nadal piszę, piszę kolejną 8. książkę. Jednak ostatnio wymyśliłem, że między pisaniem książki, a napisaniem książki, jest większa różnica niż między graniem w totolotka, a wygraniem w totolotka. W sposób tradycyjny nic nie wydałem. Natomiast własnym sumptem wydałem w trzech egzemplarzach wszystkie moje książki (7) – to jest przepisałem je w Word, zrobiłem ksero, poskładałem, pięknie oprawiłem i są. Myślałem, że zainteresuję nimi biblioteki lub bibliofilów, ale nie ma żadnego zainteresowania. Nawet nie zdążyłem przerazić ewentualnych chętnych ceną, bo przy takiej formie wydawania jeden tom musi kosztować około 100 złotych. Każde miejsce publikowania literatury w obecnej sytuacji jest potrzebne – tym bardziej Eldorado, ale konkretne uwagi przekażę po zapoznaniu się z Twoją witryną. Dla przypomnienia podaję adres mojej:

<http://www.astercity.net/~peta>

Pozdrawiam

*

pytania

Często słyszymy pytanie: — Czy jesteś za karą śmierci?

Zwykle odpowiedź jest błaha dla pytanego — odpowiadamy: — tak lub nie — i na tym problem dla pytanego się kończy.

Myślę, że pytanie powinno być inaczej sformułowane, winno raczej pytać: — Czy wykonałbyś wyrok na nieznaney ci osobie, to jest, czy powiesiłbyś w celi śmierci zupełnie obcą ci osobę, o której nic nie wiesz?

Dopiero tu oddamy nasz prawdziwy stosunek do kary śmierci.

2002.04.05

Światopoglądowe pytanie: Lepiej być, czy mieć? — Znaczy to dokładnie: — Lepiej jest być, czy lepiej jest mieć? — Pytanie to zadają dziennikarze. Tyle że zadają je ludziom niewłaściwym. Obecnie dla większości Polaków ‘mieć’ jest poglądem zasadniczym. Część uważa, że musi się za wszelką cenę szybko dorobić i nie ma w tym nic naganego. Reszta pragnie ‘mieć’ choć trochę, aby jakoś przeżyć.

Pytania tego nie należałoby zadawać Mickiewiczowi, Słowackiemu, czy Chopinowi, czy nawet Einsteinowi i im podobnym, gdyż dla wszystkich jest oczywiste, że dla tych ludzi ‘być’ było tezą kardynalną. Jednak wszyscy oni wędrowali po świecie nie za darmo, żyli nie powietrzem — mieli — o czym nawet może nie wiedzieli, tak było to oczywiste.

Prawda jest niestety taka, że trzeba mieć, aby być.

2002.04.08

Jak zlikwidować bezrobocie? Ba!

Oglądałem niedawno reportaż z „Galerie Lafayette” w Paryżu. Kandydatki do pracy na stanowiska ekspedientek szkoli się, obserwuje i potem zatrudnia. Ale zatrudnia się nie na cały etat, czyli osiem godzin pracy dziennie, lecz tylko na sześć godzin pracy dziennej. W ten sposób zamiast trzech pracownic zatrudniono ich cztery. Przyjęta do pracy jedna z pań orzekła, że wprowadzie na cały etat więcej by zarobiła, ale cieszy się i z takiej możliwości zarobienia na życie.

Dodałbym, że sam pamiętam ze swej wieloletniej pracy, że najlepszą wydajność pracownicy osiągają w drugiej godzinie pracy i wydajnie pracują do piątej godziny pracy, a w szóstej, siódmej i ósmej godzinie pracy to już jest praca mniej wydajna, żeby nie powiedzieć — pozorowana.

Więc istnieje sposób na zwiększenie zatrudnienia. Zanim gospodarka rozwinie się na tyle, że wytworzy nowe miejsca pracy, może należałoby rozdzielić podaż pracy na większą liczbę szukających pracy.

Boję się jednak, co uczyniliby z tej tezy nasi politycy. Wszak już przepchnęli ustawę, w myśl której pracą podzielili się emeryci — zaistniała tu absolutna sprawiedliwość — wszyscy emeryci mogą dorobić tylko siedemset (chyba) pięćdziesiąt złotych. Nie ma żadnych odstępstw, czy wyjątków. Ile to spowoduje zamieszania i niezadowolonia, aż strach myśleć. Choć marzyłoby mi się, jako emerytowi, aby i pan Boni (minister finansów?), orędownik tezy o obowiązku podzielenia się emerytów swoją pracą z innymi, aby pan Boni też musiał podzielić się swoją pracą z bezrobotnymi.

Każda ustawa zaprowadza sprawiedliwość i porządek wobec wszystkich i wszędzie. Przecież Konstytucja nakazuje równość wszystkich wobec prawa. A że są jednak jacyś równiejsi, to już inna para kaloszy.

Dziś usłyszałem, że Wojsko ogłosiło przetarg na „zbycie” dziesięcioletniego psa, który już wysłużył się w wojsku, a jeszcze żyje. Ustalono cenę wywoławczą czterdziści pięć złotych. Wszystko, co zostało kupione w państwie, musi być zbyte — wymaga tego ustawa o powszechnym obowiązku przetargów publicznych. Podejrzewam, że nie może kupić tego psa dotychczasowy jego opiekun, bo byłaby to działalność korupcyjna.

Więc równość i wszechstronna sprawiedliwość — powiedzmy konfidencjonalnie: — przecież to nadal nasz umiłowany socjalizm. I o to chodzi. I cóż w tym dziwnego, skoro Cesarstwo Rzymskie przeżyło swój upadek o kilkadziesiąt lat, to i socjalizm może sobie wegetować jeszcze długo, byle po cichutku.

Kiedyś w peerelu był jakiś kongres kultury, w którym brali udział również przedstawiciele zachodu. Nasi twórcy kultury ostro atakowali tych z zachodu, aż wreszcie jeden Francuz ripostował:

— Wy tworzycie kulturę dla wszystkich, a my dla każdego.

Myślę sobie, może by tak skończyć z tworzeniem prawa dla wszystkich i zacząć wreszcie tworzyć prawo dla każdego...

Zapewne powie ktoś, że kultura może być tworzona dla każdego, ale prawo musi być tworzone dla wszystkich. Zapewne. Jednak coś w tym tkwi, tkwi jakaś sprzeczność. Może przyszłościową okazałaby się konstytucyjna zasada, iż nie wolno tworzyć takiego prawa dla wszystkich, które by nie było zarazem prawem dla każdego.

Tak zaczynając od pytania: — Jak zlikwidować bezrobocie? — zakończyłem pytaniem: — Jak tworzyć prawo dla każdego?

2002-04-09

*

2002.04.10

skleroza

Niedawno mój lekarz stwierdził u mnie nadmiar cholesterolu. No cóż, w moim wieku to nic zaskakującego. Dostałem lekarstwo pod nazwą LOVASTEROL, które obniża ilość cholesterolu. Lek ten został wyprodukowany przez Zakłady Farmaceutyczne „POLFARMA” S.A. w Stargardzie Gdańskim, przy ulicy Pelplińskiej 19.

Właściwie nic mi nie dolega i gdyby nie badanie, niczego bym nie zauważył. Leczyć się należy. Ale na ulotce lekarstwa wyczytałem:

Działania niepożądane

Lek jest na ogół dobrze tolerowany: większość objawów ma charakter łagodny i przemijający. Niekiedy występują po preparacie następujące objawy niepożądane:

zaparcia, biegunka, zaburzenia trawienia, odbijanie, bóle w nadbrzuszu, zgaga, nudności, wymioty, wzdęcia;

skurcze mięśni, bóle mięśni, bóle nóg i ramion, bóle stawów;

zawroty głowy, bóle głowy; bezsenność, parastezje (!?)

wysypka, świąd skóry;

podrażnienie oczu, zaburzenia widzenia, zaburzenia smaku, łysienie, suchość w ustach;

zaburzenia czynności wątroby — zwiększenie aktywności aminotransferaz (!?) we krwi;

rzadko obserwowano zmniejszenie popędu płciowego (ale jednak obserwowano!);

obserwowano pojedyncze przypadki występowania ostrego zapalenia trzustki; ich związek ze stosowaniem lowastatyny nie został jednoznacznie potwierdzony;

zwiększone stężenie kinazy kreatyninowej (!?) związane z rozpadem mięśni poprzecznie prążkowanych i uszkodzeniem nerek, częściej obserwowano u pacjentów po przeszczepach.

I tylko tyle?! Toż chemioterapia nowotworowa czyni mniejsze spustoszenie w organizmie człowieka. Nie chcę tego. Ja mam tylko sklerozę, a przecież skleroza nie boli, a jak bardzo wygodne jest zapominanie.

*

Z kalendarza pety:

2002.05.02

12⁰⁰ wyjazd autokarem do Amsterdamu.

E30 — noc pełni

2002.05.03

Przejechaliśmy bez problemu. Na granicy niemieckiej tym razem tylko dwie godziny czekania. Jazda składała się w zasadzie z postojów. W Hengelo zmienialiśmy autokar, bo nasz jakoś łomotał. W Amsterdamie byliśmy o 8¹⁵. Zosia z Danielem też przybyli po nas bez opóźnień. Opowiadania i odsypianie nocy. W życiu nie widziałem tak radosnego dziecka.

2002.05.04

Chłodno. My z Danielem na spacerze, rodzice rozpoznają możliwość przerobienia łazienki. Daniel dosyć rozkojarzony — może idą mu dalsze zęby, ma już dwa na dole i stara się nimi każdego ugryźć i wszystko sprawdza tymi wspianiałymi zębami.

niedziela, 2002.05.05

Cały dzień popada je deszcz, chłodno, siedzimy w domu. Mnie boli kark. Daniel je, śpi, gryzie, bawi się. Potrafi zająć się sam sobą, ale najbardziej lubi walić czymś i powodować hałas.

2002.05.06

Wypogodziło się, jest ciepło. Byliśmy po zakupy i na spacerze. Po południu bawiliśmy się z Danielem w ogródku, a Zosia pojechała do pośredników pracy. Wieczorem przy kąpeli zauważyliśmy u Daniela podwyższoną temperaturę. Źle spał w nocy. Co to się szykuje?

Zastrzelono w Amsterdamie kandydata na premiera — Pim Fortuyn, chciał on m.in. przyspieszać asymilację imigrantów i zabronić im skupiania się gettach.

2002.05.07

Nadal pogoda, ciepło. Jedziemy autobusem do parku ze zwierzętami domowymi. Daniel czuje się trochę lepiej, ale nadal marudzi. Dzwoniła Gosia — jej sprawy mieszkaniowe postępują — bank wycenia mieszkanie do kredytu.

2002.05.08

Znów ładna pogoda. Spacerujemy w parku. Daniel ma prawdopodobnie odrę, pojawiły się krostki na rękach, ale temperatura wróciła do normy.

2002.05.09

Z Zosią i Danielem byliśmy na koniach, tzn. Zosia jeździła, a my spacerowaliśmy. Lato. Siedzimy w ogródku.

2002.05.10

Chłodniej. Byliśmy w Alkmaar na ważeniu serów. Telefonowała Gosia — bank da jej kredyt na mieszkanie. Sjaak (mąż Zosi) z Zosią nakupowali roślinek i posadzili w ogródkach. Daniel próbuje rządzić — zrobił ogromną rozpacz, ale położono go spać i mu przeszło.



Alkmaar ważenie serów, 2002.05.10

2002.05.11

Pogoda taka sobie. W Holandii święto wiatraków. Zwiedzaliśmy jeden nad Spaarne. Był to wiatrak „Pod Jednorożcem” i był tartakiem. Daniel jest klajneman.



Wiatrak „Pod Jednorożcem” nad Spaarne służący jako tartak, 2002.05.11

2002.05.12

Jak niedziela — w domu. Po południu spacerem poszliśmy na stare miasto, przez rynek, pod dworzec i tu wsiedliśmy w autobus pośpieszny i wróciliśmy do domu. Daniel bardzo miły, tylko trzeba go prowadzić za rączki. Podobno ma już czwarty ząbek, ale nie pozwoli sobie zajrzeć do buzi. Widać tylko dwa dolne, bo dużo się uśmiecha. Zosia rozsyła oferty pracy, ale nadal bez skutku.

2002.05.13

Znów pięknie. Spacer po zakupy, a potem dużą pętlą do domu. Wiele noszenia, chodzenia i zabawy z Danielem.

2002.05.14

Pierwszy raz bez Daniela, bo Daniel w żłobku. Byliśmy w Amsterdamie w Muzeum van Goga.

Zachciało się takiemu malować i teraz z całego świata muszą zjeżdżać, muszą moknąć na deszczu, stać w długich kolejkach, a potem usiłować ponad głowami innych coś zobaczyć. Na klęczkach winni przed tymi obrazami chodzić! ...że nie oni? ...że nie zawinili nic Vincentowi? ...że nie oni zrobili wszystko, aby odechciało mu się malować? A co oni robią wobec współczesnych twórców? Czy ich dostrzegają? Czy czegoś się uczą na tej wystawie, poza czołobitnością wobec wielkości poświadczonej śmiercią i wielkości poświadczonej przez sprzedawców dzieł sztuki?

2002.05.15

Wczoraj Daniel skończył dziesięć miesięcy, dostał od babci i dziadka zabawkę. Dzisiaj Zosia głosowała — pierwszy raz w Holandii. Dziś imieniny Zosi i 34 (?) urodziny Sjaaka, dostali od nas dwa wazon. Byliśmy na spacerze w innym kierunku Haarlemu. A wieczorem piliśmy wino. Nasz pobyt powoli dobiega końca.



2002.05.16

Wspaniała pogoda. Długi spacer po parku, a potem kotłujemy się po ogródku i w domu. Daniel w pełni korzysta z dziadków.

2002.05.17

Pół dnia byliśmy wszyscy (bez Sjaaka) na plaży w Zaandfort. Opaliliśmy się. Jeździliśmy autobusem. O 17⁴⁰ Zosia odwiozła nas samochodem Sjaaka na dworzec autobusowy w Amsterdamie. W autokarze mieliśmy dobre miejsca. Przez Utrecht, Hengelo. Noc w Niemczech.

2002.05.18

O piątej na granicy w Świecku. Dwie godziny czekania. Posiłek na terenie Polski i dalej przez Poznań, Kutno, Turek, Łódź do Warszawy. Przyjechaliśmy o 16¹⁵. Ponad godzina spóźnienia. Gosia przywiozła nas do domu. Jesteśmy strasznie zmęczeni po tych 22 godzinach jazdy. Popsuliśmy telewizor.

2002.05.23

Zacząłem chodzić do Biblioteki Narodowej. W „Stadzie pasterzy” opracowuję rok 1980. Muszę przybliżyć sobie, przypomnieć, jak to wówczas rozwijała się „Solidarność”. Ręka jakoś wolniej się rusza, wolniej piszę, a tu trzeba robić wiele notatek odręcznie. Potem muszę przenosić to na komputer, a ten jest okupowany przez Krzysia, z rzadka przez Ankę. Tyle dobrych sformułowań umknęło w czasie pobytu w Holandii.

2002.05.28

Śniło mi się, że jakiś niesforny gówniarz będący u nas z wizytą rozsypał mój gips na dywanie, a ja zbierając ten gips oświadczyłem mu: — Powinieneś tak dostać w dupę, żeby ci jaja uszami wyskoczyły.

Był to sen konkretny. Choć tego powiedzenia na jawie nigdy nie zasłyszałem. Wierzcie mi.

Koniec fragmentów z kalendarza pety.

*

Od: "Marian Sokolowski" Marian.Sokolowski@acn.waw.pl

Do: vobis6@polbox.com

Temat: laptop

Data: 25 maja 2002 08:03

Szanowni państwo,

prosiłbym o specyficzną radę. Prezentują Państwo wspaniałe laptopy — marzenie, a mnie potrzebny byłby prozaiczny laptop. Jestem emerytem, piszę książki, przesiaduję w bibliotece, w autokarze, u córki. Potrzebny byłby mi laptop — maszyna do pisania, z akumulatorem, z zasilaniem, na małe dyskiety i najwyżej CD, z wyjściem do drukarki. Obrazowo podam, że mógłby być nawet używany — tak dalece niskie są moje potrzeby. Obok mnie jest giełda komputerowa, ale boję się tam kupować, aby nie wejść w posiadanie „czyjegoś” laptopa. Ponieważ liczy się dla mnie koszt, to proszę również o informację na temat ratalnej sprzedaży. Z góry dziękując zapraszam do mojej witryny www.astercity.net/~peta pozdrawiam

*

dwie sprawy — pozornie różne
rodzaj żeński
jestem zwolennikiem – mówi pani
Polska jest przedstawicielem
dyrektorka kierowniczką, dyrektor i pani dyrektor
dyrektorzy szkół postanowiły
ta męczyzna
zaszczyt dawania życia
bisnesmenka bisneswomen

Myślę, że zachodzi pewna analogia. Przyroda zna wiele kwiatów, ale część z nich nie owocuje, nie tworzy nasion, zwłaszcza te najpiękniejsze kwiaty. Są one rozmnażane w inny sposób, na przykład przez rozrastanie się korzeni i wiele innych sposobów.

Możliwe że z kobietami zachodzi podobny proces i to nawet mogą urodzić dziecko, unikają tego, a wówczas już tylko krok do powątpiewania w sens istnienia mężczyzn. Może nawet stąd bierze się cały ruch feministek i ich pytanie sztandarowe „end of man?” (koniec męskości?), może i walka feministek o tak dalekie zrównanie z mężczyznami, że z całą powagą stosują do siebie rodzaj męski i usiłują unicestwić rodzaj żeński z naszego słownictwa. Nie znajdują jednak męskiej formy dla słowa „feministka”.

*

style w sztuce (w architekturze, malarstwie, muzyce młodzieżowej, w rzeźbie)
i w literaturze

krytycy jak przed impresjonizmem

krytycy jako narzędzie wydawcy do wyszukiwania najbardziej dochodowych tekstów, a potem do robienia reklamy wydanej książki

*

Refleksja czytelnika na zamieszczone w Internecie opowiadanie pety pod tytułem „Starzec”. Opowiadanie zawarte w jednym słowie „byłem...”:

From: "Michał Waliński" michalwalinski@wp.pl

Subject: Byłem.

Date: 11 czerwca 2002 22:38

Brawo.

*

2002.06.24

pierwsza rozmowa była na temat nie chodzącego wentylatora w laptopie

druga rozmowa

— Proszę pana, ja mam na gwarancji laptop ACTINA Opal. Przestał mi się zapalać ekran. Co można z tym zrobić?

— To znaczy, czy coś widać na tym ekranie, czy w ogóle nic nie widać?

— To znaczy, raz było tak troszeńkę widać, wie pan, tę flagę windowsową.

— Aha, czyli prawdopodobnie interfer siadł. Teraz pytanie, skąd pan dzwoni?

— Z Warszawy, z Batorego.

— Hm... to jeżeli mógłby pan pojechać z tym notebookiem do nas do serwisu na Jana Kazimierza...

— Tak. Proszę pana, jaki autobus tam przychodzi? Nie wie pan przypadkiem? A może tramwaj?

— Znaczący, generalnie z Placu Bankowego można dojechać. Aha, pan z Batorego będzie jechał? To dziesiątka też tu dojeżdża.

— O, widzi pan! To bardzo ładnie.

— To jest przystanek Redutowa. Wsiądzie pan przy Wolskiej, Jana Kazimierza jest równoległa do Wolskiej, będzie pan od razu widział budynek banku i mniej więcej obok banku jest ulica Goleiszowska. Tam pan przejdzie przejściem podziemnym, tutaj wzdłuż budynku banku, dotrze pan do ulicy Goleiszowskiej i tutaj w lewo w tę ulicę Goleiszowską i od Goleiszowskiej wejdzie pan tutaj do nas przez firmę Mint.

— Może trafię, w razie czego będę jeszcze z komórki dzwonił. Dziękuję bardzo.

2002.07.02

trzecia rozmowa

— Słucham serwis.

— Sokołowski, dzień dobry.

— Dzień dobry...

— Ja odebrałem od państwa, oj, duszno mi, przepraszam pana, odebrałem od państwa po naprawie ACTINA Opal, on jest na gwarancji, tam się nie zapalał ten ekran. Więc to się jednak nadal powtarza. Wczoraj całą godzinę próbowałem, zanim zdołałem uruchomić, dopiero za szóstym razem się uruchomił, dzisiaj za trzecim razem, wie pan, tak że coś trzeba będzie pomyśleć nad tym.

— O, to dziwne, bo żeśmy go włączali wielokrotnie i on bez zarzutów startował, za każdym razem.

— Ja przyjadę i tak długo będę siedział u was, aż on mi się zawiesi.

— Być może, że to występuje, tylko że to są ciężkie do zlokalizowania sprawy. No, ale w tym układzie zapraszamy pana do nas i będziemy coś walczyć, no.

— W soboty nie pracujecie?

— Nie, w soboty nie pracujemy, tak. Zapraszam pana dopiero od poniedziałku. Ewentualnie dzisiaj.

— Do której dzisiaj?

— Pan by go tylko przywiózł i zostawił, więc może pan i o szesnastej przyjść.

— Nie, to nie wydolę dziś, przyjdę w poniedziałek.

— Ale co? Wciska pan ten przycisk włączający na górnej części obudowy, tak?

— Tak, tak. Może to ma jakieś znaczenie, wie pan, że ja podłączam przed włączeniem, podłączam obie te stacje na małe dyskietki i na płyty sidi.

— Znaczy, to nie powinno mieć żadnego wpływu zupełnie.

— No, właśnie.

— Bo one są zasilane z komputera, tak że komputer musi ruszyć, żeby one też zaczęły działać.

— Tak. No, już zupełnie nie wiem, z czym to skojarzyć. No ale przykre jest, wie pan, że...

— Dokładnie. W takim razie bym pana prosił o przyniesienie również tych stacji dodatkowych...

— Właśnie. I zasilacz swój przyniosę...

— ...bo gdyby coś było rzeczywiście z tymi napędami, to to by wyszło na serwisie. W każdym razie będziemy usiłowali podziałać coś.

— Dobrze, to ja się pokażę w poniedziałek po dziewiątej.

— Zapraszam pana.

— Dziękuję ślicznie i do widzenia.

— Dziękuję, do widzenia.

czwarta rozmowa

— Słucham serwis, Andrzej Połczyński.

— Sokołowski, dzień dobry.

— Dzień dobry.

— Czy w sprawie tego ACTINA Opal coś słysząc?

— Sekundę, ja się dokładnie kolegi zapytam...

— Dobrze.

— Halo? On u nas cały czas chodzi bez zarzutu, tak że zapraszamy pana dzisiaj po odbiór komputera i coś będziemy myśleć, jak pan będzie tu na miejscu.

— No, dobrze, to ja przyjadę zaraz.

— To bardzo pana proszę.

2002.07.03

piąta rozmowa

— Dzień dobry, pan znowu z tym notebook’iem? Pan chciałby oddać swój notebook, rozumiem?

— Chciałem się dowiedzieć, co zrobimy z nim.

— Znaczący ten komputer jest zupełnie sprawny, proszę bardzo. O nawet spokojnie pogadać nie można przez chwilę, znów telefon, przepraszam. Słucham, serwis.

— ...

— ...cały czas u nas stał i jest sprawny, naprawę.

— Wierzę. Tylko niech pan zrozumie, jestem tu już czwarty raz, taka wyprawa tramwajem z Mokotowa do was na daleką Wolę trwa dla mnie trzy godziny. Już dwanaście godzin straciłem na jeżdżenie. Komputer jeszcze miesiąca nie ma. Zapłaciłem gotówką. Gdyby był z przeceny, gdybym kupił używany...

— Ja pana rozumiem, tylko ja muszę zobaczyć u nas tę usterkę...

— To znaczy, że kłamię?

— Chciałbym pana obsłużyć jak najlepiej, ale no...

— Mam tak w kółko: zapalił się, nie zapalił się ekran... Przecież ja nie mam żadnego interesu w tym...

— Ja pana rozumiem, ja jak najbardziej rozumiem, ale u nas stoi już od dwóch dni i błąd nie wystąpił, nie wiem...

— Na samym początku, za pierwszym moim przyjściem sam pan się ze mną zgodził, że raz coś było widać na ekranie, potem nic nie było widać, potem ledwo, ledwo było widać...

— Mnie to wtedy znudziło w tym momencie, ale nie był to problem...

— Zawsze coś wymyślicie, byle się mnie pozbyć, zawsze dopasujecie ideologię do każdej sytuacji...

— Ja rozumiem, że to nie powinno występować, ale chciałbym to chociaż raz zobaczyć.

— ...częściej wychodzi, niż nie wychodzi... Wolałbym kupić dobry i nie wozić do was co trzy dni.

— Ja rozumiem, ale nie stwierdziłem żadnej usterki, żadnej.

— I opisze pan to na gwarancji?

— Ja opiszę, oczywiście opiszę.

— Jak następnym razem przyniosę, to notarialnie poświadczę zeznania świadków, że ekran komputera nie zapala się za każdym uruchomieniem.

— To nie o to chodzi, to jest...

— Zapłaciłem cztery tysiące złotych, to jest pół roku życia emeryta...

— Ja pójdę na chwilę jeszcze do Działu Produkcji, zobaczę, co się da z tym zrobić.

— ...

— Byłem u szefowej tamtego Działu i ona potwierdza to, że jak usterka nie wystąpi, nie możemy podjąć jakiegokolwiek działania. Tak, że... przepraszam, no... nic panu nie mogę pomóc.

— Może system jest źle zainstalowany i on powoduje takie usterki?

— Możemy panu przeinstalować system, ale za opłatą siedemdziesiąt złotych plus wat.

— Znów płacić. I co mi pozostaje?

2002.07.08

To było w czwartek. W piątek, sobotę i niedzielę testowałem komputer sumieniem. Oczywiście usterka występowała. Notowałem dokładnie skutek kolejnego uruchomienia komputera, ekran nie zapalał się po kilka razy dziennie, ale z notatek wynikało, że po kilku nieudanych próbach dalsze uruchamiały komputer poprawnie. Gdy robiłem przerwę kilkugodzinną, znów trzeba było wykonać kilka nieudanych prób, aby komputer zaczął uruchamiać się poprawnie. Wymyśliłem więc, że usterka związana jest z temperaturą komputera, chłodny działa źle.

Zaraz rano w poniedziałek zadzwoniłem do serwisu Action i przekazałem swoje rewelacje. Usłyszałem:

— No, to teraz będę wiedział, czego się trzymać. Proszę przywieźć komputer.

Zawiozłem, zleciłem również odpłatnie przeinstalowanie systemu. Nieśmiało zadzwoniłem we czwartek. Usłyszałem, że już raz schłodzili komputer w lodówce, ale usterka nie wystąpiła. Jeszcze kiedyś znów schłodzą. Bezsilny zacząłem urągać, ale przejął mnie drugi serwisant, taki, który wszystko znosi ze stoickim spokojem. A ja się ciskałem:

— ...kiedyś znów sprawdzicie! Ja zapłaciłem tyle pieniędzy, a od miesiąca nie mam komputera. Przecież jest mi on potrzebny do pracy. Tak na niego liczyłem, a tu zostawiam u was komputer, odbieram od was komputer, wy twierdzicie, że jest dobry, ja twierdzę, że to bubel. Przecież zgodnie z prawem ja mam prawo zażądać zwrotu pieniędzy.

— Ale nie u nas pan kupował. Musi pan rozmawiać ze sprzedawcą.

— Ale to wy jesteście hurtownikiem tych komputerów i to wy sprzedaliście go Televoltowi, który mi sprzedał, a po naprawie kazał zgłaszać się do was.

— Hurtownikiem jest firma MINT, a my jesteśmy firmą ACTION — świadczymy tylko usługi w serwisie ich komputerów.

— Ale przecież jesteście częścią firmy MINT, nawet moje pokwitowanie wydaliście jako MINT, zajmujecie jeden pokój w firmie MINT. Koledzy przestrzegali mię: „Nie kupuj w firmie Krzak”. Jednak kupiłem i mam teraz — od Annasza do Kajfasza... Przecież szanująca siebie i klienta firma już dawno dałaby nowy komputer, a ten poddałaby analizie. Przecież dla mnie to majątek, a dla was tych kilka tysięcy wartości komputera to kropla w morzu waszych olbrzymich dochodów. Ja mówię: „nie działa poprawnie”, wy odpowiadacie: „sprawdziliśmy, działa poprawnie”. Wy mi zarzucacie tym samym, że okłamuję was, a jaką ja mam pewność, że wy go w ogóle sprawdzacie, albo że u was usterka nie występuje. Zasugerowałem, że usterka związana jest z temperaturą komputera, wy się tego uchwyciliście i teraz będziecie go trzymać w lodówce. A przecież ja się na tym nie znam, może się mylę kardynalnie. To wy powinniście ustalić przyczynę usterki. Jak to możliwe, że tylokrotnie u mnie w domu usterka wystąpiła, a u was nie chce wystąpić. Odradzacie mi, gdy proponuję, że posiedzę u was tak długo, włączając i wyłączając komputer, aż usterka wystąpi. Córka jest elektronikiem i mówiła mi, że jest to tak zwany „zimny lut” — coś gdzieś jest niby zlutowane, ale faktycznie czasami nie ma tam połączenia; co i gdzie — nikt nie wykryje, usterka nie do usunięcia. Wy też doskonale o tym wiecie i nawet nie próbujecie szukać, gracie ze mną na czas. A przecież mogę wam zrobić taką reklamę, że nie sprzedacie wielu waszych komputerów.

W tej chwili stać mnie tylko na małą dygresję. Parę lat temu, gdy chciałem kupić telefon komórkowy, zażądano ode mnie kaucji w wysokości aż dwóch tysięcy złotych poza ceną komórki. Po paru latach można było kupić komórkę za złotówkę, a już obecnie niektórzy dają za darmo na próbę na kilka dni i potem można zwrócić lub kupić tę komórkę. Z wami będzie tak samo. Będziecie oferować komputer bezpłatnie na kilkudniową próbę, a i tak będziecie sprzedawać tylko część tego, co obecnie, jak stało się z przemysłem samochodowym. To jest nie do pomyślenia, abym pytając o komputer otrzymywał od sprzedawcy kartkę maszynopisu, na którym czytam ni mniej, ni więcej, tylko: „Celeron 1,7 GHz HDD 20GB 128 MB RAM FDD 14,1” TFT S3 SAVAGE4 32 MB DVDx8 MODEM 56K LAN 10/100 bateria Lit-jon IEEE 1394 (Fire Wire) Irda TV-OUT (S-VHS) Torba SMARTCARD 2,9kg”. I po tym, po takiej prezentacji, mam wiedzieć, co kupić? A gdzie obmacanie, czas na polubienie, narastający zachwyty możliwościami, który z kolei powoduje nieodpartą chęć kupienia tego i tylko tego komputera? Tymczasem sprzedawca zapodaje: Wpłać dziesięć procent zaliczki, to jutro sprzedamy ci kota w worku.

Zadzwońiłem do Federacji Konsumentów. Tylko Rada Główna była w książce telefonicznej. Tam podali mi telefon dalej. Zadzwoniłem, najlepiej przyjechać z dokumentami do nich na Chmielną 8.

Pojechałem. Przed wejściem szyl: „Klub Federacji Konsumentów” (czyżby kluby dostawały dotacje od państwa?), w biurach archaicznej CEPELII jeden pokój to „klub”, wewnątrz same biurka. Sympatyczna pani uświadomiła mi, że nie ma dla mnie obrony, nie mam szans na wygraną, nikt mi nie pomoże. Na otarcie łez dała adres do ekspertów komputerowych, dom obok, Chmielna 6. Izba Rzecznawców Stowarzyszenia Elektryków Polskich. W przedwojennym mieszkaniu biuro, jakby od przedwojny nie wyrzucano gratów, wewnątrz dwie bardzo rozpulchłe panie, przepraszam, puszyste, stale jedzące. Będzie mnie to kosztowało kilkaset złotych, ale i tak nie wiedzą, czy się podejmą.

Następnego dnia zadzwoniłem do ACTION, gorąco przeprosiłem obu panów, solennie przyrzekłem, że się odczepię, niech mi tylko fachowo zainstalują system w komputerze. Tłumaczyłem, że jestem stary, ponoszą mnie nerwy, z rozpaczą wygaduję różności, a przecież moje zdrowie ważniejsze, chciałbym pożyć jeszcze parę lat, a nie paść na zawał pod ich drzwiami... i tak dalej itd.

A myślałem sobie o tych opowiadaniach, które nie zapisane umknęły.

Warszawa, 14 lipca 2002 roku

2002.07.29

Dni mijały, komputer startował raz dobrze, raz źle, ale coś tam na nim mogłem napisać, a to było najważniejsze dla mnie. Trwałem w postanowieniu, że jakoś przyzwyczaję się do jego usterki i nie będę więcej zdrowia tracił na walkę z serwisem.

W dniu imienin żony nawet schowałem komputer głęboko, aby nie stał się tematem rozmów. Jednak prawa przyjęcia imieninowego i przeskakiwanie z tematu na temat, swoboda rozmowy — uczyniły, że padło słowo „komputer” i byłem zmuszony pokazać swój nabytek. Oczywiście natychmiast ujawnił swoją wadę: nie zapalił się ekran. Gdy nie zapalił się za trzecim razem, porwałem go gościom wśród przycinków, że komputer tylko właściciela uznaje. Nie uznał właściciela. Jeszcze broniłem się, że bateria się wyczerpała, ale podłączenie do prądu nic nie pomogło. Usiłowałem udawać zaskoczenie taką usterką, ale żona skwapliwie pogrzyżyła mię, uświadamiając wszystkim, że mój nabytek zachowuje się tak od kupna. Gdy nie włączył się prawidłowo za siedemnastym razem, zostawiłem go tak w stanie na pół włączenia i tak nadal świecił wszystkim swym nie świecącym ekranem. Gościom tylko, może zbyt obcesowo, zazna-czyłem, że i tak jest mi dostatecznie nieprzyjemnie i poprosiłem: — zmieńmy temat.

Komputer stał sobie tak pozornie włączony, a do mnie po paru godzinach zaczęło docierać odkrycie, że przecież należy w takim stanie widocznego zepsucia zawieźć go do serwisu, aby już nie mogli głosić swojego kardynalnego: — U nas w serwisie komputer działa dobrze.

Przy próbie odłączenia go od prądu i pozostawienia zasilania tylko z własnej baterii, wyłączył się definitywnie i dowód znikł. Ale że przy następnych próbach zaczął włączać się poprawnie, to w opcji: „Oszczędność energii” ustawiłem go tak, aby nigdy nie oszczędzał energii — teraz już mogłem odłączać go od sieci, nie wyłączał się i był zasilany tylko z baterii, a bateria — stwierdziłem doświadczalnie — skutecznie zasilala go przez sto minut.

Niemal modliłem się, by nie zadziałał w poniedziałek rano. Nie zadziałał. Zacząłem go wieźć tramwajem, ale gdy po półgodzinie znajdowałem się zaledwie na Placu Bankowym, przesiadłem się na taksówkę. Jeszcze przed wejściem sprawdziłem, czy wszystko jest tak jak trzeba, było, więc wszedłem.

— O! Pan Sokołowski!

— Musiałem jednak przyjechać. Jest coraz gorzej.

— Nadal coś się dzieje?

— Nadal. Ja pokażę panom. Proszę odgarnąć kawałek miejsca...

— Może tutaj. Nadal się nie włącza?

— Proszę. Komputer jest włączony, a ekran jest czarny. — Serwisant usiłował sprawdzić, czy to nie wygaszacz ekranu, a ja tłumaczyłem: — Jakbyśmy teraz przesunęli wyłącznik, to komputer powinien się włączyć, jeśli jest wyłączony, lub wyłączyć, jeśli jest włączony. Ale chwilowo tego nie zrobimy. Jest jeszcze bardziej oczywisty dowód usterki. — W tym momencie wyjąłem przywiezioną specjalnie latarkę i świecę na ekran pod ostrym kątem, wydobyłem zeń widoczne teraz ikonki pulpitu windowowego. — Widzi pan ikonki?

— Tak.

— A więc za piątym przyjazdem udowodniłem panu, że komputer ma istotną wadę: Nie zawsze zapala się ekran.

— No, nam nie udało się doprowadzić do takiego stanu nigdy.

— W piątek były imieniny żony. Przyszło kilkanaście osób, nawet schowałem komputer... ale trzeba było pokazać. Siedemnaście razy nie zadziałał, wszyscy ze mnie kpili, mieli używania co nie miara, a ja wreszcie się poddałem.

— Ja panu mówiłem, że nie wiadomo, o co chodzi. Teraz wiadomo, w czym jest rzecz. Czy to się wydarzyło podczas pracy?

— Zawsze przy starcie komputera. Początkowo myślałem, że to schłodzenie komputera...

— Nie, nie, nie schłodzenie... Sam system działa poprawnie, tylko zasilenie ekranu coś szwankuje, podświetlenie matrycy.

— No, ja już się na tym nie znam. Poproszę o wpisanie do karty gwarancyjnej moich reklamacji — pierwszej i trzeciej — których panowie nie wpisali.

Pan zajrzał do swojej komputerowej bazy danych i wpisał na kartę gwarancyjną brakujące dwie reklamacje. Komputer zatrzymał po raz czwarty, a na pokwitowaniu dał uwagę, że „Usterka zarejestrowana w serwisie — klient przyniósł w tym stanie komputer”.

— To pokwitowanie jest dla pana. Postaramy się zrobić go możliwie szybko, nie jestem w stanie stwierdzić, czy to będzie jutro, czy pojutrze, ale bym prosił o telefon jutro po południu. Coś się wtedy wyjaśni.

— Dobrze. Przepraszam za kłopot...

— O, to my przepraszamy...

— Ja przed laty miałem podobną sytuację z „Maluchem”, tylko odwrotną — co przyjechałem na przegląd, to nie dał się zapalić, a tak, działał dobrze. Wreszcie pozbyłem się go za jakieś nędzne pieniądze. Do widzenia.

Przyszło to „jutro po południu”:

— Amatowicz, firma Akszyn. Czym mogę pomóc?

— Marian Sokołowski, dzień dobry. Czy to jest serwis?

— Już pana połączę z serwisem.

— Dziękuję.

— Dzień dobry, dział przyjęć, Agnieszka Osiecka, słucham.

— Dzień dobry, Sokołowski, ja chciałem z serwisem.

— Jest pan połączony z serwisem. W sprawie jakiej teraz?

— Komputer chciałbym odebrać po naprawie.

— Cały zestaw komputerowy, tak?

— Tak.

— Proszę zadzwonić niestety jeszcze raz do firmy i podać wewnętrzny sto osiemdziesiąt cztery.

— Oni mi ten numer podali, ja zwykle na ten numer dzwonię i oni odbierają.

— No, to nie wiem, bo tutaj nie ma całych komputerów, to jest... tu są tylko jedynie podzespoły.

— Rozumiem, ale ja już szereg razy dzwoniłem do państwa i oni zawsze odbierali i nie trzeba było wewnętrznych żadnych. No, dobrze.

— No tak, przełączyłam, tak, oczywiście, tylko są teraz awarie telefonów i nie jestem w stanie pana przełączyć.

— Dobrze. Dziękuję.

Ano. Popsute telefony.

— Amatowicz, firma Akszyn, czym mogę pomóc?

— Z panem Andrzejem Pełczyńskim proszę.

— Proszę.

Długo nic.

— Słucham?

— Z panem Andrzejem Pełczyńskim prosiłem.

— Nie ma pana Andrzeja w tej chwili u siebie.

— No, to z kimkolwiek w tym pokoju...

Znów długo nic. Bardzo długo nic.

— Halo?

— Czy z panem Pełczyńskim nie da się połączyć?

— Niestety, nie ma go u siebie.

— A pozostali?

— No, widocznie, no, nie mogą w tej chwili odebrać telefonu, bo... już tyle czasu pan czeka, nikt nie odbiera...

— Przecież to drugi pokój za panią... I co mam zrobić?

— A w jakiej sprawie pan dzwoni w ogóle?

— Kazali zadzwonić po odbiór komputera.

— Sekundę, dobrze?

Znów nic.

— Serwis, Wojtek Wojtkowski, Słucham?

— Sokołowski, dzień dobry.

— Dzień dobry panu.

— Czy... Kazali panowie się dowiadywać o tego Opala...

— Ja zaraz się zapytam. Patryk, zrobiłeś coś z Opalem pana Sokołowskiego? ...
Jeszcze niestety nie został wzięty.

— Aha. Dobrze. To kiedy się dowiadywać?

— Za jakieś dwa, trzy dni, pod koniec tygodnia najlepiej, może.

— Dziękuję.

— Proszę bardzo. Do widzenia.

Teraz rozmowa z firmą, która sprzedała mi komputer.

— Televolt, słucham?

— Dzień dobry pani. Proszę panią, ja szóstego czerwca kupiłem u państwa komputer Actina Opal...

— ...tak?

— ...on... Jeszcze dwa miesiące nie minęły i już miał cztery naprawy. Zgodnie z gwarancją mam prawo dostać zwrot pieniędzy. Do kogo o to powinienem się zwrócić?

— O, jejku... Chwileczkę, przełączę, dobrze?

— Dobrze.

Skoczna muzyka w słuchawce i przerwane połączenie.

— Dzwoniłem do państwa i się rozłączyło... w sprawie komputera, który kupiłem...

— Już, chwileczkę...

Znów skoczna muzyczka.

— Halo?

— Sokołowski, dzień dobry panu.

— Dzień dobry.

— Proszę pana, ja szóstego czerwca, czyli niecałe dwa miesiące temu, kupiłem u państwa komputer Actina Opal i on już miał cztery naprawy... Zgodnie z gwarancją mam prawo dostać zwrot pieniędzy. Jak to powinienem załatwić?

— A kto panu powiedział, że ma pan prawo do zwrotu pieniędzy?

— W gwarancji tak jest napisane, przez państwa podpisane. Czy Televolt nie czyta gwarancji, które wydaje klientom?

— ...huhuhu... Znaczy, wie pan co? E... he, he... muszę zadzwonić do dystrybutora. Jak radzą to rozwiązać.

— Wprawdzie kupiłem od Televoltu i pieniądze dałem nie dystrybutorowi, tylko Televoltowi — pańskiej firmie, ale proszę.

— Dobrze? Proszę o telefon za dziesięć minut.

— A może pan do mnie zadzwoni? Bo to u was byłby zwrot pieniędzy, prawda?

— No, właśnie nie wiem. Nigdy nie spotkałem się z taką sytuacją...

— No, mnie też jest bardzo przykro, bo jeżdżę na tę Wolę do serwisu, już siedem razy jechałem, prawda, i nie wiedzą, co z nim zrobić. I za każdym razem zwracają mi

jako naprawiony, a ja po dwóch dniach stwierdzam, że żadnej zmiany na korzyść nie ma — komputer źle działa. No, dobrze. To w takim razie czekam na wiadomość.

— Dobrze.

— Z kim rozmawiałem?

Rozłączył się i nie oddzwonił.

Warszawa, 30 lipca 2002 roku

ciąg dalszy nastąpi — musi

2002.08.04

Czytając te moje przygody, stwierdziłem, że zaczynam być tendencyjny — opisuję wyłącznie negatywne przeżycia, tak jakbym nie miał pozytywnych, a to nie może przecież być prawdą. Postanowiłem, że zwrócę uwagę na to moje odchylenie i opiszę pierwsze pozytywne moje przeżycie, jakie mi się przydarzy. Po czterech dniach miało miejsce coś pozytywnego w moim życiu. Oto ono:

Zadzwoiłem do serwisu w piątek po piętnastej.

— Słucham, serwis.

— Sokołowski, dzień dobry.

— Dzień dobry.

— Czy w sprawie tego Opala macie państwo jakiś już pogląd?

— Sekundkę, momencik. Jak tam ten, ten, ten Opal? I co mu tam było robione?

— ...

— Halo?

— Tak, słucham.

— To zapraszam pana po odbiór, ale już po niedzieli, nie dzisiaj, bo to już jest... chyba że pan by jeszcze zdążył. Komputer jest całkowicie gotowy, jest wymieniona cała matryca na nową i tutaj powinno być już bez problemu.

— Rozumiem. Czy byłoby możliwe przerwienie na nowy komputer tego wszystkiego, co ja tam miałem?

— No, to znaczy, nie bardzo rozumiem, komputer do pana wraca ze wszystkim, co pan tam miał, jak najbardziej to wszystko jest w komputerze.

— Aha, czyli nie muszę od początku instalować...

— Nie, nie, nie...

— ... wszystkiego?

— ... bo to, co było wymienione, nie ma nic wspólnego z twardym dyskiem.

— Rozumiem. Do której można by przyjechać?

— Wie pan, jest wpół do czwartej, no, tak do siedemnastej, gdyby pan się wyrobił, to bym bardzo prosił.

— No, to ja zdążę. Dziękuję bardzo, ja przyjadę.

— Dobrze, dziękuję, do widzenia.

— Do widzenia.

Właśnie po wielu dniach upału zanosilo się na straszną burzę, ale złapałem coś tam i popędziłem, jak na skrzydłach. Wprawdzie w tramwaju uświadomiłem sobie, że zapomniałem zabrać pokwitowania na komputer, ale brnąłem dalej. Na miejscu przywitano mię, jako dawnego znajomego, ja kajałem się, bo nie zabrałem pokwitowania, uspokajano, że przecież mnie znają, ja solennie obiecywałem, że jutro pocztą wyślę im oba moje pokwitowania, oni zapewniali, że nie trzeba, że wystarczy, jeśli podrę i wyrzucę do kosza to pokwitowanie... I tak wszyscy byliśmy szczęśliwi, a ja tak bardzo, że nie omieszkałem na głos to wyrazić:

— Proszę panów, jestem tak szczęśliwy, jak dawno nie byłem. ... Wprawdzie jest to szczęście, jak z tą rabinową kozą...

[Dowcip tak powszechnie i od lat znany, ale powtórzę go tutaj, powtórzę dla tych ostatnich, którzy go jeszcze nie słyszeli, powtórzę, bo wielka mądrość jest w nim zawarta:

Żalił się rabinowi Żyd, że mu tak ciężko jest żyć, że ma jedną niewielką izdebkę, w niej jego szycie krawieckie, żony gotowanie, trzech czeladników i siedmioro dzieci włączających wszędzie... Rabin doradził: — Kup sobie kozę. Żyd tak zrobił, ale spotkawszy rabina, żalił się: — Rebe, teraz już zupełnie nie da się żyć. Tego, co wyprawia w naszej izdebce ta koza, to się nie da opowiedzieć. — Rabin stwierdził: — Ty wyrzuc tę kozę! — Znów po paru dniach spotyka rabin swego Żyda i pyta: — A teraz? — Rebe, jak teraz jest nam dobrze! Jaki jestem szczęśliwy, że tej przeklętej kozy już nie ma! — A widzisz. — Odparł bardzo mądry rabin].

W domu komputer wprawdzie działa, ale mą radość przyćmiło stwierdzenie, że serwis zerwał plomby, a nie założył nowych. Bez plomb komputer traci gwarancję. Czyżby równie genialne posunięcie z ich strony? Ale o tym przekonam się dopiero w poniedziałek.

Warszawa, 4 sierpnia 2002 roku

2002.08.05

— Serwis, Wojtek Wojtecki, słucham?

— Sokołowski, w sprawie tego Opala, co go w piątek zabrałem.

— Tak?

— Proszę pana, czy to tak powinno być, bo nie założyliście plomb na nim?

— To ja się zaraz zapytam. Patryk, ty na Opalu zdejmowałeś plomby? ... Sokolowskiego?

— ...

— Powinny być, ale kolega zapomniał ich nakleić, to się nic nie stanie, bo my zanotujemy sobie w bazie, że nie zostały naklejone...

— Dobrze.

— ... i w razie czego gdy pan przyjedzie, żeby... twu, twu! ... złożyć jakąś reklamację, to wtedy będzie w bazie odnotowane, że nie było plomb i przyjmimy go bez problemu.

— Dobrze. Dziękuję ślicznie. Pozdrowienia. Do widzenia.

*

Warszawa, 22 lipca 2002 roku

Opowiadałem o wieloletnim znajomym. Dziś znów wrócił.

Spotkana na ulicy znajoma powiadomiła mnie: Umarł S.C., pogrzeb w poniedziałek o dziesiątej u Karola Boromeusza. Wstydziłem się zapytać, kto zacz, ale pomyślałem — nasz wspólny znajomy z „Miastoprojektu”; tylu tam było pracowników, że już mogłem zapomnieć.

Wahałem się: pójść, nie pójść — jednak pomyślałem: jeżeli to był mój pracownik sprzed dwudziestu lat, to należy pójść; a może przy okazji przypomnę się tym wielu, dla których tak z dnia na dzień przestałem istnieć; po tylu latach, pod koniec dla kolejnych z nas czas usunąć w niepamięć dawne w gruncie nieistotne waśnie.

W kościele rozpoczęła się msza, nie rozglądałem się, ale stwierdziłem dość młode grono żałobników, z kwiatami... w kazaniu padło: uczył przyszłych architektów...

Msza żałobna trwała, kościół dosyć pełny, w jakimś momencie poczułem, że ktoś stanął tuż przy mnie, napał na mnie ramieniem, spojrzałem: no, tak, Rysiek... podaliśmy sobie ręce i dalej staliśmy w milczeniu. Po chwili on odszedł trącać i witać innych ludzi.

Msza dobiegła końca, zmarłego wyniesiono bocznymi drzwiami wprost na cmentarz, za nim podążyli przyjaciele w kondukcje żałobnym. Ja odczekałem, aż wszyscy wyszli i postanowiwszy wracać do domu wyszedłem głównym wyjściem na ulicę. Tu jednak czekał na mnie Rysiek.

Nie wyłowili mnie po latach profesorowie i dziekani dawni koledzy z roku, nie proponowali wspomnień, nie było im to potrzebne, tylko jego obecność musiałem przyjąć dziś...

Natychmiast potoczył odwieczny swój monolog o swoich sukcesach, o rozlicznych znajomościach, o pasjach... Nie przeszkadzało mi, że nie dopuszcza mnie do głosu. Wreszcie zaproponował kawę lub coś mocniejszego, a gdy odmówiłem, definitywnie postanowił mnie odwieźć.

Wsiadliśmy do jego wspaniałego samochodu, a monolog trwał i trwał, podparty bardzo nieprzepisową jazdą, ale z drugiej strony zawierającą wszystkie elementy popisu zgotowanego dla mnie. Właśnie pędziliśmy slalomem po Jana Pawła Drugiego z szybkością 170 kilometrów na godzinę, już intensywnie myślałem, jakim cudem wysiąść, gdy zobaczyłem przed nami radiowóz patrolu policji.

Rysiek nie zwolnił ani na jotę, ani nie zmienił popisowej jazdy z piskiem opon, a radiowóz ani drgnął w pogoni za nami. Zaczęło docierać do mnie, że jako pracownik służb specjalnych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych musiał zająć już wysoko, znalazł się wśród nietykalnych, a samochód musiał być już znany warszawskiej policji jako swój.

Monolog trwał, a ja pomyślałem: mógłbyś się wreszcie draniu przyznać przyjacielowi o swej podwójnej roli konfidenta i architekta. Przecież jest to dla mnie czytelne od dawna. Jednak na głos rzuciłem jedynie:

— Rysiek, tak mi tłumaczysz i opowiadasz, jakbym cię nie znał od pięćdziesięciu lat!

Nadal słyszałem tę rzekę znajomości, przeplataną pochwałami dla mnie, ale kazałem się zawieźć pod pobliski sklep, gdyż tam chciałem zrobić zakupy.

Wracałem na piechotę do domu i z bólem rozmyślałem: przecież mogliśmy być rzeczywiście przyjaciółmi, tyle niedoli razem przeszliśmy, tak dużo wiemy o sobie, ja nadal nie potrafię się oprzeć bardzo szczerym zwierzeniom, mimo że nigdy nie czuję, czy mówię do konfidenta, czy do przyjaciela. Nigdy nie wiem, ile z tego, co wyjawiałem o sobie, przyjmie ze zrozumieniem przyjaciel, a ile znajdzie się w dziennym meldunku konfidenta. Pragnę, aby choć część zachował dla siebie.

Powiadają, że kurwa to najstarszy zawód świata. Jestem odmiennego zdania. Zanim którąś można było nazwać kurwą, musiał już istnieć szpicel.

*

2002.09.14

Jeśli jest ktoś, kto się uważa za mojego przyjaciela, to niech się natychmiast przyzna, abym już dziś poznał tych, którzy będą mówili: — Byłem pety przyjacielem.

*

2002.09.14

Polska Telefonia Cyfrowa Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością (Sic!)

Al. Jerozolimskie 181, 02-222 Warszawa

Wypowiedzenie umowy

Jestem klientem Ery od lipca 1999 roku. Od trzech lat płacę regularnie, przynoszę pewny dochód Erze. 26 lutego br. chciałem rozwiązać umowę z Erą z uwagi na małą przydatność dla mnie usług świadczonych przez Erę. Jednak tak długo byłem kołowany przez konsultanta Ery, aż zamiast rozwiązania umowy, wyszedłem z aneksem do umowy na jeszcze jeden rok w zamian za rzekome 20 minut darmowych rozmów. Piszę

rzekome, bo szybko okazało się, że mój pomiar czasu rozmów nie ma dla Ery żadnego znaczenia i Era stosuje własne pomiary zależne od wielu technicznych warunków rozmowy. Ponadto dopiero po podpisaniu tej umowy konsultant wyjaśnił mi, że już teraz nie mam prawa wymienić psujący się stary telefon komórkowy na zasadach promocji.

Męczyłem się z tym telefonem przez pół roku, aż wreszcie ekran stał się tak nieczytelny, że telefon przestał nadawać się do użytku. Myśląc, że Era dba o całokształt spraw klienta i jego dobro, udałem się wczoraj na ulicę Puławską, by naiwnie oczekiwać zrozumienia i wymiany telefonu na nowy sprawny. Okazało się, że jestem uchwycony w macki Ery, bo podpisałem ten aneks do umowy i już teraz muszę tylko płacić Erze do wygaśnięcia umowy, a nie nadający się do użytku aparat jest tylko moim problemem.

Na całym świecie dobry obyczaj przyjmuje renegejowanie umowy (takie mam mniemanie o całym świecie), zwłaszcza po pojawieniu się tak niesprzyjających okoliczności dla klienta, które w gruncie rzeczy stanowią kroplę w morzu dochodów potentata. Tylko zawartej z Erą umowy nie można renegejować. Większość firm na świecie, już choćby ze względów czysto reklamowych, poszłoby na rękę klientowi — przecież klient opowiada o Erze, albo dobrze, albo źle. Erę nic nie obchodzi, że klient znalazł się w pułapce — klient musi już tylko płacić, a gdy chce odstąpić od umowy, trzeba go dobić jeszcze większą karą niż abonament. Ludzie! I na co się łaszczycie? Tak wielki potentat, jakim jest Era, widzi tylko moje siedem razy po 19 złotych, nawet jeśli będą to ostatnie pieniądze, które Era ode mnie otrzyma — poza tą kwotą nie liczy się dla Ery dalsza współpraca z klientem ku zadowoleniu obu stron. Era rozdaje telefony po 7 groszy, tylko po trupach nie pomoże staremu człowiekowi, któremu zestarzał się również sprzęt — nie da mu tego telefonu.

Wystąpiłem się i w trzeciej kolejce, by w serwisie technicznym dowiedzieć się, że już najprawdopodobniej nie produkuje się zespołów dla tak starej wersji telefonu. Podano mi jakieś telefony innych serwisów w Warszawie, ale uprzedzono, że naprawa może kosztować więcej niż nowy telefon.

W konsekwencji tych przykrych dla mnie przeżyć wypowiadam wszelkie umowy z Erą, nie chcę mieć nigdy więcej w życiu do czynienia z Erą. Przechodzę do konkurencji — na szczęście nie jesteście jedyni. Nie dziwcie się tylko, że Wam dochody spadają, bo sami na swój stan zapracowujecie takim traktowaniem klienta.

Po przeczytaniu powyższego, oczywiście zalegniecie w przeświadczeniu, że wszystko jest w porządku — Wy — spółka z ograniczoną odpowiedzialnością — nie wątpię w to.

Jeszcze miało być, że na znak protestu nie wykonam już ani jednej rozmowy w sieci Era, ale dałem spokój, bo i tak zrobię, co zechcę.

Po kilku godzinach przeczytałem. To bardzo dobry wściekły tekst, szkoda go dawać im. Niech należą do wszystkich.

Odczekałem do stycznia i na miesiąc przed wygaśnięciem umowy z Erą wypowiedziałem tę umowę, aby już nie było żadnych wątpliwości. Zawiadomiono mię, że Era rozliczy i przyśle mi ostateczną fakturę, którą winienem pod odpowiedzialnością

karną uregulować w terminie. Rzeczywiście faktura przyszła, zapłaciłem ją gotówką w kasie Ery na Puławskiej. Koniec z Ery. Jednak po paru tygodniach przyszła kolejna faktura, w której Era stwierdzała, że mam nadpłacone 5 złotych i siedemdziesiąt parę groszy. Okropnie głupia sprawa. Miała być faktura ostateczna, a teraz mam zwrot. Po pięć złotych nie warto się nawet fatygować, ale z wrodzonej sumienności pomyślałem, że przecież Oni muszą mieć porządek w księgowości i muszę te pięć złotych odebrać.

Udałem się znów na Puławską i podałem swą fakturę w kasie. Tu był dialog:

— Po co mi pan to daje?

— Chciałbym odebrać te pięć złotych...

— To się tak nie da. Musi pan mieć konto w banku, napisać do nas, to panu prześlemy na konto.

— A jeżeli nie mam konta? Przecież tu chodzi o głupie pięć złotych. Moje pieniądze wpłacałem panu przez lata, to i odebrać powinienem od pana.

— Nic na to nie poradzę. Takie mamy przepisy. Przykro mi bardzo.

— Poproszę z kierownikiem. — Pan gdzieś poszedł i długo go nie było. Wreszcie przyszła jakaś panienska:

— O co panu chodzi?

— Chcę odebrać te pięć złotych...

— U nas się tak nie da. Zupełnie nie rozumiem, o co panu chodzi.

— To ja pani wytłumaczę. Po pierwsze, powinniście mi podziękować za wieloletnie korzystanie z waszych usług i za sumienne płacenie rachunków. Po drugie, powinniście przeprosić mnie za pomyłkę w waszej rozliczeniowej fakturze. Po trzecie, powinniście jak najszybciej zatrzeć ślad po tej śmiesznej aferze i wypłacić mi te pięć złotych, nawet z własnej kieszeni, jeśli chcecie ratować imię firmy. Przecież na sam przyjazd do was już straciłem na tramwaj połowę tej kwoty. Jeżeli tak skomplikowany jest sposób zwracania niesłusznie pobranych pieniędzy, to powinienem być o tym pouczony na piśmie wraz z tą fakturą. Ale was nie obchodzi strata mojego czasu.

— Przykro mi bardzo. Musi pan mieć konto.

— Jesteście łobuzami! — Rzuciłem odchodząc.

Szanująca się firma przysłałaby mi te pieniądze pocztą. Era jednak wolała wzbogacić się o moje pięć złotych.

*

Przeczytałem książkę o Różewiczu. Zwróciłem uwagę na fakt, że tak wielu pomagało Różewiczowi w wydawaniu jego wierszy. Pomyślałem, że może przez pamięć na uczynność innych, teraz Różewicz stanie się uczynny dla mnie i choć mnie doceni. Wysłałem więc do Różewicza najnowsze swe opowiadanie. Na kopercie z sarkazmem napisał: REKLAMA.

2002.10.13

WP. Tadeusz Różewicz

ul. Januszowicka, 53-135 Wrocław

*

Znajomi

Przyjaciół nie mam, ale mam znajomych.

Sąsiad przez ścianę, też stary człowiek. Dawniej spotykaliśmy się w drodze do Supersamu, teraz tylko na korytarzu gdy wysypujemy śmieci do zsypu. Zawsze mówimy sobie — dzień dobry — tak już od trzydziestu lat.

Zaraz w holu wejściowym do naszego budynku spotykam naszą dozorczynię — młoda, ładna kobieta — też mówimy sobie — dzień dobry — ale ona tak wita i innych lokatorów, nawet nieco większą ilością słów. Jednak najczęściej w holu stoi jej kubel z wodą i szczotką. Z nim już nie mówimy sobie — dzień dobry — oczywiście.

Zaczynała być znajomą sprzedawczyni w osiedlowym sklepie. Nawet nie doszliśmy do mówienia sobie — dzień dobry — ale kiedyś bardzo wymownie spojrzeliśmy sobie w oczy. Teraz jej nie ma — może urlop, a może ją wywalili?

Mam też znajomego szatniarza w Bibliotece Narodowej. Mówię doń — dzień dobry — mówię bardziej ze strachu przed jego dostojeństwem. Od długiego czasu odpowiada — dzień dobry.

Czy są moimi znajomymi pracownicy biblioteki? Chyba jeszcze nie. Z całą pewnością mnie tolerują na równi z innymi czytelnikami. Chociaż ostatnio zabłądziłem za jedną książką do „Czytelni Humanistycznej” — panie były skonfundowane, bo usiłowałem prosić o odłożenie książki, a tu okazało się, że w „Czytelni Humanistycznej” trzeba mieć inny kolor karty wstępu, a nie żółtą dawaną pospółstwu. Nawet panie posądziły mnie, że mógłbym otrzymać ten inny kolor karty, ale okazało się, że niestety, nie jestem doktorem, ani pracownikiem naukowym. Nawet nie śmiałem wyznać, że przecież jestem humanistą, całe me życie, może humanistą pierwszej wody, bo mógłbym być poetą, pisarzem, malarzem, rzeźbiarzem, a nawet architektem — a kto kiedy dostał doktorat z poezji? Nagrodę Nobla tak, ale nie doktorat. No, może Miłosz? Już się w tym gubię...

Ostatnio poznałem prawdziwą znajomą, też czytelniczkę Biblioteki Narodowej. Uśmiechnęliśmy się do siebie, gdy wstawialiśmy rozprostować kości. Potem długo rozmawialiśmy w holu, opowiedziałem z grubsza wszystko, tyle samo usłyszałem, patrzyłem w jej oczy, nie broniła. Potem rzekłem, że to ewenement, bo zechciała ze mną rozmawiać. Odparła: — A przecież nie powinno być nic niezwykłego w rozmowie dwojga ludzi. Potem nawet zapisała mi na kartce swój numer telefonu, zapisała sobie mój. Innego dnia dzwonił się, zapytała, ile lat ma mój wnuczek? Przyznałem się, że aż siedemnaście. Nie była to prawda, bo ma już osiemnaście. Może jeszcze kiedyś odbierzesz telefon? Pardon, to nie te czasy. Może naciśniesz „OK” na swoim telefonie komórkowym?

Dobrze mieć znajomych, nie mówiąc o przyjaciółkach.

Warszawa, 4 października 2002 roku, o godzinie piątej rano

Powyższy — właściwie apel do Niej — umieściłem w Internecie. Potem dodałem bez złudzeń

Przepraszam i życzę wielu lat w zdrowiu

13 października 2002 roku

nie było żadnej reakcji

...ze strony Różewicza też.

*

2002.10.25

temat numer 1 na świecie

Ano, właśnie — terroryzm.

Zadajemy sobie pytanie: Skąd się wziął terroryzm? Bardzo chcielibyśmy znać odpowiedź na to pytanie. Ale znakomicie ważniejszym jest pytanie: Co trzeba zrobić, aby zlikwidować terroryzm na świecie?

Gdybym w tym miejscu odpowiedział na te pytania, to pomyślelibyście, że wariat — a odpowiedzi są proste. Zanim do tych odpowiedzi dojdziemy i uznamy ich prawdę, musimy przeprowadzić poważne rozważania, na które nie każdego stać.

Znamy jedyny terroryzm, choć zapewne nie jest on jedynym terroryzmem, znamy jedyny terroryzm muzułmański. Chętnie wyodrębnia się go z Islamu, nadając mu nazwę — ekstremizm muzułmański.

W latach 1981—1984 mieszkałem i pracowałem w Algierii. Czyniło tak wielu Polaków pracując nie tylko w Algierii, ale i w Iraku, ale i w Libii — tak samo pracowali tam Czesi, Francuzi, Rosjanie, a nawet Amerykanie, pracowało i nadal pracuje wielu innych. Wszyscy obserwowaliśmy Islam, obserwowaliśmy wyznawców Allacha. Ja potem bardzo uważnie przestudiowałem Koran — Świętą Księgę Islamu. Zarówno pobyt, jak i lektura uczyniły, że napisałem trzy książki pod wspólnym tytułem: „Fi la-man”, co znaczy po arabsku: „Idź w pokoju”. Już sama lektura tych książek da uważnemu czytelnikowi pełną odpowiedź na te wstępne kardynalne pytania. Niewielu przeczytało, wniosków nie wyciągnął chyba nikt.

Sprawa jest tak bardzo istotna, że postaram się bardzo ucziwie przeprowadzić moich Czytelników przez te ważne zagadnienia. Zagadnienia te trzeba choć schematycznie zilustrować. A przecież piszę te słowa w momencie, gdy terroryści czeczeńscy zaczynają rozstrzeliwać kolejnych zakładników w teatrze w Moskwie. Jest w Polsce 25 października 2002 roku, godzina dwudziesta trzecia.

Zobaczmy, jak żyje zwyczajny muzułmanin. Modli się do Allacha cztery razy dziennie o ściśle wyznaczonych porach. Studiuje stale Koran i w Koranie szuka nadziei, pocieszenia, prawdy, wskazań jak żyć. Odprawia karem w miesiącu Ramadan, to jest

przez jeden miesiąc w roku pości cały dzień, nie je, nie pije nawet wody, nie pali papierosów, a pożywia się wówczas tylko w nocy. Stara się usilnie raz w życiu odwiedzić Świętą Mekkę, tam oczyszczony wraca i przestaje pracować, aby pracą nie pokalać swojej czystości duchowej.

Muzułmanin prawdziwie wierzy w szczęśliwość ogromną, jaka na niego czeka po śmierci w niebie. Dla muzułmanina nie ma ważniejszej sprawy w życiu, jak modlitwa do Allacha, nie ma ważniejszych spraw jak rozważania o mądrościach zawartych w Koranie, czytanie Koranu i stałe poprawianie swego życia w myśl dostrzeżonych kolejnych prawd Koranu. Koran jest Świętą Księgą przesłaną przez Allacha swym wiernym za pośrednictwem swego najwspanialszego syna — Proroka Mahometa.

W pozostałym czasie muzułmanin uprawia biznes, zaszczytem wyznaczonym przez Koran jest handel, ale i przyjmuje każdą inną pracę, czy dolę, bowiem Allah tak chciał. Każde plany, czy postanowienia kończy słowami: „Insz Allah” — jeśli Allah tak zechce. Bogactwo i powodzenie czyjeś jest bezsprzecznym dowodem, że Allah go umiłował.

Muzułmanin wierzy, że Allah dał mu szczęśliwość doczesną dając mu rodzinę: dziadków, rodziców, wujków, ciotki, braci, siostry, jedną żonę, drugą żonę, trzecią żonę, a i czwartą żonę. Kobietę stworzył Allah dla przyjemności mężczyzny.

Pierwszą żonę wybierają dlań rodzice i mu ją kupują u rodziców dziewczyny. Następne żony na ogół kupuje sobie sam. Z każdą ma wiele dzieci, bo żadnej nie wolno mu zaniedbywać, a antykoncepcja jest ogromną zbrodnią, i wszystkie żony musi obdarzać takimi samymi względami. To co otrzyma od niego jedna żona, muszą otrzymać i pozostałe, tyle że wszelkie dobra doczesne, mimo darowania żonie, są nadal jego własnością.

Gdy nie układa mu się życie z żoną lub się nią znudzi, to się z nią rozwodzi — w bardzo prosty sposób wypowiadając trzykrotnie: „Nie chcę cię”, co bez trudu potwierdza urząd. Była żona wychodzi z domu męża do swych rodziców tylko z tym, co ma na sobie. Reszta przecież jest własnością męża. Wypada jednak, aby muzułmanin zadbał o przyszłość wzgardzonej żony, uważa się to za dobry obyczaj.

Żony żyją pod jednym dachem, ale czasem setki kilometrów od siebie, jak zdecydował Allah. Jest niezmiernie ważną sprawą czystości krwi, to znaczy muzułmanin musi być absolutnie pewien, że dzieci są jego dziećmi. Stąd żony w zasadzie są zamknięte — czasami we wspólnym pałacu, a czasami w kuchni, jeśli taka wola Allacha.

Zakratowane okna, zakwefione kobiety na ulicy, dziewczęta w dużych chustach na głowie, spódnice do ziemi, kolory strojów tylko pastelowe. Jeśli żona jest niewierna, to należy ją bardzo surowo ukarać, nawet ukamienować. Jeśli kobieta pokaże się na ulicy w nieco śmielszym stroju, to znaczy że jest dziwką, strojem prowokuje mężczyzn i z taką muzułmanin może zrobić, co tylko zechce. Oczywiście zechce przede wszystkim ją przelecieć bezkarnie.

Muzułmanin może dotknąć tylko matkę, a potem żonę. Nadmienić należy, że o ile przebywanie jednego mężczyzny w otoczeniu kilku kobiet jest jak najbardziej właści-

we, nawet po śmierci szczęśliwość muzułmanina jest spełniana przez otoczenie go wieloma dziewczycami, których dziewictwo za każdym razem się odradza, to przebywanie jednej kobiety wraz z kilkoma mężczyznami jest ogromną zbrodnią, zbrodnią kobiety.

Do Algerii przybyliśmy jako czworo inżynierów, to jest trzech mężczyzn i jedna kobieta. Początkowo umieszczono nas w hotelu. Wszystko było nowe, nieznanne, wszystko było zaskakujące, trzeba było jak najszybciej dopasować się do wielu sytuacji, mieć o nich pojęcie, pojawiło się moc nowych zagadnień technicznych, więc po pracy spotykaliśmy się na herbatce w jednym pokoju, aby wymieniać doświadczenia i spostrzeżenia. Już za drugą herbatką wpadł do pokoju właściciel hotelu wołając: „Jedna osoba — jeden pokój!” i groził usunięciem z miasta po wezwaniu policji za takie bezeceństwo.

W ogóle życie rodzinne jest sprawą bardzo intymną — żony, dzieci nie biorą udziału w spotkaniach mężczyzn. Gościa nie wprowadza się dalej do mieszkania, gdzie przebywają żony i dzieci, lecz rozmawia się z nim we frontowym pomieszczeniu. Nawet na pustyni muzułmanin buduje specjalny dom dla przyjmowania znajomych, oddległy o kilkadziesiąt metrów od zasadniczego domu.

Aby zadbać całkowicie o tę intymność prawo nakazuje policyjnie ścigać tych, którzy by próbowali podglądać, czy interesować się wewnątrz domu, a że życie muzułmanów ze względu na klimat musi się toczyć na podwórzu, to podwórza te są otoczone wysokim pełnym murem, okna sąsiadów muszą mieć okiennice i mrożone szyby, a balkony wychodzące na te obce dziedzińce muszą mieć dwumetrowe pełne balustrady.

Muzułmaninowi kategorycznie nie wolno pić alkoholu. Pożywienie jest podobne jak nasze, ale nie wolno mu jeść wieprzowiny. W przestrzeganiu Koranu muzułmanie pilnują się wzajemnie i to bardzo skutecznie. Kradzież w Algerii jest stosunkowo małym przewinieniem, a jeśli ukradnie się niewiernemu, a na dodatek trzecią część kradzieży odda się biednym, to już jest wszystko w porządku. Przy czym w niektórych bardziej prawomyślnych krajach obcinają prawą dłoń za kradzież.

W Islamie nie ma księży i hierarchii duchownych. W każdym meczecie jest imam, rozumiany jako strażnik, zwołuje on śpiewem z minaretu wiernych na modlitwę do meczetu. Imam prowadzi modlitwę w meczecie, czyta przepisane na dany dzień ustępy ksiąg, bardzo melodyjnym śpiewem niosącym się z minaretu zwołuje muzułmanów na kolejną modlitwę słowami „Allah akbar”, obecnie czyni to przez głośniki, ale nic ponadto — nie jest żadnym zwierzchnikiem duchownym. Islam posiada bardzo rozbudowany system uczonych i instytutów studiowania Koranu, ale oni też nie są zwierzchnikami, ich władza pochodzi z samej wiedzy i autorytetu. Niezbędną dla religii organizację i strukturę hierarchii spełnia z powodzeniem państwo i jego agendy, a wszystko ułatwia fakt, że wyczerpującym prawem jest Koran.

W meczetach jest specjalnie wydzielona i ściśle odgradzona część dla kobiet, ale słyszą imama. Muzułmanin musi zdjąć buty przygotowując się do modlitwy, musi się umyć — czasem w meczecie są kabiny natryskowe lub tylko baseny, czy umywalki do obmywania. Na ogół w meczetach są klozety, aby przed modlitwą muzułmanin oddał mocz lub kał i koniecznie wszystko tam sobie obmył wodą — robi to koniecznie

lewą ręką, bo prawa ręka służy do podawania jej innym. A że modlą się kilka razy dziennie, to i kilka razy dziennie przeprowadzana toaleta ciała czyni z nich najczystszych ludzi na ziemi. Czasami do obmycia rytualnego musi wystarczyć piasek pustyni. Muzułmanin modli się boso, zwrócony twarzą w kierunku Mekki, ale obowiązkowo musi mieć nakrytą głowę, podobnie jak wszyscy Żydzi, a w katolicyzmie biskupi.

Islam dla swych wyznawców jest bardzo wyrozumiały. Od każdego oczekuje nie więcej, niż go na to stać, a błędzący, według woli Allacha wrócą do Niego, gdy tak Allah zechce. Zostać mułmaninem jest bardzo łatwo, ale to pozór. Trzeba publicznie oświadczyć: — Allah akbar — Allah jest wielki, a Machomet jest jedynym prorokiem Jego. Potem należy dać się obrzezać. Tyle formalności, ale żyć, jak przystało mułmaninowi, spełniać postanowienia Koranu, jest niemal niepodobieństwem dla niewiernych.

Muzułmanin nie może mieć mącone w głowie, toteż chwalebne jest, jeśli nie czyta literatury. Zresztą któryś wielki mułmanin powiedział, że książki, jeżeli nie są zgodne z Koranem, to należy je spalić, a jeżeli są zgodne z Koranem, to też winny być spalone jako niepotrzebne. Teatry, jeśli gdzieś były, to są pozamykane, bo są „wylęgarnią więźniów, bo mącą w głowach” — tak mi wytłumaczono. W kinach dają tylko filmy bardzo prawomyślne, a widzów się selekcjonuje: osobno na parterze siedzą osoby samotne, to znaczy samotni mężczyźni, bo samotne kobiety nie odważyłyby się wejść do kina, a na balkonie siedzą mężowie z żonami.

Podobnie gdy wsiadałem raz do samolotu krajowego, to policja oddzieliła samotnych podróżnych od podróżujących rodzin i usadowiła ich w różnych częściach samolotu. Jest niewyobrażalne, by chłopak spacerował z dziewczyną po ulicach, czy kontaktował się z nią w jakikolwiek inny sposób i w jakimkolwiek celu. Jest trochę boisk sportowych, ale nigdy nie widziałem tam żadnych zawodów, czy choćby treningów. Najwyraźniej ci sportowcy z krajów mułmańskich, co się czasem pokazują na boiskach, mieszkają i trenują za granicami. Tym bardziej nie ma żadnych imprez rozrywkowych.

Islam, tak jak i Judaizm zabrania pokazywania podobizny — portretowania. Dekoracje mogą mieć kształty geometryczne, elementy roślinne, ale nigdy nie wolno rysować postaci ludzkich i ich twarzy. Stąd nie pozwolą się fotografować i filmować. Jednak życie wymogło zdjęcia w dokumentach i olbrzymie podobizny przywódców na ulicach.

Obcych, czyli niewiernych izoluje się, by nie siali zgorszenia. Mieszkania daje się takim jak ja fachowcom w oddalonych zespołach domów lub nawet przeznaczają się dla nich na przykład całe pofrancuskie hotele nad morzem, aby tylko nie roznosili swej deprawacji.

Muzułmanin jest bardzo sympatycznym kolegą, znajomym, sympatycznym obcym na ulicy. Jest prawy, skromny, przyjazny, a nawet gdy zrobisz coś niezgodnego z Koranem, co mułmaninowi w istocie uwłacza, to nie da poznać po sobie tego. Może jedynie pomyśli: — Ot, cóż chcieć, przecież to niewierny, Allah jeszcze go nie oświecił.

Telewizja jest bardzo niechętnym rozwiązaniem, ale trudno się oprzeć jej ekspansji nawet w krajach mułmańskich. Do telewizji za moment powrócę.

Muzułmanie są wrogo nastawieni do Żydów, co jest zrozumiałe ze względu na wspólną Jerozolimę oraz przez korzenie Islamu tkwiące głęboko w Judaizmie, choć obie te religie robią wszystko, by zaprzeczyć tym powiązaniom i utożsamianiem Jahwe z Allachem. A przecież Tora Izraela i Koran Mahometa opisują tak samo Mojżesza, Abrahama i wielu innych.

Równie wielkimi wrogami Islamu jak Żydzi są komuniści, bo o zgrozo w nic nie wierzą. To już lepsi są chrześcijanie, bo mają świętą księgę, a Koran wymienia Jezusa jako wcześniejszego proroka przed Mahometem. Maria — matka Jezusa jest bodajże jedyną kobietą uhonorowaną przez Koran. Muzułmanie nazywają chrześcijan zimnymi i Koran nakazuje się nimi opiekować.

Kiedyś nawet przekonywał mnie sąsiad muzułmanin mówiąc: — Wy chrześcijanie jesteście mądrzy, bo gdy przyszedł prorok Chrystus i przyniósł od Boga nowe Objawienie, to przyjęliście je z całą wiarą, a Żydzi niestety ku swej zgubie nie uznali objawienia Chrystusa. Tyle że potem przyszedł następny prorok Mahomet, przyniósł od Boga najnowsze Objawienie i wy chrześcijanie powinniście wreszcie to zrozumieć i przyjąć Islam i Koran z całym oddaniem.

Teraz wróćmy do telewizji, a właściwie do pytania: Skąd tak ogromna nienawiść do Amerykanów? Przecież świat muzułmański dzieli tysiące kilometrów od Ameryki, mało który muzułmanin był w Stanach Zjednoczonych.

Telewizja jest już w krajach muzułmańskich, nie było siły, aby się tam nie przedarła. Z równą stanowczością dotarły tam i filmy amerykańskie, prowadzące swą brutalną ekspansję na całym świecie, są źródłem wielkich zysków dla Amerykan — wyparły wszelkie inne kinematografie światowe. Amerykanie w najczarniejszej postaci przyszli do Islamu jak narzędzie szatana.

Sam się przekonałem, że aby zniechęcić do alkoholu, dodawano coś do sprzedawanego obcokrajowcom w nielicznych sklepach wina. Ta sama metoda kwitnie w telewizji muzułmańskiej — pokazuje się bez ograniczeń wszystkie amerykańskie kryminały i dreszczowce, gdzie mord na mordzie, kobiety śpią z kim popadnie i gdzie popadnie, a wszystko obficie polewane alkoholem, przetykane zdradą, brakiem wiary w jakiegokolwiek boga — wyraźnie Allach ich przeklął stokrotnie.

Nawet kawiarnie i restauracje na tych filmach pełne są kobiet i mężczyzn, nierzadko są to zamężne kobiety z obcymi mężczyznami. To samo na ulicy: spacerują kobiety z obcymi mężczyznami. Filmy wyraźnie pokazują, że zamężnym bądź samotnym kobietom składają w ich domu wizyty obcy mężczyźni, przez nas zwani kolegami, i to pod nieobecność męża. A przecież film nie szczędzi szczegółów, nie szczędzi tego, co oni tam razem robią, pokazując z lubością detale seksu. I znów alkohol na każdym kroku.

Każdy muzułmanin może się naocznie przekonać, jak bardzo zepsuci są Amerykanie. O innych narodach znacznie mniej wiedzą, bo istnieje tylko zalew filmu amerykańskiego. Czyż można się dziwić tak dużej wrogości Islamu do wszystkiego, co amerykańskie? Jak można nie być wrogiem każdego Amerykanina? Wszak w imię Allacha trzeba sięgnąć po każdy środek, by wypalać to obrażające Allacha zło. Warto samemu zginać w zamachu bombowym, byle tylko wraz ze sobą pociągnąć wielu niewiernych.

Muzułmanin z obrzydzeniem słucha, że mówi się na nich — terroryści, a przecież są to ludzie najbardziej kochający Allacha i poświęcający dla Allacha wszystko. Tak było i jest od wieków. Zrozummy Islam.

Wierny Allahowi muzułmanin musi walczyć z takim złem amerykańskim, jest do tego święcie zobowiązany przez Koran. Jeśli ktoś głosi, że Koran nie nakazuje bezwzględnej walki z niewiernymi, walki ze złem szerzonym przez niewiernych, to znaczy, że nie czytał Koranu. Mogę zacytować całe ustępy z Koranu nakazujące zabijanie niewiernych. Śmierć w wojnie z niewiernymi i ich złem prowadzi od razu muzułmanina do nieba, gdzie go czeka wieczna szczęśliwość i przebywanie obok Allacha i Proroków Jego. Najważniejszym zadaniem Islamu jest zaprowadzenie wierności Allahowi na całym świecie. Islam nie spocznie, dopokąd Islam nie zapanuje na całym świecie.

Mamy więc i odpowiedź na drugie pytanie: — Co zrobić, aby zlikwidować terroryzm na świecie?

Czyż odpowiedź nie nasuwa się sama, że cały świat powinien przejść na Islam i chwalić Jedyne Allacha? Innego wyjścia nie ma, bo nie da się wypenić religii, a tym bardziej uczynić ją bardziej strawną i tolerancyjną, czyli ucywilizowaną. Manipulacje przy religiach już wielokrotnie się nie powiodły — więc tylko Allah na całym świecie! Dwudziesty pierwszy wiek będzie należał do Religii, do wojen religijnych.

*

Od: "Kustosz PolskaLudowa.com"Kustosz@PolskaLudowa.com

Temat: Wiadomosc z Internetowego Muzeum Polski Ludowej

Data: 6 listopada 2002 21:04

Szanowny Panie!

W maju 2000 r. był Pan uprzejmy przekazać nam eksponat – wniosek o przydział dewiz: http://www.polskaludowa.com/dokumenty/zezwozenia/wniosek_dewizowy.htm

W związku z tym eksponatem zostałem poproszony o przekazanie Panu następującej wiadomości:

Alicja Gluza (a.gluza@karta.org.pl) z Ośrodka KARTA (www.karta.org.pl) pragnie pilnie nawiązać kontakt w sprawie wypożyczenia (lub użyczenia do profesjonalnego skopiowania) dokumentu "wniosek o przydział dewiz" na wystawę pokazującą absurdy i zbrodniczość komunizmu, przygotowywaną w Nowej Hucie przez Fundację "SocLand" (powołaną przez Czesława Bieleckiego, Jacka Fedorowicza, Andrzeja Wajdę, Teresę Bogucką, Annę Federowicz i Krystynę Zachwatowicz).

Z poważaniem

Paweł Rudzki

Internetowe Muzeum Polski Ludowej.

listopad 2002

Do: a.gluza@karta.org.pl

Temat: dot. listu muzeum Polska Ludowa

Szanowni Państwo,

bardzo dziękuję za zainteresowanie mną tak Szacownych Osób. Jednocześnie dziękuję Kustoszowi Muzeum Polski Ludowej za tak skuteczne pośredniczenie. Przedmiotowy dokument oczywiście wypożyczę do skopiowania, ale zgłoszę się do „Karty” po niedzieli, ze względu na chorobę w domu. Pragnę nadmienić, że mieszkam w odległości 500m od „Karty”. Przekazałem „Karcie” moje pierwsze książki. W sierpniu miałem zamiar skorzystać z archiwum „Karty”, gdyż piszę kolejną książkę, tym razem o latach 1979-1981, ale chwilowo zagrzebałem się w Bibliotece Narodowej. Moje książki dotyczą również architektury i architektów w PRL, można się z nimi zapoznać w Internecie: <http://acn.waw.pl/peta>. Ponieważ świat jest rzeczywiście mały, niech mi będzie wolno nadmienić, że z Panią Krystyną Zachwatowicz byłem w grudniu 1957 roku na zimowisku harcerskim pod Babią Górą.

Gorąco pozdrawiam

Nie było odpowiedzi.

*

18 listopada 2002 roku

dziura

Szanowni Państwo —

Piszę w sprawie zamierzonego opodatkowania procentów od oszczędności.

Oboje z żoną jesteśmy emerytami chorymi na dożywotnie choroby. Stąd, po zapłaceniu czynszu na mieszkanie i po wykupieniu lekarstw, na życie pozostaje nam łącznie 1200 złotych. Zdaję sobie sprawę, że bardzo wielu ma jeszcze gorszą sytuację życiową. Toteż przechodząc na emeryturę postanowiłem nie oglądać się na pomoc Państwa i sprzedałem wszystko, co tylko się dało sprzedać i zebrane pieniądze wpłaciłem na konto w banku. Mamy z żoną z tego, to jest z tych procentów od oszczędności, 40% naszych środków na życie. Jest to dla nas ten drugi i trzeci filar emerytalny.

Po zrealizowaniu rządowych zamiarów nasze realne środki na życie zmniejszą się o osiem procent. Jak można mówić, że nie dotknie to biednych? Błagam Rząd o zamrożenie moich realnych środków na życie na poziomie dotychczasowym — tak jak Rząd zrobił z własnymi dochodami — zostały tylko zamrożone, nie spadły nawet o jeden procent. A ponieważ cała masa stanowisk jest obsadzana na nowo, to zamrożono sobie płace ustalone kilka dni wcześniej. W czym tu tkwi sukces Rządu (Millera)?

Przecież dla rzeczywistej ochrony biednych można wprowadzić normę prawną stanowiącą, że jeżeli emerytura wraz z procentami od lokat nie przekracza na przykład 1200 złotych miesięcznie, to takie odsetki od lokat nie będą opodatkowane. Czuję, że

odpowiedź byłaby (bo jej się nie spodziewam), że takie rozwiązanie uszczupliłoby zbyt znacznie budżet państwa. Jeśli tak, czyż nie mam prawa twierdzić, że znów biedni ponoszą najdotkliwsze ciężary dla ratowania państwa?

Pan Prezes Rady Ministrów Leszek Miller powiedział, że Rząd będzie postępował tak, jakby co tydzień odbywały się wybory. Zawiadamiam więc, że Sojusz Lewicy Demokratycznej stracił właśnie moje poparcie, może nieistotne poparcie, bo przez cztery najbliższe lata nie mające znaczenia.

Życzę trzeźwości ojcowskiej

i proszę wybaczyć rozgoryczonemu i zgorzkniałemu staremu człowiekowi (mimo wszystko człowiekowi)

ps.

Pan Prezes Rządu Polskiego zaskoczył nas niedawno decyzją zrezygnowania z dużej dotychczasowej sali obrad Rządu i przeniósł obrady do znacznie mniejszej sali. Rzecznik Rządu tłumaczył, że tym sposobem oszczędzi się na prądzie, klimatyzacji itp. Bardzo słusznie. Jest to bardzo dobry precedens.

Może Rząd znalazłby jeszcze drugą salę, nawet mniejszą, taką na kilkanaście osób zaledwie i Naród przeniósłby tam obrady Sejmu, który Naród ostatnio wybrał. Wszak obecnie, gdy kamerzysta się zapomni i pokaże posłów na sali, to jest ich tam kilkunastu. Nie jestem przeciwnikiem demokracji, wręcz odwrotnie. Jednak demokrację można w różny sposób realizować. Demokrację, jeśli nie jest to demokracja bezpośrednia, realizuje się poprzez system przedstawicielski — Sejm jest tego najlepszym przykładem.

Myślę, że poszukiwanie oszczędności można posunąć jeszcze dalej. Jako system przedstawicielski można by teraz zrobić powtórne wybory, tym razem w klubach parlamentarnych. Każdy klub parlamentarny wybrałby demokratycznie swoich przedstawicieli do zasiadania w Sejmie: dla Sojuszu Lewicy Demokratycznej wystarczyłoby 13 mandatów, dla Platformy Obywatelskiej 4 mandaty, również 4 dla Samoobrony, po 3 mandaty dla Prawa i Sprawiedliwości oraz dla Polskiego Stronnictwa Ludowego, wreszcie 2 mandaty dla Ligi Polskich Rodzin i 1 mandat dla Unii Pracy oraz 1 dla nie zrzeszonych, ale bez prawa głosu, bo i tak ich głosy się nie liczą, liczą się im i nam ich pensje. Koalicja miałaby nadal większość — 16 mandatów. Jakiż piękny byłby to Sejm — trzydziestoosobowy.

Jeszcze lepszą metodę na stosowanie demokracji wypracowały struktury biznesu. Można by wzorem zarządów spółek ustalić Sejm dziewięcioosobowy — po jednym członku z każdego klubu parlamentarnego, ale przedstawiciel Sojuszu Lewicy Demokratycznej miałby prawo 200 głosów; przedstawiciel Platformy Obywatelskiej miałby prawo 65 głosów; w imieniu Samoobrony przemawiałby jeden z prawem 53 głosów; posłowie bracia Kaczyńscy (niech mi wybaczą, bo zacząłem ich uwielbiać przed dziesięcioleciami) mogliby reprezentować Prawo i Sprawiedliwość na zmianę, i tak nikt nie wie, który jest który, ale za każdym razem oddawaliby 43 głosy; Liga Polskich Rodzin musiałaby przywrócić u siebie znaczenie głowy rodziny i ta głowa rodziny oddawałaby 36 głosów; tak więc nie muszę kończyć, co z Unią Pracy i z nie zrzeszonymi. A jak

bardzo byłoby to właściwe dla samopoczucia liderów partii, teraz już nie musieliby się obawiać o swoje stołki, konkurenci do przewodniczenia klubowi parlamentarnemu przestaliby istnieć po prostu.

Jakże skutecznie taki system przedstawicielski załatwiłby problem łamanej stale dyscypliny w klubach podczas głosowania, czy nawet jak jednoznacznie rozwiązałby niebezpieczeństwa, jakie niesie niespodziewana absencja posła. Wyobrażasz sobie Narodzie, ile zaoszczędzilibyśmy, gdybyśmy już dziś, zostawiając dziewięciu, podziękowali 451 posłom? Starczyłoby może dla co drugiej pielęgniarki. Zapytacie, co z komisjami sejmowymi — no, wystarczyłoby zamiast każdej komisji, dwóch, góra trzech członków, ale zawodowych profesjonalistów. Idąc dalej — myślę, że w tym modelu obecny Senat z powodzeniem mógłby być jednoosobowy — przecież nic by się nie zmieniło. Kłóci mi się to tylko z najwyższym jednoosobowym stanowiskiem, ale od czegoż mądrość Pierwszej Damy? A może w przyszłości w głosowaniu bezpośrednim Naród winien wybierać po prostu taką Wspaniałą Pierwszą Damę? Znow przez wieki moglibyśmy się chwalić, że to my, Polacy, pierwsi wymyśliliśmy nową normę konstytucyjną.

*

2002.12.11

Bank BPH PBK

Przykro mi, że muszę uświadomić Państwu, że istnieją emeryci i na dodatek są Waszymi klientami.

Ostatnio dostałem wiadomość o wprowadzeniu przez Bank usługi „bezpieczne transakcje” – jak się okazało – obowiązkowej usługi. Sam pomysł jest bardzo dobry, ale te 2 złote są nieprzemysłane. Mamy z żoną wspólne konto w Banku, stąd mamy dwie karty. Rozumiem, że chcą Państwo przymuszać nas w ten sposób do płacenia kartą, ale proszę zrozumieć, że jako emeryci boimy się nosić gotówki przy sobie i gdzie tylko się da, płacimy kartą. Tyle że nadal w niewielu sklepach można płacić kartą. Teraz winniśmy starać się dokonać co najmniej ośmiu płatności kartą w miesiącu, czyli robienie tygodniowo dwóch płatności kartą będzie nie lada wyczynem przy kilkusetzłotowej emeryturze – toż to nawet za chleb przyjdzie mi płacić kartą. Zresztą żona jest przewlekle chora i raczej ja dokonuję płatności. Jak by nie patrzeć przyjdzie mi płacić Bankowi dodatkowo 4 złote miesięcznie. Już płacę prowizję 9,95 zł. czyli prowizja wzrasta nagle o 50%. Zdziwią się Państwo, że walczę o głupie 2 złote (w moim przypadku 4 zł), ale 14 złotych miesięcznej prowizji to jest ponad jeden procent mojej emerytury – to dla mnie dużo. Rozumiem jednak, że i dla Banku to dużo, zważywszy olbrzymią liczbę wydanych kart pomnożone przez dwa złote miesięcznie. A może jednocześnie tym sposobem Bank chce pozbyć się tak nieatrakcyjnych klientów?

Pozdrawiam

Od: e-bank@bph.pl

Temat: Odp: bezpieczne transakcje ET/100

Data: 11 grudnia 2002 15:07

Szanowny Panie!

Rozumiem doskonale Pana rozgoryczenie i zgadzam się z tym że opłata za usługę „bezpieczne transakcje” + opłata za prowadzenie rachunku stanowi znaczącą kwotę dla wielu klientów . W ramach pakietu „bezpieczne transakcje” Bank przejmuje odpowiedzialność za nieuprawnione transakcje bezgotówkowe do kwoty 5000 zł, dokonane przy użyciu karty do 24 godzin przed jej zastrzeżeniem. Zostało to wprowadzone dla dobra i bezpieczeństwa klienta .Z tego powodu Bank ponosi i będzie ponosił koszty. Pana uwagi przekazałam osobom odpowiedzialnym za opłaty i prowizje w naszym Banku.

Z poważaniem

Elżbieta Tarkowska

*

2002.12.13

**Na szczycie Unii Europejskiej w Kopenhadze
dogadano się i Polska wejdzie do Unii 1 maja
2004 roku!**

*

Do: < dpi@kbn.gov.pl >

Temat: moje książki

Data: 24 grudnia 2002 10:58

Oferuję do zbiorów Biblioteki moje książki. Można je obejrzeć
<http://acn.waw.pl/peta>

Szczęśliwych Świąt

*

6 stycznia 2003

Na początku stycznia zadzwonił Bartek Przybylski. Był to ewenement. Ostatni raz rozmawiałem z nim dwadzieścia pięć lat temu. Dawniej widywaliśmy się często. Byliśmy na jednym roku w czasie studiów na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Potem siedzieliśmy razem przez trzy miesiące w Oficerskiej Szkole Wojsk Inżynierskich we Wrocławiu. A wojsko bardzo zbliża. Potem nawet namówiłem go i wyjechaliśmy z naszymi paniami na wspaniały pobyt w schronisku nad Morskim Okiem, gdzie lawiny odcięły nas od świata. Potem w 1979 spędziliśmy wspólnie Sylwestra w Legionowie u Witka Kalinowskiego, gdzie zaciągnął nas Grzesiek Słaby. Więc telefon był bardzo miłą niespodzianką. Bartek tłumaczył:

— W tym roku mija pięćdziesiąt lat od rozpoczęcia naszych studiów na Wydziale Architektury. Postanowiliśmy zorganizować w październiku zjazd naszego roku. Teraz spotykamy się na Wydziale i przygotowujemy ten zjazd. Mieszkający w Warszawie muszą to zorganizować. Dziesiątego o osiemnastej spotykamy się na Wydziale po raz kolejny. Przyjdź na pewno.

— Oczywiście przyjdę. Jest mi bardzo miło, że wreszcie zadzwoniłeś.

— Marian, może masz z kimś z roku kontakt, to zawiadom również.

— Bartek, skarbie, ja nie mam żadnych kontaktów. Wszyscy mnie opuścili. Już tyle lat.

— Narozrabiałeś i dziwisz się?

Coś tam odrzekłem, ale nie wypowiedziałem myśli, która skrzystalizowała się dopiero po rozłączeniu się. Wszystko gwałtownie wróciło. Mój film z kilkudziesięciu lat przewinął się nagle i pomyślałem: — Bartek, lapsus tkwi w tym, że gdy oddałem legitymację partyjną i w konsekwencji wyrzucono mnie ze stanowiska dyrektora biura projektów w osiemdziesiątym pierwszym, wszyscy się ode mnie odwróciliście. Wolę nie myśleć, że przestałem być przydatny. Tyle wyzbywało się hańbiących nagle przyjaciół. Takie odrzucenie już niewygodnych znajomych, ich samych miało czynić czystymi, tymi uciśnionymi przez system.

Przez kilka dni rozważałem problem i ostatecznie nie poszedłem na to spotkanie. Zresztą żona bardzo źle się czuła. Bartek nie dał jednak za wygraną i zadzwonił znów:

— Dlaczego nie przyszedłeś? Tłumacz się natychmiast.

— Widzisz, Bartek, tak szczerze mówiąc, nie stać mnie na takie imprezy. Zapewne zorganizujecie jakiś wytworny bankiet, będą i inne pomysły. Musiałbym przeznaczyć na te dwa dni uciechy całą miesięczną emeryturę. Na bankiecie w życiu nie byłem, już nie tęsknię za takimi rozrywkami, zdziczałem.

— Marian, wszyscy jesteście emerytami. Jedz tylko biały ser przez kilka miesięcy i jakoś wydolisz finansowo.

Przyrzekłem przyjść tym razem. Jednak nim do tego doszło, coraz bardziej zniechęcałem się do tej imprezy. Na dodatek zachorowałem na zapalenie oskrzeli. Bartek był szybszy i zadzwonił. Ja tłumaczyłem, dlaczego nie mogę przyjść, ale on przerwał, bo dzwoni, aby odwołać spotkanie. Kilka osób choruje. Spotkanie wyznaczono na marzec.

Tym razem postanowiłem pójść. Wyobraziłem sobie to spotkanie starszków po pięćdziesięciu latach. Na pierwszym roku było nas ponad stu. Siedzieliśmy obok siebie na wykładach, choć w coraz mniejszej grupie. Wykłady zaczynały być nieobowiązkowe. Siedzieliśmy obok siebie na ćwiczeniach. A przede wszystkim mieliśmy wspólną kreślarnię dla całego roku. Była to długa sala na drugim piętrze od strony ulicy Lwowskiej, gdzie ustawiono trzydzieści kilka rzędów rajzbretów, po trzy rajzbrety w rzędzie, a może nawet cztery. Nas posadzono na stałe, lecz bez wyobraźni, przy tych rajzbretach według alfabetu, a całość podzielono na cztery grupy, po osiem rzędów w grupie. Każda grupa miała innego opiekuna, asystenta kierującego rysowaniem. Stąd znalazłem się

w czwartej grupie. Nie było wówczas żadnych potańcówek, spotkań na pogaduszki, studenci nie chodzili na kawę do kawiarni. Zналиśmy się w gronie sześciu, góra dziesięciu rajzbretów. Nie było szans na większe znajomości. Byliśmy przytłoczeni nauką — czterdzieści sześć godzin wykładów i zajęć tygodniowo oraz obowiązek wykonywania zadanych rysunków na teźże kreślarni czyniły, że przychodziliśmy na Wydział przed ósmą rano, a kończyliśmy zajęcia nawet o dziewiętnastej i tak przez sześć dni w tygodniu, nawet w niedziele trzeba było popracować nad zaległościami. Zresztą Warszawiacy szybko wyobcowywali się. Mieli domy, rodziny, kolegów z liceum, wyraźne wyrobienie kulturalne, wyższy standard ekonomiczny. A dla nas z domów akademickich pozostawało rozwiązanie problemu stałego głodu, nędzy życia i ucieczki w karty i alkohol. Toteż niewielu znałem nawet z naszej grupy, nie mówiąc już o tych z pierwszej części alfabetu.

Po pięćdziesięciu latach mieliśmy się spotkać. Zamówiłem dwieście wizytówek. Poszedłem.

14 marca 2003

Było już ciemno. Przed drzwiami Wydziału zeszliśmy się nos w nos z Piotrem Sembratem. Ciągący się latami od Miastoprojektu nasz antagonizm musiał ustąpić choć na tę chwilę i po dawnemu przywitaliśmy się. W hallu już stało kilka osób. Przywitałem Bartka, potem Witka Kalinowskiego. Jego zapytałem, czy nie wie, co się dzieje z Grzeskiem Słabym, bo nie odzywa się do mnie od dziesięciu lat. Witek odrzekł, że Grzesiek często bywa w Warszawie, był dwa tygodnie temu i wrócił znów do swojego Paryża.

Starszych ludzi w hallu przybywało, aż zrobiło się gęsto. Schodząca z góry studentka stanęła i zdumiona gromko zapytała: — A co się tutaj dzieje?! — Ktoś odparł: — Pięćdziesiąt lat temu zaczynaliśmy tutaj studia i dziś się spotkaliśmy. — Studentka wyraźnie była zdezorientowana, bo znów gromko zapytała: — Jak to? I to wszystko są profesorowie?

Całość próbował zorganizować jakoś Leszek Kłosiewicz, ale chwilowo bez skutku. Staliśmy nadal w hallu w grupkach po kilka osób rozpoznających się, opowiadaliśmy sobie zawzięcie. Z Leszkiem spotykaliśmy się często w latach siedemdziesiątych, bo mieliśmy boksy na samochody w tym samym garażu podziemnym na Bruna.

Weszły nadal nierozłączne: Ninka, Hanka i Irka — teraz już o nieznanym nazwiskach, przywitały się po kolei z wszystkimi. Z Ninką pracowałem w Miastoprojekcie, znaliśmy się. Irka rezolutnie zapytała: — A ciebie nie przypominam sobie... — Marian Sokołowski — przedstawiłem się. — Ach! — odrzekła i poszła dalej.

Zobaczyłem Irkę w pamięci sprzed lat. Dawny pączek w maśle, teraz wyszlachetniał, wyszczupłał, okazała się być dziś całkiem atrakcyjną. To nie bez znaczenia, bo kiedyś los próbował nas połączyć, ale czynił to strasznie nieudolnie. Do niczego nie przygotowanych, bez żadnego wcześniejszego treningu, usiłował nas połączyć na całe życie w ciągu paru tygodni zaledwie. Ja akurat zadurzyłem się w Hance. Absolutnie platonicznie. Irka nie potrafiła się wziąć za mnie. Byliśmy raz w kinie Polonia. Potem dziwne spotkanie — Ninka, Leszek i ja u rodziców Irki w Górze Kalwarii. Tam ojciec pokazywał budowany dla córki dom. Ja, nieświadomy kandydat na męża, coś po swo-

jemu chlapnąłem na temat tego domu, ojciec usłyszał, nastąpiła obraza boska, Leszek nas odciągnął do pobliskiej stodoły i po chwili, sam wróciłem do Warszawy. Sprawa dwojga młodych ludzi została spaprana dokumentnie.

Jeszcze tkwiłem w tych wspomnieniach, gdy podeszła Ninka: — Maryś, wyobraź sobie, że właśnie Hanka zapytała mnie: — A ten tam, to kto to może być, bo zupełnie nie rozpoznaję... — Wyobrażasz sobie? — Relacjonowała nadal Ninka. — Odrzekłam jej, to przecież z nim byłeś przez dwa tygodnie na wędrownicy w Gorcach. — Niczego nie pamiętała, wyobrażasz sobie?

Musiałem prostować: — Ninka, przecież Hanka w ogóle wówczas nie przyjechała. Do Krakowa na umówione spotkanie przyjechaliśmy my we dwójkę z Katowic. Po północy przyjechał Leszek, ale nie z zapowiadaną Hanką, ale z jakimś swym krewnym młodszym od nas chłopakiem. Taką czwórką wędrowaliśmy po Gorcach. — Ninka zdumiona odrzekła: — I tak dokładnie pamiętasz do dziś? Jeszcze tkwi...?

Leszek jakoś zapędził nas do sali Rady Wydziału. Było to szczególne spotkanie. Do sali wchodził jakiś człowiek, starszy, zupełnie nieznany, bądź patrzyłem na kogoś takiego już siedzącego przy stole. Zupełnie obcy ludzie. Ale wystarczyło, że ktoś taki uśmiechnął się i już wiedziałem, kto zacz. Więc nasz uśmiech się nie starzeje wraz z nami?!

Sprawy organizacyjne przeplatały się z nieustającymi wspomnieniami. Z tymi zupełnie obcymi, którzy byli obcymi i pięćdziesiąt lat temu, wymieniałem zdawkowe wspomnienia. Bliżsi koledzy nie interesowali się mną. Hanka przyniosła stare zdjęcia, oglądano je, ktoś zapytał: — A ten, kto to jest? — Ktoś inny z rozbawieniem wskazał na mnie.

Po pewnym czasie usiadłem obok Hanksi. Aby obejrzeć jej zdjęcia oczywiście. Próbowałem zagadywać komentując. Odpowiadała zdawkowo nie patrząc na mnie. Może wraz z upływem dziesięcioleci była coraz bardziej wściekła na mnie, że po moim wyznaniu jej, że ją kocham, przyjąłem z nie dającą się ukryć ulgą fakt otrzymania od niej kosza? Może to, że nie odezwałem się, gdy zostawiła na moim biurku w Brwinowie swą wizytówkę? Było to w latach osiemdziesiątych. A może zwyczajnie jak i inni nie zadaje się teraz ze znanymi kolegami komunistami?

Ktoś kogoś pytał: — Jakim cudem ty znalazłeś się w naszej pierwszej grupie? — Leszek Zaręba z Legionowa opowiadał: — Byłem przecież w czwartej grupie, ale im zachciało się ćwiczyć wcześniej rano przed zajęciami piosenki na konkurs Politechniki. Mnie to zupełnie nie odpowiadało. Wszyscy z czwartej grupy śpiewali i recytowali oprócz mnie. Potem był sąd nade mną. Zetempe mnie sądziło. Polisiakiewicz żądał usunięcia mnie ze studiów. Jednak Lubański, pamiętacie, asystent Biegańskiego, przeniósł mnie do pierwszej grupy i tak zdołałem skończyć studia.

Byłem bardzo zaskoczony tą relacją. Musiałem brać w tym udział. Przecież byłem „organizatorem grupy studenckiej” i to ja organizowałem te śpiewy i recytacje. Niczego o Zarębie nie pamiętałem. Tych wrażeń było dość dla mnie. Wyszedłem, gdy tylko ustalono termin następnego spotkania.

Teraz brnąłem w swej obronie. Oni wszyscy dostali się na studia bez żadnych politycznych obstrukcji. Byli prawomyślni, z dobrym sprawdzonym pochodzeniem. Często małorolni lub dzieci robotnicze i inteligencji pracującej. Nie musieli nadmiernie angażować się politycznie. Wystarczyło, że rodzice byli zaangażowani, a oni reprezentowali na przynależności do ZMP. Możliwość studiów była dla nich oczywista.

Mnie na rok przed maturą dyrektor oświadczył, że nie ma miejsca na socjalistycznych uczelniach dla kapitalistycznych dzieci. Musiałem wynieść się do odległego o czterdzieści kilometrów Bytomia i tam codziennie dojeżdżałem do szkoły technicznej. A i to aby po ukończeniu szkoły cofnięto mi nakaz pracy, co było warunkiem skierowania tylko niektórych uczniów na studia, musiałem stać się działaczem ZMP, musiałem pracować na kopalni w niedziele i bardzo dbać, aby nic o moim pochodzeniu nie dotarło do dyrektora szkoły. Na studia dostałem się dwa lata później, niż należało. Oni nie stracili dwóch lat życia.

Stałem w hallu na parterze i rozglądałem się po tych niezapomnianych kątach. I spojrzawszy na podest schodów, przypomniałem sobie, że tutaj wisiała gazetka ścienna — Organ Studentów Architektury „OSA”, a na tej gazecie obok zdjęcia Janka Skawińskiego — już nie żyje niestety — było umieszczone moje zdjęcie, byliśmy najlepszymi studentami pierwszego roku. A przypomniało to się w związku z innym przykrym wydarzeniem. W Sosnowcu na tym samym piętrze mieszkał pan Eugeniusz Pieśniewski. Gdy się dowiedział, że studiuje architekturę w Warszawie, wypytywał o profesorów, wychwycił nazwisko profesora Zdzisława Mączyńskiego, powiedział, że go zna bardzo dobrze, bo w czasie wojny przebywali razem w Częstochowie i tam prowadzili tajne kursy. Pieśniewski tak został inżynierem. Pokazałem mu więc świeżo wydany podręcznik profesora Mączyńskiego „Poradnik budowlany dla architektów”. Książka była pierwszym w ogóle wydanym podręcznikiem dla studentów architektury — pierwszym powojnie. Pieśniewski popłynął we wspomnieniach i oświadczył, że pojedzie specjalnie do Warszawy do profesora Mączyńskiego i załatwi mi u niego, że podobnie jak jemu w czasie wojny, Profesor da mi dyplom architekta. Tłumaczyłem, że to zbyteczne, że dobrze się uczę, że dziękuję. Jednak któregoś dnia schodząc po tych schodach właśnie, wlałem na Pieśniewskiego idącego do góry. Zapewnił mnie, że zaraz załatwi moje studia i kazał mi czekać na siebie. Po kilkunastu minutach wyszedł od Profesora i pokazał mi dedykację Profesora, która miała być dowodem, że bez trudu za jego wstawiennictwem ukończę studia, mogę się nawet nie uczyć. Byłem zrozpaczony taką bezczelnością i w ostatnim odruchu pokazałem mu moje zdjęcie widniejące na Osie. Uśmiechnął się i poszedł. Gdy na przerwę międzysemestralną przybyłem do rodziców, zjawił się Pieśniewski i zaczął wychwalać, jak dużo dla mnie w Warszawie załatwił. Zdobyłem się jedynie na milczącą pogardę. Jakoś wyszedł z naszego mieszkania. Nie wiedziałem, jak się postępuje z takimi ludźmi i chyba do dziś nie wiem.

Jednak w miarę kolejnych semestrów mój entuzjazm bladł, a wyniki były coraz gorsze. Głód źle karmionego studenta i głód miłości drażyły, choć tego nie zauważałem. Któregoś dnia podszedł do mnie inny student naszego roku, gdy samotnie siedziałem przy rajzbracie i zaczął mnie szczerze przekonywać, że nie powinienem się łamać, że przecież tak dobrze rysowałem, w końcu zażądał, abyśmy natychmiast poszli na salę rysunku i wspólnie porysowali. Siedzieliśmy sami przed modelami gipsowymi. Zrobili-

śmy wówczas bardzo dobre rysunki. A on niewiele dni później utonął. Nie pomnę nazwiska.

11 kwietnia 2003

Kolejne spotkanie na Wydziale zaczęło się dla mnie przyjemnie. Gdy podszedłem do grupy ludzi czekających w hallu i zacząłem się witać, pani rzuciła: — Twoje nazwisko. — Przedstawiłem się. Natychmiast jakiś naprawdę nieznanymi mi człowiekiem oświadczył: — Pamiętam. Przecież ty zrobiłeś kościół na dyplom i to ciebie Lachert gnoił na obronie do skutku.

Dodałem: — Potem nie było zgody co do oceny. Lachert żądał obniżenia na cztery za wybór tematu. I tak też się stało. Potem z bardzo złą opinią nie zdołałem znaleźć pracy. Oparłem się aż w Siedlcach. Ale plansza z moim kościołem wisiała aż przez pięć lat w gablocie katedry Hryniewieckiego.

Jeszcze Leszek Kłósiewicz, gdy przeciskaliśmy się obok siebie, zagadnął: — Robisz coś nadal? — Nie. Już nic. — Odparłem, bo jakież znaczenie miało tutaj moich osiem nie wydanych książek? Już wiedziałem z Internetu, że Leszek to teraz profesor doktor habilitowany inżynier architekt. Należało mu się.

Kostek Wietieszka nie poznał mnie. Gdy go witałem, zagadnął: — A ty, to jesteś...? Odparłem: — Przecież dwa tygodnie spędziliśmy razem w kajaku, gdy płynęliśmy Wisłą do Kanału Elbląskiego, potem przez Śniardwy, Pisą i Narwią. Nie pamiętasz? A że mieszkaliśmy przez rok w jednym pokoju na Jelonkach?

Kostek zamyślił się i wspomniał: — Ale nie chciałeś przyjąć mnie, Marian, do pracy w Miastoprojekcie...

— Przecież tłumaczyłem ci wówczas, że u nas zespoły projektowe same się dobierają. Nawet radziłem rozmawiać z projektantami o pracy z nimi... — A już myślałem tylko: — Przecież to miało miejsce dwadzieścia sześć lat temu. Nawet dla hitlerowców byłby to okres przedawnienia.

*

Do: mowisie@waw.tvp.pl

Temat: Pogoria i inne

Data: 16 marca 2003 06:59

Szanowny Panie Profesorze,

ostatnio padło pytanie o nazwę „Pogoria”, na które nie zdążył Pan Profesor odpowiedzieć. Nazwa jachtu „Pogoria” obudziła wspomnienia zamierzchłych szczęśliwych chwil. Pogoria – to jest niewielka osada koło Dąbrowy Górniczej. Gdy w roku 1945 eksplodowało w Zagłębiu harcerstwo, związało się ono silnie z Pogorią. Bo choć nazwy Sosnowiec i Dąbrowa, czyli sosny, czyli dęby, to las stanowiły jedynie kominy fabryk i hut. Do najbliższego lasu jechaliśmy całym hufcem tramwajem do Dąbrowy, potem na piechotę koło urokliwego Gołonogu docieraliśmy do lasu koło Pogorii i tak tydzień w tydzień; tam złożyłem przyrzeczenie harcerskie. W naszym lesie zaczęto drążyć w ziemi ogromniejącą dziurę, bo kopalnie potrzebowały piasku. Było coraz smut-

niej, aż z miesiąca na miesiąc dziura ta wypełniła się samoczynnie wodą. Wodę znaleźmy jedynie z brudnej Czarnej Przemszy i Brynicy, a tu „morze” przyszło do nas! Teraz Pogoria był już tylko ten zbiornik wodny, a wśród zagłębiowskich harcerzy pojawili się harcerze wodniacy. Potem wybierano coraz więcej piasku, jeziora w Zagłębiu pojawiały się jedne po drugich, znacznie większe, tak powstało jezioro „Pogoria II”. I choć skwapliwie zlikwidowano nasze harcerstwo, to Pogoria zapadła w dusze. Potem pojawiła się jako nazwa jachtu harcerskiego, a wyczyny kolejnych pokoleń załóg „Pogorii” głosiła prasa – to zapewne ten historyczny jacht stał się własnością Polaka z Niemiec, który nie mógł wyjaśnić jego nazwy „Pogoria”. Myślę, że ci, co na „Pogorii” uczyli się obcowania z morzem, mogą historiami jachtu zapełnić setki stron.

Druga sprawa jest bardzo przykra. Kiedyś zostałem zaszokowany, gdy pewna znana pani w telewizji powiedziała: „Jestem zwolennikiem”. Ostatnio usłyszałem, jak inna pani w tejże telewizji oświadczyła: „Dyrektorzy szkół postanowiły...”. Jakie to szczęście, że mamy w Polsce Panią Prezydentową. Kiedyś przed laty słyszałem, jak zasłużone komunistki mówiły do siebie: „Byłaście, towarzyszeko, miałaście, towarzyszeko”.

Składam wyrazy wielkiego szacunku

*

Warszawa, 7 maja 2003 r.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

Wielce Szanowny Pan Aleksander Kwaśniewski

Warszawa

Wielce Szanowny Panie Prezydencie,

dziękuję Panu, Panie Prezydencie, za Pańską działalność, która tak bardzo podtrzymuje mnie i w konsekwencji patrzę z ufnością w przyszłość Polski.

Proszę uczynić mi ten zaszczyt i przyjąć moją najnowszą książkę, którą zadedykowałem Prezydentom Rzeczypospolitej Polskiej.

Książka ta jest ósmą z serii moich książek, w których przedstawiam czasy mego życia, to jest ostatnie siedemdziesiąt lat. Nadałem jej tytuł „Stado pasterzy” i opisuję w niej okres od ostatniego dnia prezydentury Ignacego Mościckiego do pierwszego dnia prezydentury Pana Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Przedstawiam wszystkich prezydentów i rządy Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie. Pięćdziesiąt lat trwania Emigracyjnych Władz Polskich zasługuje na zobaczenie tych Władz takimi, jakimi były, bez przemilczeń i upiększeń, a zwłaszcza bez późniejszych wykładni, co autor słów chciał przez to powiedzieć. Właściwie oni sami opowiadają tu o sobie. Książka zbudowana jest więc z cytatów i wypowiedzi tych historycznych ludzi, stąd kompozycyjnie należy uznać ją za literacki collage.

Monstrualne kuriozum historyczne wymagało i jednak spowodowało, że ten nurt władzy wywiezionej na obczyznę musiał i po pięćdziesięciu latach mógł wrócić do Kraju i zdołał wniknąć chwalebnie w rzekę życia Narodu. Nieustające i wielkie skłócenie

Polaków — tak bardzo widoczne zarówno na uchodźstwie jak i w kraju — uzasadniają nadany książce tytuł.

Książki moje wydrukowałem własnym sumptem jedynie w kilku egzemplarzach, bo wydawcy nie zainteresowali się nimi. Jestem pewien, że kiedyś zaistnieją. Tymczasem zamieściłem je w Internecie pod adresem: <http://acn.waw.pl/peta>

Jeżeli Pan Prezydent zezwoli, to przyniosę tę książkę do Kancelarii Pana Prezydenta lub w inne wskazane miejsce i o podanej porze.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku

Nie było odpowiedzi.

*

Warszawa, 8 maja 2003 r.

Polski Ośrodek Społeczno Kulturalny

Polish Social & Cultural Association Ltd

238-246 King Street, Hammersmith,

Londyn W6 ORF

Szanowni Państwo,

gorąco proszę o przekazanie Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej profesorowi Ryszardowi Kaczorowskiemu załączonego listu wraz z moją książką.

Proszę wybaczyć mi, że posługuję się Państwem, ale nie wymyśliłem innego sposobu, jak przekazanie mej książki poprzez POSK w Londynie.

Gdyby moja prośba nie mogła zostać spełnioną, proszę uczynić mi ten zaszczyt i zatrzymać książkę w zbiorach POSK.

Do powyższego był dołączony następujący list wraz z książką.

Warszawa, 8 maja 2003 r.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

Wielce Szanowny Pan

prof. Ryszard Kaczorowski

Londyn

Wielce Szanowny Panie Prezydencie,

dziękuję Panu, Panie Prezydencie, za Pańską działalność dla przyszłości Polski.

Proszę uczynić mi ten zaszczyt i przyjąć moją najnowszą książkę, którą zadedykowałem Prezydentom Rzeczypospolitej Polskiej.

Książka ta jest ósmą z serii moich książek, w których przedstawiam czasy mego życia, to jest ostatnie siedemdziesiąt lat. Nadałem jej tytuł „Stado pasterzy” i opisuję w niej okres od ostatniego dnia prezydentury Ignacego Mościckiego do pierwszego dnia prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego. Przedstawiam wszystkich Prezydentów i rządy Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie. Pięćdziesiąt lat trwania Władz Polskich na Uchodźstwie zasługuje na zobaczenie tych Władz takimi, jakimi były, bez przemilczeń i upiększeń, a zwłaszcza bez późniejszych wykładni, co autor słów chciał przez to powiedzieć. Właściwie Panowie sami opowiadają tu o sobie. Książka zbudowana jest więc z cytatów i wypowiedzi historycznych ludzi.

Monstrualne kuriozum historyczne wymagało i jednak spowodowało, że ten nurt władzy wywiezionej na obczyznę musiał i po pięćdziesięciu latach mógł wrócić do Kraju i zdołał wniknąć chwalebnie w rzekę życia Narodu. Nieustające i wielkie skłócenie Polaków — tak bardzo widoczne zarówno na uchodźstwie jak i w kraju — uzasadniają nadany książce tytuł.

Książki moje wydrukowałem własnym sumptem jedynie w kilku egzemplarzach, bo wydawcy nie zainteresowali się nimi. Jestem pewien, że kiedyś zaistnieją. Tymczasem zamieściłem je w Internecie pod adresem: <http://acn.waw.pl/peta>

Ryszard Kaczorowski
b. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

Pan
Marian Czesław Sokołowski
Warszawa

Szanowny Panie,

Z wielkim zainteresowaniem odebrałem Pana opracowanie, przedstawiające dzieje prezydentury Rzeczypospolitej, od Prezydenta Ignacego Mościckiego do zakończenia kadencji Prezydenta Lecha Wałęsy. To prawdziwie benedyktyńska praca, dobrze oddająca polityczny klimat Polski poza Polską.

Zebrane przez Pana informacje, znane tylko nielicznym, warte są bez wątpienia upowszechnienia. Myślę, że można by było podjąć trud wydania tej pracy (Oficyna Wydawnicza „Rytm”?) - była by świetnym nawiązaniem do dużo wcześniejszej książki prof. Władysława Jędrzejewicza, podającej w ten właśnie, skrótowy i łatwo „przyswajalny” sposób biografię Józefa Piłsudskiego.

Dziękując za Pańską książkę, zadedykowaną Prezydentom Rzeczypospolitej Polskiej, pragnę zapewnić, że Jej Autora zachowam we wdzięcznej pamięci.

Z wyrazami szacunku

Twoje najlepsze pozdrowienia

R. Kaczorowski

Londyn, 29 maja 2003 r.

Biuro: 238-246 King Street, London W6 0RF; Wielka Brytania
Tel/Fax: 020 8563 7674

*

Do: a.gluza@karta.org.pl

Temat: dot. listu muzeum Polska Ludowa

Data: 26 maja 2003 06:14

Szanowni Państwo,

bardzo przepraszam, ale chwilowo mam trudności ze znalezieniem w moich archiwaliach przedmiotowego dokumentu. Zgłoszę się, gdy go znajdę.

Gorąco pozdrawiam

Byłem urażony brakiem odpowiedzi Wielkich Ludzi postanowiłem nie spełnić ich prośby.

*

2003.05.29

Politechnika Warszawska, Wydział Architektury

Zakład Architektury i Sztuki Współczesnej

00-659 Warszawa, ul. Koszykowa 55

prof. dr hab. inż. arch. Lech Kłosiewicz

Drogi Leszku,

myślę, że mnie zrozumiesz, ale nie będę mógł wziąć udziału w naszym Zjeździe Koleżeńskim. Powodem jest trudna sytuacja domowa. Żona moja jest bardzo ciężko chora i powinienem stale przebywać z nią w domu. Może najwyżej na mszę zdołam się wyrwać.

W załączeniu przesyłam dwie strony na mój temat oraz płytę CD, gdyby trzeba było je powtórnie inaczej wydrukować.

Sercem i myślami jestem z Wami

A oto strona tekstu o pecie do zapowiadanego opracowania o zjeździe studentów po pięćdziesięciu latach.

2003.05.29

Urodziłem się w Sosnowcu w 1933 roku. Maturę zrobiłem dwa lata później niż należało, bo zachciało mi się bawić w politykę. Aby dostać się na studia musiałem wykazać się tą prawomyślną polityką. W czasie studiów (od lipca 1958 roku do maja 1960 roku) pracowałem w Polskiej Akademii Nauk w Zakładzie Archeologii Śródziemnomorskiej, gdzie wykonywałem ilustracje do książek profesora Kazimierza Michałowskiego. Absolutorium uzyskałem w czerwcu 1959 roku, a dyplom obroniłem 19 lutego 1960 roku. Na temat pracy dyplomowej wybrałem kościół, a potem nie mogłem nigdzie dostać pracy, aż znalazłem się w Siedlcach. Od 1961 roku do chwili obecnej mieszkam w Warszawie.

Gdy składałem wniosek o przyznanie emerytury, naliczyłem siedemnaście miejsc pracy. Tej drogi nie da się opisać na jednej stronie. Wypada mi jednak podać, że aż sie-

dem lat pracowałem w Komitecie Warszawskim PZPR w Wydziale Budownictwa, a potem zorganizowałem Biuro Projektów Budownictwa „War-Cent” w Warszawie i następnie Biuro Projektowo Badawcze Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt — Warszawa”. W sensie ilościowym najdłużej pracowałem jako wolny zawód, bo aż dziesięć lat i na tym zakończyłem swą działalność architekta.

Brałem udział w wielu konkursach architektonicznych, ale zawsze jednoosobowo (poza jednym wyjątkiem). W 1966 roku dostałem drugie wyróżnienie w konkursie na projekt Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku – Oliwie. W 1968 roku dostałem pierwsze wyróżnienie w konkursie na projekt pomnika Przełamania Wału Pomorskiego. W 1975 roku współpracowałem w konkursie architektonicznym z zespołem architektów Ryszarda Trzaski, Zdzisława Jończy i Jana Olszewskiego, który to zespół dostał pierwszą nagrodę w konkursie na Teatr Muzyczny w Poznaniu.

Podczas pracy w Algierii w latach 1981—1984 zaprojektowałem i zrealizowałem jedno osiedle mieszkaniowe oraz dwie szkoły. Jako wolny zawód zaprojektowałem i zrealizowałem w okolicach Warszawy około dwudziestu domków jednorodzinnych. Za jeden z nich dostałem „Złotą Wiechę” w 1989 roku. Jestem autorem kładki dla pieszych nad ulicą Górnośląską w Warszawie (w okolicach Sejmu), za którą od prezydenta Warszawy dostałem „Nagrodę Sześcianu”. Jakiś architekt ją teraz poprzerabiał, ale już nie miałem siły walczyć o prawa autorskie. Mam status twórcy.

I to byłoby wszystko jako o architekcie. Jako o człowieku pisałem gdzie indziej. Niemal od ukończenia studiów pisałem książki — literatura współczesna. Pisałem, jak czas pozwalał, a od przejścia na emeryturę wyłącznie tym się zajmuję. Stwierdzam to bardzo na wyrost, bo książka nie wydana, nie istnieje. Najpierw moje książki były zbyt krytyczne, potem zbyt mało krytyczne. Zawsze były zbyt nowatorskie. A właściwie nie potrafiły konkurować treścią i nazwiskiem z tym wszystkim, co się dzisiaj wydaje. Obecnie piszę dziewiątą i mam nadzieję, że może kiedyś...

Więc może lepiej zamieszczę tu jeszcze jakieś zdjęcia?

Tu następowały zdjęcia dyplomowego kościoła.

*

Do: redakcja@rytm-wydawnictwo.pl

Temat: propozycja wydawnicza

Data: 10 czerwca 2003 11:16

Szanowni Państwo,

napisałem kilka książek (literatura faktu) o polskiej współczesności – nie zostały wydane. Najpierw były zbyt krytyczne, potem zbyt mało krytyczne, zawsze były zbyt nowatorskie, ale pisałem je jak przystało na czynnego architekta. Zamieszczam je na swojej witrynie <http://acn.waw.pl/peta>

Pragnę zaoferować Państwu do wydania moją najnowszą książkę, peta nr 8 pt. „Stado pasterzy”.

Książka zawiera 720 stron formatu A5. Opracowałem ją w Word 6, wydrukowałem, wykonałem kilka ksero, oparowałem i pierwszy egzemplarz przesłałem do Londynu Prezydentowi Ryszardowi Kaczorowskiemu w darze, bowiem zadedykowałem ją Prezydentom Rzeczypospolitej Polskiej.

Otrzymałem odpowiedź, którą z wielką satysfakcją załączam.

Gdyby Państwo zainteresowali się moim pisaniem, to zgłoszę się z książką.

Łączę pozdrowienia

Nie było odpowiedzi.

*

Wreszcie z ogromnym zachwytem natrafiłem w Internecie na Wydawnictwo „My Book”

Oferta Wydawnictwa My Book:

Istniejemy na rynku książki od 2004 roku (czyli od roku). Wydaliśmy już 163 tytuły. Oferujemy prostą, szybką i niedrogą ścieżkę wydawniczą. Mile widziani także początkujący autorzy.

Zapewniamy sprawną dystrybucję książki przez księgarnię internetową My Book.

Starannie wybrane przez nas drukarnie gwarantują wysoką jakość druku i oprawy. Na życzenie autora poza wersją papierową książkę publikujemy także jako ebook.

Korzystna umowa – My Book nie przejmuje wyłącznego prawa do rozpowszechniania utworu – autor może nadal dowolnie rozporządzać swoim tekstem, np. wydać go w innym wydawnictwie.

Od każdego sprzedanego egzemplarza autor otrzymuje honorarium w wysokości 20% ceny katalogowej wydania papierowego i aż 40% ceny ebooka. Zapewniamy dostęp online do bieżącego raportu sprzedaży.

Zapewniamy krótki cykl wydawniczy – książka ukazuje się najpóźniej 3 miesiące od podpisania umowy, a niejednokrotnie nawet wcześniej.

Nadajemy książkom numer ISBN, co zapewnia autorowi obecność książki w Bibliotece Narodowej w Warszawie i Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie.

Przystępna opłata za wydanie i jasne zasady wyceny – sprawdź w kalkulatorze kosztów.

i zaczęła się korespondencja:

2007-01-08

Szanowni Państwo,

moja książka wymagałaby dwóch typów czcionek dla rozróżnienia treści: tekst główny Times New Roman 11, komentarze Ariel 10 (jest to druga treść). Dialogi, jak w sztuce teatralnej muszą być poprzedzone imieniem (Times New Roman 8) Najchętniej przesłałbym czarno-białą ilustrację na okładkę z prośbą o wkomponowanie kolorowego tytułu, nazwiska itp.

Czy dla Biblioteki Narodowej i innych bibliotek Wydawnictwo drukuje dodatkowe egzemplarze, czy też trzeba przewidzieć je w egzemplarzach autorskich?

Pozdrawiam

*

Witam

Oczywiście nie trzeba się ściśle trzymać proponowanego przez nas kroju czcionki i jej rozmiaru, skoro wymaga tego kompozycja utworu. Przygotowanie okładki w proponowany przez Pana sposób jest w cenie wydania. Egzemplarze autorskie to pula przeznaczona wyłącznie dla Pana.

Przemysław Włodarski My Book – najkrótsza droga od autora do czytelnika

www.mybook.pl

wydawnictwo@mybook.pl

(Ale pominęli milczeniem, że oddadzą 2 egzemplarze do Biblioteki Narodowej).

*

2007-01-08

Przesyłam więc Państwu do wglądu plik z moją książką. Przewiduję 10 egz. autorskich. Ilustrację do okładki prześlę innym e-Mail'em. M. Sokołowski

Sent: Monday, January 08, 2007 8:35 AM

*

2007-01-16

Witam

Nadesłany tekst może zostać przez nas opublikowany. Załączam wzór umowy wydawniczej. Na żółto zaznaczone są fragmenty, których występowanie w umowie zależy od wybranych przez autora opcji. W przypadku zdecydowania się na skorzystanie z naszych usług prześlę link do formularza rejestracyjnego (dane potrzebne do sporządzenia umowy oraz późniejszych rozliczeń podatkowych). Wszystkie informacje na temat procedury wydawniczej (wymagania odnośnie przygotowania tekstu i okładki, kalkulator kosztów) można znaleźć w dziale „Dla autorów” naszego serwisu [www](http://www.mybook.pl).

*

2007-01-16

Dziękuję za pozytywną odpowiedź. W przesłanym wzorze umowy nie znajduję dyskusyjnych stwierdzeń. Proszę więc o wykonanie dalszych kroków. Rozumiem, że okładkę zdecydujemy później. O moich zamiarach na temat okładki pisałem wcześniej.

Sent: Tuesday, January 16, 2007 1:58 PM

*

2007-01-17

Mam jeszcze jedną kwestię. Chętnie umieściłbym na końcu mojej książki omówienie moich dotychczasowych kilkunastu książek napisanych w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Jest to o tyle istotne, że wszystkie moje książki stanowią cykl wzajemnie uzupełniających się treści. Byłoby to do 5 stron A4.

*

2007-01-17

Witam

Podaję link do formularza:

<http://www.mybook.pl/101/0/ed/856/access/b8e863b0242b5c2a47e78ee9e313a49f>

Po uzupełnieniu danych osobowych w „profilu” proszę wypełnić formularz „nowa książka” – link pod menu głównym dostępny po zalogowaniu. Na podstawie tych danych przygotowana będzie umowa. Liczba stron w „nowej książce” dotyczy książki już wstępnie sformatowanej wg wymagań redakcji.

Umowę wysyłamy listem poleconym do podpisu po otrzymaniu ostatecznej wersji tekstu, zatem jeżeli mają być jeszcze jakiegokolwiek zmiany czy uzupełnienia – proszę nanieść je i dostarczyć właściwy plik.

*

2007-01-17

Proszę wybaczyć, ale wypełniając „profil” coś źle wykonałem (mam 74 lata, może mnie to choć trochę usprawiedliwia) i po wpisaniu pierwszej cyfry telefonu formularz został przyjęty bez moich numerów telefonów. Gdy chciałem jakoś to uzupełnić, to znikł i dostęp do formularza „nowa książka” – tak że tego formularza w ogóle nie zdołałem wypełnić. Bardzo proszę o umożliwienie mi uzupełnienia tych danych. W załączeniu przesyłam ostateczny tekst mojej książki – jest to plik: samczy happening 2007.doc. Okładkę wyobrażam sobie jako jeden rysunek czarno-biały pokrywający frontową okładkę, grzbiet i tylną okładkę. Jest to rysunek urbanistyczny centrum Warszawy. Z załączonego pliku ZRCW.jpg należy wziąć w tym celu niezbędny fragment, proszę jedynie, aby na okładce znalazł się minimum obszar uwidoczniiony na pliku ZRCW 02.jpg Tytuł i nazwisko proponowałbym umieścić w dolnej części frontowej okładki. Kolor liter czerwony. Przyjmę i inne sugestie.

*

2007-01-20

Pragnę zaprezentować Telewizji "TRWAM" moją najnowszą książkę: Rosja – ostatnie imperium.

Nie było odpowiedzi.

*

2007-02-01

Redakcja My Book

Pragnę zapytać, kiedy otrzymam umowę do podpisu.

Pozdrawiam

*

2007-02-01

Witam

Nie dotarł do nas formularz „nowa książka” (link po menu głównym dostępny po zalogowaniu). Proszę wypełnić, bez tych informacji nie możemy wykonać wyceny, a tym samym wpisać końcowej kwoty w umowie.

*

2007-02-01

Czyli znów źle zrobiłem, bo 17 stycznia wypełniłem formularz, ale nie podałem ceny książki i myślałem, że formularz został wysłany. Przepraszam.

Przed chwilą wypełniłem nowy formularz i już widzę w poczcie potwierdzenie.

Dziękuję

*

2007-02-02

Witam

Załączam uzupełnioną umowę. Bardzo proszę o sprawdzenie poprawności danych i potwierdzenie, czy wszystko jest w porządku. Jeśli tak, w ciągu kilku dni prześlemy listem poleconym do podpisu. Jeden egzemplarz umowy proszę zatrzymać dla siebie, drugi – odesłać na adres wydawnictwa.

*

2007-02-05

Witam

Dziś wysłałam umowę. Zarówno tekst do korekty autorskiej jak i projekt okładki wysłałam do wglądu w postaci pliku pdf.

*

2007-02-10

Witam

Podpisaną umowę dziś przesłałem listem poleconym. Pieniądze przeleję 15 bm.

Pozdrawiam

*

2007-02-13

Witam

w dniu dzisiejszym przełałem na konto Wydawnictwa kwotę 1368zł. tytułem wydania książki Samczy happening.

Pozdrawiam

*

2007-02-15

Witam

Umowa i wpłata dotarły. Materiały do korekty autorskiej otrzyma Pan za ok. 4 tygodnie.

*

2007-02-15

Dziękuję.

Wydaje mi się, że będę miał trudności z korektą książki w formacie pdf – mam stary komputer (ram 64, procesor 233, Windows 98, Word 6). Czy mógłbym zrobić korektę na pliku doc? A może Pan coś zasugeruje w tej kwestii?

Ponadto przygotowuję kolejną książkę do druku, ale mam taki problem techniczny:

Książka zawiera kolorowe ilustracje w miejscu ich wstawienia. Wydawnictwo wymaga, aby kolorowe ilustracje były na końcu książki. Ja wolałbym, aby ilustracje były w miejscu ich wstawienia i dopuściłbym, aby ilustracje były czarno-białe. Jednak sam nie potrafię uczynić moich ilustracji czarno-białymi. Wolałbym zostawić je w pliku jako kolorowe i liczyć na uczynienie ich czarno-białymi podczas druku – tak jak to się dzieje z drukiem na drukarce czarno-białej. Proszę o radę. Pozdrawiam

*

2007-02-15

Korekty autorskiej nie nanosi się bezpośrednio na pliku edytowalnym – na tym etapie musimy mieć pełną kontrolę nad wprowadzanymi zmianami, więc autor przesyła tylko listę poprawek, podając nr wiersza i strony, a na tekst nanosi to redakcja.

Nie ma problemu, możemy przerobić na cz-b. Proszę ich w takim razie nie wstawiać do tekstu, tylko zaznaczyć miejsce, gdzie mają być – tzn. zamiast ilustracji wstawić w tekst samą nazwę pliku (mile widziane jakieś wyróżnienie, np. czerwona czcionka). Dobrze, gdy pliki są jakoś konsekwentnie nazwane, np. rys1.jpg, rys2.jpg. Skoro komputer nie najnowszy, to i będzie to też łatwiejsze dla Pana do obróbki, bo pliki z ilustracjami strasznie „puchną”. I dobrze byłoby, gdyby Pan najpierw na próbę przesłał jakąś ilustrację, bo nie wszystko się nadaje – może się okazać, że źle wyjdzie w druku.

*

2007-02-16

Dziękuję za sympatyczną współpracę i pomoc w moich problemach technicznych. Proszę pozwolić, że jeszcze zapytam w sprawie ilustracji do kolejnej książki. Książkę tę opracowałem kilka lat temu. Omawiane kolorowe ilustracje wstawiłem do pliku doc, a ich pliki jpg znikły. Obecnie będę mógł tylko przekazać Wydawnictwu, poza osobnym plikiem doc z treścią książki, zestaw samych kolorowych ilustracji (oczywiście ponumerowanych) w postaci pliku doc. Czy z takich ilustracji Wydawnictwo może zrobić czarno-białe ilustracje? W Word poprzez edycję obrazu zdołałem uzyskać rysunek czarno-biały, ale wydawał mi się wyraźnie gorszy. Próbę wykonałem na ilustracji banknotu z dawnych lat –załączam.

Pozdrawiam

*

2007-02-19

Jeśli tak, to nie ma co kombinować z numerowaniem – jeśli Pan ma to wszystko już powstawiane do pliku, niech tak zostanie. Jest to niewygodne o tyle, że z tak osadzonym plikiem już niewiele da się zrobić w sensie graficznym, więc głowy nie dam za jakość ilustracji w druku.

Idzie Pan dobrym tropem – można to zrobić w menu formatowania obrazu, z tym, że należy wybrać nie „czarno-biały”, ale „skala odcieni szarości” – i wtedy wyjdzie jak należy.

*

2007-02-28

Czy Wydawnictwo My Book w trakcie swoich prac redakcyjnych nad książką wykonuje: spis treści, indeks nazwisk, spis ilustracji?

*

Oczywiście, broń Boże proszę nie robić tego ręcznie w Wordzie! Co do indeksu, proszę tylko w oddzielnym pliku dostarczyć listę nazwisk do zindeksowania, nawet nie musi być w kolejności alfabetycznej.

*

2007-03-15

Witam.

Miałem przepełnioną skrzynkę pocztową i poczta do mnie nie docierała. Więc jeśli Państwo przysłali książkę do korekty, to nie otrzymałem. Przepraszam

*

2007-03-16

Witam

Dopiero co został skończony przegląd, więc na szczęście nic nam po drodze nie utknęło. Przesyłam tekst po przeglądzie redakcyjnym w dwóch wersjach:

- z naniesionymi na czerwono poprawkami: tekst usunięty jest przekreślony,

tekst wstawiony – podkreślony; podkreślenie na czerwono pojawia się także przy zmianach stylu czcionki np. z prostej na kursywę – z poprawkami naniesionymi, ale już bez czerwonych oznaczeń – jest czytelniejszy i pozwala się zorientować, jak będzie wyglądał w ostatecznej formie. Wszystkie zmiany w pisowni zgodne są ze słownikiem ortograficznym PWN, 2000. Jeżeli mamy nanieść jeszcze jakieś zmiany, to proszę podać numer strony, wiersza i opis poprawki do wykonania. Zmian nie ma wiele, parę drobnych usterek. Jednak w części, gdzie mamy zapis narad, proponuję jednak nieco ograniczyć stosowanie myślnika. Zdecydowanie Pan go nadużywa. Wiem, że istotna jest tu forma, że starał się Pan oddać specyficzny sposób mówienia – bez ładu i składu – ale np. urywanie tekstu i wielokropkiem, i jeszcze myślnikiem do tego to naprawdę nieco za dużo. W dialogach myślnika używa się albo do wprowadzenia kolejnego rozmówcy, albo do wtrącania komentarzy narratora, wypowiedzi pojedynczej osoby nie powinny być aż tak pocięte. Oczywiście może się Pan na tę propozycję nie zgodzić, jeśli zależy Panu na ścisłym zachowaniu pierwotnej formy. Ale wydaje mi się, że w niektórych miejscach naprawdę to bardzo utrudnia czytanie.

*

Potem przez szereg dni była korespondencja na temat szczegółów treści.

*

Teraz już książka może iść do druku, na co z utęsknieniem czekam (od trzydziestu lat). Bardzo dziękuję Pani za tak znaczący wkład w przygotowanie książki do druku. Mam nadzieję przesłać Wydawnictwu kolejną książkę, może wówczas zechce Pani ją też redagować.

Bardzo proszę o przesłanie mi na pamiętkę ostateczny plik doc książki.

Gorąco pozdrawiam

Ps. Ostatecznego pliku książki na pamiątkę nie dostałem – ano to już produkt o swej wartości dla Wydawcy.

*

2007-03-23

Witam,

ja już zobaczyłem metę. Dziękuję. Ostatnie uwagi przesyłam w załączeniu. Szkoda, że tak daleko z Warszawy do Szczecina, bo osobiście przyszedłbym podziękować.

*

2007-04-04

Redakcja My Book

Witam.

Czy mógłbym dowiedzieć się, kiedy moja książka (Samczy happening) wyjdzie z druku? To znaczy kiedy mogę liczyć na egz. autorskie? Zawiadomili mnie Państwo, że książka ukaże się w zapowiedziach księgarni – czy to jest w Internecie? Pozdrawiam

*

2007-04-04

Witam

Zapowiedź będzie jeszcze w tym tygodniu – nowości pojawiają się na stronie głównej www.mybook.pl. Do druku idzie po świętach, książki powinien Pan dostać przed końcem kwietnia.

*

2007-04-05

Uprzejmie informujemy, że książka „Samczy happening” została dzisiaj (2007-04-05) wprowadzona do sprzedaży (I ja w to uwierzyłem!). Egzemplarze autorskie zostaną wysłane w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

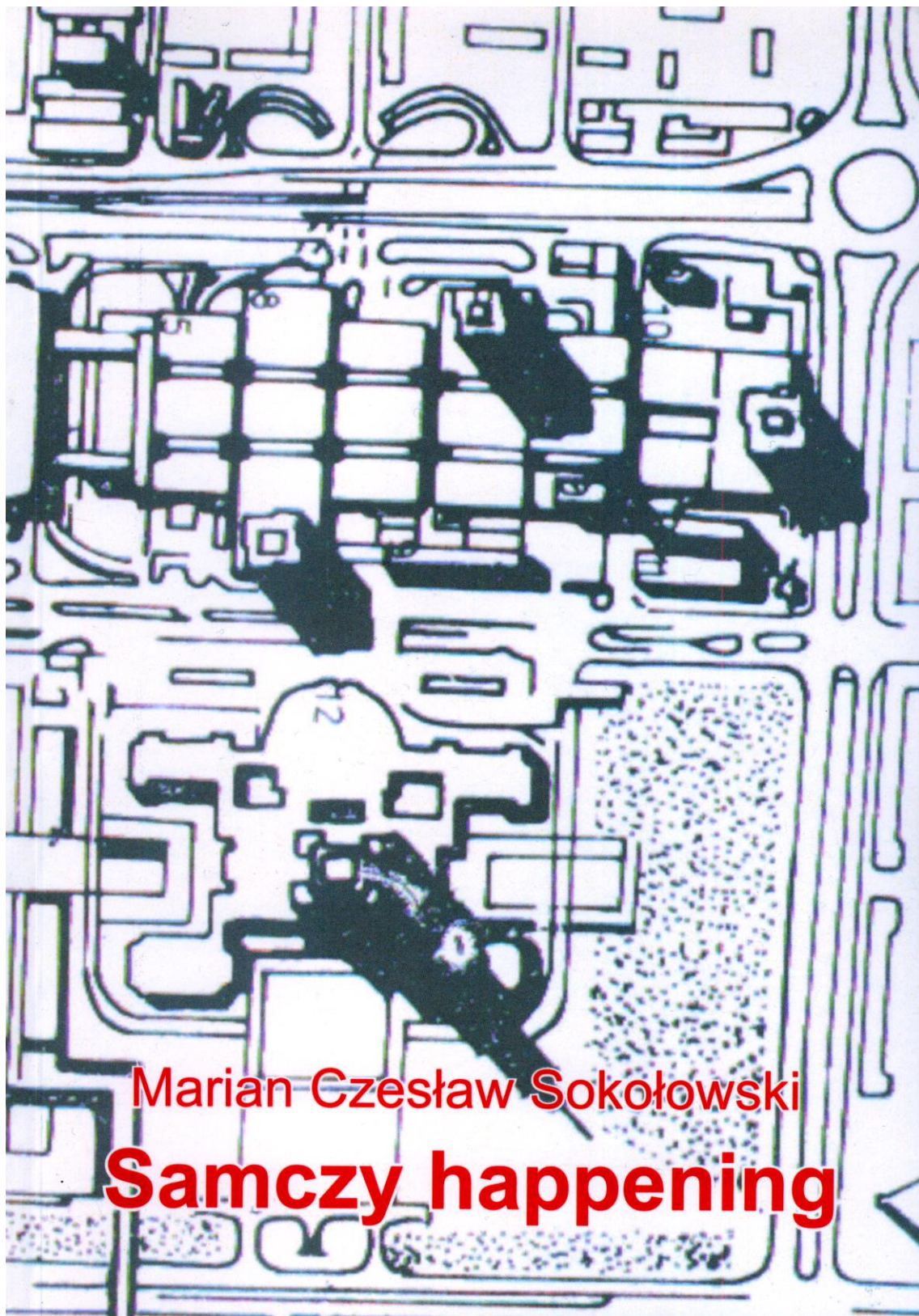
Wydawnictwo My Book

www.mybook.pl

wydawnictwo@mybook.pl

A więc po trzydziestu latach wreszcie coś mojego ukazało się drukiem w Polsce!

*



Marian Czesław Sokołowski
Samczy happening

2007-04-06

Bardzo dziękuję za wydanie mojej książki. Ponieważ jest to dla mnie wyjątkowo szczególne wydarzenie, muszę się z Państwem podzielić moimi refleksjami. Pierwszą moją książkę usiłowałem wydać w 1978 roku: był to Państwowy Instytut Wydawniczy, Czytelnik i jeszcze kilka – moja książka była nazbyt krytyczna jak na tamte czasy i nie znalazłem wydawcy. Będąc na kontrakcie w Afryce, przesłałem w 1982 roku fragmenty Czesławowi Miłoszowi. Byłem szalenie usatysfakcjonowany, gdy odpisał, że przesłane fragmenty są interesujące i dobrze pisane, sugerował wydanie w Paryskiej Kulturze. Wysłałem, ale strasznie naraziłem się Giedrojcowi, pisząc: że to literatura, jeśli zechce, może posługiwać się polityką, bo jest wyższa nad politykę, a niedopuszczalne jest, by polityka posługiwała się literaturą. Przedstawiłem w tym swój pogląd, zresztą nie wiem po co, a Giedrojc wziął to do siebie. Musiałem wracać do Kraju, bo nie wypuszczono mi jednej córki. Pisałem kolejne książki i szukałem wydawcy. Poruszyłem dosłownie niebo i ziemię, usiłowałem zainteresować biblioteki, przeróżnych wydawców, nawet partie polityczne – ale zaraz po 89. roku moje książki były zbyt mało krytyczne. Wśród wydawców szczególnie zapisało się w mojej pamięci Wydawnictwo Pruszyński – przesłałem im już trzy moje książki, a odpowiedzieli, że gdybym z tych trzech książek zrobił dwie, to może... – wyobrażacie sobie Państwo tak kretyńską odpowiedź? Lata moje stawały się coraz bardziej końcowe, więc sugerowałem Bibliotekom, aby wzięły moje rękopisy. Narodowa, okazało się, że nie przyjmuje książek nie wydanych, a Jagiellońska uzależniała od własnej oceny ich wartości, ale ponieważ pismo Jagiellonki zawierało błędy ortograficzne, orzekłem, że nie będzie ktoś taki oceniał mojego pisania. Wydawcy szukałem na wszelkie sposoby, nawet już wstępnie dogadałem się bezpośrednio z drukarnią, ale rozmyśliłem się, bo nie poradziłbym sobie z dystrybucją. Wreszcie postanowiłem i wydałem własnym sumptem wszystkie moje książki: kupiłem drukarkę, przeprowadziłem swoistą redakcję książek – aby dało się zszyc na poziomej stronie umieściłem strony 16 i 1, 2 i 15 itd. Tak powstały moje książki w trzech egzemplarzach, które ładnie mi oprawiono. Po jednym egzemplarzu. złożyłem w Bibliotece Narodowej, obok której mieszkam. Po dalszych poszukiwaniach wydawcy, dopuściłem do głosu powiedzenie, że „najtrudniej jest być prorokiem we własnym kraju”, rozesłałem wici po świecie – we wszystkim bardzo pomocny stał się Internet. Wreszcie ktoś z USA odpisał, że oni wydają książki w Polsce, bo znacznie taniej. Już tak dla porządku wpisałem w Google „wydawnictwo” i ku zaskoczeniu była oferta „My Book”. Tak to trzeba było trzydziestu lat, aby w wieku 74 lat, popełnić debiut. Więc niech powyższe będzie uzasadnieniem, jak gorąco Państwu dziękuję. Gdy tylko zgromadzę środki, zaoferuję Wydawnictwu kolejną moją książkę. Pozdrowienia

*

2007-04-16

Uprzejmie informujemy, że książki (zamówienie nr 780/07/0405) zostały dziś wysłane na adres: Marian Czesław Sokołowski Stefana Batorego 31 / 11 02-591 Warszawa Szczegóły zamówienia można sprawdzić pod adresem <http://www.mybook.pl/21/0> Dziękujemy i zapraszamy ponownie.

*

Jakoś byłem zaskoczony, że Wydawnictwo uważa, że wykonało zamówienie. Według mnie dopiero teraz miało rozpocząć się to najważniejsze, przecież tak obiecująco zapowiadane w internetowej reklamie Wydawnictwa: pojawienie się mojej książki w wielu księgarniach, z którymi Wydawnictwo współpracuje, reklama, wieczorki autorskie...

*

Jak nie było zainteresowania moimi książkami, to nie było przez dziesięciolecia, a tu nagle odezwał się drugi wydawca i to aż z Chicago!

2007-03-30

Witam panie Marianie.

Pani Krystyna z Polish News przesłała mi pana kontakt. Jestem wydawcą w Chicago. Zapraszam na stronę i zapoznanie się z warunkami. Dorota Silaj. <http://dsp.go.pl>

DSP Book Publishing jest wydawnictwem, którego właścicielką jest pisarka Dorota Silaj.

DSP przyjmuje książki różnych dziedzin, np. fikcja i rzeczywistość, powieści historyczne, bajki dla dzieci, książki religijne, książki kucharskie, książki naukowe i specjalistyczne, poradniki i przewodniki, albumy i pamiętniki.

Nie akceptujemy pornografii. Twoja książka dostanie numer ISBN i kod kreskowy. Za niewielką opłatą możesz mieć profesjonalnie wydaną publikację w Ameryce w języku polskim lub angielskim. Nasze wydawnictwo chce umożliwić polskim autorom mieszkającym w Polsce i na całym świecie wydanie książki z globalną dystrybucją.

Oferujemy:

profesjonalną okładkę do książki

darmowy tradycyjny marketing

umieszczenie książki w sklepach internetowych takich jak: Amazon, Barnes & Nobles, Booksamillion, Borders, Powells i wielu innych.

wysyłanie listów o twojej książce do magazynów, gazet i stron WWW

wypłacanie autorowi 40% zysków ze sprzedaży

odpowiednie sformatowanie tekstu

7 darmowych egzemplarzy publikacji

Korzyści wynikające z wydania książki u nas:

Globalna dystrybucja - książki są dostępne do zakupu w największych sklepach internetowych na całym świecie, np. Amazon.com, Barnes@Nobles.com, Yahoo, Powells, Half.com, Bigger books, Buy.com, Booksamilion, Abebooks, Textbooks Rus, Bestprice.com, A1 Books, Alibris, Valorebooks, Page one, eCampus i wielu innych.

Oszczędny system drukowania książek na żądanie (ang. print on demand) pozwala na wydruk określonej liczby publikacji w razie zamówienia, zmniejszając koszty wydania i produkcji (patrz: FAQ).

Zapewniamy wspaniałą współpracę.

Książki wydawane u nas są bardzo dobrej jakości.

Informacje o Tobie są zamieszczane w naszej gazecie ŚWIAT DSP.

Myślmy, że korzyści z wydania książki u nas są bardzo duże. Sam fakt, że twoja publikacja jest dostępna w tylu wspaniałych sklepach i księgarniach internetowych na całym świecie, mówi sam za siebie. Nie tylko dostajesz do ręki wydrukowaną książkę, lecz ludzie na całym świecie mogą ją wyszukać i zakupić. To z pewnością wielka satysfakcja dla autora.

Będziemy promować Twoje dzieło na całym świecie. Być może twoja książka zostanie wydana w Ameryce w języku angielskim i zdobędzie uznanie czytelników. My odnosimy sukces, gdy ty odnosisz sukces.

Przeczytaj: Jak wysłać i przygotować książkę do wydania?

Cennik publikacji w odcieniach szarości

Ilość stron	80	48 - 150	81 -	151 - 300	300 - 700
Cena za wydanie		\$500	\$700	\$900	\$1200
Dozwolone formaty		5" x 8"	5,5" x 8,5"	6" x 9"	7" x 10"

Cennik publikacji kolorowych

Ilość stron	47	4 - 80	48 - 200	81 -	201 - 480
Cena za wydanie		\$600	\$800	\$1000	\$1300
Dozwolone formaty		8,5" x 8,5" oraz 8,5" x 11"			

Sposób płatności

Zapłać za wydanie przy pomocy konta PayPal lub karty kredytowej »

*

Byłem w niebo wzięty! To dopiero będzie wydanie i rozpowszechnienie moich książek, a i dochody dla mnie ze sprzedaży godne uznania!

2007-04-02

Witam droga pani Doroto.

Bardzo dziękuję za list. Napisałem książkę, która może być wydana tylko w Pani Wydawnictwie. Takich możliwości technicznych Wydawnictwa szukałem. Książka będzie bestsellerem na wiele lat i zainteresuje nie tylko Polaków na świecie. Jest to historia imperium rosyjskiego napisana bez wszystkich dotychczasowych zakłamań i przemilczeń. Ludzie muszą poznać prawdziwą Rosję. Napisana jest metodą archeologiczną – najpierw omawia szczegółowo współczesność Rosji i potem krok po kroku cofa się w przeszłość, co pozwala na rozprawienie się z fikcjami, jakich w historii Rosji nie brak. Omawia te prawie sto narodów ujarzmionych do dziś przez Rosję. Przesiedlenia całych narodów liczonych w milionach ludzi. Opisuje i ilustruje przegrane współzawodnictwo Rosji z USA w kosmosie. Wiekowe zesłania milionów ludzi na katorgę syberyjską. Kolejne podboje terytorialne w Europie i w Azji prowadzone przez wieki. Dociera do początków Rosji i rozprawia się z dyskusyjnymi Rurykowiczami, z pochodzeniem nazwy Rus. Ustala rzeczywisty początek Rosji – znacznie późniejszy niż chce historia Rosji. No bo jeżeli Wielkie Księstwo Kijowskie dziesiątego wieku to historia Rosji, to gdzie jest historia Ukrainy? Przecież dopiero w osiemnastym wieku Ukraina została podporządkowana Rosji, a Kijów jest od tysiąca lat stolicą Ukrainy. Historia Rosji jest tak drastyczna, że nie musiała być napisana tendencyjnie, aby wykazać odwieczne okropieństwo Rosji. Przecież żaden z carów nie umarł śmiercią naturalną. Książka opiera się na historycznych opracowaniach wielu autorytetów ze świata. To triller wszech czasów! Wszystko to jest bogato ilustrowane kolorowymi zdjęciami, ilustracjami i mapami. Musi być wydane w największym formacie oferowanym przez Pani Wydawnictwo – wymagają tego mapy. Tak wielka treść pochłonęła 1600 stron, napisałem tę historię w czterech częściach, po około 400 stron każda. Książka została złożona do zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie. Napisana jest w Word 6.

Problem w tym, że jestem emerytem, polskim emerytem, a Pani wie, co to znaczy. Będę teraz szukał sponsora dla mojej książki.

Jeszcze raz dziękuję za Pani zainteresowanie i pozdrawiam Panią i całe Chicago.

*

2007-04-02

Panie Marianie, to rzeczywiście bardzo interesujący temat. Ja pomagałam w wydaniu wielu autorom wykorzystując do tego własne środki, ale nie mam w tej chwili funduszy. Chętnie wydam panu książkę, bo jest naprawdę interesująca, ale musi pan poszukać sponsora. Pozdrawiam serdecznie. Dorota Silaj

Sent: Friday, March 30, 2007 3:27 PM

*

2007-04-04

Droga Pani Doroto, oczywiście szukam sponsora, ale to trochę potrwa. Tymczasem chcę przygotować książkę do wydania. Moja książka jest obecnie w formacie A4 (210x297mm), a potrzebny format Letter (215,9x279,4mm). Spowoduje to konieczność

zmian redakcyjnych (rozmiar map, zdjęć itp.) Czy mam to sam zrobić, czy zrobi to Pani Wydawnictwo? Gdybym ja to robił, to proszę o rozmiar marginesów preferowanych przez Wydawnictwo. Dla ilustracji książki załączam po jednej karcie z każdej części książki. Pozdrawiam.

*

2007-04-04

Panie Marianie. Marginesy: marginesy: ok. 1 - 1,5 cm (= 0,4 - 0,6 INCH) Największy rozmiar dla książki w odcieniach szarości z kolorową okładką jest: 7" x 9" , a dla książek w kolorach 8,5" x 11". Czy to ma być miękka okładka czy twarda? Bo twarde okładki mogą mieć tylko jak na razie książki w odcieniach szarości, a książki kolorowe mogą mieć tylko miękkie okładki. takie są wymogi drukarni. To to są takie podstawowe dane, które będą panu pomocne. Pozdrawiam serdecznie. Dorota.

*

Tymczasem jednak katorzniczo przerabiałem te 1600 stron historii Rosji na wymagany format przez Wydawnictwo z Chicago – kilka miesięcy pracy.

Ale w domu pojawiły się poważne problemy. Spółdzielnia nasza sprzedała mieszkanie położone pod nami, wprowadzili się lokatorzy i zaczęli nam monstrualnie zatruwać życie.

*

Warszawa, 12 maja 2007 roku

Komisariat Policji Warszawa – Mokotów

Warszawa, ul. Malczewskiego 3/5/7

SKARGA

Zwracam się z prośbą o pomoc na uciążliwych sąsiadów. Sprawa dotyczy rodziny Państwa K zamieszkałych pod tym samym adresem mieszkanie nr 1 na parterze.

Już od szeregu lat jesteśmy dręczeni głośną nocną muzyką. Usiłujemy z tym wytrwać, ale już nie dajemy rady. Próbujemy interweniować, ale też bezskutecznie. Problem polega na tym, że od późnych godzin wieczornych do samego rana gra muzyka (z adapteru, może z taśmy), a że jest to zawsze współczesna młodzieżowa muzyka, to jest ona bardzo agresywna i uniemożliwia spanie. Zwłaszcza to słyszane przez całą noc „bum! bum!” walenia w bęben jest nie do wytrzymania. Ma to miejsce w zasadzie z piątku na sobotę lub z soboty na niedzielę, ale nie każdego tygodnia. W omawianym mieszkaniu są dwa gigantofony ponad metrowej wysokości. Gdy dziś nad ranem podkręcono głośnik, to stopami czułem, jak drży podłoga pode mną.

Rodzina ta składa się z matki, ojca, dwóch dorosłych synów, córki i babci. Rodzice prowadzą jakieś biznesy, stąd nie ma ich często w domu. Synowie porośli na potężnych chłopów i zwyczajnie ich się boję.

Parę lat temu podjąłem rozmowę z Państwem K w sprawie tej uciążliwości, ale ojciec tylko z rozbawieniem wyjaśnił mi: wie pan, my mamy drugi dom pod Warszawą

i gdy wyjeżdżamy tam na weekend, to synowie najwyraźniej robią sobie balangi. Rodzice nie przywołali swoje dorosłe dzieci do poszanowania ciszy nocnej.

Jesienią zeszłego roku żona moja nie wytrzymała i wezwała policję, ale ci przyszli do nas i wyjaśnili, że nie zostali wpuszczeni do tego mieszkania i że nic nie mogą zrobić z rozlegającym się hałasem. Jednak najwyraźniej policja wyjaśniła awanturującym się młodzieńcom, że to ta sąsiadka z góry wezwała policję, bo któregoś dnia młodszy syn dopadł nas i krzychał: „Ty wariatko! Policję na mnie wezwałaś? To ja ci teraz pokażę! Teraz będę grał do samego rana!” I tak się dzieje. Wczoraj balanga zaczęła się o 21³⁰, a skończyła dziś o 7¹⁰.

Specyfika tej uciążliwości polega na tym, że szereg lat temu wymieniono w budynku pionowy centralnego ogrzewania i w tym celu rozkuto stropy, tworząc duże otwory między mieszkaniami, a potem te otwory zatkało gazetami i narzucono tynk, tak że jest to tylko wizualna przeszkoda, ale dźwięki dobrze słychać. My mieszkamy nad omawianym mieszkaniem. Są to mieszkania narożne. Od dłuższego czasu te gigantofony zostały przeniesione do skrajnego pokoju, będącego tuż przy wejściu do budynku, tak że najbardziej my z żoną cierpimy; dla innych sąsiadów, oddalonych od źródła hałasów, może to być mniej uciążliwe.

Oboje z żoną jesteśmy emerytami. Ja mam 74 lata, jestem chory na serce. Żona ma 66 lat i leczy się na przewlekłą depresję. Te bezsenne noce są dla nas zabójcze. Właśnie dziś po takiej bezsennej nocy zdecydowałem się napisać niniejszą skargę. Nie jesteśmy jednak w stanie podjąć oficjalnej rozprawy sądowej, bo ja się bardzo łatwo denerwuję, nie potrafię już polemizować, tracę wątek, taką sprawę mogę przypłacić zawalem. Widocznie tak już musi zostać.

*

2007-05-29

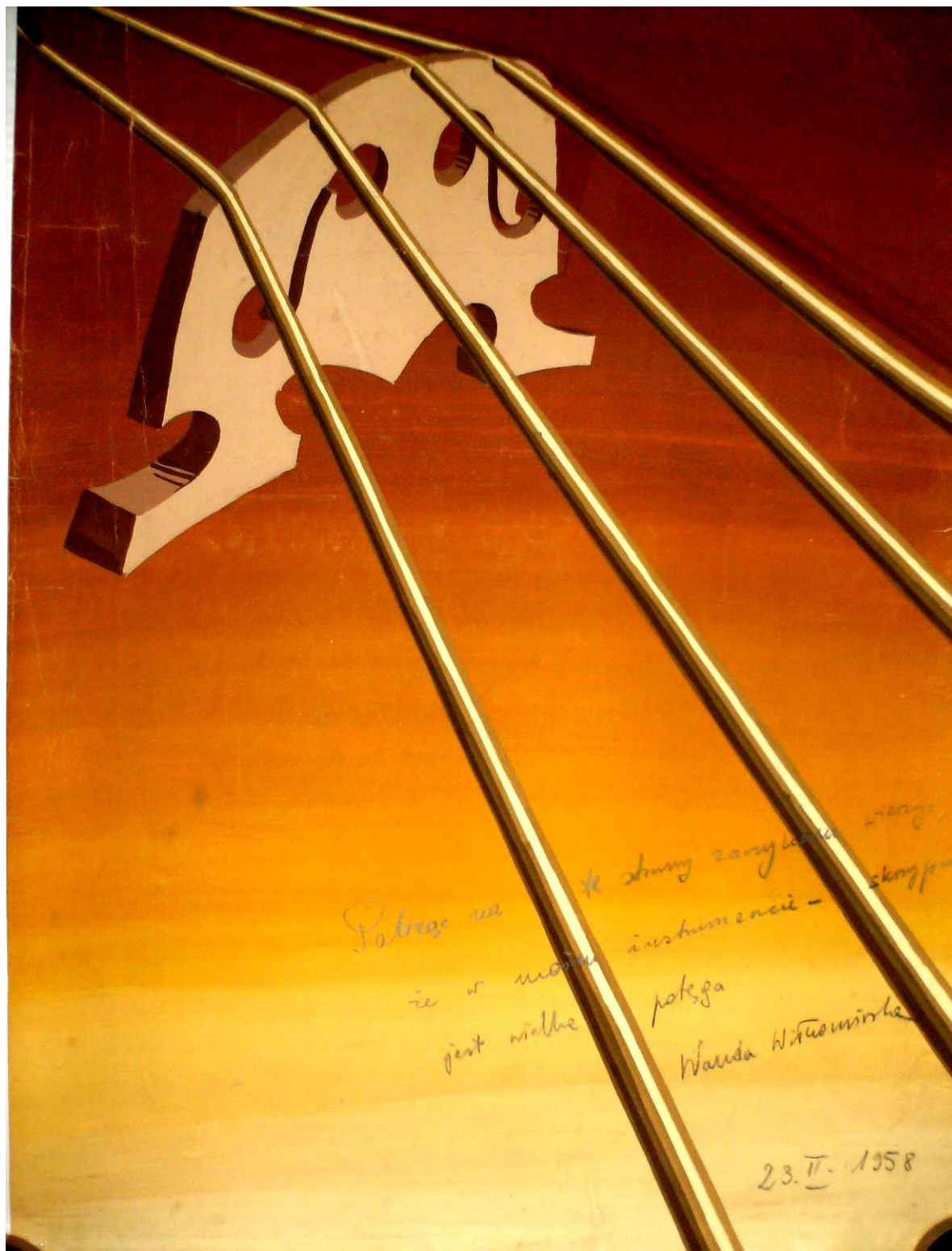
Galeria Plakatu polplakat@link2.pl

Galeria plakatu Wl. Orla www.polskiplakat.link2.pl

Pragnę zaoferować Państwu mój plakat, którego historia jest następująca: Od 1953 roku studiowałem architekturę na Politechnice Warszawskiej i mieszkałem w zespole domów akademickich znajdujących się między Placem Narutowicza i ulicą Mochnackiego. W pewnym okresie w gmachu głównym domu akademickiego organizowaliśmy poranki (zawsze w niedzielę w południe) muzyczno-literackie. Występowali aktorzy, muzycy. Jednej niedzieli Wanda Wiłkomirska dała koncert skrzypcowy. Robiłem wówczas plakaty na te poranki. W moich zbiorach zachowałem plakat z koncertu Wandy Wiłkomirskiej, która napisała na nim: „Patrząc na te struny zaczynam wierzyć, że w moim instrumencie – skrzypcach jest wielka potęga. Wanda Wiłkomirska 23.II.1958” Ten właśnie plakat, wykonany i istniejący w jednym egzemplarzu, pragnę zaoferować Państwu do zakupu. Wyceniam jego wartość na 20 tysięcy złotych. Wycena wynika z powodów prozaicznych. Przez trzydzieści lat pisałem coś w rodzaju literatury faktu i tych dwanaście książek pragnę wreszcie wydać drukiem, a tyle będzie to kosztowało. Czyli potrzebuję tyle pieniędzy lub też potrzebuję sponsora do wydania moich

książek, które poniekąd są literaturą, jak i plastyką, jak przystało na piszącego architekta. Sponsorowi przekażę ten unikalny plakat w darze. Wymiary plakatu: 67/47,5cm

pozdrawiam



29 maja 2007 11:18

polplakat@link2.pl polplakat@link2.pl

Cel jaki ma p. przed sobą – wydanie książek – bardzo ciekawy. Ale plakat mniej. Komercyjnie nie jest on wart tylu pieniędzy. Ja na sponsora się nie nadaję, życzę powodzenia w szukaniu dalej.

Z pozdro. w.o.

*

2007-06-04

Ten sam list do Muzeum Plakatu w Wilanowie jak do Galerii Plakatu, ale bez odpowiedzi.

*

Do Doroty Silaj w Chicago:

Droga Pani Doroto,

w kwietniu korespondowaliśmy w sprawie wydania mojej książki o historii imperium rosyjskiego – nad przygotowaniem do druku nadal pracuję i szukam sponsora. Tymczasem chciałbym wydać inną mniejszą moją książkę, na wydanie której mnie stać. Proszę więc o kilka informacji:

- Na jaki adres pocztowy mam przesłać podpisaną umowę.
- Czy można zapłacić przelewem na konto bankowe, jeśli tak to poproszę o numer konta, nazwę banku itp.
- Czy można zapłacić w złotych polskich.
- W umowie jest punkt, że autor winien załatwić sobie „copyright”, nie wiem, jak to się załatwia w Polsce, lub w USA.

Moja książka to powieściowe opisanie lat 1939 do 1956 w Polsce i nosi tytuł „Plus minus zero”.

Pozdrowienia

*

16 czerwca 2007 16:23

Re: wydanie książki

Dorota Silaj dsp2504@sbcglobal.net

Panie Czesławie, adres do mnie: Dorota Silaj 5305 N Delphia # 205 Chicago, IL 60656 USA

Dane banku (wszystko jest potrzebne): MID AMERICA BANK

Numer Konta: 604923998

Adres banku: 4350 N Harlem, Chicago IL 60706

Numer banku: 271971560

Użyczają numer SWIFT od HARRIS BANK : HATRUS44

Numer banku Harris: 071000288

*

I znów kilka tygodni korespondencji i szczegółowych ustaleń z Wydawcą w Chicago.

Ponieważ za te same pieniądze można było wydać do 700 stron, więc umieściłem jako trzy części: Plus minus zero, Debiut i Gag, a całości dałem tytuł „peta”.

*

Dorota Silaj

5305 N Delphia # 205

Chicago, IL 60656

USA

Pani Doroto,

Podpisaną przeze mnie umowę (2 egz.) wysyłam pocztą na wcześniej podany przez Panią adres w Chicago. Rozumiem, że drugi egz. Umowy podpisany przez Panią wróci do mnie do Warszawy. Tekst wysyłanej umowy zamieszczam poniżej.

Pieniądze – 600\$ za wydanie mojej książki przesyłam na Pani konto bankowe.

Moja książka pt. „peta” (z małej litery) zawiera 640 stron formatu A5, tj. będzie wydana w zbliżonym amerykańskim formacie 5”x8” lub 5,5”x8,5” w odcieniach szarości, czyli jako czarno-biała.

Tekst książki, który wysyłam, zawiera kilka ilustracji kolorowych, które proszę zamienić na odcienie szarości. Sam tego nie zrobiłem, bo zmiana na odcienie szarości znacznie zwiększa objętość pliku, a tak duży plik byłby dla mnie bardzo trudny do wysłania.

Proponowałbym twardą okładkę, jeśli inne względy nie przemawiają za miękką okładką. Moją propozycję okładki przesyłam wraz z tym e-mail.

Bardzo liczę na sprzedaż mych książek w USA przez Pani Wydawnictwo, bo to pozwoli mi na wydanie następnych książek.

UMOWA DRUKOWANIA NA ZAMOWIENIE - wydawnictwo Doroty Silaj.

Ta umowa (autorska umowa wydawnicza) jest standardową umową oferowaną autorom POD. Przez podpisanie tej umowy zgadzasz się ze wszystkim, co jest w tej umowie napisane. Ta umowa jest zawarta pomiędzy Wydawnictwem Doroty Silaj i autorem: Marian Czesław Sokołowski zamieszkującym ul. Stefana Batorego 31 m 11, 02-591 Warszawa, Polska – z respektem do jego pracy literackiej [tytuł książki] peta. Autor zezwala DSP na wydanie i promowanie jego książki na świecie.

PRAWA AUTORA:

Autor zezwala DSP [Dom Słowa Polskiego] na wydanie, reklamę i dystrybucję swojej książki w całości lub w częściach tak długo, jak ta umowa jest ważna.

Autor ma prawo do wydania książki w innych miejscach bez pozwolenia od DSP.

Autor zgadza się z ceną książki, jaka będzie ustalona przez DSP i będzie ustalona w dolarach amerykańskich.

Autor zezwala DSP na poprawę błędów gramatycznych i stylistycznych w swojej książce, oraz usunięcia z niej materiału typu: porno, rasowości i modyfikacji niektórych zdań, które korektor uzna za konieczne.

Autor zgadza się na publikację książki na stronie DSP lub innych linkach, jakie DSP posiada lub ma pozwolenie.

Autor poświadcza, że wysłana książka jest jego własnością i jest napisana przez niego. Zdobycie aktu własności, czyli rejestracja copyright jest odpowiedzialnością autora.

DSP nie odpowiada za zgubienie książki lub jej zniszczenie.

Autor może tą umowę anulować, dając znać do wydawnictwa DSP w ciągu 30 dni przed zamierzonym anulowaniem. Książka będzie wtedy ściągnięta ze strony i DSP poczyni wszelkie starania, aby nie była dostępna w sklepach takich jak: AMAZON, Barnes i nobes i innych posiadających książkę.

PRAWA DOROTA SILAJ WYDAWNICTWA:

DSP uwzględni imię i nazwisko autora na wysłanej do DSP książce. Na książce znajdzie się takie imię i nazwisko, jakie podał autor i autor nie ma prawa sądzić lub podejmować jakichkolwiek akcji przeciwko DSP w związku z jego imieniem.

DSP zgadza się, że autor może wydać książkę w innych miejscach, nie pytając DSP o zgodę.

DSP zgadza się wypłacać autorowi rekompensatę ze sprzedaży, która wynosi 40%.

DSP zgadza się nie dawać nikomu prawa do publikacji książki, jak też nie dawać żadnych osobistych danych autora żadnej instytucji.

DSP może opublikować książkę na stronie lub też ściągnąć ją z niej bez żadnego zapowiedzenia.

GWARANCJA:

Autor jak i DSP zgadzają się, że ta umowa może być rozwiązana z obu stron w ciągu 30 dni od podania pisemnego zgłoszenia przez e mail, telefon lub inną drogę kontaktu. Autor nie powinien uchylać się od umowy, chyba że da pisemne zawiadomienie w ciągu 30 dni.

REZYGNACJA Z DALSZEJ DZIAŁALNOŚCI:

Jeżeli DSP jest zmuszona zrezygnować z działalności z powodów finansowych lub innych powodów osobistych, autor będzie powiadomiony w ciągu 30 dni. Autor zgadza się, że nie ma prawa obciążać DSP żadnymi kosztami czy sądami.

ROYALTY:

DSP zgadza się wypłacać "royalty" ze sprzedaży w wysokości 40% co trzy miesiące: w marcu, czerwcu, wrześniu i grudniu. Cena produkcji książki nie jest uwzględniana.

*

Re: okładka i umowa

Pani Doroto,

przesyłam projekt okładki i tekst umowy, który wysyłam pocztą.

Zaraz przeleję 600\$ na Pani konto.

Pozdrawiam

Marian

Podpisana umowa przez Dorotę Silaj nie wróciła do mnie, ale orzekłem, będzie, co będzie.

*

2007-07-18

Państwo K

Ul. Stefana Batorego 31 m 1

02-591 Warszawa

Po raz kolejny uniemożliwili Państwo nam sen w nocy na skutek bardzo głośnej muzyki. Miało to miejsce w dniu 13 bm. (piątek) od godziny 23 do godziny 7 rano dnia następnego. Takie hałasy w Państwa mieszkaniu przez całą noc i to przy otwartych oknach są niedopuszczalne. Mamy prawo do spokojnego snu w nocy i sąsiedzi nie mogą nam go zakłócać. Słuchanie przez osiem godzin głośnego walenia w bęben doprowadza nas do skrajności. Zwracam uwagę, że robią to Państwo w pełnej świadomości i z chęci dokuczenia nam. Jest to sadyzm, który zapowiedział syn Państwa wykrzykując parę miesięcy temu w obecności Państwa i przy świadkach do mojej żony: „Ty wariatko,

policję na mnie wezwałaś, myślałaś, że mi policja coś zrobi! To teraz ci pokażę! Będę grał tak mocno przez całe noce”.

Usiłowaliśmy jakoś to ścierpieć, ale miesiąc temu znów wezwaliśmy policję i jednak hałaśliwa muzyka w Państwa mieszkaniu została wyłączona. Przecież trwa to już od paru lat. Co któraś noc z piątku na sobotę jest bezsenna, ale zdarza się to i w innych dniach. Swego czasu rozmawiałem z Panią i Panem i prosiłem, aby takie hałaśliwe libacje w nocy zostały zaniechane. Nie odniosło to żadnego skutku. Nie wzrusza Państwa Wasze niewłaściwe zachowanie wobec nas. Korzystacie z tego, że jesteśmy starymi ludźmi, którym można tak łatwo dokuczać.

Bardzo proszę o dobrosąsiedzkie potraktowanie problemu i definitywne zaprzestanie tych szykan wobec nas. W przeciwnym razie będziemy walczyć wszelkimi dostępnymi nam środkami o respektowanie naszych praw.

*

19 lipca 2007 04:53

sugestie@merlin.pl <sugestie@merlin.pl>

Szanowni Państwo,

jestem autorem kilkunastu książek, powieści, literatury faktu. Są to książki o warszawskich wydarzeniach, o życiu w PRL. Obecnie została wydana moja pierwsza książka pod tytułem „Samczy happening”.

Pragnę zapytać, czy Merlin mógłby przyjąć tę książkę do sprzedaży.

Łączę pozdrowienia

*

19 lipca 2007 05:05

marketing@empik.com <marketing@empik.com>

Jak wyżej

*

23 lipca 2007 05:05

Pani Doroto,

proszę o wiadomość, czy 600\$ wpłynęły na Pani konto i czy otrzymała Pani umowę na wydanie mojej książki.

Pozdrawiam

Marian

Tak, panie Marianie, otrzymałam. Jak książka będzie gotowa, to prześlę do wglądu. Pozdrawiam. Dorota

*

23 lipca 2007 08:20

My book redakcja <rdakcja@mybook.pl>

Witam,

przygaszony brakiem zainteresowania moją książką naiwnie wysłałem poniższy list. Co Państwo sądzą o sprzedaży przez Merlin?

Pozdrawiam

Marian Czesław Sokołowski

Ps. Nadal nie jestem w stanie sfinansować wydania mojej kolejnej książki.

*

2007-07-27

Marriott Hotel

Aleje Jerozolimskie 65/79

00-697 Warszawa Poland

Szanowni Państwo,

W latach siedemdziesiątych pracowałem przy projektowaniu Hotelu Marriott. Wydarzenia z tym związane były tak szczególne, że napisałem o tym powieść. Nosi ona tytuł: Samczy happening. Obecnie została ona wydana. Wychodząc z założenia, że nie każdy hotel ma swoją powieść, pragnę przekazać Hotelowi Marriott tę książkę. Myślę nawet, że taka powieść mogłaby leżeć w każdym pokoju Hotelu jako stały rekwizyt.

Gdyby mój list zainteresował Państwa, proszę o wiadomość na adres:

marian.sokolowski@acn.waw.pl , wówczas osobiście przyniosę egzemplarz autorski.

*

29 lipca 2007 17:40

listy@nbp.pl <listy@nbp.pl>

Jeśli Narodowemu Bankowi Polskiemu nie jest wstyd za taką elewację, to mnie jest wstyd za taką wizytówkę Stolicy.



Narodowy Bank Polski, Warszawa, 2007 rok

*

1 sierpnia 2007 18:35

rzecznik@mkidn.gov.pl <rzecznik@mkidn.gov.pl>

Do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

W TV usłyszałem, że będzie konkurs na książkę historyczną. Gdzie można się coś więcej dowiedzieć?

*

Coś mnie podkuśiło i wziąłem udział w losowaniu zielonej karty na stały wyjazd do USA i oto konsekwencje:

2 sierpnia 2007 07:50

USAFIS Green Card Program usafis@usafisnews.org

marian.sokolowski@acn.waw.pl, You accepted to receive messages from USAFIS Organization on the following date:7/4/2005 12:17:52 AM

For reference, your computer IP was recorded to confirm your registration as: 212.76.33.68

Don't hesitate to contact the USAFIS Organization through our online contact form

If you want to PERMANENTLY remove yourself from receiving any email communication,

Please Use this link

if you can't see this email, please use this link.

Dear marian.sokolowski@acn.waw.pl,

Congratulations,

According to the information you have provided when registered at one of Usafis organization's websites, you are approved to complete your American Green Card Lottery form.

Use this link to complete your application your chance to live and work in the USA.

More about the Program:

- Official US Government program, Congress approved 50,000 people and their families will live and work in the USA
- Your chance to become American
- Easy online registration and assistance in every step
- Double chances for married people. Use this link to register with Usafis organization to be included in this year program Kind Regards Usafis Organization Eligibility Department Usafis Organization

You accepted to receive messages from USAFIS Organization on the following date: 7/4/2005 12:17:52 AM For reference, your computer IP was recorded to confirm your registration as: 212.76.33.68 Don't hesitate to contact the USAFIS Organization through our online contact form, just use this link To discontinue receiving messages from USAFIS Organization, please send a blank email to the following address: unsub-umbfbwmfwzqaqpdw@usafisnews.org

OR Send a postal request to: USAFIS Organization, 2576 Broadway # 443 New York, NY 10025 U.S.A

W Internecie dostałem reklamę, że można wziąć udział w dorocznym losowaniu 50 tysięcy zielonych kart na pracę i stały pobyt w USA. Niezupełnie dla żartów odpowiedziałem, a potem zreflektowałem się, że dla mnie to już grubo za późno. Oni jednak długo upominali się, abym przysłał szczegółowe dane.

*

2 sierpnia 2007 10:19

Re: konkurs na książkę historyczną

Witam

Szanowny Panie

Nie umiem Panu odpowiedzieć na to pytanie – może Instytut Książki w Krakowie lub proszę zajrzeć na stronę www.nck.pl.

Pozdrawiam serdecznie

Wydział Prasowy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

To: rzecznik@mkidn.gov.pl

*

----- Original Message -----

From: MHRS, Warsaw Poland GMS

To: marian.sokolowski@acn.waw.pl

Sent: Friday, August 03, 2007 2:01 PM

Subject: Zaproszenie

Szanowny Panie,

Dziękuję za nadesłany list z dnia 27.07.2007. Ze względu na nieobecność w biurze nie miałam możliwości wcześniejszego kontaktu z Panem.

Będzie nam niezmiernie miło móc otrzymać egzemplarz autorski Pana powieści. Serdecznie zapraszam do hotelu w przyszłym tygodniu, najlepiej w godzinach popołudniowych. Proszę o wskazanie dogodnego dla Pana terminu.

Pozostając z poważaniem, A. K.

Personal Assistant to General Manager Warsaw Marriott Hotel

Al. Jerozolimskie 65/79 00-697 Warsaw, Poland Tel: +48 22 630 5230

Fax: +48 22 629 8810

agnieszka.kozlowiecka@marriott.com www.marriott.com/WAWPL

*

3 sierpnia 2007 17:59

Szanowna Pani,

dziękuję za zainteresowanie moją książką. Jeśli Pani to będzie odpowiadało, to proponuję, że zgłoszę się w najbliższy poniedziałek o osiemnastej.

Pozostając z szacunkiem

*

5 sierpnia 2007 16:56

Ps. Książkę zostawię w recepcji Hotelu na Pani nazwisko. MCS

*

----- Original Message -----

From: MHRS, Warsaw Poland GMS

To: Marian Sokołowski

Sent: Monday, August 06, 2007 9:44 AM

Subject: RE: Zaproszenie

Witam serdecznie,

Dziękuję za odpowiedź. Jeśli nie zmieniły się Pana plany odnośnie dzisiejszej wizyty będzie mi niezwykle miło móc osobiście spotkać się z Panem o zaproponowanej godzinie. Będę oczekiwać Pana w pobliżu recepcji lobby hotelowego.

Z poważaniem, A. K.

*

6 sierpnia 2007 12:24

Dziękuję, będę. MCS

Świetnie, do zobaczenia w dniu dzisiejszym o godz. 18.

Agnieszka

Byłem, było bardzo nobliwie. Usiedliśmy w restauracji Hotelu przy lampce wina. Pani potrafiła prowadzić konwersację, ja zwyczajnie wyjaśniałem, że taki Hotel, taka sytuacja to nie mój świat; mówiłem o moim klasztorze domowym, który pozwala mi pisać. Też miałem dużo do powiedzenia, a właściwie do opowiadania; potem wręczyłem „Samczy happening”; pani zapowiadała przy pożegnaniu kolację w niedługiej przyszłości...

Po staremu na tym się skończyło – moja książka i ja znów nie znaleźliśmy uznania, a ja po staremu zacząłem wracać na ziemię. Jakoś nie widziałem mojej książki w księgarniach. Szukałem wyjaśnienia u wydawcy.

*

----- Original Message -----

From: "Wydawnictwo My Book" <wydawnictwo@mybook.pl>

To: <marian.sokolowski@acn.waw.pl>

Sent: Tuesday, August 07, 2007 3:23 PM

Subject: dystrybucja

Szanowny Panie

Przekazano mi informację o problemach z zamówieniem książki przez księgarnie, których adresy podajemy na naszej stronie internetowej. Za dystrybucję tą drogą odpowiada firma Sowa sp. z o.o., są to ich księgarnie partnerskie: <http://www.wyczerpane.pl/partnerzy.php> Nasza oferta u „Sowy” jest na bieżąco aktualizowana:

http://www.wyczerpane.pl/wyczerpane/publisher/25_my_book.html

Proszę o podanie konkretnych księgarni, w których dowiadywał się Pan o możliwość zakupu książek wydawnictwa My Book – i jakich mniej więcej informacji udzielili. Postaram się interweniować u dystrybutora, choć jeśli był to wynik rażącej niekompetencji sprzedawców, pewnie trudno mi będzie coś zaradzić. Mnie samemu ostatnio, na prośbę o jakiś poradnik dla majsterkowiczów dotyczący drobnych napraw i własnoręcznego remontu sprzedawczyni w Empiku zaproponowała „Budownictwo ogólne” (podręcznik akademicki dla studentów budownictwa i architektury)...

Wydawnictwo My Book www.mybook.pl

*

9 sierpnia 2007 10:35

Szanowny Panie,

w związku z pana listem wysłałem zapytanie o moją książkę (Samczy happening) do księgarni wykazanych przez Wydawnictwo Sowa w województwie mazowieckim. Oto odpowiedzi z wyłączeniem księgarni specjalistycznych:

- Czuły Barbarzyńca Księgarnia i Klub, Warszawa – bez odpowiedzi
- Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa, Warszawa – można zamówić, dostawa za 3 tygodnie
- Księgarnia Antykwariat "HIT" Warszawa – radzą zamówić przez My Book.
- Księgarnia Centrum, Ostrołęka – bez odpowiedzi
- Księgarnia Faber i Faber, Warszawa – nie mają
- Księgarnia Psyche, Warszawa – bez odpowiedzi
- Księgarnia Świat Zofii, Warszawa – bez odpowiedzi
- Księgarnia XLM, Warszawa – bez odpowiedzi
- MID Zdzisława Lisowska-Zgoła, Warszawa – radzą zamówić przez My Book
- Sowa Sp. z o.o. Warszawa – można zamówić

Jak z powyższego wynika, nigdzie w Warszawie książka nie leży na ladzie, a jedynie jeśli się wie, czego się szuka, to można zamówić przez Internet, najlepiej w My Book.

Pozdrawiam

*

----- Original Message -----

From: "Wydawnictwo My Book" wydawnictwo@mybook.pl

To: "Marian Sokołowski" marian.sokolowski@acn.waw.pl

Sent: Thursday, August 09, 2007 10:59 AM

Subject: Re: dystrybucja

Ale plama, przepraszam! Wysłałem list nie pod ten e-mail co należało – miał pójść do osoby, która telefonicznie zgłaszała problem z księgarniami, a mailem miała dosłać konkretne adresy. W życiu nie przyszłoby mi do głowy, żeby „zatrudnić” autora do sprawdzania księgarń. Niestety przy okazji zapoznał się Pan też z tym, jak wygląda kultura biznesu w Polsce: nieodpowiadanie na e-mail to smutny standard.... Jeszcze raz przepraszam za zamęt.

Wydawnictwo My Book www.mybook.pl

*

14 sierpnia 2007 04:34

wydawnictwo@mybook.pl <wydawnictwo@mybook.pl>

Witam,

Jeszcze w sprawie dystrybucji: moja książka w My Book kosztuje 26 zł, natomiast pośredniczące w dystrybucji Wydawnictwo Sowa żąda już za nią 33 zł w swej sprzedaży internetowej, czyli podniesienie ceny o 27% za samo pośredniczenie to jest dużo, a wydaje się, że księgarnia partnerska Sowy też zwiększy cenę, jeśli sprowadziła by książkę na swoje lady. Taka cena końcowa musi być anty-promocją naszych książek – to przykre dla autora. Przykładowo dla promocji książki byłbym skłonny zrezygnować z mojego zysku, gdyby na ladach księgarń moja książka znalazła się w cenie odpowiednio niższej. Rozumiem jednak bezwzględność cen pocztowych i trzeba się pogodzić z przyjętym systemem dystrybucji oraz z wielką konkurencją na rynku wydawniczym.

Pozdrawiam

*

14 sierpnia 2007

Witam

We wszystkich księgarniach do naszej ceny dochodzi 7 zł za dostawę (niezależnie od wartości książki – nie jest to marża procentowa). A marżę biorą swoją drogą (20% księgarnia, 10% Sowa + Sowa zarabia jeszcze na druku tych książek). W efekcie z tego kanału zysk mam raczej symboliczny. Ale gdybyście chcieli mieć książkę na ladzie, jest jeszcze gorzej – marża hurtowni to 50% (oczywiście nie wszystko to zysk hurtowni; to jest kwota do podziału między hurtownika i księgarnię), a więc jest to wykonalne tylko przy bardzo dużych nakładach, gdzie druk kosztuje ledwie parę procent końcowej ceny książki. Jak Pan widzi, nic, tylko być handlarzem, i to niestety często takim, który ma mizerne pojęcie o tym, co sprzedaje: gwoździe czy książki, wszystko mu jedno.

Wydawnictwo My Book

*

----- Original Message -----

From: Marian Sokołowski

To: iee_saw@zigzag.pl

Sent: Friday, August 24, 2007 12:11 PM

Subject: recykling

Mam działające, ale niepotrzebne:

- ploter rolkowy pisakowy formatu A1 Roland CRX-300
- komputer stary
- monitor stary 14 cali
- drukarka czarno-biała Minolta PagePro 1200W
- myszki
- klawiatury
- telefony stare

Czy to przyjęliby Państwo?

Pozdrawiam

*

27 sierpnia 2007 17:03

widzowie@tvp.pl <widzowie@tvp.pl>

Szanowna Telewizjo nasza!

Proszę o zajęcie się bardzo ważnym problemem komunikacyjnym. Często jeżdżę do Legionowa. Aż miło patrzeć, jak postępują prace nad ominięciem Jabłonna, jak sze-

roki wielopasmowy będzie przejazd przez samo Legionowo, to jest podejście prawdziwie gospodarskie. Również z Warszawy jedzie się doskonale w kierunku Legionowa. Niestety, około siedemset metrów przed granicą Warszawy jest straszne, wąskie gardło komunikacyjne – jeden pas ruchu z Warszawy i jeden pas ruchu w kierunku Warszawy. I te siedemset metrów wieloletniej katorgi kierowców nadal ma zostać! Warszawa nie wychodzi naprzeciw i nie buduje swojego odcinka, do swojej granicy. Aż strach pomyśleć, jakie teraz będą tu korki, gdy łatwo przejedzie się przez Legionowo z ominięciem Jabłonny i gdy trzy pasy ruchu ze strony Legionowa zderzą się z trzema pasami ruchu ze strony Warszawy i wszystko to zostanie wtłoczone w pojedyncze pasy ruchu, a ile tu będzie wypadków! Dlaczego nikt nie dostrzega problemu? Ratuj Telewizjo!

Pozdrawiam

*

28 sierpnia 2007

Anna.Luka@waw.tvp.pl Anna.Luka@waw.tvp.pl

Szanowny Panie,

prośba o interwencję zostanie przekazana zgodnie z kompetencjami.

Pozdrawiamy - Redakcja TVP S.A. Oddział w Warszawie

*

29 sierpnia 2007 14:39

electronics iee_saw@zigzag.pl

Re: recykling

Witam !

Przepraszam że dopiero teraz odpisuję, kolega który zajmuję się pocztą jest na urlopie.

Oczywiście że odbierzemy od Pana ten sprzęt, nie podał pan telefonu kontaktowego więc proszę o kontakt telefoniczny ustalimy termin odbioru.

Z poważaniem

*

31 sierpnia 2007 06:28

Dorota Silaj <dsp2504@sbcglobal.net>

Pani Doroto,

pragnę zapytać, jak postępuje praca nad wydaniem mojej książki pt. „peta” i kiedy można oczekiwać wydania jej.

Gorące pozdrowienia

*

Panie Marianie, jeszcze ją robimy, ale już niedługo prześlę do wglądu.

Dorota

*

Z sąsiadami z dołu jest coraz gorzej. Coraz większa wojna. Policja się nie zajmuje skutecznie. Po poważnej dyskusji postanowiliśmy się wyprowadzić. Oceniliśmy, że najlepiej będziemy się czuli w Legionowie – małe miasteczko, blisko na działkę w Wieliszewie, a i do Warszawy bez problemów dojeżdża się warszawskimi autobusami. Oglądaliśmy już jedno mieszkanie, ale było małe.

*

4 września 2007 16:21

Gosia 3 <Malgorzata.Kwiecien@ingnn.pl>

Byliśmy dzisiaj w Legionowie i znaleźliśmy mieszkanie. Jest obok tego oglądanego, w tej poprzecznej uliczce, przez którą szliśmy. Na I piętrze, 55m², 2 pokoje, cena 338 tys. zł. W nim brakuje drzwi wejściowych i parapetów, więc nie dużo zostało im do zrobienia, tak że może być nawet w listopadzie. Okna wychodzą na ten oglądany budynek i na południe.

Do tego mieszkania należą balkon i okno na I piętrze po prawej stronie zdjęcia. Okno jest z kuchni, a balkon z dużego pokoju. Od wschodu jest okno drugie z salonu i od drugiego pokoju, tak że widać z nich dróżkę do mieszkania uprzednio oglądanego.

Metraż 55,7m², pokoje 20m², 12m², kuchnia widna 10m², łazienka z wc 5m², hall 8,5m², balkon 4m². Nie ma gazu. Jest garaż. Podoba nam się. Będziemy jeszcze cenę targować i rozpoznawać stan prawny, choć podają, że jest księga wieczysta.

tata

*

5 września 2007 15:29

BiuroNieruchomościRzetelność_Legionowo rzetelnosc_leg@wp.pl

Centrum / Piłsudskiego-róg Dietricha.

Witam !

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami wysyłam Panu rzuty mieszkania i garażu. Termin oddania inwestycji przewidziany jest najdalej do końca roku 2007r (nieoficjalnie dowiedziałam się, że będzie to najprawdopodobniej w listopadzie). Sprzedający po podpisaniu umowy przedwstępnej może poczekać na sfinalizowanie transakcji nawet do przyszłego roku. Wymagany zadatek przy umowie w przybliżeniu 10 % wartości nieruchomości. Ostateczna cena obejmująca nieruchomość lokalową oraz stanowisko w garażu podziemnym wynosi 335 000 zł.

Pozdrawiam

*

6 września 2007 09:55

BiuroNieruchomościRzetelność_Legionowo <rzetelnosc_leg@wp.pl>

Witam.

Dziękuję za przesłane rysunki, dają one pojęcie o dalszych szczegółach zawieranej transakcji. Propozycja ta w zasadzie spełnia nasze architektoniczne i urbanistyczne oczekiwania. Rozumiem, że negocjacje nad ceną nadal trwają. Proponowałbym zorganizowanie bezpośrednich rozmów ze sprzedającym, najlepiej w siedzibie Agencji i z Jej czynnym udziałem. Bardzo odpowiadałoby nam, gdyby takie spotkanie odbyło się we wtorek lub środę w godzinach wieczornych. Do tego czasu chciałbym dokonać dalszych rozpoznań formalnych, czyli prosiłbym o przesłanie (również w e-Mail) kopii umowy, jaką zawarł pierwotny kupujący z inwestorem (spółdzielnia, wykonawca). W dokumencie tym, jeśli wola, można zamazać cenę nabycia. Ja chciałbym poznać, do czego zobowiązały się strony względem siebie. Przedmiotem naszej transakcji jest cesja na zakup mieszkania, stąd wymagane byłyby pewne jednoznaczne stwierdzenia, jak to, że nabywca wpłacił sprzedającemu całą kwotę wartości mieszkania, że cesja ta nie jest obciążona żadnymi zobowiązaniami i długami wobec osób trzecich, że na jej podstawie nie zaciągnięto żadnych np. kredytów ją obciążających, że przedmiotowa cesja jest prawnie dopuszczalna. Dla mnie jako kupującego będzie ponadto istotne ocenie przed zawarciem obecnie negocjowanej umowy – na ile inwestor podniesie cenę mieszkania w chwili przekazywania kluczy do mieszkania oraz o ile może wzrosnąć inwestorska cena mieszkania po ostatecznym rozliczeniu kosztów inwestycji, co zwykle ma miejsce po kilku miesiącach od zakończenia robót budowlanych. Takie kwestie są ważne, bo inwestycja jest prowadzona w okresie znanego wszystkim szalonego wzrostu cen materiałów budowlanych. Wszelkich płatności najchętniej dokonywałbym przelewami na konto. Tak więc zaliczkę (~ 10%) przelałbym w ciągu kilku dni po zawarciu umowy kupna-sprzedaży, a pozostałą kwotę w ciągu kilku dni od zgłoszenia przez sprzedającego możliwości przekazania kluczy do mieszkania wraz z niezbędnymi prawnymi dokumentami upoważniającymi mnie do stania się nowym właścicielem mieszkania, co byłoby podstawą zawarcia aktu notarialnego i dokonaniu wpisów do księgi wieczystej. Również Agencję prosiłbym o określenie ostatecznych kwot jej należnych, gdyż przy podpisywaniu naszej umowy zgodnie stwierdziliśmy, że 2% prowizji jeszcze może być obniżone. Proszę również o przesłanie projektu umowy, jaką Państwo stosują przy kupnie – sprzedaży mieszkania.

Jeśli w czymś się mylę, bądź o czymś zapominam, to proszę o poprawienie mnie, bo przecież nie jest moją profesją handel mieszkaniami.

Pozdrawiam

*

6 września 2007 13:26

Zosia <zsokolowska@tiscali.nl>

Wiele wskazuje na to, że zdecydujemy się na opisane poniżej mieszkanie w Legionowie. Mieszkanie jest budowane obok tej szkoły z fioletowo-różowym dachem

i obok przystanków autobusowych, na których przesiadaliśmy się w drodze do Warszawy.

Na I piętrze. Metraż 55,7m², pokoje 20m², 12m², kuchnia widna 10m², łazienka z wc 5m², hall 8,5m², balkon 4m². Nie ma gazu. Jest garaż pod budynkiem.

Jeżeli nie otrzymasz poniższych rysunków, to daj znać.

ucałowania mama i tata

*

6 września 2007 13:47

Kochani,

Dziękuję za wiadomość. Wygląda interesująco! Nie jestem pewna czy to dobrze pamiętam, ale chyba mieszkanie na Batorego też jest mniej więcej takiej wielkości. Czy kuchnia będzie z wyposażeniem? Czy musicie sami to zorganizować? Chyba obrazek z garażem jest dla mnie nie widoczny ale to nie jest takie istotne. Nie rozumiem też uwagi tej pani że sprzedający może poczekać nawet do przyszłego roku. Czy to w związku ze sprzedażą starego mieszkania? Zadzwoń do was jak będę miała chwilę.

With kind regards,

Zosia

Mitsubishi Motors Europe - Supply Management

Tel. +31-(0)20-44-68-273 Fax +31-(0)20-44-68-110

z.sokolowska@mitsubishi-motors-euro.com

*

6 września 2007 15:49

Witam!

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami wysyłam Panu e-maila potwierdzającego naszą dzisiejszą rozmowę telefoniczną.

Proponuję spotkanie w biurze nieruchomości we wtorek 11-09-2007r o godz.19. Na spotkaniu obecny będzie Sprzedający. Umowa zawarta pomiędzy Spółdzielnią a kupującym zostanie przedstawiona na wtorkowym spotkaniu.

Nie wysyłam także projektu umowy sprzedaży, którą my proponujemy przy transakcjach, ponieważ w tym przypadku najlepszym zabezpieczeniem kupującego jest Akt Notarialny. Cesja praw i obowiązków z umowy zostaje zawarta w formie Aktu Notarialnego.

Spółdzielnia zobowiązana jest wydać dokument potwierdzający, że przedmiotowa cesja jest prawnie dopuszczalna, a kupujący wpłacił całą kwotę ceny na dany lokal. Co do dopłat związanych z ostatecznym rozliczeniem inwestycji należało by określić, kto będzie ponosił koszty.

Proponowane formy płatności (zadek oraz pozostała kwota) są do przyjęcia przez Sprzedającego.

Prowizja agencji tak jak wcześniej poinformowałam wynosi po negocjacjach 5000 zł brutto, płatna w dwóch ratach: – I rata w dniu podpisania aktu notarialnego dotyczącego cesji praw i obowiązków – II rata w dniu przekazania kluczy do mieszkania wraz z dokumentami niezbędnymi do zawarcia Aktu Notarialnego umowy sprzedaży.

Pozostałe szczegóły dotyczące transakcji omówimy na spotkaniu.

Proszę w poniedziałek do godz. 16 potwierdzić wtorkowe spotkanie, ewentualnie zaproponować inny termin.

Pozdrawiam Małgorzata– biuro nieruchomości „Rzetelność”

*

6 września 2007 16:20

z.sokolowska@mitsubishi-motors-euro.com <z.sokolowska@mitsubishi-motors-euro.com

Rysunek z garażem wykasowałam, bo są to poszczególne stanowiska samochodowe w piwnicy. Mieszkanie na Batorego ma 53,6 m², czyli jest mniejsze. Jest to tak zwane mieszkanie deweloperskie, czyli jest szlichta na podłodze i na niej trzeba położyć coś, my myślimy dla wygody położyć na całość wykładzinę pcv; są tylko drzwi wejściowe, pozostałe wewnętrzne drzwi trzeba wstawić; trzeba urządzić łazienkę i kuchnię, czyli nigdzie nie ma mebli ani sprzętów, ale są już kaloryfery; trzeba ściany pomalować. Byliśmy w mieszkaniu i nam się podoba. Płacić będziemy 10% przy umowie za około dwa tygodnie, to jest przy akcie notarialnym, a resztę przy przekazaniu kluczy, czyli po zakończeniu budowy i dlatego mowa nawet o przyszłym roku, gdyby odbiór się opóźnił.

Ucałowania tata

*

6 września 2007 16:30

Ok., może być 19-ta, chociaż bezpieczniej byłoby 20-ta. Jeśli się da przesunąć to świetnie, jak nie to damy sobie radę.

Jeszcze pomyślę o tym co napisane, jak nasuną mi się jakieś wnioski, sugestie itp. to się odezwę. Gosia

*

7 września 2007 03:55

Kochana Gosiu!

Cieszę się, że będziesz mogła z nami pojechać na te pertraktacje. Odpowiem im, że spotkanie 11 bm. o 19,00 odpowiada nam, zastrzegę tylko, że korki na dojeździe do Legionowa mogą nam opóźnić przyjazd i wtedy zawiadomimy telefonicznie z samo-

chodu. Tak więc opóźnienie naszego przyjazdu z innego względu też będzie mogło być usprawiedliwione korkami na drodze.

Chciałbym Cię prosić o wymianę zdań drogą internetową przed tym spotkaniem, bo z mamą trudno jest rozważać, bo wpada łatwo w panikę i gryzie się tym przez wiele godzin, a tu trzeba ustalić nasze stanowisko na rozmowy.

Z dotychczasowych rozmów i korespondencji z agencją wynika, że nie prześlą nam kopii pierwotnej umowy, podobno dostaniemy ją do wglądu na spotkaniu, a na spotkaniu nie będzie dostatecznych warunków do analizy umowy. Z czegoś to wynika i to powoduje określone konsekwencje. Proponuję stanowisko, że na spotkaniu my nie wypowiadamy się na temat nieznannej nam umowy. W każdym razie musimy dostać tę istniejącą umowę przed wpłaceniem czegokolwiek i przed aktem notarialnym, bo przecież mówimy o cesji zawartej pierwotnie umowy.

Z pewnością jest zapisane w umowie, że ostateczna cena zostanie podana po rozliczeniu robót, a to mogą być duże pieniądze wobec tak szalonego wzrostu cen materiałów budowlanych. Może też być zasada, że przy zawarciu pierwotnej umowy kupujący zapłacił 10% kosztu mieszkania, a pozostałe 90% zostało rozbite na kilka rat uzależnionych od postępu robót, a w konsekwencji ostatnia rata jeszcze nie jest zapłacona i to spadnie do zapłacenia na nas po cesji. Wobec tego cesja musi jednoznacznie udokumentować dalsze zobowiązania finansowe wobec inwestora, a właściwie brak takich zobowiązań, czyli że sprzedający wszystko już zapłacił. Rozważam zażądanie, aby do notariusza był złożony oficjalny dokument inwestora określający stopień spłacenia mieszkania, ale również oświadczenie inspektora nadzoru budowlanego na ile koszty inwestycji już wzrosły i szacunek na ile mogą jeszcze wzrosnąć do rozliczenia budowy. W przeciwnym razie byłoby to kupowanie kota w worku.

W te kwestie możemy nie wnikać, jeśli sprzedający notarialnie oświadczy, że on zapłaci inwestorowi pozostałe koszty budowy, ale że będzie to po cesji, więc wymagane byłyby jakieś zabezpieczenia, np. weksle sprzedającego lub ustalenie naszych płatności sprzedającemu następująco: 10% czyli 30 tysięcy złotych przy akcie notarialnym, 2/3 pozostałej kwoty, czyli 200 tysięcy przy oficjalnym przekazaniu kluczy i 1/3 100 tysięcy złotych po rozliczeniu inwestycji. Wygląda mi na to, że takie stanowisko wywoła kociokwik.

Więc nie wiem, jak to strawnie przedstawić i nie dać się nabić w butelkę. A wszystko to w sytuacji, gdy nie wiem jeszcze, czy i kiedy sprzedam mieszkanie, no i za ile.

Żyć, nie umierać.

tata

*

7 września 2007 12:09

Tatusiu, trochę podsumowując i porządkując to co się do tej pory od ciebie dowiedziałam:

Z twojej strony:

Zadeklarowałaś chęć dalszych negocjacji na temat ceny.

Poprosiłaś o przedstawienie umowy ze spółdzielnią.

Wyraziłaś oczekiwanie, że umowa będzie dotyczyć cesji praw do mieszkania.

Zadeklarowałaś 10% zaliczki po podpisaniu umowy, pozostałą kwotę po zadeklarowaniu przez sprzedającego możliwości przekazania kluczy.

Wyraziłaś oczekiwanie, że Agencja określi ostatecznie swoją wysokość opłat.

Coś pisałaś o różnych umowach, ale pogubiłam się w tym i nie umiem tego rozpi-
sać.

Ze strony Agencji:

Zaproponowała termin spotkania – 11-09-2007, godz. 19-ta, w biurze agencji.

Zadeklarowała udostępnienie umowy ze spółdzielnią na spotkaniu.

Zaproponowała zamiast zawierania umowy przedwstępnej zawarcie umowy cesji
praw w formie aktu notarialnego.

Poinformowała, że spółdzielnia ma obowiązek przedstawić dokument potwierdza-
jący prawną możliwość dokonania cesji oraz uiszczenie pełnej kwoty przez sprzedają-
cego.

Zaproponowała uzgodnienie zasad rozliczenia ostatecznych kosztów z inwestycji.

Zadeklarowała, że prowizja Agencji wyniesie 5000 PLN płatna w dwóch ratach.

To oznacza, że podczas spotkania powinniśmy:

Przeanalizować i przedyskutować zapisy umowy ze spółdzielnią – możemy zu-
pełnie spokojnie (skoro umowa nie została nam udostępniona wcześniej) poprosić o jej
powielenie i udostępnienie nam na czas dłuższy osobnego pomieszczenia, w którym
będziemy mogli ją na spokojnie przeczytać i między sobą przedyskutować. Potem mo-
żemy zadać pytania sprzedającemu, a jeśli uznamy, że potrzebujemy więcej czasu, trze-
ba uzyskać dodatkowe dokumenty, cokolwiek, to powiemy, że w tym momencie nie
jesteśmy gotowi do ostatecznej deklaracji i ograniczyć się do uzgodnienia, jakich do-
datkowych informacji potrzebujemy, na kiedy i od kogo je dostaniemy, kiedy spotkamy
się ponownie. Jeśli wszystko będzie jasne, to możemy procedować dalej.

Wyjaśnić konstrukcję prawną tego przedsięwzięcia – najpierw umowa cesji, po-
tem umowa sprzedaży? Nie rozumiem tego, ale nie jestem prawnikiem. Albo nasza pani
pośrednik nam to wyjaśni, albo powinniśmy spotkać się z notariuszem, który nam wyja-
śni jak to jest.

Jeśli zapisy umowy ze spółdzielnią nie będą budzić naszych wątpliwości, to po-
winniśmy ustalić następujące elementy (jeśli będą budzić, to możemy o tych sprawach
porozmawiać, ale zastrzec jednocześnie, że ostateczne deklaracje podejmiemy po wyja-
śnieniu tych wątpliwości):

Zasady rozliczenia ostatecznych kosztów inwestycji, łącznie z zabezpieczeniem ich realizacji.

Ostateczne potwierdzenie ceny.

Potwierdzenie metody płatności (co to znaczy kilka dni po, czy jak przedstawimy potwierdzenie z banku, że kwota została przelana, to zostanie potraktowane jako dokonanie transakcji, czy dopiero jak pieniądze wpłyną na konto sprzedającego).

Uzgodnienie innych zapisów, które powinny się znaleźć w akcie notarialnym (np. numer rachunku, na który powinna zostać przekazana kwota, zasady transakcji, czyli np. jakie zaświadczenia od kogo na jakim etapie zostaną przedstawione, w jakiej formie nastąpi rozliczenie, takie technikalnia, ich zakres będzie zależał od tego co się dowiemy).

Uzgodnienie terminów – pierwsze spotkanie u notariusza, ewentualnie drugie spotkanie u notariusza, ewentualne ograniczenia czasowe do zapisania do umowy.

W jakich ratach prowizja dla Agencji ma być płacona (50%/50%?) i w jakiej formie (też przelew w ciągu kilku dni? Na jaki rachunek?)

Podsumowując – spodziewam się, że będzie to pierwsze spotkanie, a nie ostatnie spotkanie. Nie powinniśmy się nastawiać, że dokonamy jakichś konkretnych i ostatecznych uzgodnień, chociaż może będziemy mieli szczęście. :-) A już z całą pewnością niczego na tym spotkaniu nie podpiszemy i żadnych pieniędzy wpłacać nie będziemy. A dopóki tego nie zrobiliśmy, to możemy się w każdej chwili wycofać.

Twój pomysł, aby rozbić płatność na kolejne raty nie jest pozbawiony sensu, ale jeśli nie chcesz wywołać efektu o którym pisałeś, to nie należy od niego zaczynać. Trzeba przejrzeć umowę ze spółdzielnią, zacząć rozmowy o tych zasadach rozliczenia, a jak już wszyscy będą sobie zdawać sprawę, że sytuacja jest trudna i żaden inny sensowny pomysł się nie pojawi, to wtedy przedstawić ten. Ogólnie przecież negocjujemy, czyli przedstawiamy swoje stanowiska i próbujemy wypracować kompromis.

Radziłabym, abyście nie nastawiali się tak ostatecznie, że tylko to mieszkanie i żadne inne – jeśli w ciągu dwóch tygodni udało wam się znaleźć coś, co wam naprawdę odpowiada, to znaczy, że takie mieszkania są, jak poszukacie dłużej, to znajdziecie ich więcej. Więc nie będzie tragedii, jeśli z tych negocjacji nic nie wyjdzie i rozstanie my się ze stwierdzeniem, że nie ma możliwości się dogadać. Wyluzujcie, zawsze jest więcej niż jedno rozwiązanie, nie ma się czym aż tak przejmować.

Jeśli chcecie, to mogę poprowadzić negocjacje w waszym imieniu, moje emocje z tym związane są mniejsze (i byłam na szkoleniu z negocjacji :-)), więc może mi być łatwiej. Ogólnie z naszego punktu widzenia może to ułatwić sytuację, bo ja będę mogła w każdej chwili powiedzieć, że proszę o przerwę, bo musimy się naradzić. A taka przerwa zawsze studzi emocje, i nawet jak się wydaje, że jest pat i koniec, to po przerwie obie strony często wracają z jakąś propozycją kompromisu. Gdybyście się na to zdecydowali, to jeszcze musielibyśmy porozmawiać i przygotować się bardziej do tych negocjacji.

Ucałowania,

Gosia

*

7 września 2007 13:15

Kochana Gosiu,

Jestem zachwycony Twoją odpowiedzią, a zwłaszcza że tak fachowo to rozebrałaś. W pełni zarobiłaś na prowizję. Bardzo dobry pomysł, abyś Ty prowadziła negocjacje. Tymi pojęciami różnych umów nie przejmuj się, ja wprowadziłem mądre pojęcie cesji umowy, bo przecież oni nie sprzedają mieszkania, jak reklamowali. Prosimi, aby potwierdzić spotkanie do poniedziałku do szesnastej, więc jakby Ci coś wynikło, to możemy przełożyć.

Dziś ukazało się ogłoszenie nasze w Gazecie, że bez pośredników, ale zgłaszają się sami pośrednicy, więc gdy nie mówią o umowie, to zezwalam na pośredniczenie.

Ja doszedłem do odkrywczego wniosku, że powinienem tak długo zwlekać z zaliczką, aż sam dostanę zaliczkę, bo wprawdzie mogę sprzedać obligacje na zaliczkę, ale co potem?

Jeśli pozwolisz, to będziemy nocowali u Ciebie dziś i jutro.

Ucałowania mama i tata

*

7 września 2007 13:27

Nie ma problemu, żebyście nocowali u mnie. Ja jak mówiłam jadę dziś do Zakopanego, ale będę wyjeżdżać dopiero koło 19-tej mniej więcej. Jak byście chcieli, to mogłabym przejechać obok waszego domu wracając z pracy (pewnie trochę przed 18-tą) i zabrać was ze sobą.

Tak, rzeczywiście korzystnie byłoby wpłacać zaliczkę dopiero jak będziecie mieli przynajmniej jakieś bardziej ugruntowane poglądy kiedy i ile wy możecie wziąć. Więc tym bardziej nie musimy się aż tak spieszyć do podpisania umowy.

Gosia

*

7 września 2007 14:25

Małgorzata Kwiecień <Małgorzata.Kwiecien@ingnn.pl>

Bardzo prosimy o zabranie nas, zadzwoń, to będziemy czekali przed domem

m+t

*

8 września 2007 09:47

BiuroNieruchomościRzetelność_Legionowo rzetelnosc_leg@wp.pl

Potwierdzam termin spotkania. Gdyby były korki w Jabłonie, to z samochodu dam znać.

Pozdrawiam Marian Sokołowski

*

11 września 2007 roku

Dzień ten wypada opisać. Z samego rana przygotowaliśmy mieszkanie na przyjęcie pani z agencji Drągowskiego w sprawie sprzedawania naszego mieszkania. Pani przyszła o dziesiątej, szczegółowo opisaliśmy mieszkanie, podpisaliśmy umowę i będą sprzedawać. Ja chciałbym jakieś pięćset tysięcy złotych.

W południe przyszli niespodziewanie policjanci w związku z naszą skargą na sąsiadów z dołu. Swego czasu złożyłem na policji pismo i policja coś musiała ze sprawą zrobić. Najchętniej skierowaliby sprawę do sądu, bo znaczyłoby to, że policja sprawę zakończyła. Jednak mając doświadczenie z niedawnego sądu w sprawie bulteriera, już nie miałem chęci na powtórny taką parodię sądową, więc wbrew Ance, odmówiłem zgody na skierowanie sprawy do sądu. Powiedziałem, że jestem po zawale, już w tej chwili strasznie się denerwuję, co było faktem. Taki sąd mogę przypłacić kolejnym zawalem, jak będę musiał cynicznym ludziom udowadniać, że nie dają nam żyć, a przecież policja znów nie pokaże się w sądzie, aby dać świadectwo, że tyle razy byli wzywani w nocy i musieli uciszać balangowiczów. Policjanci podyktowali mi oświadczenie:

„Oświadczam, że została nawiązana współpraca z dzielnicowym odnośnie pisma z dnia 12 maja 2007 roku. W powyższej sprawie nie będę składał zawiadomienia do sądu grodzkiego odnośnie lokatorów z lokalu nr 1. Zostałem pouczony o czynnościach prawnych w powyższej sprawie. Nie żądam odpowiedzi na cytowane pismo jak wyżej”.

Pisząc strasznie mi się ręce trzęsły z wielorakiego zdenerwowania, bo znów wszyscy będą w porządku, a problem nierozwiązany zostanie – tak to jest – słabego nikt nie broni. Kazałem pokwitować sobie otrzymanie tego oświadczenia, tak jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Postanowiłem nawet zeskanować sobie to oświadczenie, a ponieważ musiało to chwilę potrwać, to przyniosłem policjantom moje nagranie z jednej nocnej balangi. Tam akurat był fragment, gdy wśród ogólnego rozgardiaszu, „muzyki młodzieżowej” i krzyków zebrani wyśpiewują hymn na cześć marihuany. Dokładnie to musiała balanga odbywać się następująco: najpierw wiele rozgardiaszu i krzyki kilku podpitych osób, a między tym dało się rozpoznać próby dodzwonienia się do dilerów, bo „kurwa, odbierz!” powtarzało się kilka razy; potem diler musiał przybyć i stąd hymn na cześć marihuany; potem najwyraźniej wszyscy oddali się uczcie narkotykowej, bo zaległa cisza i tylko nadal głośno szalała muzyka; wszyscy biesiadnicy musieli popłynąć na długo w upojenie, bo muzyka grała przez wiele godzin aż do samego rana. Moi policjanci zabrali to nagranie i poszli odtworzyć sąsiadom z jedyńki. Po chwili ten młodszy policjant przyniósł z podziękowaniem mój magnetofon. Ale nie sądzę, by chciało się policji zlikwidować tę spelunę narkotykową, bo przez kolejne miesiące nic się nie zmieniło.

Po wizycie policjantów byliśmy tak zdenerwowani, że postanowiliśmy niezwłocznie wyjść z domu i poszliśmy po nowe książki do wypożyczalni, potem na obiad do baru mlecznego i trochę nam przeszło. Wziąłem jednak proszek na uspokojenie. Teraz czekała sprawa rozmowy na temat kupna mieszkania w Legionowie. Trochę odpocząłem, ogoliłem się i pojechałem na spotkanie wraz z Gosią do Legionowa. Poprzedniego dnia na wielogodzinnej naradzie rodzinnej, czyli z Gosią, ustaliliśmy, że choć miałbym pieniądze na zadatek, to wcale nie wiadomo, czy, kiedy i za ile sprzedam mieszkanie – czyli mogę nie mieć na czas wymaganych pieniędzy na kupno mieszkania, a więc grozi strata zaliczki. Ponadto pośrednik optował za notarialną cesją umowy z wszelkimi konsekwencjami finansowymi i niewiadomymi, czyli nie znalazłbyśmy ostatecznych kwot kosztu mieszkania, a przecież jest to okres szalonego wzrostu cen materiałów budowlanych w Polsce – klasyczne kupowanie kota w worku. Wrócił teraz bardzo łopatologicznie temat Gosi mieszkania i naszego zamieszkania u nich. Gosia ma jeszcze do spłacenia około dwustu tysięcy złotych pobranego kredytu, a jest to dla niej coraz trudniejszy wysiłek. Wolę wesprzeć córkę i pomóc jej w spłacie kredytu zamiast kupować nowe mieszkanie. Godzimy się na zamieszkanie z Gosią i Krzysiem, wszak jesteście coraz starsi i coraz bardziej wymagamy opieki.

Tak jak stało poprzedniego dnia, dziś na rozmowy do Legionowa pojechałem z Gosią, a bez mamy. Gosia prowadziła negocjacje i tak jak chcieliśmy rozstaliśmy się z niczym. Gosia zadzwoni w piątek do agencji i powie, że sprawa kupna jest nieaktualna, bo ona zabiera nas do siebie. Gosia cały czas poważnie mówi, że ona zamieszka w domku w Wieliszewie; weźmie sobie łatwiejszą pracę i będzie zajmować się czymś, co lubi – rozumiem, że będzie to turystyka, czyli wędrowniki.

Krzyś od piątego jest w wojsku w pułku samochodowym mieszczącym się za Łazienkami, ale od początku ujawniły się jego problemy psychiczne. Na komisji lekarskiej stwierdzono, że nie nadaje się do służby wartowniczej, czytaj – nie można mu dać broni i ostrej amunicji – ale do wojska go wzięli. Tam jednak od razu trafił na izbę chorych ze względu na kłopoty ze snem i ogólne nieprzystosowanie do wojska. Dziś przysłał Gosi sms, że skierowano go powtórnie na komisję lekarską, co nastąpi za około dwa, trzy tygodnie, a do tego czasu będzie na obserwacji na izbie chorych. Podobno można go tam odwiedzać – wybieramy się dzisiaj. Również dzisiaj ukaże się w Gazecie nasze ogłoszenie o sprzedaży mieszkania.

*

13 września 2007 02:56

BiuroNieruchomościRzetelność_Legionowo <rzetelnosc_leg@wp.pl>

Bardzo przepraszam Szanownych Państwa, ale postanowiliśmy nie kupować jakiegokolwiek mieszkania. Zamieszkamy w domu córki, która chce mieć nas pod ręką, bo oboje jesteśmy schorowani i już nie będziemy coraz młodszy. W taki to sposób nie zostaniemy już mieszkańcami Legionowa. Oba oglądane za Państwa pośrednictwem mieszkania są śliczne i nie wątpię, że łatwo znajdą młodych nabywców. Jeszcze raz przepraszam i życzę Państwu wszystkie najlepszego w życiu.

*

13 września 2007 22:30

Kochana Zosiu,

dokończę rozmowę prowadzoną przez telefon. Nie chcę doprowadzać do sytuacji, aby znowu wzywać policję w nocy. Bo to zwyczajnie jest nieskuteczne, a w sądzie można zdrowie stracić i nic nie uzyskać; najwyżej dadzą im jakie upomnienie. Dlatego staram się, abyśmy nocowali poza domem z piątku na sobotę i z soboty na niedzielę, bo wtedy są te balangi, choć nie zawsze. Tak nocowaliśmy już dwa razy u Gosi. Czasem pojedziemy do lasu, ale gdy będzie dobra pogoda. Dałem drugie ogłoszenie o sprzedaży mieszkania. Zgłaszają się w zasadzie sami pośrednicy, dają im dane o mieszkaniu i czekam. Czyli sprzedaż mieszkania może potrwać. O sprzedaży mieszkania pomyślałem, gdy rok temu w telewizji zaczęto mówić o poprowadzeniu nowej trasy mostowej przez Banacha, przebieciem przez Pola Mokotowskie i dalej przez Batorego. Jest perspektywa mieszkania na Batorego jak przy Trasie Łazienkowskiej, czyli bardzo uciążliwe warunki. Wprawdzie sprawa budowy tej trasy przycichła, ale na pewno powróci. W tym czasie Gosia zaproponowała, abyśmy się do niej przeprowadzili. Byłem wzruszony i bardzo jej za to dziękowałem, bo wcześniej czy później musi do tego dojść. Nie damy rady stale mieszkać sami. Teraz gdy podjąłem temat sprzedaży mieszkania uświadomiłem sobie, że Gosia ma jeszcze niespłacone mieszkanie i trzeba mieć zabezpieczenie na niepodzianki, aby bank nie zabrał jej tego mieszkania za niespłacony kredyt. Takim zabezpieczeniem winna być sprzedaż naszego mieszkania. To ostateczność, ale niewykluczona. Gosia jednoznacznie stwierdza, że chciałaby znaleźć spokojniejszą pracę, nawet mniej płatną. Przy czym ja zawsze przez lata myślałem, że domek w Wieliszewie jest takim wyjściem dla nas – starszuchów. Teraz uświadomiłem sobie, że kupno nowego mieszkania w Legionowie będzie wymagało poważnego wykończenia, co będzie trudne i kosztowne. Muszę się liczyć z tym, że nie jesteśmy i już nie będziemy coraz młodszy. Tak więc odwołałem pertraktację na temat mieszkania w Legionowie, które będzie październik listopad najdalej, a ja do tego czasu nie sprzedam tego mieszkania i stracę zaliczkę. Stało na tym, że przeniesiemy się do Gosi, na razie częściowo (soboty i niedziele), a potem coraz bardziej. Trzeba wiele przemyśleć na temat mebli, kto w którym pokoju itp. W każdym razie muszę mamie zmienić warunki mieszkania, bo ona tego nie wytrzyma. Ja sam się dziwię, że Gosia myśli o wyprowadzeniu się do lasu. Z jednej strony jest mi przyjemnie, że moja praca nad domkiem tak jest doceniana przez Gosię, może ma i inne powody takiego rozwiązania. Czas pokaże. Tobie Zosiu też coś się należy po rodzicach i chciałbym zadbać o to. Tak więc co tydzień zaskakujemy Was diametralnie różnymi wiadomościami. Mama to przeczytała i nie ma zastrzeżeń do treści.

Ucałowania dla Was wszystkich

mama i tata

*

19 września 2007 17:25

Przesyłam pierwszą przymiarkę do spisu rzeczy do zrobienia /kupienia/ przewiezienia/ wyrzucenia w związku z naszymi przenosinami. Nie zakładam, że jest pełne, raczej to wyniki mojego niezbyt długiego myślenia, do uzupełniania przez was i przede mną w miarę jak się kolejne rzeczy będą przypominały lub wyjaśniały.

Od czasu do czasu powinniśmy się wymieniać plikami, żeby mieć jedną wspólną najbardziej aktualną wersję.

Dajcie znać co myślicie.

Gosia

*

Sent: Monday, September 24, 2007 10:06 PM

To: widzowie@tvp.pl

Subject: konkurs na książkę historyczną

Swego czasu usłyszałem fragment zapowiedzi, w której Pan Andrzej Urbański – Prezes TVP zapowiadał ogłoszenie konkursu na książkę historyczną. Jestem autorem paru książek historycznych i byłbym bardzo zainteresowany w udziale w tym konkursie. Niestety jednak nic więcej nie usłyszałem. Bardzo prosiłbym o wiadomość, gdzie mogę coś więcej dowiedzieć się o tym konkursie. Bardzo liczę na odpowiedź.

Pozdrawiam

*

24 września 2007 10:13

info@polskajestkobieta.org info@polskajestkobieta.org

Kochane Kobiety!

Szkoda że chcecie być partią. Bądźcie połową społeczeństwa i mówcie nie tylko w sprawach kobiet i o ich codziennościach. Mówcie w imieniu całego Narodu i twórzcie dobro dla całego Narodu..

Jestem starym człowiekiem, mam już dorosłego wnuka, mam żonę i dwie córki. Bardzo jestem przerażony tym, co panowie wyprawiają w polityce. Gdyby to ode mnie zależało, nie dopuściłbym do sejmu tych wszystkich, którzy już raz byli posłami. A to właśnie oni, ci nam znani i zozydzeni już ostrzą pazury na następną kadencję. Będę głosował na polskie kobiety i życzę im, aby stanowiły większość w sejmie.

*

27 września 2007 12:42

Anna.Luka@waw.tvp.pl Anna.Luka@waw.tvp.pl

W dniu 31 lipca br. w Instytucie Pamięci Narodowej prezes IPN Janusz Kurtyka, prezes TVP SA Andrzej Urbański oraz prezes Polskiego Radia SA Krzysztof Czabański podpisali porozumienie ustanawiające Nagrodę dla Książki Historycznej Roku.

Nagroda dla autora Książki Historycznej Roku ma na celu popularyzację dziejów Polski w XX wieku oraz promowanie czytelnictwa książek historycznych. Nagroda będzie przyznawana w dwóch kategoriach:

Najlepsza książka naukowa – monografie, syntezы poświęcone dziejom Polski i Polaków w okresie PRL

Najlepsza książka popularnonaukowa poświęcona historii Polski w XX w.

Laureaci Nagrody zostaną wyłonieni w drodze trzyetapowego konkursu, którego ogłoszenie nastąpi jeszcze w tym roku. Organizatorami konkursu oraz fundatorami nagród są Telewizja Polska SA, Polskie Radio SA i Instytut Pamięci Narodowej. Do Nagrody można będzie zgłaszać pierwsze wydania książek, napisanych przez polskich autorów w języku polskim, które ukazały się w roku poprzedzającym daną edycję Nagrody. Książki do pierwszej edycji konkursu, wydane w 2007 r., będzie można zgłaszać do końca stycznia 2008 roku. Jury, złożone z przedstawicieli IPN, TVP i PR, wybierze spośród nich 25 pozycji, które przejdą do II etapu. W lutym 2008 r. organizatorzy ogłoszą dodatkowo konkurs czytelniczy "Ulubiona książka historyczna". Książka wybrana przez czytelników uzyska, wraz z siedmioma wyłonionymi przez jury w II etapie, nominację do III etapu konkursu. Zwycięzcy III etapu otrzymają statuetki i nagrody pieniężne. Regulamin konkursu zostanie zamieszczony na stronach internetowych organizatorów oraz na stronie internetowej konkursu.

*

27 września 2007 19:50

My book wydawnictwo wydawnictwo@mybook.pl

Witam,

zgapilem się, a chciałbym jeszcze w tym roku wydać książkę, która ma 696 stron formatu A5. Czy jest to możliwe?

Ukłony

*

28 września 2007 08:24

informacja@zamek-krolewski.pl <informacja@zamek-krolewski.pl>

Szanowni Państwo,

Napisałem książkę o pięćdziesięciu latach Władz Polskich na Uchodźstwie. Obecnie przygotowuję ją do wydania. Pragnę ozdobić okładkę jakimś fragmentem Insygniów Prezydenta RP. Gorąco proszę o zgodę na to i o udostępnienie mi zdjęć Insygniów Prezydenta. Składam wyrazy szacunku

*

1 października 2007 09:06

Przy tak dużych tekstach wymagamy raczej podziału na 2 tomy - i jest to wtedy kalkulowane jako dwie oddzielne książki. Ewentualnie można zmienić format. Widziałem, że już Pan próbował wypełnić specyfikację na 500 stron A4 – toż to strasznie nieporęczne. Proszę sobie wyobrazić książkę o formacie i ciężarze ryzy papieru. Może chociaż B5, przynajmniej format zgrabniejszy?

Niezależnie od ostatecznej decyzji, do końca tego roku na pewno nie zdążymy – za duży materiał do opracowania.

Wydawnictwo My Book

*

1 października 2007 10:04

Problem w tym, że dopiero dowiedziałem się, że w lutym przyszłego roku będzie ogłoszony konkurs na książkę z historii Polski wydaną w 2007 roku. Ja mam taką przygotowaną o pięćdziesięciu latach Polskich Władz na Uchodźstwie. Wiążę z nią duże nadzieje. Gdy okazało się, że nie może być 700 stron, w trybie nagłym przeformatowałem ją (kończę właśnie) na A4 – teraz będzie mniej niż 350 stron (to 175 kartek). Książka składa się w zasadzie z samych cytatów i jest tak wielokrotnie przeze mnie przeglądana i formatowana, iż myślę, że nie będzie wymagała edytorskiego i wydawniczego opracowania. Może przesłałbym ją mimo wszystko do Wydawnictwa, bo nad konkretnym tekstem nasza dyskusja będzie łatwiejsza (mam nadzieję). Załączyłem list Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego, który bardzo mnie podbudował.

*

A do kiedy jest termin zgłoszeń na ten konkurs? Tekst owszem, proszę przesłać, tak jak go Pan przygotował – ale formatu A4 tak czy siak nie polecam; jest nieporęczny w czytaniu. Zobaczmy, co się z tym da zrobić.

Wydawnictwo My Book

*

1 października 2007 10:46

Trochę mało czasu – ale zobaczymy, proszę przesłać tekst w takim stanie, w jakim ma go Pan w tej chwili. Chodzi o to, żeby się Pan niepotrzebnie nie napracował nad czymś (chodzi o formatowanie), co i tak będziemy musieli zmienić.

Wydawnictwo My Book

*

1 października 2007 12:02

wydawnictwo@mybook.pl <wydawnictwo@mybook.pl>

Właśnie skończyłem, niestety. Więc przesyłam – jest to „Stado pasterzy”. Osobno prześlę wykaz nazwisk do indeksu nazwisk. W spisie treści (poza początkiem i końcem) będą same lata. Nad okładką jeszcze myślę – chciałbym tam umieścić coś z insygniów prezydenckich, ale jeszcze nie mam zgody Muzeum Zamku Warszawskiego.

Pozdrawiam

*

1 października 2007 15:26

Proszę o pismo od Wydawcy książki, zawierające: dane Wydawcy potrzebne do umowy (pełna nazwa, adres, NIP), tytuł książki, nakład, opis zamawianych zdjęć (z uwzględnieniem parametrów technicznych).

Z poważaniem

Joanna Czupryńska

Archiwum

Zamek Królewski w Warszawie

*

1 października 2007 15:39

My book wydawnictwo wydawnictwo@mybook.pl

Poprzednio pisałem, że zwróciłem się do Muzeum Zamku Warszawskiego o udostępnienie jakichś zdjęć insygniów prezydenckich, które by można wkomponować na okładkę mojej książki. Otrzymałem taką odpowiedź. Co Pan o tym sądzi?

*

3 października 2007 09:55

Witam

Przykro mi, ale nic z tego nie będzie. O ile autor odpowiada za jakość treści, to ja, jako wydawca, za wygląd książki. Nie mogę puścić tego „jak jest”, bo i format kompletnie nieporęczny, i sposób przygotowania daleki od standardów edycyjnych. A już wykluczone jest zaprezentowanie się w taki sposób w konkursie organizowanym przez tak znaczące instytucje jak PR, TVP i IPN. Sposób, w jaki Pan poustawiał tekst (np. wyrównywanie różnych fragmentów spacjami – czego nigdy nie da się zrobić równo) powoduje, że ruszenie czegokolwiek (np. zmiana wielkości marginesu) powoduje całkowitą rozsypkę tekstu. Opracowanie tego to są miesiące pracy. Ja nie dysponuję nawet wystarczającymi „mocami przerobowymi”, żeby się z tym uporać. Do wydania tego opracowania potrzebna jest jednak większa instytucja, może faktycznie ta oficyna wydawnicza „Rytm” (<http://www.rytm-wydawnictwo.pl>), specjalizująca się w książkach historycznych?

Wydawnictwo My Book

*

Ano właśnie. Wydawcom się wydaje, że to oni nobilitują autora, a nie odwrotnie. Poczulem się urażony obcesowymi stwierdzeniami Wydawnictwa i postanowiłem sobie sam poradzić z wydaniem książki bez udziału jakiegokolwiek wydawnictwa. Zobaczmy dalej.

*

4 października 2007 04:28

wydawnictwo@mybook.pl <wydawnictwo@mybook.pl>

Rozumiem, dziękuję i przepraszam

*

8 października 2007 12:02

Kochana Zosiu,

Chciałem Ciebie prosić o uwagi na temat naszych planów mieszkaniowych. Może masz jakieś spostrzeżenia lub przestrogi, przemyślenia itp. co my przegapiliśmy.

tata

*

8 października 2007 12:47

Marian Sokołowski <marian.sokolowski@acn.waw.pl> wrote:

Pani Doroto,

pragnę zapytać, jak postępuje praca nad wydaniem mojej książki pt. "peta" i kiedy można oczekiwać wydania jej. Gorące pozdrowienia Marian

*

Dorota Silaj <dsp2504@sbcglobal.net>

Panie Marianie, już właściwie jest skończona. Na dniach zostanie i wydana. Dorota

*

8 października 2007 17:33

To już odpowiedź drukarni, do której zwróciłem się bezpośrednio.

ELPIL <info@elpil.com.pl>

Marian Sokołowski napisał(a):

Przygotowując do druku książkę pragnę zapytać o:

– jaka jest maksymalna ilość stron w zależności od formatu książki, – grubość książki nie może przekraczać 3,5 cm (odpowiedź 700 str.)

– czy należy przygotować strony z marginesem lustrzanym, – tak

– czy możliwa jest twarda oprawa, – tak

– czy Państwo mogą przygotować okładkę według moich materiałów i wskazań – tak

– oraz czy będzie możliwy druk z kolorowymi ilustracjami. –tak

*

10 października 2007 09:45

Archiwum Zamku Krolewskiego <archiwum@zamek-krolewski.com.pl>

Szanowna Pani,

bardzo dziękuję za odpowiedź. Pragnę wyjaśnić kilka spraw. Książkę swą zamierzam wydać własnym nakładem, czyli ja będę wydawcą. Moje dane: Marian Czesław Sokołowski, zam. 02-591 Warszawa, ul. Stefana Batorego 31 m 11, NIP 521-041-50-98. Tytuł książki: „Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie”. Ponieważ jestem emerytem, stać mnie jedynie na wydanie książki w 10 egzemplarzach. Również za zdjęcia insygniów nie będę mógł wiele zapłacić. Okładkę pragnę ozdobić jakimś elementem symbolizującym Władze Polski w Londynie: zdjęcie proporca prezydenckiego może byłoby zbyt buńczuczne, ale powiększony fragment odcisku pieczęci Prezydenta RP dobrze oddawałby treść książki. Byłoby wielkim zaszczytem dla mnie, gdybym mógł przekazać jeden z tych egzemplarzy dla Muzeum.

Wyrazy szacunku

Odpowiedź nie przyszła.

*

20 października 2007 04:17

Dorota Silaj <dsp2504@sbcglobal.net>

Witam panie Marianie. Książka jest już w druku. Proszę więc oczekiwać na jej nadejście. Książki idą [pocztą] od tygodnia do 3 lub 4 tygodni. Pozdrawiam. Dorota

*

Drukarnia ELPIL zażyczyła sobie wypełnienia formularzy:

23 października 2007 04:56

ELPIL <info@elpil.com.pl>

ZAPYTANIE

Dane pytającego

Pełna nazwa: Marian Czesław Sokołowski

Adres: ul. Stefana Batorego 31 m 11, 02-591 Warszawa

Nr telefonu stacjonarnego: 0 22 406 41 35

e-mail: marian.sokolowski@acn.waw.pl

Osoba do kontaktu: Marian Sokołowski

Opis pracy

Tytuł pracy: Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie

ISBN: 978-83-926382-0-9

Ilość egz.: 10

Format: B5

Ilość stron: 539

Okładka: twarda

Kolorystyka środka: druk czarny

Kolorystyka okładki: 3 kolory

Uszlachetnienie okładki: tak, wg propozycji ELPIL

Oprawa: twarda

Gramatura papieru środka: 80g/m²

Gramatura okładki: wg propozycji ELPIL

Sposób dostarczenia pracy: poczta

Dostarczone materiały: tekst książki w formacie PDF (~5MB) będzie dostarczony w e-mail przy zamówieniu

Uwagi: Proszę o wykonanie projektu okładki według poniższych wskazówek:

- kolor okładki: sjena palona
- w górnej części okładki stanowiącej 3/4 powierzchni będzie polski orzeł w kolorze niemal białym
- w dolnej części okładki stanowiącej 1/4 powierzchni będzie
- nazwisko autora małą czcionką: Marian Czesław Sokołowski
- tytuł książki:
Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie
- kolor liter niemal czarny
- dobór czcionki tytułu i nazwiska autora według propozycji ELPIL
- proszę o wygenerowanie kodu paskowego i wstawienie go na ostatniej stronie okładki
- na grzbiecie książki: Marian Czesław Sokołowski – Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie

W związku z powyższymi moimi uwagami na temat okładki proszę o ewentualne sugestie ELPIL.

Proszę o podanie ceny takiego zlecenia i orientacyjnego terminu wykonania.

*

29 października 2007 07:33

ELPIL <info@elpil.com.pl>

cena druku książki przy 10 egz. 33 zł netto + skład okładki około 70 zł proszę o podanie precyzyjnych informacji dotyczących okładki (numery pantonów) Jarosław Pilich

*

30 października 2007 06:16

WP. Joanna Czupryńska – Archiwum Zamek Królewski w Warszawie

W październiku br. zwróciłem się do Państwa z prośbą jak niżej.

Czy nie dostanę żadnej odpowiedzi?

Z poważaniem

Nie dostałem odpowiedzi.

*

31 października 2007 03:51

druk@elpil.com.pl druk@elpil.com.pl

Wysłałem pocztą zamówienie na druk mojej książki pt. „Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na wychodźstwie”. W załączeniu przesyłam plik PDF z tekstem książki. ISBN 978-83-926382-0-9 Uprościłem moje zalecenia względem okładki: – okładka miękka o gramaturze wg ELPIL - kolor całej powierzchni okładki: NCS S 1580-R (wiśniowy) – na tym litery białe dla nazwiska i tytułu książki – nazwisko i tytuł w dolnej części okładki na około 1/3 powierzchni okładki – typ i wielkość czcionki na okładce dla nazwiska i tytułu wg ELPIL – na grzbiecie nazwisko i tytuł jak na okładce – na tylnej okładce kod paskowy. Jeśli możliwe, proszę o przesłanie w e-mail przed drukiem propozycji okładki. Należność zapłacę przelewem na wskazane konto bankowe lub gotówką przy odbiorze przesyłki pocztowej. Proszę o fakturę WAT. Ewentualne pytania wyjaśnię w kolejnym e-mail.

Pozdrawiam

*

Wednesday, November 07, 2007 7:39 AM

From: "ELPIL" <info@elpil.com.pl>

jeszcze poproszę części składowe do okładki (miał być orzeł)

jp

*

8 listopada 2007 18:27

Zrezygnowałem z orła. Cała okładka będzie w kolorze wiśniowym z białymi literami, tak jak napisałem w dniu dzisiejszym.

MCS

*

8 listopada 2007 02:57

ELPIL info@elpil.com.pl

Wczoraj powtórnie wysłałem plik PDF mojej książki pt. „Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie”. Bardzo proszę o potwierdzenie, czy dotarło.

31 października br. na adres druk@elpil.com.pl wysłałem pierwszy raz plik tej książki: dzieje prezydentury 2007cB5.pdf"

Dziś proszę o potwierdzenie, czy to też dotarło oraz o e-Mail z kwotą, jaką będę zobowiązany zapłacić przy odbiorze wydrukowanej książki.

Pozdrawiam

*

15 listopada 2007 14:22

ELPIL info@elpil.com.pl

bardzo proszę o dane do faktury z numerem NIP książki zostaną wysłane dzisiaj , cena za nakład 235 zł jp

*

15 listopada 2007 17:53

ELPIL <info@elpil.com.pl>

Marian Czesław Sokołowski ul. Stefana Batorego 31 m 11 02-591 Warszawa NIP 521-041-50-98 Ale przy tak niskiej kwocie może być bez faktury. Jestem bardzo wdzięczny za druk i bardzo proszę o zgodę na druk pozostałych moich książek – oczywiście w nieco większym nakładzie tak aby się Panu jakoś opłacało.

Pozdrawiam

*

Dnia 19 listopada 2007 roku poszedłem na pocztę odebrać przesyłkę z USA – było to siedem egzemplarzy pety wydanej w Chicago przez Dorotę Silaj. Gdy wszedłem do domu, żona czekała pod drzwiami zaciekawiona, co też przyniosłem. Powiedziałem – przyniosłem niespodziankę. Gdy rozpakowałem paczkę i ukazała się moja książka, powiedziałem – to moja książka wydana w Chicago. Żona nawet nie dotknęła książki, lecz zaznaczyła: – Rozbuchałeś się. Po kilkunastu minutach milczenia zapytała, czy zapłaciłem za wydanie tej książki. Przy kolacji zapytała jeszcze, czy zapłaciłem w dolarach. Tak po raz kolejny wróciłem na ziemię z moim pisaniem.



*

20 listopada 2007 06:09

Dorota Silaj <dsp2504@sbcglobal.net>

Witam Pani Doroto.

Wczoraj otrzymałem przesyłkę z moją książką. Jestem zachwycony. Dziękuję bardzo. Pragnę teraz, aby ktoś zaczął kupować tę książkę w Pani księgarni.

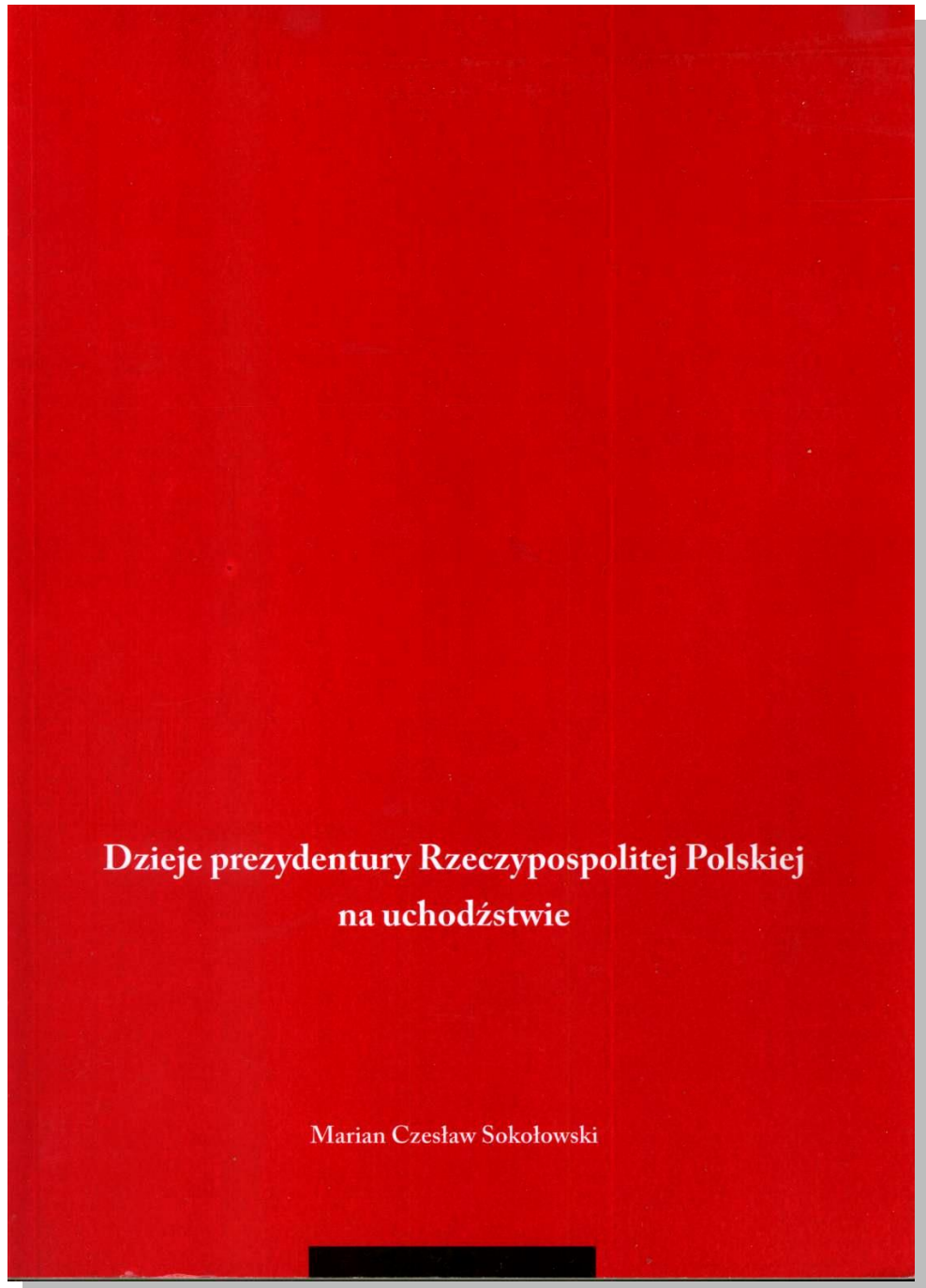
Pozdrawiam

*

20 listopada 2007 18:58

ELPIL info@elpil.com.pl

Właśnie dostałem przesyłkę z książkami i przelałem określoną w fakturze kwotę na podane konto. Bardzo dziękuję.



W ciągu 42 dni książka została wydrukowana, czyli wydana moim nakładem i otrzymałem ją z Drukarni ELPIL bez umowy i właściwie zapłaciłem przy odbiorze! Po cóż mi wydawcy?

*

21 listopada 2007 roku wziąłem swoje trzy wydane książki i pojechałem na Krakowskie Przedmieście do księgarń. W Księgarni Uniwersyteckiej LIBER raczej mi naręzano; nie interesowały ich moje książki, lecz głównie czy będę mógł wystawić fakturę wat. Obok w antykwariacie „atticus” byli skłonni przyjąć ostatecznie dwa egzemplarze dziejów prezydentury, jeśli je ponumeruję i dam niską cenę. Jednak naprzeciwno w Głównej Księgarni Naukowej im. Bolesława Prusa przyjęli wszystkie trzy książki i nawet byliby przyjęli więcej sztuk niż oferowałem. Tak więc po obiedzie załadowałem w torbę z kółkami 7 egzemplarzy „Dziejów prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie”, 5 egzemplarzy „pety” wydanej w Chicago i 4 egzemplarze „Samczego happeningu”, a ceny dałem „promocyjne”, czyli że nie będę miał żadnego zysku – za to książki ponumerowałem, podpisałem (już dziwnie rozchwianym, może starym piśmem) i niech dadzą radość tym pierwszym czytelnikom, do których moje książki dotrą po trzydziestu dwóch latach pisania ich. Dla ścisłości dodam, że książki me zawiozłem autobusem 174.

*

22 listopada 2007 17:31

ELPIL info@elpil.com.pl

Marian Sokołowski napisał(a):

Książka, którą Pan dla mnie drukował, została przyjęta do sprzedaży przez Główną Księgarnię Naukową im. B. Prusa i mam nadzieję, że znajdzie nabywców. Proszę więc o odpowiedź, jaką najmniejszą ilość egzemplarzy zechciałby Pan dodrukować, tak aby Panu to się jakoś opłacało. Pozdrawiam

Odpowiedź:

20 egz.

*

27 listopada 2007 03:10

ELPIL info@elpil.com.pl

Wczoraj wysłałem pocztą zlecenie na dodruk 20 egz. mojej książki "Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie". Parametry druku bez zmian.

Pozdrawiam

*

Dorota Silaj dsp2504@sbcglobal.net

5 grudnia 2007 14:46

Pani Doroto,

ostatnio przejrzałem moją książkę pt. peta. Wszystko jest tak jak trzeba. Mam tylko prośbę o zmianę stron 253-254. Jest tam dokument „Odpis aktu urodzenia i chrztu do ślubu kościelnego”. Treść jego wydała mi się bardzo egzotyczna i dlatego zamieściłem go w książce. W oryginale był on pisany pięknym kaligraficznym pismem odręcznym. Ja wykonałem go w czcionce Monotyp Corsiva. Natomiast po wydrukowaniu książki jest on rozbity na dwie strony i jest w bardzo podrzędnej czcionce zatracającej charakter metryki. Powinien on wyglądać co najmniej tak:

Rzeczpospolita Polska
Województwo Łódzkie
Powiat Włoszczowa
Parafia Żeliszawice

Dla ślubu kościelnego

Odpis aktu urodzenia i chrztu

*Zofii Genowefy Śliwińskiej
z ksiąg metrycznych parafii Żeliszawice*

Żeliszawice

*67 Działo to się we wsi Żeliszawice, dnia trzeciego sierpnia
tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku o godzinie szesnastej.*

*Stawił się Jan Paulin Śliwiński, Kierownik Agencji
Pocztowej z Żeliszawic, lat dwadzieścia osiem liczący
w obecności Stefana Wiaderka i Szczepana Pluty
obydwóch pełnoletnich rolników z Żeliszawic
i okazał Nam dziecię płci żeńskiej urodzone w Żeliszawicach
dnia trzynastego lipca bieżącego roku o godzinie siódmej z jego
małżonki Tekli Teodory z Dudów lat dwadzieścia cztery liczącej.*

*Dziecięciu temu na chrzcie świętym w dniu dzisiejszym
odbyłym nadane zostały imiona Zofia — Genowefa, a rodzicami
chrzestnymi byli Stanisław Śliwiński i Leokadia Duda.*

*Akt ten stawajacemu i świadkom przeczytany i podpisany został.
UrządNIK stanu cywilnego # ks. St. DominiaK, # J. Śliwiński*

Odpis zgodny z oryginałem.

Na marginesie aktu, adnotacji o zawarciu małżeństwa nie ma.

SIGILLUM ECCL.PAR.JM.C.B.V. MARIAE DE ŻELISZAWICE

Bardzo proszę o nadanie mu takiego wyglądu lub o zamieszczenie po prostu tego obrazu. Będzie to bardzo ważne dla nabywców książki.

Pragnę ponadto poinformować Panią, że z 7 egz. które otrzymałem, jeden oddałem do Biblioteki Narodowej w Warszawie, obok której mieszkam; jeden zostawiłem sobie, a pozostałe 5 egz. przyjęła do sprzedania Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, z czego jestem bardzo dumny.

Bardzo jestem spragniony wieści, czy udało się Pani sprzedać tę książkę.

Pozdrawiam i życzę szczęśliwych Świąt i Nowego Roku

Marian Czesław Sokołowski, Warszawa

*

9 grudnia 2007 12:01

Anna.Luka@waw.tvp.pl Anna.Luka@waw.tvp.pl

Pragnę zapytać, czy został już ogłoszony przez IPN, TVP i PR konkurs na książkę historyczną poświęconą historii Polski w XX wieku i gdzie można zapoznać się z regulaminem konkursu.

Pozdrawiam

*

2007-12-12

Ogólnopolski Bank Ochronianych Samochodów

Ul. Czerwińska 39

03-661 Warszawa

Dot. Nr. Ewid. 791132 nr. Ozn. APD10119

Pismo Wasze jest monstrualne. Pytam, dlaczego nie przysłaliście wezwania do zapłaty rok temu, dlaczego nie przysłaliście dwa lata temu, trzy lata, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć lat temu? Dopiero po dziesięciu latach dostrzeżliście bałagan w Waszej ewidencji? Odpowiem: Dziesięć lat temu, gdy sprzedałem swój ostatni samochód, zawiadomiłem Was o konieczności usunięcia moich danych z ewidencji. To spowodowało, że przestaliście przysyłać wezwania do zapłaty. Ja nie mogę odpowiadać za fakt, że jednocześnie nie usunęliście moich danych z ewidencji. Czyż nie tak było? Czy nie słyszeliście o dwuletnim bądź trzyletnim okresie przedawnienia roszczeń. Wasze roszczenia, zresztą bezpodstawne, względem mnie dawno zostały przedawnione.

Jestem człowiekiem poważnym (w odróżnieniu od Was) i przyjmuję propozycję „polubownego” załatwienia Waszych niedających się prawnie usankcjonować i udowodnić roszczeń. Wpłacam więc żądane 22,10 zł. na podane konto. To jest zwyczajne wyłudzenie pieniędzy. Powinniście się wstydzić. Mam jednak nadzieję, że jak za następne dziesięć lat postanowicie znów wystąpić z roszczeniami wobec mnie, to mnie już na tym świecie nie będzie. (Mam nadzieję, że nie będzie i takich Spółek z ograniczoną odpowiedzialnością). Dziękuję za uzupełnienie mojej najnowszej książki draczną Warszawą stroną.

Do wiadomości: Federacja Ochrony Konsumenta i Telewizja Polska.

*

21 grudnia 2007 11:47

Archiwum Zamku Krolewskiego archiwum@zamek-krolewski.com.pl

Szanowny Panie,

Z okazji świąt Bożego Narodzenia życzę Panu pomyślności w życiu osobistym i realizacji planów wydawniczych.

W załączniku przesyłam zdjęcie odcisku pieczęci Prezydenta RP z 1927 roku. Zwykłą pocztą wysłałam zgodę na publikację i fakturę.

Z poważaniem

Joanna Czupryńska

Archiwum

Zamek Królewski w Warszawie



KANCELARIA PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Biuro
Kultury, Nauki i Dziedzictwa Narodowego
Dyrektor
Emilia BŁASZAK
BKN-060-152-2007

Warszawa, 3 grudnia 2007 roku

Wpłynęło dn. 10 XII 07
L. dz. DM-238
Przekazano do: Archiwum
Podpis: Anna H. Pleśko
Olewska

Pani
Danuta LUNIEWICZ-KOPER
Pierwszy Zastępca Dyrektora
Zamku Królewskiego w Warszawie

Szanowna Pani Dyrektor

W nawiązaniu do Pani pisma o sygn. MA-6123-116/07 dotyczącego udostępnienia do publikacji na okładce książki Pana Mariana SOKOŁOWSKIEGO zdjęcia odcisku tłoka pieczętnego do laku Prezydenta Rzeczypospolitej z 1927 roku uprzejmie informuję, że Kancelaria Prezydenta RP wyraża zgodę.

2 powiadana

Emilia Błaszak

*



Warszawa, 14.12.2007 r.

MA-6123-116/07

Pan
Marian Czesław Sokołowski
ul. Stefana Batorego 31 m 11
02-591 Warszawa

Szanowny Panie

Uprzejmie informuję, że wyrażam zgodę na udostępnienie do publikacji w Pana książce „Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie”, nakład 10 egz., zdjęcia odcisku tłoka pieczętnego do laku Prezydenta Rzeczypospolitej z 1927 roku, fot. Bożena Radzio.

Wyżej wymieniony tłok jest w naszych zbiorach depozytem Kancelarii Prezydenta RP (pisemna zgoda Kancelarii w załączeniu).

Proszę o zamieszczenie w publikacji informacji o właścicielu tłoka tj. Kancelarii Prezydenta RP, właścicielu zdjęcia tj. Zamku Królewskim w Warszawie i nazwiska fotografa.

Oplatę w wysokości 18,00 zł plus podatek VAT należy wpłacić na nasz rachunek bankowy po otrzymaniu faktury.

Będziemy wdzięczni za przekazanie do Biblioteki Zamku egzemplarza Pana książki.

Danuta Łuniewicz-Koper

PIERWSZY ZASTĘPCA DYREKTORA
Zamku Królewskiego w Warszawie

Danuta Łuniewicz-Koper

2007-12-28

Zamek Królewski w Warszawie

Pomnik Historii i Kultury Narodowej

Plac Zamkowy 4

00-277 Warszawa

Dot. MA-6123-116/07

Szanowna Pani

Danuta Łuniewicz-Koper

Pierwszy Zastępca Dyrektora

Zamku Królewskiego w Warszawie

Bardzo dziękuję Muzeum za zezwolenie na zamieszczenie na okładce mojej książki pt. „Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie” zdjęcia odcisku tłoka pieczętnego do laku Prezydenta Rzeczypospolitej z 1927 roku.

Należność w kwocie 21,96zł. przelałem na konto Zamku.

Proszę wybaczyć moje zwątpienie, ale po braku odpowiedzi na moje listy elektroniczne z dnia 10 i 30 października br. oddałem moją książkę do druku i już od 21 listopada br. jest ona sprzedawana przez Główną Księgarnię Naukową im. B. Prusa w Warszawie. Może otrzymane zezwolenie wykorzystam przy drugim wydaniu książki.

Jeszcze raz dziękuję za przychyłność i przekazuję przy niniejszym liście moją książkę do Biblioteki Zamku – jest to dla nie wielkim zaszczytem.

*

2008-01-07

Byłem dziś w Księgarni Prusa. Mają jeszcze trzy egzemplarze prezydentury, dwa pety i aż cztery samczego.

*

2008-01-07

Telewizja Polska S.A.

Polskie Radio S.A.

Instytut Pamięci Narodowej

W dniu 31 lipca ubr. w Instytucie Pamięci Narodowej prezes IPN Janusz Kurtyka, prezes TVP SA Andrzej Urbański oraz prezes Polskiego Radia SA Krzysztof Czabański podpisali porozumienie ustanawiające Nagrodę dla Książki Historycznej Roku.

Ponieważ podano wówczas, że książki na konkurs winny być złożone do końca stycznia 2008 roku, bardzo proszę Szanownych Państwa o pilną odpowiedź, gdzie nale-

ży składać pretendujące książki oraz gdzie można zapoznać się z regulaminem konkursu i innymi szczegółami dotyczącymi konkursu.

*

2008-01-10

Polskie Radio S.A.

Al. Niepodległości 77/85

00-977 Warszawa

Dot. „Nagroda dla Książki Historycznej Roku”

Zgodnie z § 2 p.5.b) Regulaminu Konkursu „Nagrody dla Książki Historycznej Roku” zgłaszam do konkursu książkę:

„Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie”

autor Marian Czesław Sokołowski

ISBN 978-83-926382-0-9

Pierwsze (jedyne) wydanie książki ukazało się w 2007 roku i od 21 listopada 2007 roku książka jest sprzedawana w Głównej Księgarni Naukowej im. B. Prusa w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu.

W załączeniu przedmiotowa książka.

*

Szereg miesięcy usiłujemy sprzedać mieszkanie. Dajemy ogłoszenia, podpisujemy umowy z pośrednikami, obniżamy cenę, lecz żadnego skutku.

*

10 lutego 2008 11:47

kancelaria@welsyng.pl <kancelaria@welsyng.pl>

kancelaria@stytax.pl kancelaria@stytax.pl

Proszę o poradę podatkową w następującej sprawie:

Jestem emerytem, mam 75 lat. Od 32 lat piszę powieści o współczesnej historii Polski. Napisałem już ich kilkanaście, ale żadnej nie zdołałem wydać. W ciągu tych trzydziestu lat poniosłem liczące się dla mnie koszty: kilka komputerów, szereg drukarek, papier, tusze, introligatornia, a przecież jeszcze nie dająca się zliczyć ilość godzin trudnej pracy po kilka godzin codziennie, a przecież inwencja intelektualna... – w sumie nie dające się oszacować koszty własne.

W ubiegłym roku natrafiłem na internetowe wydawnictwa, w których wydałem dwie książki, ale mimo obietnic wydawcy ci nie zdołali sprzedać ani jednej książki, a kosztowało mnie to kilka tysięcy złotych. Obecnie nawiązałem bezpośrednią współ-

pracę z drukarnią, tu koszt jednego egzemplarza książki wynosi już tylko około 20 złotych. Wszystkie moje książki mają numer ISBN. Tych wydanych kilkadziesiąt egzemplarzy udało mi się oddać do sprzedaży w paru księgarniach – dochód z tego będzie kilkaset złotych. Będę dalej wydawał i znów otrzymam jakieś niewielkie pieniądze.

Ja w tym widzę dwa problemy podatkowe (ale może jest ich więcej):

Pierwszy to : Jak rozliczać się z Urzędem Skarbowym z takich specyficznych dochodów, które nigdy nie przekroczą poniesionych przeze mnie kosztów?

Drugi to: Księgarnie oczekują ode mnie przynajmniej rachunku uproszczonego. Absurdem byłoby zgłoszenie działalności gospodarczej jako wydawca – nie byłbym w stanie sprostać wymaganiom. Czy jako osoba fizyczna mogę wystawiać uproszczone rachunki?

Pozdrawiam serdecznie

Brak odpowiedzi.

*

2008-02-27

Wczoraj dostałem z drukarni Elpil 50 egz. Dziejów Prezydentury.

Dzisiaj nosiłem po pobliskich księgarniach. Na Puławskiej blisko Placu Unii nie chcieli. Na Placu Unii chcieli trzy, ale chcieli fakturę wat, może jutro odpowiedzą. Bliżko baru mlecznego na Marszałkowskiej chcieli dwie. W księgarni MDM na Pięknej chcieli trzy. Po obiedzie rozwoziłem tych pięć egzemplarzy – zarobię $5 \times 5 = 25$ złotych.

*

19 lutego 2008 17:44

Bartosz Kosmalewicz <bartosz.kosmalewicz@yahoo.de>

Natrafilem w Internecie na Panska tworcosc. W związku z tym mam pare pytan. Czy Peta oraz opowiadania dostepne sa w formie ksiazkowej? Jesli tak to jakie oraz gdzie mozna je nabyć (najlepiej droga wysylkowa, poniewaz mieszkam w Niemczech) ? Za pomoc z gory dziekuje. Na Panskiej stronie niestety nie dziala link do najnowszego opowiadania.

Z wyrazami szacunku. Bartosz Kosmalewicz.

*

Szanowny Panie,

bardzo ucieszył mnie Pana list. Muszę przyznać, że zaniedbałem swoją stronę w Internecie, było bardzo małe zainteresowanie. Chociaż na początku przez tę stronę odnalazła mnie po 60 latach koleżanka z dzieciństwa, obecnie mieszkająca w USA. Ponadto w niedługim czasie (do 3 miesięcy) przeprowadzę się do córki i będę musiał zlikwidować stronę w Internecie. Peta to moja tak zwana ksywa z dzieciństwa, a że opisu-

ję lata 1930 do 2000 – jest w mych książkach wojna i PRL, to całemu cyklowi nadałem tytuł „peta”. Ponad 30 lat pisałem, ale wydawnictwa stale odrzucały – raz me książki były zbyt krytyczne, potem za mało krytyczne i tak dotrwałem do dzisiejszych dni. W sumie napisałem 12 książek. Pierwszą książkę pt. „Samczy happening” wydałem w 2007 roku w internetowym wydawnictwie My Book adres <http://www.mybook.pl/5/0> i tam też można ją kupić na zasadzie wysyłkowej.

Potem wydałem książkę w internetowym wydawnictwie Pani Doroty Silaj w Chicago <http://dsp.byethost31.com/index.php> pod wspólnym tytułem „peta”. W jednej książce umieściłem trzy moje książki: „Plus minus zero” – lata 1938-1955, „Debiut” – lata 1956-1963 oraz „Gag” – lata 1964-1973. Tam można ją nabyć w drodze wysyłkowej.

Z internetowymi wydawnictwami też szło opornie i zdecydowałem stać się wydawcą, znalazłem drukarnię komputerową, która podjęła się drukować moje książki. Tak wydałem książkę pt. „Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie” – polskie lata 1939-1990 bez dziejów legalnych władz polskich na uchodźstwie byłyby niepełne – tę książkę mógłbym Panu osobiście wysłać.

Byłbym zapomniał, że jeszcze są w sprzedaży wszystkie trzy omówione książki w Głównej Księgarni Naukowej im. B. Prusa w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu – oni też prowadzą sprzedaż wysyłkową:

http://www.i-ksiazka.pl/view_ksiegarnia.php?jid=246

Mam jeszcze w trzech częściach opisane lata stanu wojennego oraz porwałem się na napisanie prawdziwej historii Rosji: 1600 stron, moc kolorowych map i ilustracji. Tytuły części: ROSJA – ostatnie imperium; ROSJA ZSRR – apogeum imperium; ROSJA – odwieczne imperium i ROSJA – początki imperium. Odwieczny problem Polski na wschodzie tak drastycznie rzutujący na Polskę i na każdego Polaka wymagał wreszcie prawdziwego rozliczenia, wymagał pokazania, czym w istocie Rosja jest. Moje emeryckie dochody są oficjalnym powodem nie wydania jeszcze pozostałych mych książek, chociaż za taką swoją historię Rosja może znowu rozliczyć się „polonem” jak niedawno w Londynie.

Pozdrowienia z Warszawy

*

Szanowny Panie Sokołowski,

Dziękuję, za odpowiedź. Aktualnie przebywam w Polsce ale niestety na krótko i tylko w Szczecinie. Chwilowo skorzystam z drukarki oraz plików udostępnionych na stronie. Mam znajomych w Warszawie, więc mam nadzieję, że uda mi się ich wysłać do księgarni i mi podeślą wydanie książkowe. Od pół roku mieszkam w Niemczech (Münster – w Północnej Nadrenii Westfalii – niedaleko Holandii), studiuje tam i pracuję od czasu do czasu ;-). Jeśli chodzi o odnajdywanie znajomych to niezastąpiony jest sławny ostatnio portal społecznościowy nasza-klasa.pl. Mam nadzieję, że przeprowadzka do córki nie przeszkodzi w utrzymywaniu strony. Stronę zawsze można przenieść na darmowy serwer i może działać dalej. Tak na marginesie, to jestem informatykiem, w wol-

nych chwilach mógłbym pomóc. Szkoda zamykać, tym bardziej, że widziałem, że strona istnieje już kawałek czasu.

Pozdrawiam serdecznie. Bartosz Kosmalewicz.

*

26 lutego 2008 09:22

ELPIL <info@elpil.com.pl>

Witam,

dzisiaj wieczorem nasz handlowiec dostarczy Panu książki . Czy faktura ma być wystawiana z danymi jak poprzednio?

pozdrawiam Jarosław Pilich

*

27 lutego 2008 09:26

bonus@bonusmedia.pl <bonus@bonusmedia.pl>

Pragnę zaoferować Państwu do sprzedaży moją książkę, którą prezentuję poniżej. Format B5, 537 stron, miękka oprawa. Moja cena 25 zł. Zamówioną ilość egzemplarzy dostarczę do Księgarni.

*

3 marca 2008 20:55

Zosia <zsokolowska@tiscali.nl>

Myślę, że powinno to być napisane jakoś tak i może być odręczne (bo polskie litery):

Zofia Cecylia Sokołowska

adres obecnego zamieszkania

data

UPOWAŻNIENIE

Upoważniam ojca mojego Mariana Czesława Sokołowskiego nr. pesel 33072902091 do wymeldowania mnie z pobytu stałego w mieszkaniu 02-591 Warszawa, ul. Stefana Batorego 31 m 11.

Wyjaśniam, że od ... roku mieszkam na stałe w Holandii i mam obywatelstwo holenderskie.

*

5 marca 2008 21:57

Zosia Sokolowska <zsokolowska@tiscali.nl>

Kochani,

Tekst upoważnienia sobie wydrukuję, podpiszę i wyślę pocztą w piątek.

Przesyłam zdjęcie mojego ostatniego dzieła z lekcji rysowania i malowania. Jestem z niego całkiem zadowolona (na zdjęciu są kolory trochę przekłamane, bo czerwony jest w rzeczywistości brązowy), a ponieważ idzie na wystawę do szkoły, to sobie zrobiłam zdjęcie. Mam nadzieję, że mi się go uda odzyskać po wystawie. Resztę będziecie mogli zobaczyć, jeżeli będziecie przejazdem w drodze do Paryża. Pozdrawiam, Zosia

*

-----Original Message-----

From: Marian Sokołowski [mailto:marian.sokolowski@acn.waw.pl]

Sent: Tuesday, March 11, 2008 8:21 AM

To: gkn@prus24.pl

Subject: prośba o rozliczenie

Dyrektor Głównej Księgarni Naukowej im. B Prusa w Warszawie

Pani Edyta Wiaterska

W 2007.11.21 dostarczyłem do sprzedania tytuły:

- peta, 5 egz. moja cena 35zł/egz.

- Samczy happening, 4 egz. moja cena 26zł/egz.

- Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie, 7 egz. moja cena 35zł/egz.

W 2007.12.12 dostarczyłem do sprzedania tytuł:

- Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie, 5 egz. moja cena 35zł/egz.

W 2008.03.04 wycofałem:

peta, 1 egz.

a ponadto przeceniłem:

- Samczy happening, 3 egz. moja nowa cena 20zł/egz.

- Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie, 2 egz. moja nowa cena 25zł/egz.

Bardzo proszę o rozliczenie sprzedanych książek w celu wystawienia rachunku.

Wyrazy szacunku

*

11 marca 2008 17:39

Edyta Wiaterska gkn@prus24.pl

Witam,

Przesyłam rozliczenie

*

20 marca 2008 10:37

Romiszewska <eromiszewska@coditel.net>

Wesołego Alleluja!!!

radosnych Świąt Wielkanocnych

życzą serdecznie

Elżbieta i Paul

PS : zamiast pisanek załącznik, też malowany.

http://www.artgallery.lu/digitalart/women_in_art.html

Drogi Marianie,

Dziękuję Ci za piękną kartę świąteczną, która razem z choinką

Utrzymywała ciepłą i uroczystą atmosferę Świąt aż do początku

lutego. Obecnie zajmuje zaszczytne miejsce w mojej kolekcji

kart, które zbieram od lat z wielką pasją.

Przechodziliśmy trochę trudny okres w ub. roku i ostatnio.

W Śmigusowy Poniedziałek lecę z moją Akademią Flamandzką

do Nowego Yorku i zmiana krajobrazu, zmieni myśli.

Serdecznie pozdrawiam

Elżbieta

*

Do: "Elżbieta Romiszewska" eromiszewska@coditel.net

Data: 2008-03-31 07:35:28

Temat: pozdrowienia

Droga Elu, nie odpisywałem, bo się przeprowadzaliśmy – zmiana adresu, likwidacja skrzynki e-Mail itd. Dziękuję za Twój miły list i rozkoszny załącznik – dodałem go do ulubionych. Tak sympatyczny Twój list wywołał u mnie refleksję, że powinnaś coś więcej wiedzieć o mnie, bo te 50 lat niosły brzemiennie skutki. Sama ocenisz, czy chcesz utrzymywać kontakt z kimś takim jak ja, bo niestety wielu zachowuje jedynie pozory zażyłości. Pisziesz jednak, że wyjeżdżasz do USA, więc może daj znać, gdy wrócisz, to napiszę coś więcej o sobie.

Pozdrawiam

Nie było żadnej odpowiedzi – więc na tym znajomość się skończyła.

*

Wreszcie zjawił się klient na kupno naszego mieszkania:

10 kwietnia 2008 22:05

ajp-51@wp.pl ajp-51@wp.pl Andrzej Pierścieniewski

OFERTA SPRZEDAŻY MIESZKANIA

Mieszkanie własnościowe, księga wieczysta będzie załatwiana przez Spółdzielnię.

Mieszkanie znajduje się na I piętrze – budynek 16 kondygnacji, wymiary i powierzchnie jak na załączonym planie mieszkania.

Rok budowy: 1968 – jestem pierwszym właścicielem mieszkania.

Stan techniczny dobry. Konstrukcja budynku: ściany konstrukcyjne żelbetowe, stropy kanałowe, ścianki działowe ceglane, tynki wapienne.

Mieszkanie posiada instalacje: nową instalację co, nową instalację w rurach plastikowych wody zimnej i ciepłej, kanalizacja (pion w łazience do wymiany), elektryczność, nowa instalacja gazowa, telefon, telewizja kablowa, Internet, domofon. Centralne ogrzewanie i ciepła woda z miejskiej sieci ciepłowniczej.

W pokojach gruby parkiet, na ścianach biała farba emulsyjna, stolarka okienna i drzwiowa drewniana. Okna z dużego pokoju i jednej sypialni wychodzą na południe, z drugiej sypialni na zachód.

W łazience glazura i terakota, wanna 140cm, umywalka, wc, pralka. Łazienka po generalnym remoncie.

W kuchni glazura i terakota, ścianka z luksferów, kuchenka gazowa z okapem, zlewozmywak, szafki stojące i wiszące, lodówka. Kuchnia po generalnym remoncie.

Piwnica 2,3m²

Czynsz 333 zł + fundusz remontowy 75 zł.

W budynku są trzy windy.

Budynek znajduje się obok przystanku Metra Pole Mokotowskie, w zieleni, obok prywatna przychodnia zdrowia, przedszkole, spożywczy sklep Mokpol, sportowy Alpinus, pralnia Alba. W odległości 50 m od domu znajduje się ujęcie wody oligoceńskiej dla mieszkańców.

Osiedle jest położone na Polach Mokotowskich, obok Szkoły Głównej Handlowej i Instytutu Geologicznego. Obok osiedla są dwa parkingi strzeżone z wolnymi miejscami na samochody. Po drugiej stronie ulicy Batorego jest już Dzielnica Śródmieście.

Powierzchnia użytkowa wg pomiaru: kuchnia 5,0m²; aneks jadalny 3,2m²; łazienka 3,3m²; pokój dzienny 17,5m²; sypialnia płd. 9,6m²; sypialnia zach. 8,9m²; hall wejściowy 4,0m²; hall wewnętrzny 1,7m²

Razem powierzchnia użytkowa: 53,2m²

*

Jest 17 kwietnia 2008 roku. Czternastego sprzedaliśmy mieszkanie. Wreszcie! Sprzedawaliśmy je od sierpnia, czy września. Dałem kilka ogłoszeń w Gazecie. Zgłaszali się sami pośrednicy. Jednych odprawiałem, z niektórymi zawarłem umowy. A umowy były obskurne. Jedni chcieli podwójnej prowizji, gdybym rozmyślił się ze sprzedażą mieszkania, inni żądali okazania im aktu notarialnego na dowód, że faktycznie sprzedałem mieszkanie, bo znów podwójna prowizja. W sumie nikogo nie skierowali, a tylko dowiadywali się, czy oferta jest nadal aktualna. My zmniejszaliśmy cenę od 600 do 450 tysięcy złotych. Wreszcie przyszedł pan z Łodzi, tego zapytaliśmy wręcz, ile da za to mieszkanie. Powiedział: 340 tysięcy. Odrzekliśmy, że zastanowimy się. Wówczas on zaoferował 350, jeśli zdecydujemy się do następnego dnia. Zdecydowaliśmy się tego samego dnia. Zawarliśmy umowę przedwstępną (dlaczego nie wstępną?). W załączniku dopisał sprzęty, które mamy mu zostawić, nawet stary dywan, nawet równie stare firanki, nawet krzeselczko dziecinne stojące od czterdziestu lat w przedpokoju... Potem był oburzony, gdy w przesłanej mu umowie przedwstępnej zaznaczyłem, że przekazanie starych sprzętów wymienionych w załączniku do umowy jest dobrowolnym przekazaniem i odstępowo nie stanowi naruszenia umowy przedwstępnej. Najwyraźniej liczył na ten haczyk, bo aż musiałem mu wyrębać: – Panie, ja wreszcie któregoś dnia połamię ten stołeczek w przedpokoju, na którym siadam od czterdziestu lat, a pan uzna, że naruszyłem warunki umowy i zażąda zwrotu podwójnej zaliczki. Wpłacił 35 tysięcy zaliczki. I teraz zaczął mnie obrabiać, że on w umowie przedwstępnej zobowiązał się do zapłacenia tylko opłat skarbowych i notarialnych i nie ma zamiaru płacić za mnie żadnych podatków, a już szczególnie podatku od czynności formalnoprawnych, a tego było siedem tysięcy złotych. Przekonywałem, że obecnie wszystkie opłaty u notariusza ponosi kupujący, więc po połowie sugerował, ale odpowiedziałem, że mieszkanie sprzedajemy mu bardzo tanio, a ja mam tysiąc złotych emerytury i nie zgodzę się na obniżenie moich ostatnich pieniędzy w życiu. Od połowy marca już na stałe mieszkaliśmy u Gosi, nawet się tam już zameldowaliśmy. A przeprowadzka była okrutna. Przez szereg dni jeździłem Gosi Pegeotem na Batorego, ładowałem do toreb książki, garnki itp. i wiozłem na nowe mieszkanie u córki w Aleje Jerozolimskie. Wiele

z żalem wyrzuciłem na śmietnik. Komputery oddałem na utylizację. Zamówiłem firmę do utylizacji mebli. Ci bez pardonu łamali moje graty, wszystko na moich oczach. A graty te to przecież czterdzieści lat mojego życia. Tylko stolik do kart i dwa krzesła znalazły miejsce w nowym mieszkaniu u Gosi. W całej rozciągłości sprawdziło się powiedzenie, że przeprowadzka to jak pożar. W tym czasie jeszcze na Batorego wymieniano wreszcie pionny kanalizacyjny i wodociągowe, a w naszym mieszkaniu robiono to ósmego w kuchni, w łazience miano robić jedenastego, ale przenieśli na środek, czyli po akcie notarialnym. Jeszcze Pan P. u notariusza wykłócał się o zapisanie balkonu i piwniczki, ale pani notariusz wyraźnie broniła nas. Potem przyniósł z Multibanku dokument, że dokonał przelewu 315 tysięcy i spisaliśmy wszystkie protokoły przekazania mieszkania, dałem klucze i już nas nie było. Jeszcze w parę dni później telefonował z pretensją, gdzie jest ten wkład budowlany, który powinienem był systematycznie rewaloryzować i teraz powinienem przekazać mu te liczące się pieniądze.

*

17 kwietnia 2008 02:19

sekretariat.ipn@ipn.gov.pl <sekretariat.ipn@ipn.gov.pl>

W ubiegłym roku IPN, TVP i PR ogłosiły konkurs na książkę o historii Polski. Gdzie można dowiedzieć się coś o losach tego konkursu?

To samo zapytanie skierowałem do TVP i PR.

*

W tym czasie znalazłem w myślach miejsce na inne rozważania i zwróciłem się do Instytutu Pamięci Narodowej o udostępnienie mi do wglądu mojej teczki znajdującej się w archiwach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. IPN przewidywał powszechne takie udostępnianie akt.

17 kwietnia 2008 09:24

Sekretariat <sekretariat.ipn@ipn.gov.pl>

Szanowny Panie,

Proszę o uzupełnienie Pana emaila o dane adresowe zgodnie z:

Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu informuje, że udziela odpowiedzi na korespondencję otrzymywaną za pomocą poczty elektronicznej, która spełnia wymogi określone w art. 63 § 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. kodeks postępowania administracyjnego (tekst jednolity: Dz.U. z 2000 r., Nr 98, poz. 1071 ze zm.), którego brzmienie jest następujące: Podanie powinno zawierać co najmniej wskazanie osoby, od której pochodzi, jej adres i żądanie oraz czynić zadość innym wymaganiom ustalonym w przepisach szczególnych. Oznacza to, że treść kierowanej korespondencji powinna zawierać co najmniej wskazanie: przedmiotu sprawy, której dotyczy, osoby (imienia i nazwiska), od której pochodzi, adresu (kodu pocztowego, miejscowości, ulicy i nr domu) tej osoby.

Z poważaniem,

Sekretariat Prezesa IPN Ewa Majewska

*

2008-05-08

Zebrało się wiele do opowiedzenia.

Może jeszcze wtrączę, że wczoraj, czyli prawie po miesiącu od sprzedania mieszkania zadzwonił Pierścieniewicz. Kłaniał się, pytał o zdrowie, ale gnębiła go sprawa, bo w umowie przedwstępnej napisałem, zresztą na wzór umowy córki, że zrzekam się na rzecz kupującego praw członkowskich w spółdzielni wraz z wkładem budowlanym i udziałem członkowskim. Oczekiwał wyjaśnienia, co to jest ten wkład budowlany w spółdzielni, który otrzymał ode mnie, ile tych pieniędzy powinno tam być, czy dbałem o ich waloryzację. Nieprzygotowany, wyjaśniałem, jak pamiętałem, że udział członkowski, to było wpłacone w 1963 roku 500 złotych, a zasady były wówczas takie, że żeby otrzymać mieszkanie spółdzielcze, trzeba było wnieść wkład budowlany, który wynosił chyba 30% wartości mieszkania, a na resztę kosztu mieszkania otrzymywało się kredyt państwowy na 35 lat. Było to mieszkanie spółdzielcze lokatorskie, które przechodziło na własność spółdzielni po śmierci członka spółdzielni, a ten wkład budowlany chyba był zwracany rodzinie. Po stworzeniu możliwości wykupienia na własność mieszkania w latach osiemdziesiątych spłaciłem niespłacony kredyt i stałem się właścicielem mieszkania. Tak więc wkład budowlany stanowi pojęcie historyczne i jest obecnie zerowy. Niepotrzebnie powtórzyłem to w umowie za innymi umowami, a mój bardzo sprytny nabywca mieszkania, obawiam się, będzie teraz dochodził sądownie tych wielkich pieniędzy.

Takie jest to życie. Ale wróćmy do opowiadania znów po kolei.

*

Już na wigilię dostałem w prezencie od córek zawiadomienie, że z okazji moich 75 lat, a i 40 i 45 lat córek, pod koniec kwietnia 2008 roku spędzimy wspólnie tydzień czasu w Paryżu! Myślałem o tym przez pół roku, myślałem z zachwytem. Snułem plany. Postanowiłem, że z tej okazji wszyscy powinni otrzymać prezenty ode mnie. Dla Roberta i Daniela kupiliśmy powszechnie dziś gry planszowe. Potem kupiłem wspianiałą kamerę cyfrową dla Gosi. Potem doszedłem do wniosku, że obie córki winny otrzymać identyczne prezenty, więc kupiłem drugą kamerę dla Zosi. Dla Sjaaka chciałem kupić tak zwany translator – urządzenie elektroniczne tłumaczące z angielskiego na polski i odwrotnie, ale Anka się sprzeciwiła. Potem chciałem kupić dla Anki złoty pierścionek, ale nie było nic odpowiedniego, zresztą poprzedniego pierścionka Anka nie nosi, choć jest śliczny. Wymyśliłem więc, że kupię jej laptop (komputer przenośny), do którego podłączę jej Internet i będzie mogła wędrować po muzeach, gazetach i blogach (znów nowość tych czasów – autor zamiast pisać książkę, pisze blog, inni mu to wyczytują, czasem pomagają, czasem przeszkadzają, wszyscy wszystkich czytają i nie trzeba spotkań towarzyskich). Anka bardzo lubi wieczory spędzać w Internecie.

Z tym laptopem był problem, bo Anka wykryła brak pieniędzy na koncie, nie pomogły moje wykręty i tak utyskiwała, że rzuciłem w zdenerwowaniu: – Bo kupiłem ci

prezent. Trochę zaufania do mnie! – Speszyła się bardzo i już potem zgodziła się na prezent dla Sjaaka. Potem jeszcze zechciała szukać torby na wyjazd w szafie, w której ukryłem jej prezent, ale jakoś odradziłem grzebanie w tym miejscu.

Była sprawa dojazdu do Paryża. Zosia twardo obstawała, że oni pojadą samochodem, bo mają blisko, a my winniśmy jechać pociągiem. Jednak pociąg miał dwie trudne przesiadki i zdecydowaliśmy jechać samochodem. To kilkanaście godzin za kierownicą, więc obstawałem, że winniśmy z Gosią prowadzić na zmianę. Jej Pegeota serwis przygotował do wyprawy, ale okazało się, że Gosia w czwartek i piątek musi być na wyjazdowym szkoleniu ze swojej firmy, więc wyjedziemy wcześniej rano w sobotę 26 kwietnia.

O czwartej rano wyjechałem z nimi z garażu. Uwagę zdominowała nowość – Dzi-pi-es (GPS) – mały kolorowy ekranik, przymocowywany przyssawką do przedniej szyby i podłączony do zapalniczki samochodowej, na który Gosia wpisała: Francja, Paris, rue des Fetes 13 i jeszcze, że nie chcemy jechać płatnymi autostradami, a to urządzenie czarnoksiężnika już wiedziało, jak nas tam zaprowadzić! Na ekraniku płynnie przesunął się kolorowy obraz drogi z zieloną linią naszej jazdy, obok urządzenie podawało: ile kilometrów mamy do końca trasy i kiedy tam przyjedziemy. Jeszcze była zalecana prędkość jazdy i jeszcze coś, i jeszcze coś. A głos mówił: zanik sygnału GPS, – za trzy kilometry przygotuj się do wjazdu na rondo, – za kilometr przygotuj się do wjazdu na rondo, – za trzysta metrów wjedź na rondo, potem skręć w prawo w drugi zjazd, – jedź trzydzieści kilometrów, – za trzysta metrów trzymaj się lewej strony (to w miejscach, gdy autostrada się rozdzielała), – za pięćdziesiąt metrów zawróć (znaczyło więc, że już po chwili przez trzy satelity rozpoznawał, że źle skręciłem).

Przez Polskę jechaliśmy po polsku: wąskie drogi, wiele tirów, wyboje, wolna jazda. Po dwóch godzinach oddałem kierownicę Gosi. Potem po kilku godzinach znów ja prowadziłem, teraz już po autostradzie niemieckiej. Ale słabo prowadziłem, byłem zmęczony, bo spałem od jedenastej do pierwszej, byłem spięty. Toteż nie miałem odwagi w porę wjeżdżać między pędzących Niemców, stąd nagłe wyhamowania. Potem Gosia mnie pouczyła, że nie wolno prawym pasem jechać szybciej, niż jadą na środkowym i lewym pasie. Nie wiedziałem. W pewnym momencie Gosia zaznaczyła z przekąsem (tak to się określa): – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego uważasz, że osiemdziesiątką należy jechać na trójce. Odparłem: – Ja ci to kiedyś wytłumaczę. A w duchu burzliwie rozważałem, że takie uwagi można wygłaszać do prowadzącego samochód, tylko gdy zamierza się go bardzo zdenerwować. I już miałem kazać jej wysiąść z samochodu (z jej samochodu), ale była to autostrada przecież. Tymczasem były tam roboty drogowe, ograniczenie szybkości do 60 km/godz., samochody jechały gęsiego, ci przede mną jechali szybciej, ci za mną naciskali, bo chcieli też jechać szybciej, a i było trochę z górki, więc nawet na trójce mój samochód rozpedził się do osiemdziesiątki. Gdybym wrzucił czwórkę, to po chwili miałbym dziewięćdziesiąt na liczniku. Piłowałem więc na trójce... Gdy zmieniliśmy się kolejny raz, Gosia już mnie nie dopuściła do kółka, nawet w czternastogodzinnej drodze powrotnej.

Jechaliśmy przez Francję wśród miasteczek, pustą, bo bezpłatną drogą. Mijaliśmy ładne widoki i dosyć nędzną zabudowę wiosek. Z Zosią mieliśmy kontakt telefoniczny. Martwiła się, że jeszcze jedziemy. Nasz GPS nadal twardo obstawał i to od samej War-

szawy, że na miejsce dotrzemy o 2025, i mimo odcinków bardzo szybkiej jazdy, a i bardzo wolnej jazdy, nie zmieniał zdania. Przygotowałem zeskanowane i powiększone fragmenty Paryża dojazdu na miejsce. Było już ciemno, wjeżdżaliśmy w coraz bardziej zawile drogi, coraz więcej pojazdów, tunele, miały być przedmieścia Paryża z domkami, z których jeden córki wynajęły, a tu wysoka zwarta zabudowa, kręte ulice o jednym kierunku jazdy, wielki ruch. Zdajemy się zupełnie na GPS, a on każe skręcać to tu, to tam, wreszcie zaskakująco stwierdza: – Przyjechałeś na miejsce. Gosia natychmiast staje, a tu obok czeka na nas Zosia – niesamowite. Jest 20.25! Niedopuszczalnie wjeżdżamy w czyjąś bramę, a tu już czeka za nami taksówka, która najwyraźniej też tam zamierza wjechać. Wsiadam z samochodu i zataczam się jak pijany, aż mnie Sjaak podtrzymuje. Błyskawicznie wypróżniamy nasz bagażnik, wrzucając wszystko za jakąś furtkę. Gosia z Sjaakiem odjeżdżają szukać płatnego parkingu, a my te bagaże nosimy przez jakiś przesmyk między budynkami... Całujemy się już w mieszkaniu. Dzieci śpią.

Wylądowaliśmy w Paryżu zupełnie inaczej niż trzydzieści lat temu [1979]. Wtedy kontrole graniczne, wybebeszanie bagażnika, zakładanie przez polskie służby celne plomb na każdym wiezionym sprzęcie, pieczołowite sprawdzanie i stemplowanie paszportów. A gdy dotarliśmy, Grzesiek stwierdzający autorytarnie, że nasze pozostanie w Paryżu skończyłoby się dla nas tragicznie... Teraz jechaliśmy jak u siebie i przyjechaliśmy do siebie. Zosia przez Internet wybrała domek do wynajęcia. Właściciele na ten tydzień wyjechali do Bretanii, a my staliśmy się właścicielami ich mieszkania. Zostawili dosłownie wszystko i choć nie rzekli, abyśmy się czuli jak u siebie w domu, właśnie tak się czujemy, choć bardzo zszokowani. Poznajemy z szacunkiem właścicieli, Francuzów, choć ich nie widzimy, ale mówią za nich, ich zaufanie do nas, moc książek i albumów o sztuce, o filozofii, wiele białych kruków, na szafkach pełne puzderka różności „skarbów” – jak to w domu po latach. Pani jest pisarką, już napisała dwie książki, jedną znajdujemy tłumaczoną na polski! Pan jest naukowcem w dziedzinie sztuki, architektury, gdzieś wykłada, wiele rysunków na ścianach, na półkach. Za domem jest niewielki ogródek – trawa, trochę zieleni wyższej, skromny taras. Zresztą w domu wszystkie sprzęty są skromne, jakby samodzielnie robione lub choćby montowane.



Paris, rue des Fetes 13 – w tę szczelinę między domami trzeba wejść, aby dojść do naszego domu.

Zasiadamy na ten pierwszy wieczór na tarasie w ogródku. Herbata, piwo, wino. I mnóstwo serdeczności. Ja nadal żyję moją obsesją kilku dziesięcioleci – wreszcie dotarłem do umiłowanej Francji, choć to raczej ona do mnie dotarła. Bez uciekania z kraju, bez przestępstwa mogę w niej przebywać. Jest tak miło, że postanawiam teraz wygłosić tradycyjne przemówienie. Wszyscy z rozbawieniem czekają, bo poprzednie pod Hamburgiem wygłosiłem przecież po niderlandzku – teraz będzie po angielsku, i choć w ostatniej chwili przywołany przez realia francuski, zatarł nagle nawet tych kilkanaście znanych słów angielskich, mówię: Nineteen thirty three. I was born in 1933. Po polsku dodaję, że nie będę nikomu liczył lat, zaczniemy od drugiej strony. Więc: Nineteen thirty three and twenty five years is nineteen fifty eight year. To już po polsku: Poznałem wtedy Ankę, ja byłem na trzecim roku architektury, Anka miała siedemnaście lat i robiła maturę. To już pięćdziesiąt lat żyjemy z sobą. Anka dodaje: Rzeczywiście wtedy zaczęliśmy chodzić z sobą. Ja uściślam: Jeśli to się tak nazywa. Córki śmieją się dyskretnie, a Anka rzuca: Zaraz dostaniesz po głowie! Ja jednak idę do bagaży i przynoszę przygotowaną torbę. Z niej wyjmuję czerwoną kopertę, wręczam Ance

i dziękuję, całując ją, za tych pięćdziesiąt lat. Ona nie wie, co ma z tym zrobić. Czy to jakiś dowcip? Wreszcie zachęcona ostrożnie wyjmuję zdjęcie, ale najwyraźniej nie dostrzega, co na nim jest. Mówię więc: To przecież twój stolik, a na nim prezent dla ciebie – laptop, którego nie wiozłem przecież do Paryża. Wszyscy jednocześnie coś mówią, oglądają zdjęcie, Gosia opowiada, jak to mama indagowała tatę o brakujące dwa tysiące złotych. Ja dodaję, jak mama szukała torby i już dotykała pudła z prezentem. Wracam do przemówienia: Nineteen fifty eight and five years is nineteen sixty three year – Gosia was born. Wręczam Gosi prezent i dziękuję jej, że jest. Oczywiście całujemy się. Gosia z nieudawanym przejęciem rozpakowuje prezent i z zachwytem wyjmuje swą kamerę. Ogląda z przejęciem i bezwiednie komentuje: Nawet Agnieszka takiej nie ma! Wszyscy są uradowani, a ja wracam do przemówienia: Nineteen sixty three and five years is nineteen sixty eight year – Zosia was born. Znow wszystko tak samo, tylko radość ogromnieje, gdy się okazuje, że Zosia dostała taką samą kamerę. Jeszcze z polskimi słowami wręczam Sjaakowi jego prezent – ten translator. Sjaak pieczołowicie rozpakowuje, po czym wpisuje coś po angielsku, ale nawet nie potrafi wymówić, bądź choćby powtórzyć wersji polskiej. Chyba na tym zakończy eksperymenty z translatorem. Może synowie skorzystają i poduczą się polskiego oraz angielskiego. Jeszcze Zosia zauważa: Tylko ty nie dostałeś prezentu. Ja oponuję: Przecież wy wszyscy tutaj jesteście prezentem dla mnie.

Rano przez okna analizuję zagmatwany splot starej i nowej zabudowy, niskiej i wysokiej – taki jest Paryż. Chłopcy wstają, chętnie biorą prezenty, ale jakoś się omylamy. Daniel jakby mniej rozumiał po polsku, Robert prawie wcale. Zosia tłumaczy, że teraz już tylko po holendersku rozmawia z dziećmi. Przez cały czas pobytu Daniel wymyśla najdziwniejsze brewerie i okrzyki, a Robert z całą zawziętością i starannością go naśladuje w każdym ruchu, w każdym okrzyku. Myszkuje po mieszkaniu starając się wszystko odkładać na miejsce. Idę, jak przed laty w Batnie, po dwie bagietki i tym razem aż siedem kruasantów. Śniadanie. Gosia je jakieś płatki z mlekiem, Robert jak zawsze zmiata wszystko. Daniel jest bardzo chudy, ale przecież Sjaak jest równie chudy, a Zosia w tym wieku tylko o numer przekraczała komara (to według dawnych słów lekarki). Robert bardzo zeszczuplał i choć wspominamy jego ładny brzuszek z jednego z ostatnich zdjęć, to on skwapliwie pokazuje mi odsłonięty całkowicie brzuszek, którego przecież nie ma. No ale przy tych szaleństwach...

W niedzielę dwudziestego siódmego była wspaniała pogoda, więc zgodnie z planami pojechaliśmy metrem do centrum. Chcieliśmy wykupić tańsze tygodniowe karty wstępu do metra, ale okazało się, że można je kupić dopiero w poniedziałek, bo są ważne od poniedziałku do niedzieli. Dojechaliśmy do Louvre-Rivoli i po osi pałacu przeszliśmy przez dziedzińce Luwru, zachwycając się wystrojem elewacji Luwru. Potem w planie było odnalezienie zwisającej piramidy, ale to było gdzieś pod dziedzińcem, a tam już stała spora kolejka. Weszliśmy więc do ogrodu Tuileries [Dachówki – tu je kiedyś wyrabiano] i tu już zapadliśmy na kawę i lody. Sjaak został z synami w pobliskim ogródku dla dzieci, a my z córkami poszliśmy przez Place de la Concorde (dla nas Plac Zgody), obejrzelśmy obelisk egipski, a potem przez Champs-Élysée aż do Łuku Tryumfalnego. Po drodze przeprowadziłem dyskusję z Zosią na temat pieniędzy dla niej na mieszkanie. Ona jednak uznała, że musiałyby zapłacić Holandii zbyt duży podatek, nie miałyoby to sensu, oni poradzą sobie z kupnem następnego domu, a przecież zamieszkałszy u Gosi, więc jej należą się pieniądze. Pytana odpowiedziała, że może

z tych pieniędzy utworzyć specjalny fundusz, który by pokrywał koszty naszego przyjazdu do nich, i ich do nas. Na tym stanęło. Znow jak przed wielu laty weszliśmy pod Łuk Tryumfalny. Gosia nie pamiętała, że wówczas nie wpuszczono jej pod Łuk, bo z psem. Wyczytaliśmy niektóre tablice, spojrzeliśmy w kierunku La Défense, w kierunku Luwru i właściwie odechciało nam się iść w którąkolwiek stronę. Zadzwoniliśmy do Sjaaka, że wracamy metrem prosto do domu i niech on też wraca z dziećmi. Upał dał się we znaki. Jeszcze tylko przed wieczorem na moje życzenie wybraliśmy się do pobliskiego pięknego parku (Parc des Buttes Chaumont), z pięknymi dalekimi widokami, na bardzo zróżnicowanym terenie z przepaścistymi jarami.



Paris, rue des Fetes

W poniedziałek znow kupno bagietek i krusantów, a potem w metro. Wpadliśmy w zdezelowane szpony techniki. Tak zacząłem sobie wyobrażać opowieść o przyszłości, w której dziwne maszyniszczą wyprawiają przeróżne brewerie z bezwolnymi ludźmi. Zjazd długimi schodami w inny świat podziemi. Tam wszechobecne białe kafelki, krzywa podłoga, za szybą jacyś pracownicy, ale nie sprzedają biletów. Bilety kupuje się

automatycznie, ale kilka prób skończyło się niepowodzeniem. Poprosiliśmy pracownika, który butnie postanowił pokazać kmiotkom, jak się kupuje bilety, ale jego buta ni-
kła, gdy i on nie wiedział, co począć. A my chcieliśmy wiele – kupić tygodniowe bilety
i zapłacić kartą. Wreszcie on orzekł, że do biletów musimy wszyscy zrobić sobie zdję-
cia w pobliskim automacie, w którym już szalały nasze dzieci naciskając, co popadnie.
Po tygodniowe bilety tymczasem trzeba jechać na następną stację, bo tu się nie da. Sce-
neria była nieprzeciętna: tunel do schodów na górę, inny równie kręty tunel gdzieś da-
lej, tu automaty do biletów, tam automat do zdjęć i monstra wejść i wyjść z metra, naj-
wyraźniej w miarę lat coraz bardziej rozbudowywane, aby sprytni nie potrafili wdrzeć
się bez biletu, więc dodatkowe dwumetrowej wysokości klapy otwierające się automa-
tycznie tylko po wprowadzeniu biletu. Ale i tak pewien młodzian pod okiem obsługi
wskoczył na bramki wejścia, potem i na te klapy i pobiegł do pociągu. Toteż nad kla-
pami wyjściowymi już były pałaki z rur. Czułem się jak na filmie. Sjaak wrócił z poblis-
kiej stacji i orzekł, że taniej będzie jeździć na pojedynczych biletach, bo te karty zakła-
dają, że będziemy wielokrotnie w ciągu jednego dnia wchodzić do metra. Skończyło się
na kupnie karnetów z dziesięcioma biletami. Po przekroczeniu tych współczesnych wrót
piekieł znaleźliśmy się na peronie, dosyć wąskim peronie. Bilbordy wygięte w łuk po
ścianie sklepienia, wielu czekających, bardzo dużo czarnych, żółtych. Pociąg na opo-
nach z pełnej gumy, stąd w czasie jazdy telepie się na boki, wiele zakrętów na trasie,
drzwi samemu trzeba otworzyć przy wysiadaniu. Potem przejście na następną linię,
znów bardzo zawiała droga, ale dobrze oznaczona. Okropne to metro! Zachowuje się jak
stary tramwaj. Ma nawet pętle na niektórych końcach linii. Ale jednocześnie jest tych
linii tak wiele, dociera wszędzie i można dojechać wszędzie, przystanki co kilkaset me-
trów. Można pozazdrościć. Paryskie metro to prawdziwa atrakcja Paryża.



Daniël i Robert w paryskim metrze zaglądnęli do kabiny fotografującej.

Poniedziałek. Wieża Eiffel'a i Sekwana. Znów metrem podjechaliśmy w kierunku Wieży Eiffel'a do przystanku Bir Hakeim. Po drodze kupiliśmy kanapki z bagietek i zjedliśmy nieopodal wieży. Wokół krążyły patrole wojskowe. Sama wieża była już znana, nie zaskakiwała, widzieliśmy głównie rdzę [ale to przecież na taki kolor wieża jest malowana]. Nie wiedzieliśmy, kiedy tak naprawdę została wybudowana. Wokół wieży tłumy z całego świata. Pochodziliśmy, jak wypadało i poszliśmy na przystanek statków, aby spełnić mój punkt programu – popływania statkiem wycieczkowym po Sekwanie. W ten sposób wzrokowo powiązaliśmy poszczególne fragmenty Paryża w jedną całość. Statek na raz zabierał kilkaset osób. Przed nami weszła olbrzymia wycieczka młodzieży w czerwonych bluzach, my usiedliśmy na początku. Statek ruszył, pani przez mikrofon w trzech językach zaczęła objaśniać, ale coraz mniej słyszałem, bo w dzieci coś wstąpiło, zaczęły się przekrzykiwać. Przede mną krzyczało dwóch chłopców włoskich, za mną równie głośni Daniël z Robertem i tak samo głośne te kilkaset z wycieczki. Dostyc szybko pani przewodniczka poddała się i przestała objaśniać, trochę można było wysłuchać ze słuchawek znajdujących się obok każdego krzesła. Myśleliśmy jakoś, że popłyniemy w jedną stronę tylko, ale za Notre Dame statek zawrócił i już szybciej bo z prądem rzeki podążał z powrotem. Zaczęło bardzo lać, ale byliśmy pod przezroczystym dachem statku. Z chwilą dopłynięcia deszcz przestał padać. Teraz udaliśmy się przez Pola Marsowe w kierunku École Militaire, a potem na rogu Avenue de la Motte Picouet i Avenue Bosquet zapadliśmy w kawiarni na piwo, herbatę itp. Kelner zaprowadził nas na piętro, gdzie byliśmy sami, a tam sala bardzo stylowa, obrazy, boazerie. Pogoda psuła się coraz bardziej. Postanowiliśmy wracać do domu, oczywiście metrem. A w domu już normalnie, przygotowania do wieczornego obiadu, jakieś snucie się, zagłądanie do książek gospodarza.



Pod wieżą Eiffel'a

Wtorek. Centrum naukowe – Cité des Science et de l'Industrie w parku de la Villette. Metrem do Porte de la Villette, tu wysiadało multum dzieci. Otoczony wodą prostokątny, płaski gmach, z demonstracyjnymi stalowymi kratownicami na wierzchu i tylko wielgachna, lustrzana bańka na dachu – kula w której mieści się wspaniałe kino podobno. Sjaak zaraz zaznaczył, że nie podoba mu się ten gmach, a ja dodałem, że nie umiałbym zaprzeczyć. Cały parter to hol recepcyjny, bardzo długie kolejki w różnych miejscach i tłumy chętnych do zwiedzania. Wydzielone linami dojścia do kas, gdzie kasjerzy wcale się nie śpieszyli, kolejka stała w miejscu. Jednak Centrum próbowało sprostać zadaniu, bo po pewnym czasie stanęła przy nas, idąca wzdłuż kolejki recepcjonistka, która na dodatek mówiła również po angielsku i odbyliśmy zawiłą dyskusję, co chcielibyśmy zwiedzić i na co należy wykupić bilety. Dostaliśmy w wyniku prospekt z zaznaczonymi pozycjami biletów. Wprawdzie kasjerowi niewiele to mówiło, ale też znał parę słów angielskich. Rozdzieliliśmy się, Zosia ze swoimi poszła do bardziej dziecięcego programu, a my do poważniejszego. Było kilka sputników, znacznie więcej francuskiej dumy – citroenek blaszanek. Jakieś matematyczne demonstracje, trochę fizyki. Pełno komputerów, a właściwie monitorów z przyciskami: tak, nie. Dzieci przy każdym, ale przecież te dzieci na swoich domowych komputerach wyczyniają już znacznie bardziej skomplikowane operacje – centrum naukowe tak szybko się zestarzało. Gdzieś można było porozmawiać z Moną Lisą, ale i tu była technika sprzed kilku dziesięcioleci, kudy im do współczesnych animacji, które przecież też się szybko zastarzejają. W jednym miejscu były rozważania językowe. Były okienka z twarzami różnych przedstawicieli ras świata tego, a każda twarz wypowiadała coś w swoim języku. Polskę reprezentował jakiś wieśniak, który wypowiadał słowo: „przestępstw”, tu była transkrypcja fonetyczna tego najbardziej złożonego dziwolągu na kuli ziemskiej: pchɛstænpstf; ano rzeczywiście wyraz złożony aż z dziewięciu spółgłosek i tylko dwóch samogłosek! Trzeba się poddać. Dalej była antresola w formie gabloty, bardzo oświetlona, zielona, schody na wejście, schody na zejście, tylko wewnątrz na kilku trawniczkach nic prawie nie było, bo nawet bardzo poważne tabliczki przy kilku rachietycznych roślinach wyraźnie świadczyły, że tu również czas zatrzymał się przed dwudziestu laty. Wreszcie gwóźdź programu, po francusku „clou” – film w tym super kinie we wnętrzu kuli. W kolejce trzeba było stanąć dwadzieścia minut wcześniej, jak wielu kupiliśmy kubek popcornu i czekaliśmy. Wiele potężnego betonu, wążutkie schody ruchome wydaliby widzów poprzedniego seansu, nas zassały na salę, a sala, choć w kuli, to była normalna jak w każdym kinie, rzędy krzeseł piętrzących się nad sobą. Szereg reklam na wstępie jak trzeba, wreszcie łorner braders postanowili nas zmiażdżyć: wielka fala na nas chlupnęła i znaleźliśmy się pod wodą, a tu wszyscy wszystkich pożerają, człowiek tak dziwacznych monstrów nie wymyśli, jakie tam były na dnie mórz; i to pożerały się z wielkim hukiem, nigdy nie przypuszczałbym, że tyle huku jest w wodzie, a i nadal myślę, że wszystko tam odbywa się w wielkiej ciszy. Dzieci na ogół zajęły się popcornem, więc nie przejmowały się zbytnio jakąś tam masakrą. Film się skończył i długo wychodziliśmy, bo jedyne małe wyjście z sali znajdowało się na samej górze za najwyższym rzędem krzeseł. Aż strach pomyśleć, co byłoby przy najmniejszej panice. Muszę jednak nie mieć racji bo przecież w stolicy Francji zapewne działa straż pożarna i dopuszcza publiczne gmachy do użytkowania. Więc znów powrót do domu na odpoczynek i obiad wieczorny. Piszę dużo krytycznego o Paryżu, więc może jakiś pozytyw. Z pewnością zieleni, która co najmniej o tydzień wyprzedza naszą, tu już wszystko w pełnej zieleni.



Centrum naukowe – Cité des Science et de l'Industrie w parku de la Villette.

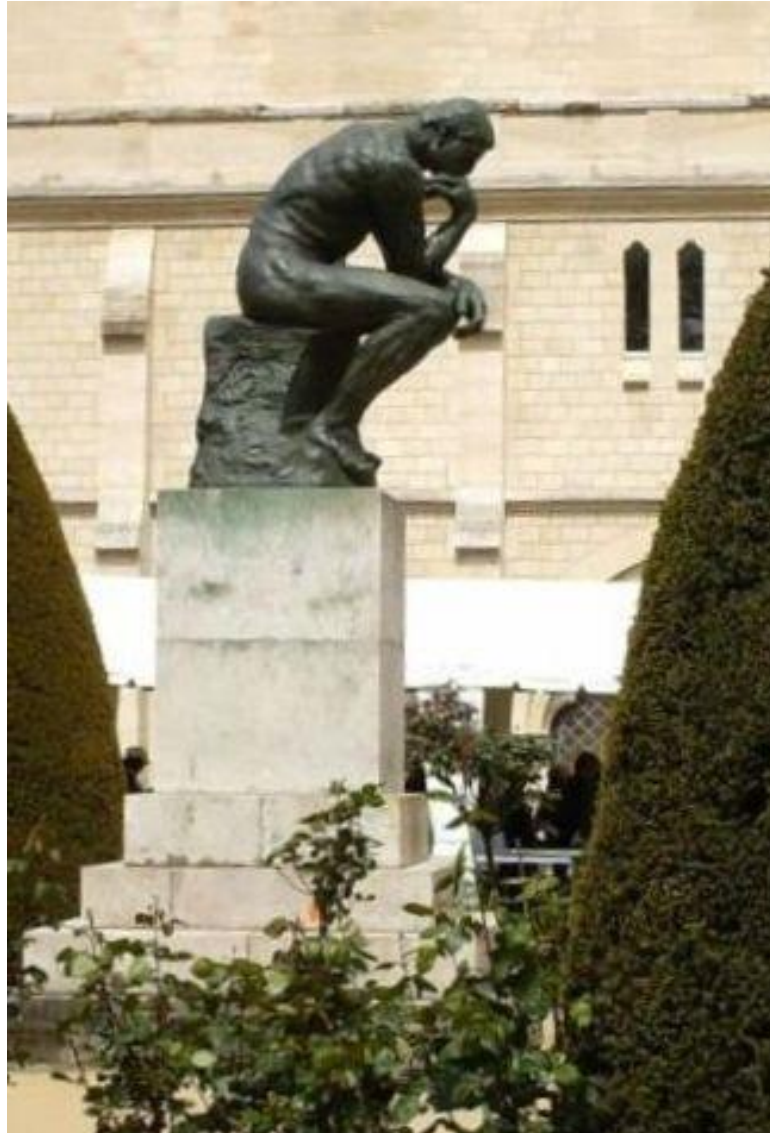
Środa. Właściciele mieszkania mieli w salonie pianino. Mnie z rozrzewnieniem przypomniały się lata liceum w Sosnowcu. Wówczas też mieliśmy w domu pianino i ja na nim wygrywałem, wprawdzie tylko prawą ręką, ulubione melodie – miałem cały swój koncert, który wówczas doprowadziłem do perfekcji. Dziś wzruszenie połączone z zażenowaniem przywołało tamte melodie. Usiadłem przy pianinie gospodarzy i zacząłem nieśmiało brzdąkać, dawne melodie były tuż tuż, choć to minęło prawie sześćdziesiąt lat.

Wróćmy na ziemię. Plany na dziś to Sacré Coeur i Orsay oraz Rodin. Gosia chce koniecznie zwiedzać muzea, więc Zosia ze swoimi udają się do Sacré Coeur – tu podobno muszą przybyć Holendrzy, gdy są w Paryżu. My znów metrem do Musée d'Orsay. Reklamę tej dawnej stacji kolejowej zamienionej na muzeum sztuki współczesnej robiono tak skutecznie, że teraz stoją tam niewyobrażalne tłumy w kolejkach. My zwyczajnie musimy zrezygnować. Chodzimy jeszcze wzdłuż Sekwany, koło zgromadzenia narodowego, koło ministerstwa spraw zagranicznych, koło mostu Aleksandra i udajemy się do Inwalidów, gdzie ja z kolei muszę być, by oddać hołd Napoleonowi. Na Esplanade des Invalides zacinający deszcz nie pozwoli rozłożyć parasoli, ale jakoś docieramy zziębnięci niemiłosiernie. Zwiedzamy zbrojownię (Muzeum de l'Armée) Hôtel des Invalides. Przez lata nie dawałem sobie rady z tymi hotelami francuskimi. Dla nas hotel to hotel. Tu każdy gmach rządowy to hôtel lub palais. Celem jednak jest grób Napoleona. Już dwa razy przeszliśmy od początku do końca przez dziedzińce Inwalidów, weszliśmy nawet do kościoła świętego Ludwika, ale grobu nie ma. Wchodzę znów do recepcji i żądam dokładnego wskazania drogi do grobu: słyszę – à droite, et à gauche, à gauche, à gauche. No tak, niebieskie drzwi wejścia głównego właśnie są wstawiane po remoncie, co przecież widziałem w wiadomościach telewizyjnych, a my mu-

simy obejść zupełnie od tyłu, gdzie przez bardzo wąskie przejście do zakrystii wpuszczają po paru turystów. Wewnątrz dla mnie zaskoczenie, bo na wszystkich zdjęciach zawsze widziałem ten dumnie wypiętrzony brązowy grobowiec, widziany z dołu od jego cokołu, a sam grobowiec unosił się wysoko, a tymczasem ja zobaczyłem grób Napoleona patrząc nań z góry. Budując ten grobowiec przebito podłogę kościoła i ustawiono grobowiec w podziemiu, teraz jest widoczny przede wszystkim z góry. Oczywiście można zejść do podziemi i oglądać grobowiec z tej dolnej perspektywy. Kopuła Inwalidów jest imponująco rozrzeźbiona i pozłociona. Teraz udajemy się do pobliskiego Musée Rodin. Tu kolejka jeszcze przystępna. Wzdłuż przechodzi recepcjonista i namawia, by zwiedzić również muzeum Camille Claudel. Tak w wiele lat po śmierci Francuzy usiłują wyrównać rachunki tej pary Rodin – Claudel. Widziałem film, gdzie para równych sobie rzeźbiarzy żyje razem, on jest pełen sławy i bogactwa, ona służy mu dosłownie do wszystkiego, a jej rzeźby wystawia pod swoim nazwiskiem lub czerpie jej pomysły do swoich rzeźb. Dziś widzimy, że oboje są wielkimi rzeźbiarzami o życiu równie pokręconym jak ich rzeźby – rzeźby pokręcone w sensie bardzo pozytywnym, życie nie. Słońce się zlitowało i obejrzelśmy zarówno pałac jak i park z rzeźbami. Głodni, więc nie syci i nie syci wrażeń, bo raczej zaduma nad wrotami piekieł, nad myślicielem, na mieszczanami z Calais, wreszcie nad Camille – we wszystkim tyle treści, niepokojącej. Powrót na nasz skwerek placu świętowania, radości – Place des Fêtes.



Grobowiec Napoleona [na zdjęciu są widoczne ślady po deszczu na obiektywie]



Myśliciel – Rodin

Czwartek. La Défense – dosłownie obrona. Tego dnia byliśmy tu znów wszyscy. Byłem tu z Biura Projektów War-Cent w 1975 roku. Wówczas otwarto specjalną, pospieszną, wydzieloną linię metra do La Défense. Gdy przybyłem z rodziną w 1979 roku, zawiozłem ich obowiązkowo na La Défense. Wówczas piękna, a nawet szokująca swą nowoczesnością architektura La Défense stała się dla nas symbolem wspaniałego świata. Już w czasie moich studiów, czyli w latach pięćdziesiątych, wyrosła tam odważna, olbrzymia hala wielofunkcyjna o powierzchni trójkąta, nad którym wznosiło się żelbetowe sklepienie zmontowane z prefabrykatów łupinowych. W latach siedemdziesiątych hala ta została poprzedzona szeregiem ciekawych budynków biurowych, które skutecznie zaszczerpiły kierunek nowoczesności w architekturze. La Défense była świadomym przedłużeniem głównej osi Paryża: Luwr, Pola Elizejskie, Łuk Tryumfalny na Placu Charles de Gaulle. Ten prześwit w Łuku Tryumfalnym zdecydowanie zobowiązywał. Tymczasem nie było śmiałka [przez wiele dziesięcioleci], który by odważył się postawić na La Défense coś w opozycji do Łuku Tryumfalnego. Miejsce na to coś na La Défense ziało pustką. Pojawiały się różne wypowiedzi, sugestie, ale nie pomysły. Wreszcie zdecydowano się ogłosić międzynarodowy konkurs. Wielu architektów zgło-

siło swoje wizje, a jeden, jak rzadko w konkursach architektonicznych, szokował swą prostotą i oczywistością na tle pozostającej masy zagmatwanych brył propozycji konkursowych. Wszyscy chcieli zamknąć tę oś Paryża, stawiali jakąś strukturę brył, bądź obelisk wysokiego gmachu. Dziś, gdy On stoi, takie to oczywiste. Wówczas zaproponowanie kolejnego łuku, z kolejnym otworem, zaproponowanie ramy dla tej dalszej perspektywy zostało przyjęte jako genialne. Patrząc od dawnego Łuku Tryumfalnego na Placu de Gaulle'a w kierunku La Défense, wszystkie propozycje konkursowe stawały się nieczytelną masą, a ta rama stawała się coraz bardziej jednoznacznie czytelnym symbolem, i przy tym tak przeraźliwie prostym, i tak oczywistym. Dziś dane mi było ją dotknąć. Piękne, choć pokpione w szczegółach. Myślę, że lepiej było zrobić tę konstrukcję brutalnie pustą w środku, bez żadnej funkcji, zostawić ten przebłysk kilku chwil geniuszu bez dalszych dopowiedzeń. Łuk miał szansę, a zatracił genialność piramidy. Zapewne program konkursowy walnie przyczynił się do tego, to program musiał sugerować umieszczenie tam biur, wszystko musiało być komercją. Kiedyś czytałem, że na najwyższej kondygnacji będą apartamenty dla bardzo bogatych ludzi... Już w czasie konkursu pojawiła się w Łuku powiewająca chusteczka – ten jeden krok za daleko posuniętej, już nie genialnej myśli. Teraz chusteczka ta jest przesadnie duża, zbyt sztywna, z wieloma odciągami i rozparciami, przez to jeszcze gorsza. Potem pojawiło się w Łuku kilka pionowych nitek – to windy. Dziś jakoś żal mi było tego carraryjskiego kamieniołomu pociętego na żyletki. Rzeczywiście białe elewacje, ale jak wszystko przylepione, kiedyś zaczną odpadać. Już dziś obłożono siatką najwyższy pas elewacji. Wjechaliśmy windą na samą górę. Tu wystawa: stare komputery, sklep z pamiątkami, dwa urządzenia z krążącymi po pochylniach kulkami – to dla najmłodszych. Dla dorosłych szerokie schody na najwyższy poziom Łuku, skąd widać prawie cały Paryż. Jeszcze salka kinowa z historią budowy Łuku, a wszystko na obskurnych, zniszczonych, pomalowanych na ciemny brąz panelach parkietu. Jakieś nieustające roboty budowlane, jakieś wydzielienia. Zjechaliśmy. Poszliśmy za Grande Arche. Tu wprawdzie prostopadle umieszczone tafle szkła miały zniechęcać od dalszego penetrowania, ale my doszliśmy do kresu drewnianego pomostu na stalowej konstrukcji, który szedł nad tamtejszym cmentarzem – tych kilkaset metrów mola bez sensu się tam kończyło, ale może sens czeka na swoją przyszłość. Z przodu Łuku konsternacja – regularne płyty granitu przykrywającego plac kończą się wyraźnym skosem – czyli Łuk nie stoi prostopadle do osi – dlaczego? Jakież to zgrzyt, wywołany zapewne faktem, że pożałowano pieniędzy i zakończono wcześniej przed laty wykonaną posadzę, dociągnięto ją do Łuku, a tu wyszedł na jaw ten skos. Nie wiadomo, czy Łuk krzywo stoi, czy posadzkę krzywo ułożono w stosunku do linii biegnącej od Luwru, przez Łuk Tryumfalny do La Défense, a wystarczyło wykonać na nowo pokrycie placu zaczynając od stopni Grande Arche. Znów deszcz, znów lancz w kafejce, potem otoczenie Łuku, ciekawy wieżowiec Kupki i inne jeszcze bardziej odważne, jeszcze wyższe od Łuku, obok wielkie centra handlowe – wszystkie one pożarły Łuk i jego przesłanie. Dlaczego nie wybudowano Łuku pięć razy większego? Dalej w kierunku Paryża pojawiło się jeszcze więcej biurowców, pojawiła się zielen i bloki mieszkalne. My dyskutowaliśmy, jak strasznie dużo trzeba zapłacić za mieszkanie w takim punkcie, a może miasto dopłaca mieszkańcom, byle dzielnica choć trochę żyła? Jednak wszyscy lubimy paryskie La Défense.



La Défense

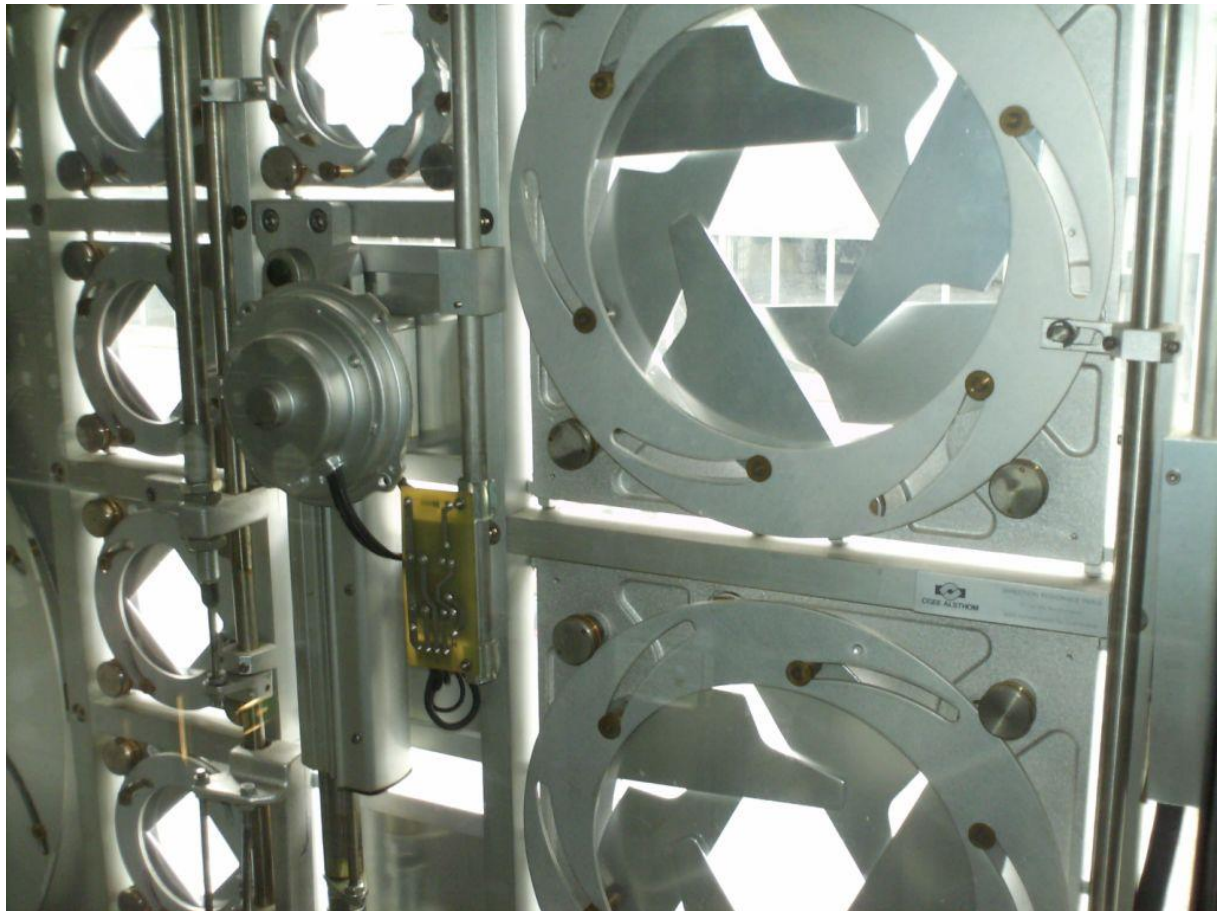


La Défense

Piątek. Sant Chapelle, Notre Dame, Centrum Islamu. Ogród botaniczny. Arena rzymska. Taki był plan zwiedzania tego dnia. Pogoda znów była piękna. Gosia wybrała się samotnie na wędrowkę w swoim stylu po Paryżu, to znaczy cały czas do przodu. Reszta metrem wylądowała w Cité, tuż przy Sant Chapelle. Nawet wiele nie trzeba było szukać, tak wielkie tłumy stały do wejścia. Poszliśmy więc pod Notre-Dame de Paris. Tu jeszcze większe tłumy. Kilka zdjęć, trochę na ławce i dalej przez Ile Saint-Louis, tu kupiliśmy kanapki na drugie śniadanie, które zaraz zjedliśmy na Square Barye i potem przez Pont de Sully przeszliśmy na lewy brzeg Sekwany, gdzie znajdował się Institut du Monde Arabe. Tu głównie chcieliśmy [chciałem] obejrzyć jego „ruchomą” elewację. Rzeczywiście, szachownica metalowych kwadratów o identycznych mechanizmach z czymś w rodzaju przysłon jak w aparatach fotograficznych, a przy każdym panelu osobny przekaźnik elektroniczny sterujący ruchami przysłon. Nie ustaliliśmy, kiedy one się poruszają. Znów parę zdjęć i do Jardin des Plantes. Piękne kwiaty, dobrane kolorystycznie, prześliczne maki czerwone, ale i żółte, ale i białe, no i platany. Do tamtejszego Zoo nie weszliśmy, bo małe i za wygórowaną opłatą, a i kolejka. Znaleźliśmy niedaleko Arènes de Lutèce (starożytna arena rzymska). Posiedzieliśmy, dzieci po swoim szalały po amfiteatrze. Arena jest zrekonstruowana, wygląda więc zwyczajnie, nieprzekonywująco, jak współczesny skwerek. Nie wiadomo co stare, co nowe, dobudowane. Trzeba było wracać, bo program wyczerpany. Na pobliskim przystanku metra niespodzianka, bo bilety można kupić tylko automatycznie na specjalną kartę. Niezawodny Sjaak poszedł na następną stację i wrócił z biletami. Tak zakończyliśmy zwiedzanie Paryża.



Institut du Monde Arabe



Institut du Monde Arabe

Jeszcze parę wspomnień o wieczorach w wynajmowanym domu. Jeden wieczór, to Robert rysujący z przejęciem rysunek dla taty. Konieczne monstra, pająki i popecie – lalki. Sfilmowałem Zosi kamerą. Ale dla mnie rysunek narysował następnego dnia. Inny wieczór to Zosia gotuje późny obiad, a chłopaki z nosami w patelniach i miskach nie odstępują jej nawet na chwilę. Znow film. Gdy Gosia gotowała innego dnia, po wszystkim postanowiła posprzątać i dokładnie umyła płytę kuchenki elektrycznej, a ta najnowocześniejsza, z dotykowym sterowaniem na płycie. Po przejechaniu mokrą szmatą całe oprogramowanie kuchenki zgłupiało i sygnalizowało to uporczywym pikaniem, jak pierwszy ruski sputnik. Trzeba było znaleźć w piwniczce główny bezpiecznik i go wyłączyć. Po włączeniu ustało, ale teraz wszystkie urządzenie żądały ustawienia poprawnej godziny. Ostatniego wieczoru, to jest w piątek obiad w restauracji ZEPHYR 1, rue du Jourdain, 75020 Paris. Weszliśmy tam przed siódmą wieczór, dla nas to późno, już powinno być po obiedzie, a tu są zaskoczeni, kuchnia będzie otwarta dopiero za czterdzieści minut. Siedzimy przy piwie, kelnerzy nie rozumieją po angielsku, dostajemy karty potraw, moja rodzina zdaje się całkowicie na mnie, a ja myślę sobie, że gdyby nawet to menu było po polsku, to i tak nie zrozumiałbym tych kwiecistych nazw. Kelnerka chwyta się mnie, bo słyszy moich parę słów francuskich i już my we dwoje perorujemy. Ja tłumaczę, że to wszystko, co tu jest napisane, jest niezrozumiałe dla nas. Po pierwsze chcielibyśmy frytki dla dzieci, ale nie ma, więc jakieś niewielkie porcje ziemniaków z mięsem. Kelnerka mnie komplementuje, że dobrze mówię po francusku. Odpowiadam, że niestety, dwadzieścia pięć lat nie mówiłem po francusku. Jakoś speszony brnę dalej. My również nie chcielibyśmy jakichś owoców morza, poprosimy

o zapisane w karcie mięso wołowe, to dla trzech osób, Zosia z Gosią pokazują pozycje na karcie. Ja koniecznie francuskie wino – może być Bordeaux. Przewidująca kelnerka jeszcze pyta, czy dla nas dobrze wypieczone. Ale dzieci dostają z ziemniakami już prawie surowe mięso, choć smaczne. My otrzymujemy wołowe, ale wątróbkę – brakło znajomości jednego słowa. Jest bardzo miło, całość filmuję Gosi kamerą.

Paryż nie rzucił nas na kolana, jak to czyni z wszystkimi od stuleci. Ładne miasto, nie przeczę. Uroczymi uliczkami można obdzielić wiele współczesnych miast. Uroczymi, bo wszędzie barwne sklepy, wyjątkowo wiele kawiarenek, zaskakujące widoki, dużo zieleni, ale i wszystkie kolory skóry bez możliwości odróżnienia turystów od Paryżan. Wyjątkowo dużo i korzystnie rozsianych po całym mieście obiektów godnych zobaczenia, to też prawda. Ale jakby starzał się, podobnie dzieje się zapewne z Wenecją i innymi, które zawsze były po to, by zobaczyć i umrzeć. Bez trudu słyszałem licznych Polaków, którzy przybyli na ten długi weekend. Respekt budziło uświadomienie sobie, że po tych ulicach kiedyś snuła się odwieczna polska emigracja, tu przecież Norwid, Mickiewicz, również tragiczny Piłsudski [brat Józefa], który przetrzymał Sybir, a nie wytrzymał swej wolności w Paryżu, nasi malarze, muzycy z Chopinem... Może określiłbym swoje odczucia jako fakt oddania Paryża światu we władanie, w dzierżawę lub w pakt po prostu. Paryż dosłowny z autentycznymi Francuzami Paryżanami jest jakby gdzieś wewnątrz, może na tych podwórkach, może w klatkach schodowych i za drzwiami mieszkań, raczej w ich boulangeries, pâtisseries lub charcuteries jako niektórzy klienci, w muzeach jako twórcy raczej, już nie jako zwiedzający. Może to i dobrze, że Paryż tak mi spowszedniał, może tylko w ten sposób mógł stać się moim Paryżem, tak wreszcie łatwo osiągalnym.

Sobota. Jazda do Haarlemu. Wracaliśmy w dwa samochody naturalnie. Pogoda wreszcie była śliczna. Wyjechaliśmy oddzielnie, bo nie było możliwości zaparkować i załadować oba samochody jednocześnie, przez te dni stały w różnych płatnych garażach podziemnych. Jazda była monotonna i zwyczajna. Spotkaliśmy się na stacji benzynowej. Jednak uświadomiłem sobie, że z moim myśleniem jest wyraźnie coraz gorzej. Raz po raz coś mi się pokręci, coś nie wymyślę, coś zapomnę. Ano taka jest starość. Właśnie w tym momencie Gosia zapytała, jak rodzice odbierają wycieczkę do Paryża. Podziękowałem po raz trzeci, powiedziałem, że bardzo się nam podobało. Pamiętałem, że ten wspaniały prezent dużo kosztował, my za nic nie płaciliśmy, wszystko finansowały córki. Czegóż chcieć jeszcze. Zastanawiał fakt braku kontaktu z wnukami. A śliczne chłopaki, udały im się. Zosia przecież przyznała, że się poddała i już tylko po holendersku rozmawia z dziećmi. Taka jest kolej rzeczy. Jechaliśmy więc w całkowitym milczeniu przy dźwiękach kolejnej płyty. Po wejściu do Zosi domu, tamten w Paryżu wydał się bardzo skromny, ubogi nawet.

Niedziela. Jazda do Warszawy. Wyruszyliśmy o siódmej rano. Pogoda zmienna, jechaliśmy przez słońce na zmianę z deszczami. Ale żadnych korków. GPS tylko zaznaczył: jedź trzysta kilometrów, i zamilkł na całe godziny, nie miał o czym informować. Ja znów nic nie piłem poprzedniego dnia i w czasie jazdy i to pozwoliło uniknąć tak uciążliwych kłopotów z pęcherzem. Gosia słuchała w skupieniu płytę za płytą, dobrze, bardzo spokojnie prowadziła, jest znacznie lepszym kierowcą ode mnie. Mimo to parę razy zaproponowałem zmianę za kółkiem, ale bezskutecznie. Prowadziła przez czternaście godzin z niewielkimi tylko przerwami na zatankowanie. Jazda pod Warszawą była

wyjątkowo okropna. W Łowiczu na bardzo wąskiej jezdni dwukierunkowej my i te jadące tiry musiały pokonać straszny zakręt trzystu stopni, bo wcześniej zamknięto nieco lepszy przejazd – remont, rozkopane krawężniki. A w Skierniewicach co kilkadziesiąt metrów światła zatrzymywały naszą weekendową, stale rosnącą kawalkadę, światła dawały możliwość przejazdu poprzecznego, tyle że Skierniewiczanie siedzieli w domu przed telewizorami przecież, nikt poprzecznie nie jechał, a my czekaliśmy na zielone światła, które sprawiedliwie dzieliły ruch w mieście po połowie, czerwone światła oddawało pierwszeństwo mieszkańcom, zielone pozwalało jechać reszcie Polski, a może i Europy, bo przecież te tiry... Za Skierniewicami ktoś miejscowy dowcipnie wyjechał na spacer traktorem, przecież to niedziela wieczór, więc nie miał gospodarskiej potrzeby, i tak nas uczył pokory przez kilkadziesiąt kilometrów, no, może kilkanaście...

*

Wróciliśmy. W Poniedziałek piątego Gosia pojechała do pracy, a potem jak zwykle nocować do lasu. Zaraz zadzwoniła, bo taczka zginęła. Najpierw w marcu zabrano łopaty i grabie. W połowie kwietnia zabrano dwa wspaniałe rododendrony, które Gosia dostała od koleżanek w prezencie i dopiero co posadziła. Nawet telefonowałem do pilnującego Akodo, aby może pomyśleli o atrapach kamer. Bardzo deprymująca jest świadomość, że ktoś bezczelnie łązi jak po swoim i zabiera, co mu wpadnie w łapy. Przecież te rododendrony nie sprzedał, więc do swojego ogródka zapewne. Teraz wiadomość o taczce mnie zelektryzowała. Przecież taczka była przymocowana grubym łańcuchem do słupa wiaty. Tę starą, bardzo ciężką taczkę trzeba było przerzucić przez ogrodzenie, wcześniej należało przeciąć łańcuch, kradzież nie trwała pięciu minut, nie zrobił tego jeden człowiek. Zadzwoniłem do Akodo, porozmawialiśmy znów, mam świadomość, że oni odpowiadają tylko za wnętrze budynku, ale powinni wiedzieć przecież. Kradzieże były liczne w czasie, gdy budowano Wodociąg Północny. Potem na jakieś dwadzieścia lat się uspokoiło i teraz znów. Dyżurny w Akodo oświecił mnie: Panie, to złomiarze, nie mieli na wódkę przecież. Radził zgłosić na policję. Mam bardzo złe doświadczenia z miejscową policją, gdy skarżyłem się na bulteriera, ale następnego dnia zaraz po ósmej zadzwoniłem na posterunek w Wieliszewie. Dyżurnemu opowiedziałem i o grabiach, i o rododendronach, i o taczce, że przecież taka ciężka... Panie, to złomiarze, na wódkę nie mieli. Zacukałem się, jakby to coś usprawiedliwiało, że na wódkę to przecież każdy by ukradł... Tłumaczyłem jednak, że tak się czują bezkarni, że następnym razem zaczną zdejmować blachę z dachu, wystarczy odkręcić kluczem kilka śrub, a blacha dochodzi aż do ziemi. Ja takiej blachy już nie kupię, bo w Legionowie przestali ją produkować. I tak labidziłem po swoim. Dyżurny zapytał, czy jestem na działce. Nie? To niech pan zadzwoni, jak pan kiedyś będzie. Powiedziałem, że jednak zaraz przyjadę. Jak pan chce, usłyszałem. Po dziesiątej byłem na posterunku. Rozmawialiśmy. Kazano mi określić wartość szkody, bo dla policji to ważne. Powiedziałem, że w sumie jakieś czterysta złotych... W powietrzu wisiało niewypowiedziane, że czterysta złotych i to na raty, to przecież żadna kradzież i to bez włamania. Oponowałem, że przecież musieli przeciąć łańcuch. Niech pan jedzie na działkę – zadecydował sympatyczny dyżurny – za godzinę, najdalej półtorej przyjedzie do pana funkcjonariusz. Zanotował mój numer telefonu komórkowego. Na działce było ślicznie, świeżutka zieleń w słońcu. Jednak gdy zaczęła się trzecia godzina czekania, zadzwoniłem na posterunek. Miał pan spokojnie czekać, zadzwonimy, pewnych rzeczy nawet ja nie przeskoczę – usłyszałem. O drugiej wsiadłem do samochodu i zrezygnowany pojechałem do domu. Dwa razy telefon za-

dzwonił, ale nie odebrałem. W domu zadzwonił trzeci raz. Nie odbiera pan telefonu. Jechałem samochodem, już jestem w Warszawie. Dalej porozmawialiśmy, jak Polak z Polakiem. Tłumaczyłem się, że ja rozumiem, że mają znacznie ważniejsze sprawy, że brakuje im ludzi do pracy, przecież oglądam telewizję, tylko trzeba coś zrobić, aby ci złodzieje nie czuli się tak bezkarni, bo już nie wiem co. Bo przecież nie chodzi mi o oficjalny protokół. Dyżurny obiecał, że zgłosi problem na odprawie. Wczoraj wieczorem zadzwoniła Gosia:

– Tatusiu, wyobraź sobie, ...aczki wróciły.

– Jakie paczki, Gosiu.

– ...aczki!

– Kaczki?

– Taczki!

Dopiero teraz zaczęło do mnie docierać, o czym ona mówi.

– Stoją dokładnie w tym samym miejscu, skąd je skradziono.

Zachwyt był obopólny. Zaraz rano zadzwoniłem na posterunek i podziękowałem. Obaj stwierdziliśmy, że złodzieje musieli się znów natrudzić z przeniesieniem taczki przez płot. Taka praca – zaznaczył jedynie policjant. Ja byłbym skłonny oddać dziś za darmo złodziejom tę taczkę, tak byłem podniesiony na duchu.

*

2008-05-25

Swego czasu wysłałem e-Mail do Elżbiety R. w Belgii, dziękując jej za bardzo miłe życzenia świąteczne, ale zwróciłem jej uwagę, że nie wie wszystkiego o mnie, więc jeśli odpisze, opowiem jej o sobie i wówczas ona zdecyduje, czy chce utrzymywać korespondencję z kimś takim jak ja. Do dziś nie odpisała. Chyba to koniec znajomości odświeżonej po pięćdziesięciu latach.

Czasami dzwoni do mnie Zbyszek S.. Dzwoni, bo chyba nie wie nic o mojej przeszłości. Ostatnio zapytał, czy wiem już o kolejnym zjeździe naszego roku z Wydziału Architektury. Bąknąłem w zażenowaniu, że wiem. Powiedział, że przekazał mój numer telefonu Leszkowi Kłosiewiczowi, który organizuje zjazd. Leszek nie zawiadomił mnie o zjeździe.

Wydałem kiedyś Samczy happening w „my book” za 1300 zł. Oni przynajmniej piszą w raporcie, że nikt nie kupił mojej książki.

Było, że nawiązałem kontakt z panią Dorotą Silaj, która ma wydawnictwo w Chicago. Zapłaciłem jej 600 dolarów. Otrzymałem siedem egzemplarzy „pety”. Potem reklamowała moją książkę w Internecie. Ale po wydaniu książki pani zamilkła. Miały być z tego dla mnie jakieś pieniądze ze sprzedaży. Cisza. Nawet ostatnio wysłałem jej zapytanie, czy wydałaby moją kolejną książkę, ale nie odpowiedziała.

Jakoś umieściłem moje dzieje prezydentury w kilku księgarniach warszawskich. Parę sztuk kupiono, ale reszta leży, bądź stoi na półkach. Czterdzieści egzemplarzy cze-

ka u mnie w szafie. Nie załamuję się, ale to nie ma żadnego znaczenia. Nikt tego nie widzi, dla nikogo nie jest to istotne. Równie dobrze mógłbym się załamać. Też nie miałyby to znaczenia.

Jeszcze Paryż. Paryż przyciąga, bo w nim jest tak dużo znaków historii, również historii sztuki. Paryż stwarza klimat swego dostojństwa, zamożności, człowiek dobrze się tu czuje. Czynią to również domy mieszkalne. Całe hektary ulic zabudowanych budynkami przy budynku, po obu stronach ulicy. Ale budynki te mają bardzo dobre mieszkania, przestronne, zdobione, stąd i na elewacjach się to czuje. Ulice napawają wspaniałością, oddziałują na nas czyniąc nas radosnymi, podbudowanymi. Może i paryskie ludne noce czynią ten efekt, a może są efektem tej dostojności. I te tłumy przyjezdnych. Odwieczne, bez przesady. Współcześni turyści jakoś się porozumiewają: w muzeum, w sklepach, nawet w restauracjach. Kawę łatwo zamówić. Przed wielu laty emigracja czuła się tu jak u siebie. Pamiętajmy jednak, że byli to ludzie, którzy na ogół mieli francuskie guwernantki w domu. Język francuski był dla nich normalnością. Jednocześnie w Paryżu na emigracji pojawiały się rzesze prostaków, które w swym rodzimym języku nie mogły się porozumieć z nikim. Jeśli trafili do francuskich kopalni, mogli wegetować. Gdy znaleźli się na brukach Paryża, pozostawali na tych brukach, aż szczęśli. Zawsze tak było. Jakże szaloną barierą jest język. Gestem tak niewiele można wyrazić. Trzeba mówić do drugiego człowieka, trzeba mówić tym samym językiem. Muzyka jest zrozumiała, śpiew też sprawia przyjemność, nawet gdy nie rozumiemy słów, byle melodia była ujmująca, chwytliwa. Taniec jest łatwy do przechwycenia, zrozumienia. Rzeźba, czy malarstwo dobrze przemawiają do widza, a gdy szukamy nazwy obrazu czy rzeźby, już wykraczamy poza jej prawdziwe przesłanie. Tytuł pojawia się obok dzieła, jakby przy okazji, jest niemal samoistnym wytworem sztuki. Tytuł jest syntezą twórczej myśli, strzałem zawartym w jednym słowie. Są w sztuce różne niuanse, ale tak nieistotne wobec nieczytelności literatury. Bez przekładu na inny język literatura nie przenika. Musi istnieć tylko w obszarze własnego języka. A jednak jest tak powszechna, wielokrotnie przerasta wytwory innych dziedzin twórczości. Nie wynika to z taniości papieru, może już bardziej z dosłowności słowa...

Wyczytałem, że najszybciej idzie człowiek samotny.

*

2008-05-26

Z okazji dnia matki Gosia kupiła bilety i wczoraj poszliśmy we czwórkę do teatru. Na Pradze w tzw. Fabryce Trzcina jest teatr, awangardowy. Nie byliśmy przygotowani na ten spektakl. Czuliśmy się onieśmieleni. Nie wziąłem okularów z domu, ale raczej nie z tego powodu nie kupiłem programu. Więc jako się rzekło, nie byliśmy przygotowani i nawet nie poczytaliśmy programu. Teatr miał szokować i chyba to robił. Najpierw bardzo niewygodne wejście po metalowych schodach zewnętrznych. Widownia normalna. Scenografia wysublimowana, z papieru karbowanego, na konstrukcji z bambusa, kilka widocznych linek pozwalało na przesuwanie rekwizytów w czasie spektaklu. Czterech aktorów odstawiało pantomimę, czyli było bez jednego słowa, a zachowania aktorów podkreślała ambitna muzyka dwóch muzyków, też artystów, grających

w zasadzie na skrzypcach i na fletach (jeśli się nie mylę co do tych fletów, bo może taki czarny instrument inaczej się nazywa). Na skutek szeptów z następnego rzędu rozpoznaliśmy na papierowej kurtynie wytarganą mapę świata. W czasie spektaklu dało się wyróżnić ranek, ruch uliczny, noc, deszcz. Aktorzy raczej nie starali się przekonać, że dają nam jakiś przekaz, ale czynili to w równym stopniu tak, abyśmy doszukiwali się tego przekazu. Na koniec wszyscy biliśmy gorące brawa, należały się aktorom, a te brawa miały nam rekompensować celowość wydania pięćdziesięciu złotych na bilety. Zastanawiałem się, ile jest wkładu autora, ile reżysera, a ile samych aktorów. Była to ta twórczość, która się przebiła. Tak to dziś sztuka się telepie, gdzieś na obrzeżach, w odległości wielu kilometrów od Teatru Wielkiego Opery i Baletu; za wyraźnie widoczne minimalne nakłady, które i tak są przeraźliwie duże dla zespołu teatru. Nie wołaliśmy: Autor! Autor!

Postanowiłem wrócić do przywracania pierwotnego wyrazu samczemu happeningowi. Nie wynikło to w związku z oglądaną sztuką, raczej tak jakoś się złożyło. Pracę tę rozpocząłem przed kilkoma miesiącami, potem przeprowadzka potwornie ją przerwała i dopiero dziś wróciła cisza pokoju, brak „ważnych” spraw, możliwość swobodnego osobistego wyboru, co zrobić z tym czasem. Trzydzieści lat zmiękczenia samczego happeningu aby wreszcie przeszedł przez maszynkę wydawców, nie dało pożądaných rezultatów, i to w żadnym względzie, niech więc będzie takim, jakim go napisałem, dla siebie.

*

6 czerwca 2008 roku

Po długich przemyśleniach oceniłem naszą sytuację, a konkluzję oficjalnie wygłosiłem Gosi:

Trzeba było prawie dwóch miesięcy, abym odparował z zasadniczych wrażeń wynikających ze zmiany mieszkania, a zwłaszcza z nieprzyjemnych problemów, które ona niosła. Teraz pragnę stwierdzić, że w mieszkaniu Gosi jest nam bardzo dobrze, mieszkanie luksusowe, bardzo duże, panuje cisza, każde z nas siedzi we własnym pokoju, a czasami zerkamy, co robią pozostali, wymieniamy parę słów i znów cisza. Krzys jak zwykle gra na komputerze i to po nocach, stąd śpi do obiadu. Mama nas karmi, wzajemnie się jakoś tak dopieszczamy. Bardzo dziękuję Ci, Gosiu, że przyjęłaś nas pod swój dach.

*

Dziś zwiedzałem księgarnie. Na Bagateli zaproponowałem, że może wycofam swoje książki, bo ledwie je widać zza sterty nowych książek. Sprzedawcy prosili, abym nie wycofywał tych książek, to dobre dla nich miejsce w ich księgarni – twierdzili, wyjęli je na wierzch, aby dać im szansę; przecież jeden egzemplarz sprzedali. Poszedłem więc dalej na Marszałkowską, a tu przykra niespodzianka – księgarnia „Kapitałka” pod szóstym została zlikwidowana, już pusto, żadnej wywieszki na drzwiach, a ja nie mam żadnego telefonu, ani drugiego adresu, czyli moje książki przepadły; na szczęście były tam tylko dwie. Może jednak nie wyrzucili na makulaturę?

*

Chciałem postępować w zgodzie z prawem, więc szukałem porady prawnej na temat mojej działalności wydawniczej (pisałem o tym wcześniej). Tym razem zwróciłem się do Biura Krajowej Informacji Podatkowej w Płocku. Napisałem:

Jestem emerytem. Mam 75 lat. Od 32 lat piszę powieści o współczesnej historii Polski. Napisałem już ich kilkanaście, ale żadnej nie zdołałem wydać. W ciągu tych z górą trzydziestu lat poniosłem liczące się dla mnie koszty: kilka komputerów, szereg drukarek, papier, tusze, introligatornia, a przecież jeszcze niedająca się zliczyć ilość godzin trudnej pracy po kilka godzin codziennie, a przecież inwencja intelektualna... - w sumie niedające się oszacować niewspółmiernie duże koszty własne. W ubiegłym roku natrafiłem na internetowe wydawnictwa, w których wydałem dwie książki, ale mimo obietnic wydawcy ci nie zdołali sprzedać ani jednej książki, a zapłaciłem im kilka tysięcy złotych. Obecnie nawiązałem bezpośrednią współpracę z drukarnią, tu koszt jednego egzemplarza książki, przy nakładzie 30 sztuk, wynosi już tylko około 20 złotych. Wszystkie moje książki mają numer ISBN. Tych wydanych kilkadziesiąt egzemplarzy udało mi się oddać do sprzedaży w paru księgarniach – dochód z tego będzie kilkaset złotych. Będę dalej wydawał i znowu otrzymam jakieś niewielkie pieniądze. Przecież w moim wieku już chodzi mi tylko, aby moje książki dotarły do czytelników.

Załączyłem pierwszą odmowę z 1976 roku, załączyłem list Miłosza, załączyłem list Prezydenta Kaczorowskiego.

*

Otrzymałem odpowiedź:



MINISTER FINANSÓW

Organ upoważniony do wydania interpretacji
Dyrektor Izby Skarbowej w Warszawie

Adres do korespondencji
Izba Skarbowa w Warszawie Biuro Krajowej Informacji Podatkowej w Płocku
ul. 1 Maja 10
09-402 Płock

Telefon: 024-262-54-07

Fax: 024-262-93-19

IPPB2/415-385/08-2/MK

Płock, dnia 22 maja 2008 r.

Pan
Sokolowski Marian
ul. Stefana Batorego 31 m. 11
02-591 Warszawa
NIP: 525-231-66-33

INTERPRETACJA INDYWIDUALNA

Na podstawie art. 14b § 1 i § 6 ustawy z dnia 29 sierpnia 1997 r. Ordynacja podatkowa (t. j. Dz. U. z 2005 r. Nr 8, poz. 60 ze zm.) oraz § 7 rozporządzenia Ministra Finansów z dnia 20 czerwca 2007 r. w sprawie upoważnienia do wydawania interpretacji przepisów prawa podatkowego (Dz. U. Nr 112, poz. 770) Dyrektor Izby Skarbowej w Warszawie działając w imieniu Ministra Finansów stwierdza, że stanowisko Pana, przedstawione we wniosku z dnia 24.02.2008 r. (data wpływu 29.02.2008 r.) o udzielenie pisemnej interpretacji przepisów prawa podatkowego dotyczącej podatku dochodowego od osób fizycznych w zakresie opodatkowania podatkiem dochodowym od osób fizycznych przychodów ze sprzedaży książek - **jest nieprawidłowe.**

UZASADNIENIE

W dniu 29.02.2008 r. został złożony ww. wniosek o udzielenie pisemnej interpretacji przepisów prawa podatkowego w indywidualnej sprawie dotyczącej podatku osób fizycznych w zakresie opodatkowania podatkiem dochodowym od osób fizycznych przychodów ze sprzedaży książek.

W przedmiotowym wniosku został przedstawiony następujący stan faktyczny.

Wnioskodawca jest emerytem, który od 32 lat pisze powieści o współczesnej historii polski. Napisał ich już kilkanaście, ale żadnej nie zdołał wydać.

Wciągu tych lat ponosił koszty związane z pisaniem przykładowo: kilka komputerów, szereg drukarek, papier, tusze, introligatornia. Ponadto nie dająca się zliczyć ilość godzin trudnej pracy po kilka godzin codziennie, inwencja intelektualna... w sumie nie dające się oszacować niewspółmiernie duże koszty własne.

W ubiegłym roku wydał dwie książki za pośrednictwem internetowego wydawnictwa, w którym, mimo obietnic wydawcy ci nie zdołali sprzedać ani jednej książki, a koszt jaki poniósł wyniósł kilka tysięcy złotych.

Aktualnie nawiązał bezpośrednią współpracę z drukarnią, gdzie koszt jednego egzemplarza książki, przy nakładzie 30 sztuk, wynosi około 20 złotych. Wszystkie książki mają numer ISBN. Wydanych kilkadziesiąt egzemplarzy Wnioskodawca oddał do sprzedaży w księgarniach. Przewidywany dochód z tego tytułu będzie wynosił kilkaset złotych. Wnioskodawca zaznacza, że będzie dalej wydawał książki aby dotarły do czytelników. i z tego tytułu będzie, otrzymywał niewielkie należności pieniężne.

W związku z powyższym zadano następujące pytania:

1. Jak Wnioskodawca ma się rozliczać z urzędem skarbowym z tak specyficznych dochodów, które nigdy nie przewyższą poniesionych kosztów?
2. Czy jako osoba fizyczna nie prowadząca działalności gospodarczej może wystawiać legalne rachunki?

Zdaniem Wnioskodawcy powinien zostać zwolniony z opodatkowania ze względu na niewspółmiernie niskie dochody.

Wnioskodawca chciałby legalnie wystawiać rachunki księgarniom, które wystawiają jego książki.

Na tle przedstawionego stanu faktycznego, stwierdzam, co następuje.

Zgodnie z zasadą powszechności opodatkowania wyrażoną w art. 9 ust. 1 ustawy z dnia 26 lipca 1991 r. o podatku dochodowym od osób fizycznych (t.j. Dz. U. z 2000 r. Nr 14, poz. 176 ze zm.) opodatkowaniu podatkiem dochodowym podlegają wszelkiego rodzaju dochody, z wyjątkiem dochodów wymienionych w art. 21, 52, 52a i 52c ustawy oraz dochodów, od których na podstawie przepisów Ordynacji podatkowej zaniechano poboru podatku.

W art. 10 ust. 1 ww. ustawy zostały określone źródła przychodów, gdzie między innymi w pkt 3 wymienia się: pozarolniczą działalność gospodarczą.

Stosownie do art. 14 ust. 1 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych za przychód z działalności gospodarczej uważa się kwoty należne, choćby nie zostały faktycznie otrzymane, po wyłączeniu wartości zwróconych towarów, udzielonych bonifikat i skont. U podatników dokonujących sprzedaży towarów i usług opodatkowanych podatkiem od towarów i usług za przychód z tej sprzedaży uważa się przychód pomniejszony o należny podatek od towarów i usług.

Zgodnie z art. 5a pkt 6 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych ilekroć w ustawie jest mowa o działalności gospodarczej albo pozarolniczej działalności gospodarczej - oznacza to działalność zarobkową:

- a. wytwórczą, budowlaną, handlową, usługową,
- b. polegającą na poszukiwaniu, rozpoznawaniu i wydobywaniu kopalin ze złóż,

miałby być realizowany. Do zachowania ciągłości wystarczające jest, aby z całokształtu okoliczności sprawy wynikał zamiar powtarzania określonego zespołu konkretnych działań w celu osiągnięcia efektu w postaci zarobku.

Jak wynika z opisanej we wniosku sytuacji, wydawanie i sprzedaż przez Pana książek nie miały charakteru incydentalnego ani sporadycznego zamierzenia. Co więcej, zaznacza Pan, że będzie nadal je wydawał. Posiada Pan w ramach krajowego systemu ISBN, jako wydawca wydawnictw zwartych, własne oznaczenie identyfikacyjne oraz pulę numerów zarezerwowanych wyłącznie dla wydawanych przez Pana publikacji. Podjęte przez Pana czynności (wydanie kilkudziesięciu egzemplarzy książek) a następnie ich sprzedaż za pośrednictwem księgarni wskazują na stałe i planowe działania i bez znaczenia dla zakwalifikowania tych działań do działalności gospodarczej ma zarówno czas, w jakim się to odbyło, jak i fakt niezgłoszenia do ewidencji działalności gospodarczej.

Na podstawie gruntownej analizy powołanych przepisów stwierdzić należy, że wykonując analizowane powyżej czynności prowadzi Pan działalność zarobkową, wykonując ją w sposób zorganizowany i ciągły, we własnym imieniu i na własny rachunek co równoznaczne jest, że prowadzi Pan działalność gospodarczą w rozumieniu przepisu art. 5a pkt 6 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych. Konsekwencją tego jest to, że uzyskane przez Pana z tej działalności przychody winny być zakwalifikowane do źródła przychodów wymienionego w art. 10 ust. 1 pkt 3 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych, tj. do pozarolniczej działalności gospodarczej.

W myśl art. 9 ust. 2 tej ustawy, dochodem ze źródła przychodów, jeżeli przepisy art. 24-25 nie stanowią inaczej, jest nadwyżka sumy przychodów z tego źródła nad kosztami ich uzyskania osiągnięta w roku podatkowym. Jeżeli koszty uzyskania przekraczają sumę przychodów, różnica jest stratą ze źródła przychodów.

Zgodnie z art. 9a ust. 1 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych, dochody osiągnięte przez podatników ze źródła, o którym mowa w art. 10 ust. 1 pkt 3 tejże ustawy (tj. z pozarolniczej działalności gospodarczej), są opodatkowane na zasadach określonych w art. 27, z zastrzeżeniem ust. 2 i 3, chyba że podatnicy złożą właściwemu naczelnikowi urzędu skarbowego pisemny wniosek lub oświadczenie o zastosowanie form opodatkowania określonych w ustawie o zryczałtowanym podatku dochodowym.

Pisemne oświadczenie o wyborze opodatkowania w formie ryczałtu od przychodów ewidencjonowanych za dany rok podatkowy podatnik składa naczelnikowi urzędu skarbowego właściwemu według miejsca zamieszkania podatnika nie później niż do dnia 20 stycznia roku podatkowego, natomiast podatnik rozpoczynający działalność gospodarczą w trakcie roku podatkowego - do dnia poprzedzającego dzień rozpoczęcia działalności, nie później jednak niż w dniu uzyskania pierwszego przychodu (art. 9 ust. 1 ustawy o zryczałtowanym podatku dochodowym). Należy przy tym mieć na względzie także szereg innych ustawowych warunków determinujących możliwość skorzystania z tej formy opodatkowania, w szczególności rodzaj działalności, wielkość przychodów.

Zatem podstawową formą opodatkowania dochodów z pozarolniczej działalności gospodarczej są zasady ogólne przy uwzględnieniu skali podatkowej. Nadmienić jednak należy, że podatnik może – przy spełnieniu ustawowych warunków – wybrać sposób opodatkowania dochodu z pozarolniczej działalności gospodarczej na zasadach określonych w treści art. 30c wyżej powołanej ustawy, tj. przy zastosowaniu stawki podatku w wysokości 19% (tzw. podatek liniowy).

Zasadnym jest również wskazać, iż do uzyskiwanych przez Pana przychodów nie znajdzie zastosowania art. 13 pkt 2 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych. Przepis ten bowiem reguluje zasady opodatkowania przychodów z osobiście wykonywanej działalności artystycznej, literackiej, naukowej, trenerskiej, oświatowej i publicystycznej, co nie ma miejsca w zaistniałym stanie faktycznym. Istotą przychodów z działalności wykonywanej osobiście jest natomiast by miała ona charakter incydentalny, jednorazowy, a więc by nie nosiła znamion pozarolniczej działalności gospodarczej o której mowa w wyżej cytowanym art. 5a ust. 6 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych.

W kwestii dotyczącej zwolnienia z opodatkowania uzyskiwanych przez Wnioskodawcę „niewspółmiernie niskich przychodów” należy zauważyć, że przepisy art. 21, 52, 52a i 52c ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych nie przewidują takiego zwolnienia.

Ad.2.

Zgodnie z art. 87 § 1 ustawy z dnia 29 sierpnia 1997 roku Ordynacja podatkowa (Dz. U. Nr 137, poz. 926 z późn. zm.), jeżeli odrębne przepisy nie stanowią inaczej, podatnicy prowadzący działalność gospodarczą obowiązani są na żądanie kupującego lub usługobiorcy wystawić rachunek potwierdzający dokonanie sprzedaży lub wykonanie usługi.

Pojęcie działalności gospodarczej zdefiniowane w art. 3 pkt 9 Ordynacji podatkowej, to każda działalność zarobkowa w rozumieniu przepisów o swobodzie działalności gospodarczej, w tym wykonywanie wolnego zawodu, a także każda inna działalność zarobkowa wykonywana we własnym imieniu i na własny lub cudzy rachunek, nawet gdy inne ustawy nie zaliczają tej działalności do działalności gospodarczej lub osoby wykonującej taką działalność - do przedsiębiorców.

Obowiązek wystawienia przez podatnika rachunku w trybie art. 87 § 1 Ordynacji podatkowej powstaje jedynie wtedy, gdy zgłosi takie żądanie kupujący lub usługobiorca. W myśl art. 87 § 4 ww. żądanie takie pod adresem sprzedawcy (usługobiorcy) rodzi obowiązek wystawienia rachunku, jeżeli zostało zgłoszone do 3 miesięcy od dnia wydania towaru lub wykonania usługi. Podatnik nie ma obowiązku wystawienia rachunku, jeżeli żądanie takie zostało zgłoszone po upływie 3 miesięcy od dnia wydania towaru lub wykonania usługi. Unormowanie to nie powoduje jednak, że podatnik nie może wystawić rachunku, jeżeli nabywca zwróci się o to po upływie terminu 3 miesięcy od dnia wydania towaru lub wykonania usługi.

Stosownie do art. 87 § 3 Ordynacji podatkowej, jeżeli wystawienia rachunku zażądano jeszcze przed wykonaniem usługi lub wydaniem towaru, podatnik obowiązany jest go wystawić nie później niż w terminie 7 dni od dnia wykonania usługi lub wydania towaru. Natomiast gdy żądanie wystawienia rachunku zostało zgłoszone po wykonaniu usługi lub wydaniu towaru, wystawienie rachunku następuje w terminie 7 dni od dnia zgłoszenia żądania.

Zgodnie z § 14 ust. 1 rozporządzenia Ministra Finansów z dnia 22 sierpnia 2005 r. w sprawie naliczania odsetek za zwłokę oraz opłaty prolongacyjnej, a także zakresu informacji które muszą być zawarte w rachunkach (Dz. U. z 2005 r. Nr 165 poz. 1373) rachunki potwierdzające dokonanie sprzedaży lub wykonanie usługi, powinny zawierać co najmniej:

- imiona i nazwiska (nazwę albo firmę) oraz adresy sprzedawcy i kupującego bądź wykonawcy i odbiorcy usługi;
- datę wystawienia i numer kolejny rachunku,
- odpowiednio wyraz „oryginał” albo „kopia”,
- określenie rodzaju i ilości towarów lub wykonanych usług oraz ich ceny jednostkowe, ogólną sumę należności wyrażoną liczbowo i słownie,
- czytelny podpis wystawcy rachunku oraz odcisk pieczęci wystawcy rachunku, jeżeli się nią posługuje.

Rachunek może zawierać również inne dane, w tym termin i zasady płatności itp.

W przypadku, gdy oryginał rachunku uległ zniszczeniu lub zaginął, ponownie wystawiony rachunek, w myśl § 14 ust 2 ww. rozporządzenia zawierać winien wyraz „duplikat” oraz datę jego ponownego wystawienia.

W świetle powyżej powołanych przepisów zarówno osoby prowadzące działalność gospodarczą, jak również nie prowadzące działalności gospodarczej mają prawo do wystawiania rachunków.

Reasumując w przedstawionym stanie faktycznym i prawnym uzyskany przychód ze sprzedaży wydanych przez Pana książek nie korzysta ze zwolnień i stanowi przychód z pozarolniczej działalności gospodarczej o której mowa w art. 14 ust. 1 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych. Prawo do wystawiania rachunków mają zarówno osoby nie prowadzące działalności gospodarczej, jak również prowadzące działalność gospodarczą.

Końcowo należy dodać, iż dokumenty dołączone przez Pana do wniosku nie podlegały analizie i weryfikacji w ramach wydanej interpretacji.

Interpretacja dotyczy zaistniałego stanu faktycznego przedstawionego przez Wnioskodawcę i stanu prawnego obowiązującego w dacie zaistnienia zdarzenia w przedstawionym stanie faktycznym.

Stronie przysługuje prawo do wniesienia skargi na niniejszą interpretację przepisów prawa podatkowego z powodu jej niezgodności z prawem. Skargę wnosi się do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie, ul. Jasna 2/4, 00-013 Warszawa po uprzednim wezwaniu na piśmie organu, który wydał interpretację w terminie 14 dni od dnia, w którym skarżący dowiedział się lub mógł się dowiedzieć o jej wydaniu – do usunięcia naruszenia prawa (art. 52 § 3 ustawy z dnia 30 sierpnia 2002 r. Prawo o postępowaniu przed sądami administracyjnymi – Dz. U. Nr 153, poz. 1270 ze zm.). Skargę do WSA wnosi się (w dwóch egzemplarzach – art. 47 ww. ustawy) w terminie trzydziestu dni od dnia doręczenia odpowiedzi organu na wezwanie do usunięcia naruszenia prawa, a jeżeli organ nie udzielił odpowiedzi na wezwanie, w terminie sześćdziesięciu dni od dnia wniesienia tego wezwania (art. 53 § 2 ww. ustawy). Skargę wnosi się za pośrednictwem organu, którego działanie lub bezczynność są przedmiotem skargi (art. 54 § 1 ww. ustawy) na adres: Izba Skarbowa w Warszawie Biuro Krajowej Informacji Podatkowej w Płocku, ul. 1 Maja 10, 09-402 Płock.

Dyrektor Izby Skarbowej w Warszawie

Z up. DYREKTORA
Izby Skarbowej
p.o. WICEDYREKTORA
mgr Leszek Stepiński

Otrzymują:

1. adresat
2. Naczelnik Urzędu Skarbowego
Warszawa - Mokotów
ul. Kujawska 1
100-793 Warszawa
3. Dyrektor Urzędu Kontroli Skarbowej w Warszawie
ul. Stawki 40
01-040 Warszawa.
4. a/a.

*

Warszawa, 2008.06.22

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie ul. Jasna 2/4, 00-013 Warszawa
za pośrednictwem

Izba Skarbowa w Warszawie, Biuro Krajowej Informacji Podatkowej w Płocku
ul. 1 Maja 10, 09-402 Płock

dot. IPPB2/415-385/08-2/MK z dnia 28 maja 2008 r.

SKARGA

Ja nic nie rozumiem z otrzymanej interpretacji indywidualnej. Nie chcę nieświadomie narażać się prawu i zawieszam moją działalność literacką, skoro nie ma sposobu dotarcia z moją literaturą do Czytelników. Może po mojej śmierci ktoś kiedyś rozwikła paradoks współczesnego pisarza polskiego, za jakiego się uważam.

Ps. Te kilkadziesiąt książek wydanych moim nakładem po prostu rozdaję, myślę, że mam do tego prawo. Nie miałem i nie mam żadnego dochodu z mojej działalności literackiej; od 1976 roku do chwili obecnej ponosiłem tylko koszty.

Nadal nie zwątpiłem, choć wielokrotnie powinienem zwątpić pod presją otrzymywanych odmów, w szczytne posłannictwo dla kultury polskiej, jaką jest literatura.

*

Przez wiele tygodni cyzelowałem swoje wystąpienie, bo uważałem, że przyjdzie mi bronić się w sądzie. Poświęciłem temu naprawdę wiele godzin każdego dnia. Uczylem się przemowy na pamięć:

*

2008-06-24

Wysoki Sądzie,

Pragnę krótko przedstawić moją skargę.

Ponad trzydzieści lat tworzenia współczesnej literatury.

Miałem od dawna skłonności pisarskie, ale trzeba było brzemienia lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych w PRL abym zaczął pisać, abym zaczął opisywać rzeczywistość. Waliło się na mnie raz po raz, a zbawienną okazała się ucieczka w pisanie, pozwoliła trwać i przetrwać. Wszak mądrość narodu ukuła powiedzenie: „Obyś żył w ciekawych czasach”. Moje życie to wędrówka po nieprzyjaznym bruku, to stałe odbijanie się od kamiennych kocich łbów tego narodowego bruku, było o czym pisać – i nadal jest pisać o czym...

Ale moich książek nie chciano wydawać. Zbyt były zaangażowane w opisywanie rzeczywistości. Choć recenzent wydawnictwa stwierdzał: „Autor posiada wyjątkową zdolność operowania słowem i budowania najbardziej złożonych nastrojów ludzkich” – to nie wydano [Państwowy Instytut Wydawniczy 1979]. Najpierw były zbyt krytyczne, potem za mało krytyczne. Już w osiemdziesiątym drugim Czesław Miłosz odpisał mi: „Przesłane fragmenty są interesujące i dobrze pisane”. I dalej: „To, że próbował pan wydać swe książki w kraju świadczy o wielkiej naiwności albo że nie pisał pan całej prawdy”. Przez tych wiele lat nie było wydawnictwa, do którego bym nie kołatał... Nie znalazł się żaden człowiek czy instytucja, który by pomógł mi wydać jakąś moją książkę. Natomiast zdarzyło się, że renomowane wydawnictwo miało czelność zaproponować mi, abym z trzech przesłanych im książek zrobił dwie, to wtedy się zastanowię. Wyobraźmy sobie, że powstały dwie książki z trzech na przykład: „W pustyni i w puszczy”, „Ogniem i mieczem” oraz „Pan Tadeusz”.

A ja opisywałem polską rzeczywistość. Tak powstało siedem książek. Potem nawet uzupełniłem je na tysiącu sześciuset stronach historią imperium rosyjskiego, bo Polacy powinni znać historię naszych i nie tylko naszych gnębicieli. Potem opisałem „Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie”, bo bez tego historia polski nie byłaby pełna. Prezydent Ryszard Kaczorowski napisał mi: „To benedyktyńska praca, dobrze oddająca Polskę poza Polską”.

Czepiałem się najbardziej absurdalnych rozwiązań. Szukałem wydawcy nawet za granicą. W konsekwencji jakoś dotarła do mnie pani z Chicago, która obiecała wydać i wydała moją książkę, za co musiałem zapłacić jej sześćset dolarów. Przysłała siedem egzemplarzy, czyli prawie sto dolarów za sztukę; i na tym działalność wydawnicza dla mnie się skończyła. Teraz pani ta nie odpowiada na żadne listy, choć nadal w Internecie oferuje moją książkę do sprzedaży. Nie odezwała się nawet na propozycję wydania mojej następnej książki. Natrafiłem również na polskie internetowe wydawnictwo – tam za 1300zł. wydano moją inną książkę. Dostałem 10 egzemplarzy, czyli sto trzydzieści złotych za sztukę. Najwyraźniej to taka internetowa metoda – zachęcić rozpropagowaniem książki w Polsce, a nawet na świecie, potem wydrukować tylko kilka egzemplarzy autorskich i uznać to za wykonanie umowy.

W ubiegłym roku z zachwytem dowiedziałem się, że Instytut Pamięci Narodowej, Telewizja Polska i Polskie Radio ogłosiły konkurs na książkę roku o historii Polski w XX wieku. Moja książka o prezydenturze na uchodźstwie jak najbardziej odpowiadała temu zamówieniu społecznemu, ale trzeba było ją wydać. Nawet to internetowe wydawnictwo odmówiło mi wydania, przecież na mój koszt. Zdeterminowany zwróciłem się bezpośrednio do drukarni i na mój koszt wydrukowano mi kilkadziesiąt egzemplarzy.

Chciałem być w porządku wobec prawa i szukałem porady, ale nikt nie chciał rozmawiać o tak błahej sprawie, czyli tak mało dochodowej dla udzielającego porady. Zwróciłem się do agencji Ministerstwa Finansów o poradzenie mi, jak mogę pogodzić moje aspiracje obywatelskie z obowiązującym prawem. Liczyłem, że ktoś rzetelny zrozumie moje wieloletnie borykanie się i doradzi mi, jak poprowadzić swoje sprawy. Wszak „przyjazne państwo”. Przyjazne wobec inicjatyw obywateli Państwo winno im ułatwiać działalność, naprowadzać na właściwe tory, wręcz opiekować się raczkującą inicjatywą. Niestety tak nie jest. Po otrzymaniu „interpretacji indywidualnej” niewiele z niej zrozumiałem, ale z przerażeniem poczułem się wobec władz finansowych państwa jako przestępca, na którego natychmiast należało zwrócić uwagę Urzędu Kontroli Skarbowej. Czyżby nic się nie zmieniło w mentalności finansistów przez te kilkadziesiąt lat? Już mój ojciec jako prywatna inicjatywa został zniszczony w PRL domiarami. Przez lata wyobrażałem sobie te moje wieczorki autorskie – tak, mam wieczorek autorski przed sądem.

Jestem bezsprzecznie człowiekiem starym, wiele przeżyłem i z tej perspektywy, pod koniec mojego życia, wolno mi udzielać mojemu Państwu zasadniczych uwag, przecież płynących z głębi serca. Ktoś to musi robić. Zdecydowanie protestuję przeciwko ukształtowanemu językowi prawa i prawników. Język prawników przez swą zawilgość jest zupełnie wrogi obywatelom. Jest pełen pułapek, dwuznaczności i tak szalenie zawilży, jak zawilżył zwykle jest fałsz. Prawo stanowione musi być tak czytelne dla swych obywateli, aby nie wymagało urzędniczej interpretacji. Prawo winno w swej istocie być kośćcem postawy obywatelskiej, ale w tym celu musi być zrozumiałe jak literatura, aby nie tylko literatura wskazywała narodowi, jak należy postępować.

Jest mi bardzo przykro, że za mój wieloletni trud przyszło mi stanąć przed sądem.

*

2008-06-28

Nie ma mojej książki wśród nominowanych do drugiego etapu konkursu na książkę historyczną roku. Znowu przegrana. Ale nadal szukałem pomocy – w telewizji, w sejmie, u prawników...

TV BIZNES Media-Biznes Sp. z o.o.

ul. Książęca 4, pok. 8023, 00-498 Warszawa

Do magazynu „Nie daj się fiskusowi”

WP. Przemysław Talkowski

Szanowny Panie,

rzeczywiście chciałbym nie dać się fiskusowi. Mój problem przedstawię w wielkim skrócie, lecz w razie potrzeby przedstawię dokumenty, względnie rozwinę opis. Dalej było jak powyżej.

Przy takim biznesie opartym na ewidentnych stałych stratach trudno myśleć o rejestrowaniu działalności gospodarczej, bo poniosę następne koszty, jak np. rejestracyjne itp. Z drugiej strony trudno pogodzić się z zasadą, że moimi kosztami jest tylko to, co zapłaciłem drukarni, a treść książek pojawiła się znikąd, za darmo.

Żadnego skutku, a zaniósłem Talkowskiemu moją książkę.

*

2008-07-07

Nadzwyczajna Komisja Sejmowa „Przyjazne Państwo”

ul. Wiejska 4/6/8

00-902 Warszawa

Nieprzyjazne państwo – z całą stanowczością i odpowiedzialnością to stwierdzam. Państwo jednoznacznie okazało się nieprzyjazne wobec mnie. Dalej opis jak uprzednio.

Proszę o spowodowanie, aby już nigdy oschły urzędnik swej wrogości wobec petenta nie mógł zasłaniać stwierdzeniem – ja muszę realizować przepisy.

To pismo zaniósłem do Kancelarii Sejmu i równocześnie przekazałem dzieje prezydentury do biblioteki sejmowej.

Żadnego skutku.

*

EUROPE DIRECT

mail@europe-direct.cec.eu.int

Jestem absolutnym zwolennikiem szybkiego rozwoju Unii Europejskiej.

Pragę przekazać mój pomysł. Byłaby pora, aby ludność wszystkich krajów wchodzących w skład Unii Europejskiej znacznie więcej wiedziała wzajemnie o sobie i również o Unii Europejskiej. Proponowałbym, aby pod auspicjami Unii Europejskiej rozpocząć wydawanie periodyku, mógłby to być na początek miesięcznik. Periodyk ten ukazywałby się we wszystkich państwach Unii Europejskiej, wszędzie ta sama treść, lecz tłumaczona na wszystkie języki Unii. Każde państwo Unii miałoby np. jedną stronę, a treść byłaby oparta na zasadniczych wydarzeniach danego kraju. W ten sposób żylibyśmy już całą Unią – byłby to ważny czynnik integracyjny. Niechby Unia zaczęła przemawiać w tym periodyku bezpośrednio do każdego mieszkańca Unii. Wierzę, że fachowcy zrobiliby z takiego periodyku bardzo poczytne pismo.

Przesyłam gorące pozdrowienia

*

23 lipca 2008 05:38

skargi@mza.waw.pl <skargi@mza.waw.pl>

Szanowni Państwo!

Pragnę zainteresować Państwa przystankiem Białobrzeska w Alejach Jerozolimskich. Jest to dosłownie dziura w sprawnej komunikacji stolicy. Zatrzymują się tu tylko dwa autobusy: 127 i 130. Autobusy te jeżdżą na dodatek parami – w odstępie jednej minuty, jeden pełny, drugi znacznie luźniejszy i potem trzeba czekać dwadzieścia minut na następną parę. Przecież to jest centrum Warszawy. Nawet do Legionowa autobusy jeżdżą co dziesięć minut. Wystarczyłoby przesunąć jeden z tych autobusów o dziesięć minut i już dwukrotnie poprawiłaby się komunikacja. Dwa inne autobusy przejeżdżają nie zatrzymując się. Dlaczego? W rejonie przystanku Białobrzeska w ostatnich latach wybudowano cztery olbrzymie biurowce, a w każdym po kilkadziesiąt firm. Również powstały cztery szesnastopiętrowe budynki mieszkalne, to setki lokatorów i pasażerów. Aby sprawnie wyjechać z tego rejonu trzeba iść do Placu Narutowicza lub do Placu Zawiszy – to jest bardzo uciążliwe.

Z moich obserwacji wynika, że jest wyjątkowo dużo pasażerów między dworcem centralnym, a dworcem zachodnim – potrzebna jest znacznie bardziej intensywna komunikacja miejska na tym newralgicznym odcinku. Spod dworca centralnego w kierunku dworca zachodniego też niekorzystnie jeżdżą autobusy: 127 staje przed dworcem centralnym, ale już nie zatrzymuje się za dworcem centralnym, gdzie staje autobus 130. Tak więc trzeba czekać dwadzieścia minut na każdy z tych autobusów na różnych przystankach, a wystarczyłoby, a by 127 stawał również na przystanku 130.

Pozdrawiam

*

Dosyć szybko pojawił się autobus 158, wprawdzie przy Białobrzeskiej ma przystanek na żądanie, ale za to jeździ co około dziesięć minut. Po pewnym czasie nawet 127 i 130 zaczęły podjeżdżać w odstępie dziesięciu minut. Dziękuję [choć to były złudzenia].

*

1 sierpnia 2008 11:37

cc_citizen_reply@edcc.ec.europa.eu cc_citizen_reply@edcc.ec.europa.eu

Szanowny Panie Sokołowski,

Pragniemy powiadomić, iż otrzymaliśmy Pana wiadomość. Niestety, z powodu problemów technicznych nasza odpowiedź na Pana pytanie została poważnie opóźniona. Serdecznie przepraszamy za jakiegokolwiek niedogodności wynikłe z naszego opóźnienia i jednocześnie informujemy, iż podjęliśmy wszelkie kroki w celu zapewnienia, aby problem się nie powtórzył.

Dziękujemy Panu bardzo za Pana zaangażowanie na rzecz Unii Europejskiej. Zachęcamy Pana do wzięcia udziału w debacie nad przyszłością Europy i podzielenia się z nami opinią na temat wyzwań, jakim obecnie UE musi stawić czoła. Portal dotyczący debaty znajdzie Pan pod poniższym adresem internetowym:

http://europa.eu/debateurope/index_pl.htm

W celu otrzymania publikacji na temat UE powinien Pan odwiedzić EU Bookshop. Jest to serwis umożliwiający zapoznanie się, jak również zamówienie darmowe bądź zakup istniejących publikacji instytucji UE. Strona EU Bookshop dostępna jest pod poniższym adresem:

<http://bookshop.europa.eu>

Korzystając z opcji dostępnych w lewym menu, będzie Pan w stanie wyszukać interesujące Pana publikacje na wiele sposobów (np. według słów kluczowych, według tematyki, itd.).

Przy każdej publikacji znajdzie Pan informacje na temat ceny jednostkowej, języka publikacji oraz dostępności. Klikając w ikonę zielonego koszyka dokona Pan wyboru publikacji. Wybrane publikacje znajdą się następnie w Pana „koszyku” (lewe menu).

Jeżeli publikacja jest darmowa, może Pan zamówić 1 egzemplarz bezpośrednio ze strony EU Bookshop. Jeżeli z uzasadnionych powodów chciałaby Pan zamówić więcej egzemplarzy (do 100 egzemplarzy) darmowej publikacji (np. dla szkoły, centrum informacyjnego, itp.), prosimy skontaktować się z EUROPE DIRECT (mailowo bądź telefonicznie).

Jeżeli publikacja jest płatna, może Pan dokonać zamówienia osobiście, w interesującej Pana ilości (w miarę dostępności publikacji).

Dodatkowo, sugerujemy zapisanie się do „Kącika Przyjemniej Lektury”. W ten sposób, Pani szkoła będzie mogła na bieżąco otrzymywać pojawiające się materiały

w interesującym dla Państwa zakresie. Formularz zapisu znajdzie Pan pod poniższym adresem:

http://ec.europa.eu/publications/subscribe/subscription_pl.

Publikacje dostępne w Kąciku Przyjemnej Lektury można otrzymać także w wielu innych miejscach, między innymi w Punktach Informacyjnych EUROPE DIRECT. Pełen wykaz Punktów Informacyjnych EUROPE DIRECT znajdzie Pan na poniższej stronie (proszę kliknąć w kontur Polski):

http://ec.europa.eu/europedirect/visit_us/interactive_map/index_pl.htm

Innym przydatnym źródłem informacji jest Europejskie Centrum Dokumentacji (European Documentation Centres). Informacje dotyczące EDC oraz adresy poszczególnych oddziałów są dostępne pod podanym poniżej adresem internetowym:

http://ec.europa.eu/europedirect/visit_us/edc/index_pl.htm

Mamy nadzieję, iż podane informacje okażą się Panu pomocne.

Z wyrazami szacunku,

Centrum Kontaktowe EUROPE DIRECT

Traktat lizboński – Traktat na miarę Europy XXI wieku

http://europa.eu/lisbon_treaty/index_pl.htm

Wyraż swoją opinię na temat UE http://europa.eu/debateeurope/index_pl.htm

Klauzula o wyłączeniu odpowiedzialności

Uwaga: Postaramy się przekazać Państwu informacje, których dotyczy Państwa pytanie lub skierować Państwa do właściwego źródła informacji. Jednakże nie możemy komentować szczegółowych kwestii związanych z politykami UE, a informacje przekazywane przez EUROPE DIRECT nie mają wiążącej mocy prawnej.

*

Na mój list IPN zażądał wypełnienie wniosku:

Instytut Pamięci Narodowej

Ul. Towarowa 28

Warszawa

Wniosek o udostępnienie do wglądu zanonimizowanych kopii dokumentów dotyczących wnioskodawcy/nieżyjącej osoby najbliższej wnioskodawcy, na podstawie art. 30 ust. 1 ustawy z dnia 18 grudnia 1998 r. o Instytucie Pamięci Narodowej - Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu (Dz. U. z 2007 r. Nr 63, poz. 424 z późn. zm.)

[Pomijam wiele formalności].

Doświadczone formy inwigilacji i represji ze strony organów bezpieczeństwa państwa oraz wymiaru sprawiedliwości lub informacje o innych kontaktach z przedstawicielami organów bezpieczeństwa państwa:

Nie miałem oficjalnych i świadomych kontaktów z przedstawicielami organów bezpieczeństwa państwa. Lecz przez całe dziesięciolecie czułem ich nadzór, zbyt dużo spraw mi nie wychodziło, choć knułem przez całe życie – usiłowałem zwiąć na Zachód.

Konkretnie: Ryszard Tołcz, którego znam od 1953 roku, mieszkalem z nim w jednym pokoju przez cale studia. Ponadto dopadł mnie na ulicy okolo roku 1969 kolega ze szkoły w Sosnowcu – Henryk Sokołowski i usiłował wyciągnąć na zwierzenia. O jednym i o drugim pośrednio dowiedziałem się, że są pracownikami służby bezpieczeństwa – niestety zbyt późno upewniłem się o tym. W roku 1979 wyjechałem samochodem z rodziną do Paryża na urlop z postanowieniem pozostania. Ale kolega tam przebywający od lat – Grzegorz S. – tak usilnie przestrzegał mnie, że pozostanie we Francji skończy się dla nas tragicznie, że wróciliśmy. W roku 1980, a byłem wówczas dyrektorem biura projektów, po odmówieniu wyrzucania z pracy strajkujących, gdy zwróciłem legitymację partyjną, zostałem zdjęty ze stanowiska dyrektora, a kierownik Wydziału Budownictwa Komitetu Warszawskiego PZPR – Leszek Bosek – oświadczył mi: „Tak ci damy w dupę, że żyć ci się odechce, dzieci popamiętają. Nikt się za tobą nie ujmie, tylko ty będziesz wiedział, za co dostajesz baty”. W 1981 roku złożyłem papiery na wyjazd na kontrakt do pracy w Algierii. Długo blokowano mój wyjazd, aż Bosek powiedział: „Algieria to nie Zachód, osiągniemy cię tam”. Jednak od początku szukałem możliwości pozostania na Zachodzie. Złożyłem osobiście papiery o emigrację w Ambasadzie Amerykańskiej w Algierze. Sądzę, że Ambasada USA odpowiedziała, ale odpowiedź do mnie nie dotarła, musiała być przechwycona przez pracującego wśród nas agenta SB. Kiedyś go przyłapałem, jak przejął moją przesyłkę z niemieckiego radia. W konsekwencji wydano paszporty dla mojej żony i młodszej córki, a starszej córce nie wydano paszportu. Żał mi było dziecka i wróciliśmy. Gdy odmówiłem powrotu do partii, wyrzucano mnie z kolejnych miejsc pracy, aż wreszcie postanowiłem żyć z projektowania domków dla ludności. Obecnie piszę kolejną książkę o tamtych czasach i zapoznanie się z moją teczką pozwoliłoby na autentyczność stwierdzeń.

Informacje o wyjazdach zagranicznych lub staraniach o wydanie paszportu (do 1990 r.):

1966 r. ZSRR Mińsk, Moskwa, Leningrad „pociąg przyjaźni” wyjazd służbowy na tydzień

Grudzień 1970 r. Węgry Budapeszt wyjazd służbowy na tydzień

~1972 r. NRD Berlin wyjazd służbowy na 1 dzień

11.03.73 do 17.03.73 Szwecja Sztokholm wyjazd służbowy

13.11.73 do 20.11.73 Wielka Brytania Londyn wyjazd służbowy na targi

~1974 r. NRD Drezno Lipsk samochodem urlop z rodziną 5 dni

~1975 r. ZSRR Odessa samochodem urlop z rodziną 2 tygodnie

~1976 r. Francja Paryż wyjazd służbowy 3 dni

~1977 r. Czechosłowacja Praga wyjazd służbowy tydzień

~1978 r. NRD Berlin samochodem urlop z rodziną 5 dni

30.06.79 do 22.07.79 NRD, NRF, Francja, Szwajcaria, Austria, Czechosłowacja – samochodem urlop z rodziną

01.09.81...do...31.08.84...Kontrakt w Algierii w ramach Centr. Ośrodka Bad.-Proj. Bud. Og. w Warszawie

~1986 r. ZSRR Moskwa wyjazd służbowy z EXBUD

Informacje o miejscach pracy (do 1990 r.):

.....15.07.58...do...30.05.60...Polska Akademia Nauk...Zakład Archeologii Śródziemnomorskiej

01.06.60...do...31.12.60...Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Siedlcach

07.01.61...do...31.10.63...Zjednoczenie Budownictwa "Warszawa" w Warszawie

01.11.63...do...31.05.64...Zakład Badań i Doświadczeń Zjednoczenia Budownictwa "Warszawa" w Warszawie
01.01.64...do...31.08.65...Międzyzakładowa Spółdzielnia Mieszkaniowa "Budowlani" w Warszawie
01.09.65...do...15.12.72...Polska Zjednoczona Partia Robotnicza Komitet Warszawski
16.12.72...do...31.12.76...Biuro Projektów Budownictwa "War-Cent" w Warszawie
01.01.77...do...31.01.78...Stołeczne Zjednoczenie Projektowania Budownictwa Komunalnego w Warszawie
01.02.78...do...30.08.81...Biuro Projektowo Badawcze Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt-Warszawa”
01.09.81...do...31.08.84...Kontrakt w Algierii w ramach Centr. Ośrodka Bad.-Proj. Bud. Og. w Warszawie
01.09.84...do...30.09.85...Biuro Projektowo Badawcze Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt-Warszawa”
01.10.85...do...03.07.86...”EXBUD” Warszawa S.A.
04.07.86...do...05.09.86...bezrobotny
06.09.86...do...31.05.88...Urząd Miasta i Gminy Brwinów
15.01.87...do...30.06.2000....Prywatna działalność w zakresie projektowania architektonicznego w Warszawie

Oświadczenie o braku możliwości podania informacji ułatwiających odnalezienie dokumentów:

Oświadczam, że podałem wszystkie pamiętane fakty ułatwiające odnalezienie dokumentów.

Wskazanie siedziby jednostki organizacyjnej Instytutu Pamięci Narodowej, w której wnioskodawca chciałby się zapoznać z dokumentami:

Instytut Pamięci Narodowej Warszawa ul. Towarowa 28

Pouczenie:

1. Na podstawie art. 30 ust.1 ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu z dnia 18 grudnia 1998 r. (Dz. U. z 2007 r. Nr 63, poz. 424 z późn. zm.) każdy ma prawo wystąpić z wnioskiem do Instytutu o udostępnienie do wglądu kopii dotyczących go dokumentów.

2. Uprawnienia wynikające z art. 30 ustawy może wykonywać osoba najbliższa zmarłego w rozumieniu art. 115 § 11 Kodeksu karnego (osobą najbliższą jest małżonek, wstępny, zstępny, rodzeństwo, powinowaty w tej samej linii lub stopniu, osoba pozostająca w stosunku przysposobienia oraz jej małżonek, a także osoba pozostająca we wspólnym pożyciu). Jednocześnie wnioskodawca jest zobowiązany do przedłożenia dowodu potwierdzającego zgon osoby, w imieniu której występuje (odpis aktu zgonu, postanowienie sądu o uznaniu za zmarłego lub o stwierdzeniu zgonu) i dowodów potwierdzających stopień powinowactwa lub pokrewieństwa pomiędzy wnioskodawcą i osobą zmarłą (odpowiednie odpisy aktów stanu cywilnego).

3. Wniosek o udostępnienie do wglądu kopii dokumentów składa się osobiście w siedzibie dowolnego oddziału lub delegatury Instytutu Pamięci w obecności upoważnionego pracownika, który potwierdza tożsamość wnioskodawcy. Wniosek można złożyć za pośrednictwem poczty pod warunkiem poświadczenia podpisu przez notariusza.

4. Osoba mająca stałe miejsce zamieszkania za granicą może złożyć wniosek osobiście w polskiej placówce konsularnej, przy czym podpis wnioskodawcy uwierzytelnia konsul. W przypadku składania wniosku za pośrednictwem poczty podpis wnioskodawcy poświadczają notariusz lub inna osoba uprawniona do uwierzytelniania podpisów zgodnie z prawem państwa, w którym ta czynność zostanie dokonana.

Warszawa, 2008-08-04

*

Wojewódzki Sąd Administracyjny
w Warszawie
00-013 Warszawa, ul. Jasna 2/4
WYDZIAŁ III
tel. (0-22) 553-70-70, 553-70-71, 553-78-86

Dnia 29 sierpnia 2008 r.
Sygn. akt III SA/Wa 1918/08

W odpowiedzi należy podać
sygnaturę akt Sądu

Marian Czesław Sokołowski
Al. Jerozolimskie 155 m. 40
02-326 Warszawa

DORĘCZENIE ODPISU POSTANOWIENIA

od którego przysługuje skarga kasacyjna

W wykonaniu zarządzenia z dnia 28 sierpnia 2008 sekretariat Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego doręcza odpis postanowienia z dnia 28 sierpnia 2008 wraz z uzasadnieniem.

Teresa Iwackowska
starszy sekretarz sądowy

POUCZENIE

1. Na powyższe postanowienie przysługuje skarga kasacyjna do Naczelnego Sądu Administracyjnego, w terminie 30 dni od daty doręczenia orzeczenia z uzasadnieniem, za pośrednictwem tutejszego Sądu. Skarga kasacyjna złożona po upływie tego terminu zostanie odrzucona (art. 178 ustawy z dnia 30 sierpnia 2002 r. – Prawo o postępowaniu przed sądami administracyjnymi; Dz.U. Nr 153, poz. 1270 ze zm.).
2. Skarga kasacyjna, pod rygorem odrzucenia, powinna być sporządzona przez pełnomocnika będącego adwokatem lub radcą prawnym, albo doradcą podatkowym – w sprawach obowiązków podatkowych.
3. Strona może wystąpić do Sądu o przyznanie jej prawa pomocy przez ustanowienie adwokata, radcy prawnego, doradcy podatkowego. Wniosek w tym przedmiocie powinien być złożony na urzędowym formularzu określonym w przepisach rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 16 grudnia 2003 r. (Dz.U. Nr 227, poz. 2245). Złożenie tego wniosku nie przerywa biegu terminu do wniesienia skargi kasacyjnej.
4. Urzędowe formularze, o których mowa w pkt 3 są udostępniane we wszystkich wojewódzkich sądach administracyjnych oraz w Naczelnym Sądzie Administracyjnym, w urzędach gmin a także w internecie pod adresem: <http://www.nsa.gov.pl/>
5. Strony i ich przedstawiciele mają obowiązek zawiadomić Sąd o każdej zmianie swego zamieszkania, adresu do doręczeń lub siedziby. W razie zaniedbania tego obowiązku pismo sądowe pozostawione zostanie w aktach sprawy ze skutkiem doręczenia chyba, że nowy adres jest Sądowi znany.

WSA/dor.2a – doręczenie odpisu postanowienia, od którego przysługuje skarga kasacyjna

POSTANOWIENIE

Dnia 28 sierpnia 2008 r.

**Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie,
w składzie następującym:**

Przewodniczący Asesor WSA Aneta Trochim - Tuchorska

po rozpoznaniu w dniu **28 sierpnia 2008 r.**
na posiedzeniu niejawnym
sprawy ze skargi **Mariana Czesława Sokołowskiego**
na interpretację indywidualną **Ministra Finansów**
z dnia **28 maja 2008 r.**, nr IPPB2/415-385/08-2/MK
w przedmiocie **skargi na interpretację indywidualną w zakresie podatku
dochodowego od osób fizycznych**

postanawia

odrzuć skargę



Na oryginale właściwe podpisy
Za zgodność z oryginałem świadczy:

Teresa Iwaczewska
starszy sekretarz sądowy

UZASADNIENIE

Pismem z dnia 22 czerwca 2008 r. skarżący Marian Czesław Sokołowski wniósł skargę na indywidualną interpretację Ministra Finansów z dnia 28 maja 2008 r., nr IPPB2/415-385/08-2/MK. Doręczając indywidualną interpretację organ pouczył Skarżącego, iż od niniejszego orzeczenia przysługuje skarga do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie po uprzednim wezwaniu na piśmie organu, który wydał interpretację w terminie 14 dni od dnia, w którym skarżący dowiedział się lub mógł się dowiedzieć o jej wydaniu – do usunięcia naruszenia prawa (art. 52 § 3 ustawy z 30 sierpnia 2002 r. – Prawo o postępowaniu przed sądami administracyjnymi (Dz. U. Nr 153, poz. 1270 ze zm.)) dalej powoływana jako p.p.s.a.) – podkreślenie Sądu.

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie postanowił, co następuje:

Zgodnie z art. 3 § 2 pkt 4a p.p.s.a., sąd administracyjny sprawuje kontrolę działalności administracji publicznej w sprawach skarg na pisemne interpretacje przepisów prawa podatkowego wydawane w indywidualnych sprawach.

Stosownie zaś do treści art. 52 § 1 i § 2 p.p.s.a. skargę można wnieść po wyczerpaniu środków zaskarżenia, jeżeli służyły one skarżącemu w postępowaniu przed organem właściwym w sprawie. Przez wyczerpanie środków zaskarżenia należy rozumieć sytuację, w której stronie nie przysługuje żaden środek zaskarżenia, taki jak zażalenie, odwołanie lub wnioski o ponowne rozpatrzenie sprawy, przewidziany w ustawie.

Od powyższej zasady generalnej ustawodawca przewidział w art. 52 § 3 p.p.s.a. wyjątek określający możliwość wniesienia skargi w sytuacji gdy ustawa nie przewiduje środków zaskarżenia w sprawie będącej przedmiotem skargi. Zgodnie z tym przepisem skargę na akty lub czynności, o których mowa w art. 3 § 2 pkt 4 i 4a p.p.s.a., można wnieść po uprzednim wezwaniu na piśmie właściwego organu – w terminie czternastu dni od dnia, w którym skarżący dowiedział się lub mógł się dowiedzieć o wydaniu aktu lub podjęciu innej czynności – do usunięcia naruszenia prawa. Mianowicie, przed wniesieniem skargi do sądu należy wezwać na piśmie właściwy organ do usunięcia naruszenia prawa. Tym samym prawo do zaskarżania do sądu tego rodzaju orzeczeń uzależnione jest od uprzedniego zwrócenia się do

III SA/Wa 1918/08

organu z wezwaniem do usunięcia naruszenia prawa. W myśl art. 53 § 2 p.p.s.a. skargę na w/w indywidualną interpretację wnosi się w terminie trzydziestu dni od dnia doręczenia odpowiedzi organu na wezwanie do usunięcia naruszenia prawa, a jeżeli organ nie udzielił odpowiedzi na wezwanie, w terminie sześćdziesięciu dni od dnia wniesienia wezwania o usunięcie naruszenia prawa. Z tego względu w sytuacji, gdy warunek uprzedniego wezwania organu do usunięcia naruszenia prawa nie został spełniony, skargę należy uznać za niedopuszczalną.

Mając na uwadze fakt, iż w przedmiotowej sprawie, mimo wyraźnego i prawidłowego pouczenia, Skarżący nie wezwał organu do usunięcia naruszenia prawa, w opinii Sądu, w niniejszej sprawie zaistniały przesłanki warunkujące niedopuszczalność skargi.

Ponieważ w niniejszym stanie faktycznym i prawnym rozpoznanie merytoryczne skargi jest niedopuszczalne, zatem na podstawie art. 58 § 1 pkt 6 p.p.s.a. Sąd orzekł jak w sentencji.



Na oryginale właściwe podpisy
Za zgodność z oryginałem świadczy:

Teresa Iwaćkowska
stary sędziowski

Wczoraj dostałem to postanowienie Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. Toż to jeszcze większa paranoja niż interpretacja indywidualna. Moja skarga została odrzucona, bo winna być opracowana przez adwokata, ale o tym nie pouczone mnie w interpretacji. Ponadto winna być poprzedzona wezwaniem interpretatora do poprawienia spornych kwestii, a ja tego nie zrobiłem – o tym też nie byłem pouczone w interpretacji. Początkowo zrozumiałem, że sąd rozpatrzył moją skargę bez mego udziału, czyli nie dano mi okazji do wygłoszenia przygotowanego przemówienia krytykującego prawo w ogóle. Jednak w tej sytuacji chyba byłoby napisane, że sąd rozpatrzył i podtrzymał postanowienia interpretacji. Czyli moja skarga nie była rozpatrzona i zwyczajnie została odrzucona. Tym razem w piśmie przewodnim zostałem pouczone, że mam obowiązek zawiadomić sąd o każdej zmianie swego zamieszkania. Ponadto pouczone mnie, że mogę wystąpić do Naczelnego Sądu Administracyjnego ze skargą kasacyjną – Ludzie! Przecież ja prosiłem tylko o poradę! A tu najpierw poucza mnie się, że na interpretację mogę złożyć skargę, a teraz już mogę się bronić kasacją w naczelnym sądzie! Byłem tak wytracony z równowagi, że nawet rozważałem zrzeczenie się obywatelstwa polskiego. Ostatecznie postanowiłem zostawić całość sprawy swojemu losowi.

*

Warszawa, 2008-08-12
Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego
Ul. Dobra 56/66
00-313 Warszawa

W nawiązaniu do wcześniejszej korespondencji proszę o przyjęcie do zbiorów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego dwóch egzemplarzy mojej książki pt. „Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie”. Jest to poprawione wydanie z 2008 roku.

*

Warszawa, 2008-08-14
Biblioteka Narodowa
Al. Niepodległości 213
02-608 Warszawa

Proszę o przyjęcie do zbiorów Biblioteki Narodowej dwóch egzemplarzy mojej książki pt. „Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie”. W ubiegłym roku przekazałem jeden egzemplarz, obecne są poprawionym wydaniem z 2008 roku.

*

To: andrzej.kruszewicz@zoo.waw.pl
Sent: Sunday, August 24, 2008 9:45 AM
Subject: zapytanie o ptaka

Panie doktorze,

oczywiście mam Pana albumy o ptakach polskich. Mam działkę rekreacyjną między Zalewem Zegrzyńskim a Wodociągiem Północnym. Działka jest zalesiona – głównie sosna, brzoza, małe dęby, bo są sójki. Dwa lata temu powiesiłem pięć domków dla ptaków, otwór 4cm. Wczoraj czyściłem te budki. W czterech był mech i puch roślinny oraz robaki – chyba skorki. Wszystkie wypaliłem ogniem – tak jak wyczytałem w książce. Jedna budka z boku była rozkuta – otwór 10cm wys. na 6cm. Zaskoczyła mnie piąta budka, która jest w części najbardziej zakrzewionej. Otwór został oblepiony ziemią do średnicy 32mm. Również zostały dokładnie zalepione ziemią szpary pod daszkiem. Wewnątrz była tylko sypka ziemia i trochę cienkich płatków z kory sosnowej i dwa jajeczka jasno kremowe bez plamek wysokości 10 i 12 mm. O jakiego ptaszka może chodzić?

Pozdrawiam

25 sierpnia 2008 07:59

Andrzej Kruszewicz andrzej.kruszewicz@zoo.waw.pl

Tam było gniazdo kowalika!

No to ma Pan ciekawe ptaszki.

Jeżeli dzięcioły będą budki rozkuwały, to trzeba będzie pomyśleć o ich wzmocnieniu (wybierają w ten sposób pisklęta)

Pozdrawiam ak

*

Warszawa, 2008-09-11
Kancelaria Prezesa Rady Ministrów
Al. Ujazdowskie 1/3
00-583 Warszawa

WP Donald Tusk
Prezes Rady Ministrów

Szanowny Panie Premierze!
Treść jak niżej.

*

Warszawa, 2008-09-12
Redakcja Gazety Wyborczej
Ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa
listydogazety@gazeta.pl
WP Adam Michnik
Redaktor Naczelny Gazety Wyborczej
Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę pozwolić, że opowiem Panu o jednym obywatelu Polski – o sobie samym. Zaplątałem się w sposób absurdalny i coraz bardziej grzęznę. Można by powiedzieć, że się załamalem, gdyby to miało dla kogokolwiek jakieś znaczenie. Mam nadzieję – ostatnią, że dziennikarze i prasa podadzą mi rękę.

[Tu standardowy opis na wielu stronach].

Z moimi książkami chciałem dotrzeć wreszcie do czytelników – w moim wieku to ostatni dzwonek. Pisarz bez czytelników nie jest pisarzem. Miałem nadzieję, że w tej formie zdołam wydać pozostałe swoje książki, znów po kilkadziesiąt egzemplarzy. Otrzymałem numer ISBN. Chciałem być w porządku wobec prawa i szukałem porady podatkowej, ale nikt nie chciał rozmawiać o tak błahej sprawie, czyli tak mało dochodowej dla udzielającego porady. Przecież kobieta sprzedająca kwiaty na ulicy ma większy niż ja dochód. Ostatecznie wyobrażałem sobie, że wystarczy dopisać te hipotetyczne kilkudziesięciotkowe kwoty w rocznym zeznaniu PIT w innych przychodach.

W Internecie znalazłem panią profesor, która udziela porad podatkowych. Trzeba było opisać problem, a wtedy pani poda wysokość jej honorarium, po uiszczeniu którego ona udzieli porady. Szczególna postawa. Opisałem jednak swój przypadek. Nawet nie odpisała.

Naiwnie zwróciłem się do agencji Ministerstwa Finansów – do Biura Krajowej Informacji Podatkowej o poradzenie mi, jak mogę pogodzić moje aspiracje obywatelskie z obowiązującym prawem. Liczyłem, że ktoś rzetelny i życzliwy zrozumie moje wieloletnie borykanie się i doradzi mi, jak poprowadzić swoje sprawy. Przecież za interpretację zapłaciłem, więc spodziewałem się fachowej porady, przydatnej opinii. Wszak „przyjazne państwo”.

„Przyjazne państwo” nie może być pustym sloganem. Przyjazne wobec inicjatyw obywateli Państwo winno im ułatwiać działalność, naprowadzać na właściwe tory, wręcz opiekować się raczkującą inicjatywą, która dopiero później przyniesie wpływy do budżetu. „Przyjazne państwo” musi odzwierciedlać się w prawie, w działalności agend państwowych, w ich stosunku do obywatela.

Po otrzymaniu „interpretacji indywidualnej” z Biura Krajowej Informacji Podatkowej niewiele z niej rozumiałem, zwłaszcza że wpadłem w panikę. Z przerażeniem poczułem się wobec władz finansowych państwa jako przestępca, na którego natych-

miast należało zwrócić uwagę Urzędu Kontroli Skarbowej. Czyżby nic się nie zmieniło w mentalności finansistów przez te kilkadziesiąt lat?

Już mój ojciec jako prywatna inicjatywa został zniszczony w PRL domiarami. Teraz ja zostałem zniszczony tą interpretacją. Dosłownie się załamalem. Przegrałem sens swojego życia. Od kilku miesięcy w kółko o tym myślę, nie mogę się skupić nad kończeniem kolejnej książki.

Moja ostatnia nadzieja – zamiar wydania moich książek drukiem tak łatwo okazał się być przestępstwem. Tylko sam zamiar zinterpretowano jako już popełnione przestępstwo. Ano trudno. Przestaję istnieć jako pisarz. Cios, który we mnie uderzył, jest znacznie dotkliwszy, niż zakaz uprawiania zawodu. Może stanę się kolejnym Nikiforem. A może po stu latach, jak Norwida, ktoś mnie odkryje?

Po tym, co mnie spotkało ze strony władz finansowych, z pewnością wycofam moje książki z księgarni. Po mojej śmierci wszystkie pójdą na przemiał – to będzie zgodne z prawem finansowym, ale niezgodne z dobrem kultury naszego narodu.

Jest mi bardzo przykro, że nie zrozumiałem języka prawników, a chciałbym, aby było inaczej. Niech mi będzie wolno skarżyć się mojemu Państwu. Język prawników przez swą zawilść jest zupełnie wrogi obywatelom. Jest pełen pułapek, niedopowiedzeń, dwuznaczności i tak szalenie zawilść, jak zawilść zwykle jest fałsz.

Przytoczę tylko, że trzeba było przywołania w interpretacji czterech wierszy przepisów, by stwierdzić: „jest nieprawidłowe”. Takich przykładów z dziedziny niczym nieuzasadnionej zawilści prawa można cytować wiele. Choćby takie zwroty jak: „Z późniejszymi zmianami”; czy „Zmiana niektórych innych ustaw”; czy „Po słowach dopisać lub skreślić”. Zwykły człowiek nie może sobie poradzić z tak sformułowanym prawem, nie trafi za późniejszymi zmianami. Musiałbym przestudiować kilkanaście roczników „Dzienników ustaw” w poszukiwaniu tych późniejszych zmian, na które niefrasobliwie powołuje się interpretacja – to tysiące stron przepisów. Musiałbym przeprowadzić własną kompilację prawa – toż to absurd wobec istoty prawa.

Interpretator z całym uporem przeprowadził swą a priori negatywną tezę o moich poczynaniach. Elementów niewygodnych dla swej negatywnej tezy po prostu nie rozpatrywał. Tak pominął ważkość załączników, niosących cały kulturowy aspekt sprawy. Nie uwzględnił prawa chroniącego kulturę, które przecież w niczym nie jest mniej ważne niż prawo finansowe. Interpretator nie przywołał do rozstrzygnięcia sprawy agend Ministerstwa Kultury. W konsekwencji jest to wybiórcza interpretacja, a tym samym tendencyjna. Interpretator nie wystawił faktury ani pokwitowania za otrzymaną zapłatę za interpretację indywidualną, a oczekiwałem tego.

Trzydzieści lat pracy literackiej nie może być widziane przez władze finansowe jako straty poniesione przeze mnie na własną odpowiedzialność, a wobec tego nie mogące być rekompensowane w ewentualnych obecnych wpływach.

Przy takim biznesie opartym na ewidentnych stałych stratach trudno myśleć o rejestrowaniu działalności gospodarczej, bo poniosę następne koszty, jak np. rejestracyjne i inne dziś nie znane mi opłaty. Jestem przecież emerytem, muszę liczyć się z każdą złotówką. Z drugiej strony trudno pogodzić się z zasadą, że moimi kosztami jest tylko to, co zapłaciłem drukarni, a treść książek pojawiła się znikąd, za darmo. Tak jak jest Sokołowski – wydawca, tak jest i Sokołowski – autor, którego winno chronić prawo autorskie, który ma prawo do godziwego honorarium autorskiego. W zawilściach prawa jakoś umyka tak niebagatelna kwestia, jaką jest niezaprzeczalny mój wkład w dziedzictwo kultury narodowej – nawet jeśli bardzo malutki. Czuję się zażenowany, musząc przypominać mojemu Państwu, że kultura jest spoiwem narodu, znacznie donioślejszym niż budżet. Kultura wymaga opieki ze strony Państwa i zasługuje na taką opiekę.

W interpretacji indywidualnej pouczono mnie, że mogę złożyć skargę do Naczelnego Sądu Administracyjnego. W wielkim rozgoryczeniu napisałem impulsywną skargę, którą NSA odrzucił ze względów formalnych. Teraz zostałem pouczony, że mogę wystąpić o kasację. Tak więc już stanąłem przed problemem kasacji, a ja przecież szukałem zwykłej ludzkiej porady. Nie ma sposobu na wydanie moich książek, natomiast już doniesiono na mnie do Urzędu Kontroli Skarbowej. Przecież po latach nikt nie uwierzy w opisane moje przejścia.

Jestem bezsprzecznie człowiekiem starym, wiele przeżyłem i z tej perspektywy, pod koniec mojego życia, niech mi będzie wolno udzielać mojemu Państwu patriotycznych uwag dla dobra nas wszystkich, przecież płynących z głębi serca. Ktoś to musi robić. Prawo stanowione musi być tak czytelne dla swych obywateli, aby nie wymagało urzędniczej interpretacji. Prawo nie może być tylko dla wtajemniczonych, a stąd źródłem olbrzymich zarobków dla interpretatorów. Prawo jest tą unikalną dziedziną, która musi służyć bezpośrednio każdemu obywatelowi. Język np. medycyny może nie być zrozumiały, ale prawo musi być czytelne dla każdego. Kodeks Hammurabiego sprzed 3700 lat do dziś jest zrozumiały, nie wymaga interpretacji. Prawo winno w swej istocie być kością postawy obywatelskiej, ale w tym celu musi być zrozumiałe jak literatura, aby nie tylko literatura wskazywała narodowi, jak należy postępować.

Zmiana mentalności prawa to bardzo trudne zadanie dla Państwa, ale będzie musiało zostać podjęte w imię doskonalenia współzycia ludzi.

Jestem skończony. Może Gazeta wysłucha moich żalów... a może mnie odkryje?! ...czy w XXI wieku jest to jeszcze możliwe? Może przywiozę pokazać walizkę moich książek?

Wspomniałem o szeregu dokumentach, gdyby trzeba było, to prześlę ich skanowane kopie, bądź pliki doc. Również wszystkie książki mam w plikach Word.

Gorące pozdrowienia

Nie było odpowiedzi

*

2008-09-16

WP prof. Dr hab. Paweł Piotr Wieczorkiewicz
Wydział Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego
Zakład Historii XX wieku
Krakowskie Przedmieście 26/28
00-927 Warszawa

Wielce Szanowny Panie Profesorze!

Proszę przyjąć z wyrazami szacunku moją książkę pt. „Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie”.

Z wykształcenia jestem architektem. Mam 75 lat. Przez ponad trzydzieści lat opisywałem czasy PRL, w których przyszło nam żyć. Napisałem dwanaście książek, których maszynopisy złożyłem w Bibliotece Narodowej.

*

2009-01-01

-----Original Message-----

From: [WA] Marian Sokołowski [mailto:marian.sokolowski@people.pl]

Sent: Wednesday, December 31, 2008 8:44 PM

To: Opinie

Subject: Informacje o usługach

Temat : Informacje o usługach

Oglądam telewizję mieszkając u córki (Małgorzata Kwiecień), jestem bardzo zadowolony, że Aster zlikwidował bezsprzecznie najlepszy kanał, jakim był MEZZO. Teraz już nie będę miał co oglądać. Sądzę, że nie jestem wyjątkiem.

----- Original Message -----

From: "Opinie" <Opinie@aster.com.pl>

To: "[WA] Marian Sokołowski" <marian.sokolowski@people.pl>

Cc: "Opinie" <Opinie@aster.com.pl>

Sent: Friday, January 02, 2009 1:24 PM

Subject: RE: Informacje o usługach

Witam,

Dziękujemy za kontakt.

Informujemy, że Kanał MEZZO został usunięty ze względu na niską oglądalność oraz zakończenie umowy z nadawcą. Obecnie znajduje się w cyfrowej ofercie programowej ASTER.

Serdecznie pozdrawiam,

Dorota Kucharczyk

Konsultant ds. Korespondencji

2009-01-03

Szanowna Pani,

bardzo dziękuję za odpowiedź, tym cenniejszą, że obecnie standardem staje się nieodpowiadanie na listy. Ponieważ dopuszczają Państwo dalszą korespondencję, więc proszę przyjąć tych kilka spostrzeżeń. MEZZO miał niską oglądalność – stwierdza Pani. Może, ale za to jaką oglądalność! Wprowadzając kanał MEZZO ktoś w Aster wykazał się dużą bystrością i przyciągnął tym widzów, którzy z zasady unikają populistycznej subkultury telewizyjnej. Sztuka prezentowana w programie MEZZO ma swoją sprawdzoną widownię, sprawdzoną od stuleci. Był to bardzo wartościowy program. O produkcjach kanału np. VIVA za parę lat nikt nie będzie pamiętał, a Beethoven przetrwał stulecia i przez następne nie zaniknie. Proszę zważyć ilu mamy muzyków, sal koncertowych, szkół muzycznych, baletowych i artystów baletowych, a to wszystko posiada liczącą się widownię, sympatyków – to jest elita kulturalna naszego narodu. Po zlikwidowaniu kanału MEZZO ludzie ci nie staną się widzami kanałów typu VIVA. Oni znów przestaną włączać telewizory – w sumie oglądalność usług Aster spadnie. Czy o taki efekt komuś w Aster chodziło? Myślę, że zlikwidowanie kanału MEZZO było bardzo nieprzemyślaną decyzją. Wśród aż sześćdziesięciu kanałów Aster – miał prawo pozostać kanał MEZZO, jedyny kanał z muzyką poważną.

Opowiem Pani jeszcze, że w czasach głębokiego Peerelu z wielkim zacięciem kultywowano kulturę masową, kulturę dla mas, nie dla elit. Wówczas jeden intelektualista z Zachodu wypowiedział znamienne słowa: „Wy tworzycie kulturę dla wszystkich, my tworzymy kulturę dla każdego”. Skoro Aster musi tworzyć znów kulturę dla wszystkich, to trudno, ale niech też dopuszcza „kulturę dla każdego”. Rugując muzykę poważną, zacierając ślady po balecie klasycznym, czynicie nam wielką szkodę, bo nawet obecni zwolennicy kultury młodzieżowej kiedyś rozsmakują się w innej muzyce, zapragną innej kultury. Bo ktoś przełączający szybko kanały, kiedyś zatrzyma się na chwilę na pięknej grze pianisty, ze zdziwieniem stwierdzi, że usłyszane takty nie są współczesną reklamą np. Paracetamolu, lecz już zachwycają od wielu lat za sprawą Mozarta.

Opowiem jeszcze, że przed laty Astercity nie stać było na polski dubbing i na przykład Cartoon Network leciał w wersji oryginalnej, maluchom to nie bardzo prze-

szkadzało i wchłaniały język angielski jako coś oczywistego – tak mój wnuczek w ciągu paru lat na „CN” nauczył się angielskiego. Teraz już Aster nie stawia ambitnych wyzwań językowych podając wszystko na tacy polskiej wersji językowej.

Gorące pozdrowienia

Któregoś kolejnego dnia wysłałem zapytanie, ile by kosztowało założenie drugiego dekodera telewizji cyfrowej do drugiego telewizora w mieszkaniu?

----- Original Message -----

From: "Opinie" <Opinie@aster.com.pl>

To: "[WA] Marian Sokołowski" <marian.sokolowski@people.pl>

Cc: "Opinie" <Opinie@aster.com.pl>

Sent: Monday, January 12, 2009 11:07 AM

Subject: RE: Informacje o usługach

Witam,

> Dziękujemy za kontakt.

Prosimy o podanie dokładnego adresu planowanej instalacji w celu weryfikacji zgłoszenia.

Serdecznie pozdrawiam,

Dorota Kucharczyk

Konsultant ds. Korespondencji

Chcąc kontynuować korespondencji prosimy o pozostawienie jej dotychczasowej treści. Przyspieszy to rozwiązanie Państwa zgłoszenia.

12 stycznia 2009

Dlaczego nie można po prostu wyczerpująco odpowiedzieć na zadane pytanie? Jeszcze będzie czas na weryfikację i na nasze planowanie instalacji. Odpowiedź nie zabrzmiała zbyt uprzejmie ze strony Aster.

Pozdrawiam

----- Original Message -----

From: "Opinie" <Opinie@aster.com.pl>

To: "Marian Sokołowski" <marian.sokolowski@people.pl>

Cc: "Opinie" <Opinie@aster.com.pl>

Sent: Tuesday, January 13, 2009 9:56 AM

Subject: RE: Informacje o usługach

Witam,

Dziękujemy za ponowny kontakt.

Uprzejmie wyjaśniamy, że adres jest potrzebny do pełnego przedstawienia Panu oferty.

Niemniej jednak informujemy, że podłączenie drugiego dekodera SD kosztuje 19zł. Opłata za dostęp do usług cyfrowych wynosi 10zł. Dodatkowe opłaty abonamentowe uzależnione są od pakietów, jakie chciałby Pan aktywować na dekodерze.

W załączeniu przesyłamy aktualny wykaz promocji dotyczący usług cyfrowych.

Dziękuję za wyczerpującą odpowiedź i przepraszam za ton mojego listu, ale z wiekiem staję się coraz bardziej impulsywny. W zasadzie zależy mi na programie MEZZO. W sprawie ewentualnej instalacji dekodera jeszcze się odezwiemy.

Pozdrawiam

*

2009-01-07

Pora napisać o moich książkach, jak powstawały, po co, może kiedy powstały.

Przez lata wyżywałem się w długich listach, najpierw do rodziców i braci, a potem do żony. Były i inne listy. Było to już jednak pisanie. W 1973 roku zostałem dyrektorem biura projektów. Tytuł imponował, zwłaszcza rodzinie i znajomym, ale była to katorga, z którą nie umiałem sobie poradzić, z której nie potrafiłem się wysupłać. Państwowe przedsiębiorstwo tamtych czasów było czymś porażającym. Wszyscy rządili, a najmniej dyrektor. Rządził sekretarz podstawowej organizacji partyjnej, rządziły związki zawodowe, rządził dyrektor zjednoczenia i nawet minister (ten rządził np. piórkami dla kreślarzy). Rządziły bardzo drobiazgowo komitety partii (dzielnicowy, miejski), a często podkreślały, że załoga jest ważniejsza od dyrektora, a temu ostatniemu przypominano, że zawsze opowiedzą się za załogą. U nas ponadto rządzili generalni projektanci, którzy dawali treść architektoniczną – byli to dostojni ludzie, wielce ustosunkowani. W 1975 roku wyjechałem na konferencję do Krynicy, a właściwie uciekłem z Warszawy, gdyż nie mogłem wytrzymać tego wszystkiego. Po paru dniach opisałem ten wyjazd i to był początek mojej pierwszej książki. Potem postanowiłem ją kontynuować, ale już tracąc frywolność przekazu, bo życie otaczające nas wcale nie było frywolne. Zapisywałem autentyczne wydarzenia – dosłownie mowy, ale że były to sprawy sprzed paru godzin, jeszcze gorące, więc unikałem nazwisk, dawałem tylko zapis dźwięku – i to w wielkim zbliżeniu, z całą zaciętością dokumentowałem bełkot panoszącego się socjalizmu. Taki zbiór „mów” ukształtowałem jako happening, męski happening ze względu na jego samczą wulgarność. Widziałem swój zapis jako koncert ponadto, gdzie nuty zostały zastąpione przez litery, a dźwięki – przez słowa. Zapis np. „forte” oddawał napięcie dyskusji; znów np. „mazur” określał swojskość mentalności i etyki mówiącego. A przecież koncert miał jeszcze swe powolne części, stąd „largo” lub „adagio pastorale” tam gdzie dialogi były głównie chamskie; było też „grave” – część końcowa – rozpaczliwa. Muzyczne nazwy i określenia były jedynym moim komentarzem do zapisywanych tekstów. Utwór jako dzieło plastyczne i równocześnie muzyczne – te formy miały zakamufłować mój wrogi stosunek do tego całego socjalizmu, zakamufłowany, bo jednak liczyłem, że zdołam wydać tę książkę. Ukształtowałem ją ponadto jako utwór teatralny. Sztuka zaczynała się i kończyła piątym aktem, którego pozornie nie było, bo piątym aktem było to wszystko, co każdego dnia działo się wokół w życiu. Na scenie miał być pierwszy, drugi, trzeci i czwarty akt. Cały tekst miał być pierwszym aktem, reżyser mógł wybierać w różnych alternatywach scen, zupełnie nie przejmując się ich doborem. Jedynym odbiorcą treści miał być system prymitywnego komputera zliczającego ilość poszczególnych liter w wypowiedzianych mowach, żadnej innej wartości i treści te mowy nie miały. Drugi akt, już bez słów, miał demonstrować stopniowe, ale stałe zmierzanie do paraliżu systemu państwowego. Trzeci akt był niemym obrazem, gdzie przepisy postawione na głowie nie sięgały ziemi, a między nimi powstawał narastający szum. Czwarty akt, ukryty w głębi książki, bardzo krótki, zapisywał tragedię naszej rodziny: śmierć matki, nieuleczalnie chorego, stojącego już nad grobem młodszego brata, dramat starszego brata zagrożonego białaczką, ojciec – rzemieślnik zniszczony przez wrogi system i wreszcie ja, który zeszedłem na manowce, bo niby architekt, a pracujący w Komitecie Warszawskim Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Tak dużo treści było dla mnie w mej książce, a dla innych stała się to książka zupełnie niezrozumiała, książka o niczym. Zakończyłem ją jednak stwierdzeniem, że poszukam teraz, czym i kiedy moja skorupka nasiąknęła, że tym czymś na starość trąci. Było to asumptem do następnych książek.

To co opisywałem w kolejnej książce, zawierało kształtowanie dziecka od najwcześniejszych jego lat, kształtowanie takiego niczego – stąd tytuł „±0” (Plus minus zero). A kształtowanie odbywało się okrutnymi narzędziami, bo i pięć lat wojny, które dla dziecka były wiecznością, dziecka wychowywanego przez ulicę, mimo że rodzice robili, co mogli, aby dziecku temu zapewnić wszystko, na co ich było stać. Tyle że na coraz mniej ich było stać. Okropności wojny uczyły kunktatorstwa, bezwzględności i przebiegłości, uczyły zakłamania, przy jednoczesnym wyniszczaniu organizmu i wpajaniu beznadziejności. Ulica uczyła kradzieży, wyposażała w najohydniejsze znamiona seksu, przyzwyczajała do rozboju. Całe miasto to byli robotnicy miejscowego przemysłu ciężkiego i Żydzi trudniący się kupiectwem, a w tym bardzo nieliczne rodziny światłych osób z wyższym wykształceniem lub choćby z maturą. Te elity znów tworzyły swoje zamknięte enklawy. Matka skończyła siedem klas w przykopalnianej szkole, ojciec tylko cztery klasy wiejskiej szkoły. Ojciec w wieku kilkunastu lat przyszedł boso kilkadziesiąt kilometrów do Zagłębia, by tam znaleźć zatrudnienie u rzeźnika. Czy może ktoś dziwić się, że w Zagłębiu była tak silna działalność komunistyczna? Przecież poza policyjnymi szykanami nie robiono nic, aby podnosić na trochę wyższy poziom ten lumpenproletariat. Dla robotnika największym wrogiem był magnat przemysłowy, ziemski – jednym słowem wyzyskiwacz, a i dla bogaczy największym niepokojem były nastroje wśród masy pracowników. Robotnik najlepszy był taki, jaki był – chwytający się za grosze najcięższej pracy. Nic dziwnego, że po przyjsciu komunizmu miał on tak ułatwione zadanie. Przecież cała masa robotniczych i chłopskich dzieci zyskała dostęp do szkół, nawet wyższych. Niszczenie posiadaczy i szlachty odbywało się pod hasłem sprawiedliwości dziejowej. Po wojnie droga stawania się komunistami bądź wysługiwania się komunizmowi była tak łatwa, tyle apanaży przynosząca – którą to drogą poszła tak znakomita większość narodu – do dziś proces to niewytłumaczalny. A mimo tak łatwej drogi do stawania się komunistami, mój ojciec postanowił i wytrwał w rzemieślniczym zawodzie.

„Debiut”

To lata 1956 do 1965. Opisuję tu moje wchodzenie w życie, wzloty i upadki. Po latach nauki musiał nadejść czas na praktyczne zastosowanie tego, czego mnie nauczono. Są w tej książce absolutne i beznadziejne przegrane, ale i są partie całkiem nieskromne, gdzie z całą żarliwością młodego umysłu sięgam po nowe ujęcie filozofii matematyki, i zaraz obok wytyczam kierunki teorii konstrukcji budowlanej. Teorie te kształtowałem bardzo poważnie, a zwłaszcza wierzyłem, że zbliżam się do prawdy. Do dziś myślę, że mogą one stanowić najważniejsze przesłanie moich książek, choć zawarte na kilkunastu stronach zaledwie. Jest tu również miejsce na bardzo przyziemne sprawy — usiłuję zastosować to wszystko, czego się nauczyłem, również w miłości. Motto każdego rozdziału stanowi kolejny ruch z rozegranej kiedyś przez kogoś mistrzowskiej partii szachowej. Wszak poszczególne rozdziały były dla mnie dosłownymi ruchami rozgrywanej przeze mnie partii przeciw życiu. Raczej ktoś musiał przegrać tę partię rozgrywaną z życiem.

„Gag”

Dotyczy lat 1962 — 1981. Książka zawiera szczegółowy opis wypadków marcowych roku 1968, następnie agresję na Czechosłowację i unicestwienie „Praskiej Wiosny” — wszystko to jest oparte na historycznych audycjach Radia „Wolna Europa” i na moich wiadomościach niejako „z pierwszej ręki”. Kompozycyjnie jest to scenariusz do komiksu i tak powinno pozostać, to zbyt przykre sprawy.

„Fi laman — część I, Batna pierwszy rok”

Opisuje mój wyjazd do Algerii. Przełom lat 1981 — 1982, przed i podczas stanu wojennego w Polsce. Chcąc ratować rodzinę wyrwałem się do Algerii. Pracowałem

usiłnie nad ściągnięciem rodziny za sobą i jednocześnie słałem listy w świat legitymujące się moimi przemyśleniami z filozofii matematyki, z teorii konstrukcji. Pragnąłem, aby ktoś nas zechciał, abyśmy gdzieś na świecie znaleźli nowy dom, abym zyskał dostęp do silnych komputerów pozwalających na dalsze prowadzenie moich dociekań. Moje systematyczne notatki, a zwłaszcza bardzo ożywiona korespondencja stały się dokumentem. Są tam zapisy na gorąco wydarzeń w Polsce, zapisanymi szczerze w co parę dni słanych listach. Poznaje Islam i muzułmanów. Ta część jest oparta na cytatach z Koranu.

„Fi laman — część II, Batna drugi rok”

Opisuje przełom lat 1982 — 1983. Gorzkie poznawanie Polaków podbudowane jest cytatami z Katechizmu Kościoła Katolickiego. Dzień po dniu umieściłem treść pod trzema datami: katolicką, muzułmańską i żydowską. Tytuł „fi laman” znaczy po arabsku „idź w pokój”, tyle co dla katolików „z Bogiem”.

„Fi laman — część III, Alger trzeci rok”

To przełom lat 1983 — 1984 i moja praca w samym Algerze. Wypadało oprzeć ją na cytatach z Talmudu. Poznanie Islamu oraz Muzułmanów i Żydów dało mi wiele do myślenia o tych trzech religiach i ich wyznawcach. Codzienny pobyt z ludźmi tych trzech religii musiał utkwieć w moich zapisach, w listach.

„Stado pasterzy”

– to roboczy tytuł, a potem Prezydent Ryszard Kaczorowski użył słuszejszego określenia: Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie.

Opisuje okres od ostatnich dni prezydentury Ignacego Mościckiego do zakończenia kadencji Prezydenta Lecha Wałęsy. Przedstawia wszystkich prezydentów i rządy Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie. Pięćdziesiąt lat trwania Emigracyjnych Władz Polskich zasługuje na zobaczenie tych Władz takimi, jakimi były, bez przemilczeń i upiększeń, a zwłaszcza bez późniejszych wykładni co autor słów chciał przez to powiedzieć. Właściwie oni sami opowiadają tu o sobie. Książka zbudowana jest więc z cytatów i wypowiedzi tych historycznych ludzi, stąd kompozycyjnie należy uznać ją za literacki colage.

Monstrualne kuriozum historyczne wymagało i jednak spowodowało, że ten nurt władzy wywiezionej na obczyznę musiał i po pięćdziesięciu latach mógł wrócić do Kraju i zdołał wniknąć chwalebnie w rzekę życia Narodu. Nieustające i olbrzymie skłócenie Polaków — tak bardzo widoczne zarówno na uchodźstwie jak i w Kraju — uzasadniają pierwotnie nadany książce tytuł.

Cóż począć, skoro jesteśmy stadem pasterzy, pasterzy z przeważającymi instynktami przywódczymi, pasterzy bez dostatecznych — przyznajmy to — instynktów stadnych, niepotrafiących podporządkować się drugiemu człowiekowi, nawet niepotrafiących wysłuchać i rozważyć racji drugiego człowieka, ale jednak pasterzy, z których niestety każdy najlepiej wie, co jest najlepsze dla wszystkich, czyli dla reszty stada.

Nie sarkajmy na nich, na tych drugich, nie dziwmy się, jesteśmy tacy sami, wyrostamy z tego samego pnia warchołów i pniaczy, mających przepiękne wyobrażenie o sobie, rozstrzygających problemy tak łatwo przychodzącą walką i bijatyką, a będących zupełnymi beztalenciami, gdy nie szablą trzeba przekonywać innych.

Dlaczego powstała ta książka? Wszak przez kilkadziesiąt lat wzdychaliśmy do innej Polski, do Zachodu.

„Rosja”

Z Rosją też musiałem rozprawić się. Wszak stanowiła życie moich pradziadów i dziadów, zniszczyła mojego ojca i tak strasznie zaciążyła na moim życiu.

Jest to historia imperium rosyjskiego, napisana obiektywnie, bez zakłamań, przemilczeń, odbrązowiona, po raz pierwszy prawdziwa, ukazuje odwieczne oblicze Rosji,

jej zachłanność, bezwzględność, ekspansję terytorialną, uciemnienie narodów i przez wieki postępujące zatracanie tych narodów, wykazuje manipulacje wokół historii Rosji, dokonywane tak aby ta historia stale pasowała do potrzeb władców. Jest to książka bardzo na czasie, bo dopiero teraz można było napisać prawdziwą, niezakłamaną historię Rosji.

Książka zawiera ponad 1600 stron formatu A4, jest w czterech częściach, posiada wiele barwnych ilustracji i map. Jak i wszystkie moje książki jest ona literacko nowatorska i jak wszystkie moje książki posiada swoistą architekturę konstrukcji.

Część I: ROSJA ostatnie imperium

część II: ROSJA ZSRR apogeum imperium

część III: ROSJA odwieczne imperium

część IV: ROSJA początki imperium.

W pierwszej części zobrazowałem współczesną Rosję, pokazałem jej strukturę administracyjną, różnorodność poszczególnych obszarów, wykazałem, kiedy które terytorium Rosja podbiła, stopień uzależnienia Wspólnoty Niepodległych Państw.

Część druga zaczyna się od próby zinventaryzowania tych ponad stu narodów, już zatraconych, bądź jeszcze wegetujących w zapomnieniu, następnie omawia potęgę militarną obecnej Rosji i byłego ZSRR, opisuje i ilustruje tak zwane „gwiazdne wojny”, interwencje oraz aneksje Rosji i ZSRR ostatnich dziesięcioleci, wykazuje, jak niewiele organizacyjnie i mentalnie różni się Rosyjska Federacja od ZSRR, omówiono tu Kraje Demokracji Ludowych, a przede wszystkim burzliwą historię ZSRR.

Część trzecia to historia caratu i zatrważające losy kolejnych carów, ale i zatrważająca działalność kolejnych carów, odwieczne imperium, ale i odwieczne katorgi oraz zesłania, Polacy na Kremlu, narody Syberii przed ekspansją Rosjan na Syberię, smuta i samozwańcy — to szczególne rozdziały historii Rosji.

Część czwarta zaczyna się od wykazania złożoności i dyskusyjności tak zwanej „dynastii Rurykowiczów”, dalej niechciana karta z dziejów, gdy ponad dwieście lat zamiast Rusi istniał Ułus Ruski w składzie Złotej Ordy.

Książka jest skonstruowana na zasadzie archeologicznej — odsłaniamy coraz dawniejsze warstwy dziejów Rosji i Rusi, stąd znaczny fragment czwartej części poświęcony jest rozważaniom, co było, a co nie było Rusią kilkaset lat temu — bo jeżeli na przykład Księstwo Kijowskie dziesiątego wieku jest historią Rosji, to gdzie jest historia Ukrainy?

Poprzez cztery lata intensywnej pracy napisałem ją analizując wiele książek znanych historyków, dużo materiałów znalazłem w Internecie. To bardzo solidne opracowanie, godne przedstawienia polskim czytelnikom; powiem więcej, polscy czytelnicy powinni poznać rzeczywistą historię Rosji. Wiem, że nie zachowuję się skromnie, ale nie o mnie tu chodzi — chodzi o prawdziwą historię Rosji.

Mam już napisaną trzynastą książkę pod tytułem „Kabotyn”. Tu zapisałem wiele z tego, co z różnych względów nie zostało zapisane w poprzednich książkach, ale intymność treści wymaga odleżenia się, raczej teraz jej nie wydam.

*

17 stycznia 2009 10:17

przeklad@australink.pl przeklad@australink.pl

Szanowni Państwo,

zwracam się do Państwa o pośredniczenie w spełnieniu mojej prośby.

Z okazji jubileuszu osiemdziesięciolecia Pani Wandy Wiłkomirskiej pragnąłbym przekazać Jej plakat sprzed pięćdziesięciu lat. W dniu 23 lutego 1958 roku Pani Wanda Wiłkomirska dała koncert w Domu Akademickim na Placu Narutowicza w Warszawie. Byłem wówczas studentem i mieszkańcem tego Domu Akademickiego, miałem wów-

czas zaszczyt wykonać na koncert ten niżej zamieszczony plakat, na którym po koncercie Pani Wanda Wiłkomirska napisała te słowa:

„Patrzac na te struny zaczynam rozumieć, że w moim instrumencie – skrzypcach jest wielka potęga. Wanda Wiłkomirska 23.II.1958”

Zwracam się z gorącą prośbą do Redakcji Przeglądu Australijskiego o zapytanie Pani Wandy Wiłkomirskiej, czy pozwoli przekazać sobie na pamiątkę ten plakat.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

*

2009-01-29

Dopiero po roku trochę otrząsnąłem się po interpretacji indywidualnej i odważyłem się zanieść do księgarni Prusa pięć egzemplarzy prezydentury na uchodźstwie. Można rzec, że fiskus pozbawił mnie jednego roku życia.

*

16 marca 2009 12:20

Dorota Silaj <dsp2504@sbcglobal.net>

Pani Doroto,

pragnę przypomnieć, że jestem autorem wydanej przez Panią książki pt. "peta". Utraciłem kontakt z Panią, a interesuje mnie, co słyhać ze sprzedażą mojej książki.

*

19 marca 2009 10:45

Zosia Sokolowska zsokolowska@tiscali.nl

Kochani,

zdjęcia dzieci w szkole skopiowałem, ale fotografującemu kupiłbym lepszy aparat.

Był ubaw z pomysłem Daniela, żeby mu przywieźć kota. Tylko Gosia potraktowała sprawę bardzo poważnie i odrzekła: To będzie Zosia musiała sobie kupić kota. Znaczą, że po trupach, a nie odda swojego pieszczoła.

Gdzie jest wskazana przez Ciebie stacja w Harlemlie, to chyba znajdziemy na planie Harlemlu, natomiast może ustalisz, z którego peronu w Amsterdamie te pociągi odchodzą.

Ucałowania

*

22 marca 2009 14:48

Zosia zsokolowska@tiscali.nl

Kochana Zosiu,

Już mamy bilety w obie strony. U nas nie dało się zarezerwować, lecz na dwa miesiące wcześniej można było wykupić. Do Was przyjeżdżamy 27 kwietnia rano. Mamy przedział 2 klasy z dwoma łózkami i z powrotem taki sam. Wydano nam kolejowe legitymacje emerytów, co obniża cenę o 25%. Na powrót dostaliśmy bilet z promocji, co kosztowało około 40% ceny. Wypisano nam również bilety z Amsterdamu do Haarlemu i powrotne. Nie wiemy jednak gdzie będziemy wysiadali w Haarlemie, bo na planie Haarlemu nie znaleźliśmy takiej stacji. Nawet już o walizkach myślimy. Na wydruku z Internetu mamy podane perony z Amsterdamu do Haarlemu, czyli peron 1. Sprawdź ten peron, prosimy.

Ucałowania tata

*

Związek Literatów Polskich
Krakowskie Przedmieście 87/89
Warszawa

...bo jeszcze tu nie pisałem...

Wprawdzie kilkadziesiąt lat temu zadzwoniłem do Związku Literatów Polskich i zapytałem: Co trzeba, aby wstąpić do Związku? Pani odrzekła: Och, to bardzo proste, wystarczy napisać dwie książki.

Dziś właściwie niczego nie oczekuję. Uświadomiłem sobie jednak, że wypada się jakoś przedstawić, dać znać o sobie. I to czynię. Proszę przeczytać jeden z moich kilkunastu listów (nota bene – jak wszystkie pozostających bez odpowiedzi).

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

*

25 kwietnia 2009 19:03

zdm@zdm.waw.pl zdm@zdm.waw.pl

Pragnę zainteresować ZDM (Zarząd Dróg i Mostów) jednym z niebezpiecznych punktów na warszawskich drogach. Jest nim wjazd z Alei Niepodległości w ulicę Wawelską (Trasę Łazienkowską) w kierunku Żwirki i Wigury. Pas jezdni tego wjazdu bardzo wolno się zwęża i dochodzi do zera. Samochody na pasie Trasy Łazienkowskiej (na ogół jadące w korku) jadą coraz bliżej samochodów wolno posuwających się po tym wjeździe i zależy od wytrzymałości nerwów kierowców, kto komu ustąpi. Samochody jadące pasem Trasy Łazienkowskiej w zasadzie mają pierwszeństwo, bo nie zmieniają pasa ruchu, ale tym wjeżdżającym od Al. Niepodległości nic nie pozostaje, jak wymusić drogę dla siebie – stąd są częste tu kolizje, otarcia, zarysowania. Dziś widziałem, jak autobus miejski urwał lusterko takiemu samochodowi usiłującemu włączyć się do ruchu Trasy Łazienkowskiej. Jadący Trasą Łazienkowską na ogół pozwalają włączyć się do ruchu, ale nie każdy kierowca chce ułatwić jazdę innemu. Problem komunikacyjny spowodowany jest tym, że ten pas dla włączających się samochodów tak wolno się zwęża i oni zbyt późno orientują się, że już stwarzają zagrożenie dla siebie i dla innych pojazdów. Proponuję ustawienie żółtego trójkąta dla jadących tym wjazdem i wymalowanie białych trójkątów na jezdni tego pasa. Wiele z tych samochodów po kilkunastu metrach skręca w prawo w Krzywickiego, stąd może częściowym rozwiązaniem byłoby przycięcie trochę chodnik, aby przynajmniej ten prawoskręt odbywał się bezkolizyjnie. Jednak ja się na tym nie znam. Fachowcy powinni rozwiązać problem. W każdym razie nie może tak dalej być.

*

6 maja 2009 16:54

widzowie@tvp.pl widzowie@tvp.pl

Bardzo proszę o przekazanie tego listu do redakcji sportowej.

Pragnę zaprezentować, skąd Holendrzy biorą kadry do swoich drużyn. Trenerzy i sami zawodnicy poszczególnych klubów prowadzą bardzo sumienne zajęcia z dziećmi na osiedlach i w dzielnicach miast. Interesują się dziećmi i młodzieżą, chłopcami i dziewczynkami, obdarowują te dzieci bezpłatnymi biletami wstępu na swoje mecze. Proszę zwrócić uwagę na urządzenia sportowe pod samymi domami mieszkalnymi. Najlepiej o tym świadczy tych kilka moich zdjęć sprzed paru dni.

6 maja 2009 17:05

MAILER-DAEMON <MAILER-DAEMON>

This is the Spam & Virus Firewall at mx1.tvp.pl.

I'm sorry to inform you that the message below could not be delivered.

When delivery was attempted, the following error was returned.

< widzowie@tvp.pl >: message size 58989034 exceeds size limit 10485760 of server relay.tvp.pl[10.16.6.20]

*

6 maja 2009 19:57

widzowie@tvp.pl widzowie@tvp.pl

Chciałem przesłać do TVP serię bardzo ciekawych zdjęć, ale otrzymałem odpowiedź, że jest to spam i zawiera wirus. Zdjęcia te nie są spamem, ani nie zawierają wirusa. Proszę o umożliwienie mi wysłania tych zdjęć.

Pozdrawiam

*

Odbyliśmy kolejną wyprawę do Holandii – do wnuków, do córki. Przecież i do Sjaaka – jej męża, ale oni zawarli ślub nie kościelny, lecz spisali kontrakt w urzędzie, czyli to mąż cywilny. Zosia nosi swoje nazwisko, on swoje, dzieci noszą jego nazwisko. Jest bardzo sumienny, zasadniczy, dobry tata, tylko polskiego nie chce się uczyć, a i nam nauka niderlandzkiego nie wyszła, więc patrzymy na siebie z sympatią, mówimy dzień dobry i rozmawiamy coraz mniej, bo tyle co Zosia przetłumaczy.

Właściwie nie zostaliśmy zaproszeni, ale sami się zapowiedzieliśmy. Zosia podała nam, na kiedy możemy przyjechać: od 27 kwietnia do 6 maja, bo dzieci będą miały wolne w tym czasie, a i oni będą mieli święta narodowe, więc bez trudu się nami zajmą.

Myślałem zrazu, by jechać tam samochodem Gosi, bo dojechalibyśmy na samo miejsce, a i tam można by dojechać tu i ówdzie. Jednak Gosia się sprzeciwiła, nie mając zaufania do moich możliwości fizycznych i umiejętności jako kierowcy. Postanowiliśmy jechać pociągiem. Jest teraz bezpośredni pociąg z Warszawy do Amsterdamu. Wykupiłem przedział sypialny na dwie osoby, a nawet bilety na jazdę z Amsterdamu do Haarlemu, by Zosia miała ułatwione odebranie nas. Cała podróż w obie strony kosztowała nas 2200 złotych. Kolej wydała nam legitymacje emeryckie pozwalające na 25% zniżkę, a na powrót były jeszcze miejsca w tak zwanej promocji, gdzie bilety były prawie o połowę tańsze.

Teraz postanowiłem stworzyć nam możliwość płacenia w Holandii kartą bankową. Poszedłem do naszego banku (Bank Przemysłowo Handlowy – nazwa już dawno o niczym nie świadczy, zresztą jak i we wszystkich innych bankach) i poprosiłem o wydanie karty kredytowej, bo przy poprzednim pobycie widzieliśmy, że Holendrzy chętniej przyjmują karty kredytowe. Spisałem bardzo zawiłą i restrykcyjną wobec mnie umowę, ale trudno. Umowa poszła do zatwierdzenia. Następnego dnia zadzwoniła panienka i powiedziała, że bardzo jej przykro, ale nie mogą mi wydać karty kredytowej, bo mam powyżej siedemdziesięciu lat. Krew mnie zalała. Trzęsie mnie, gdy ktoś mi mówi, że mu bardzo przykro. Powiedziałem panience, że są ohydni, jak można oświadczyć człowiekowi, że już jest za stary, przeterminowany, czyli na progu grobu. Powiedziałem, że zmienię bank na bardziej przychylny. W Internecie znalazłem adresy różnych banków i wysłałem do nich zapytanie, czy wydadzą mi kartę kredytową, bo mam 76 lat. Odpowiedzi były szybkie i pozytywne. Wysłałem więc e-mail do BPH zawiadamiając, że już sześć banków chce mnie przyjąć i wydać mi kartę kredytową. A ponadto mam zdeponowane w ich biurze maklerskim obligacje na prawie ćwierć miliona złotych, co powinno dostatecznie świadczyć, jakim jestem klientem. Następnego dnia zadzwoniła panienka, z wiadomością, że wydadzą mi kartę kredytową, ale muszę otworzyć u nich lokatę na trzy tysiące złotych, którą oni zablokują jako gwarancję mojej karty kredytowej. Oświadczyłem, że mnie właściwie wcale karta kredytowa nie jest potrzebna, bo wyznaję zasadę, że najlepiej pożyczać od siebie. Jedynie ze względu na przygotowywany wyjazd do Holandii chciałem poprzez kartę ułatwić sobie płacenie tam rachunków. Teraz wezmę po prostu gotówkę w euro i nie będę miał żadnego pro-

blemu. Przy okazji skrytykowałem umowę, jaką dają na taką kartę kredytową: oprocentowanie aż 28%! I to liczone od pierwszego dnia dokonania płatności. Zapowiadają, że w każdej chwili, bez uprzedzenia mnie, mogą sprzedać mój dług firmie windykacyjnej, a przecież ta od razu przyśle mi komornika, który zajmie mi mienie o wartości kilkakrotnie większej niż moje zadłużenie. Ponadto w umowie stwierdzają, że integralną częścią umowy jest pięć szczególnie istotnych załączników, których w ogóle do umowy nie dołączono. Panienka polecała się udać do oddziału i zażądać tych załączników. Wymiana słów, bo nie zdań, była bardzo impulsywna, bank zawsze był w porządku, więc przed rozłączeniem, oświadczyłem, że zmieniam bank.

Szukając poprzednio banków w Internecie ujrzałem, że w sąsiedztwie naszego domu powstał włoski bank Aliorbank. Teraz więc postanowiłem tam się udać. W recepcji jednak stwierdzili, że tu jest tylko centrala banku, więc po wielu dyskusjach i rozmowach udałem się do oddziału na Grójecką. Tu z młodym człowiekiem przeprowadziłem długą rozmowę, nie miałem zastrzeżeń, zwłaszcza że nie pobierali żadnych opłat. Założyłem rachunek, kartę debetową dostałem od ręki – taką bez nazwiska. Karta była z czipem, więc wyglądała bardzo zachęcająco. Założyłem więc drugi rachunek w euro. Wpłaciłem w kasie tysiąc złotych, aby coś było na koncie. Jedyny jakiś niepokój wywołała we mnie kwestia podpisywania umowy, bo się szczycąc nowoczesnością, kazano mi się podpisać na tak zwanym tablecie – elektronicznej płycie notującej podpis. Tylko że elektronika ta miała pewne opóźnienie, moje litery się nie ukazywały natychmiast, więc przerywałem pisanie, a potem się starałem dodać kolejne litery do już widocznej na płycie, co w konsekwencji spowodowało, że mój podpis nie był ciągły, lecz się składał z pojedynczych liter, na dodatek umieszczonych coraz niżej. Potem wpadłem w rozterkę, bo tak złożony podpis na umowie mógł być przecież bez trudu elektronicznie umieszczony na każdym innym dokumencie...

W domu Gosia bardzo skrytykowała, ten bank, mieli jakieś problemy, bank jest niepewny, a ona się na tym zna, bo pracuje w ubezpieczeniach i oni o wszystkim wiedzą. Radziła, że tylko polski bank państwowy na dziś jest pewny, bo nie upadnie. Założyłem więc następny rachunek w PKO BP (Powszechna Kasa Oszczędności Bank Państwowy, podaję tę nazwę, bo już mało kto wie, co znaczy skrót PKO) . Potem pojechałem do ZUS (Zakład Ubezpieczeń Społecznych) i poleciłem przekazywać moją emeryturę do PKO. Anka musi zostać w BPH, bo mamy tam zdeponowane obligacje i tam będą wpływały okresowe procenty.

Teraz należało się zająć prezentami. Aby kupić właściwe prezenty, zrezygnowaliśmy z uświęconej tradycji niespodzianki i wprost poprosiliśmy Zosię o radę, co należy komu kupić. Zosia poprosiła dla siebie o szpachelki malarskie, bo już kolejny rok chodzi na zajęcia z malarstwa sztalugowego. Poszedłem więc na odwieczną Mazowiecką, tam gdzie przed laty nie chciano sprzedać mi bieli cynkowej, bo nie miałem legitymacji Związku Plastyków Polskich. Teraz kupiłem komplet farb w pięknej drewnianej walizeczce, dokupiłem pędzle i te zażyczone szpachelki. Dla Daniela Zosia sugerowała, by mu kupić instrument muzyczny, o zakupie którego myśleliśmy już rok temu. Ponieważ już wówczas rozpoznaliśmy możliwości, udałem się wprost do sklepu z zabawkami na Nowym Świecie, a sklep ten prosperuje tam od wielu lat i nadal się nie da wygryźć przez potęgę handlowe. W sklepie jednak już nie mieli tego instrumentu. Pan jednak obiecał mi sprowadzić go na jutro. Kupiłem więc tymczasem dwa węże z gumy – zielony i piaskowy. Następnego dnia czekał na mnie instrument klawiszowy, wspaniały, o pięćdziesięciu kilku klawiszach, produkcji chińskiej jak wszystko obecnie, zwany key board, a w żargonie muzyków „parapet”. Kosztował 280 złotych. Myślałem, by kupić dla Roberta też taki mały z Domu Dziecka, ale Zosia zaopiniowała, że Robert się interesuje głównie samochodami, więc kupiłem wcześniej wypatrzonego samochód w Blue City

– a była to wspaniała naczepa, która przewoziła wspaniałą helikopter, a wszystko jako policja. Problem jak zwykle był z Sjaakiem. Zosia wreszcie orzekła, że należy mu kupić maleńkie filiżanki do kawy espresso. Znow w Blue City (widoczny z mojego okna market znajdujący się nieopodal Dworca Zachodniego) wypatrzyliśmy zestaw sześciu filiżanek, nawet z napisem „espresso”, ale były białe z czarnymi napisami, a Zosia sugerowała kolorowy. Pojechaliśmy więc do kolejnego odwiecznego sklepu z porcelaną na Piękną. Tu były bardzo ciekawe propozycje filiżanek z polskim malarstwem. Wypiańskiego karmiąca matka się wydała niewłaściwa dla mężczyzny. Był też zestaw z końmi Juliusza Kossaka – to znow byłoby bardziej dla Zosi, bo jest koniarką. Kupiliśmy więc pięć (wszystkie posiadane w sklepie) filiżanek z „Szałem” Podkowińskiego i nawet tacę z tymże obrazem. Była tego wielka ilość, bo każda sztuka posiadała własne pudełko, a już w domu były wielkie prezenty. Jakoś upchnąłem je w ogromnej torbie, bo pakowałem nas już od szeregu tygodni. W miarę kolejnych dni zacząłem wątpić, czy Sjaak zrozumie i przyjmie tak kontrowersyjny prezent, bo naga baba na oszalałym ogierze już wrosła w Polaków, ale kudy mu do holenderskich Rembrandtów, Van Gogów, czy Halsów... A że byłem po tusze do drukarki na Placu Konstytucji, to nie wytrzymałem i zająłem do pobliskiego sklepu na Marszałkowskiej z porcelaną i szkłem czeskim (też kolejny z tych nielicznych już odwiecznych po peerelowskich sklepów) – tu były prześliczne filiżaneczki. Przyznałem się w domu do swej wielkiej rozterki, a Anka orzekła bez wahania, że kupimy Sjaakowi te drugie filiżanki, a Podkowińskiego zostawimy sobie. I tak się stało – tym razem były to filiżaneczki złożone w środku, a zewnętrznie w różnych kolorach, też każda w swoim pudełku, też całkiem drogo, ale czego ja bym nie zrobił dla ojca moich wnuków.

Teraz te wielkie bagaże należało spakować tak, aby były najwyżej cztery sztuki, bo mamy cztery ręce, a musimy się przesiąść w Amsterdamie. Pakunki były duże, ale już na kilka dni przed wyjazdem byliśmy spakowani. W tym czasie Gosia wyjeżdżała nad Adriatyk i nie mogła nas odwiedzić na dworzec, ale zamówiliśmy taksówkę w MPT (Miejskie Przedsiębiorstwo Taksówkowe – kolejne, które przetrwało z PRL). Taksówka była duża, nowa, pan był bardzo uprzejmy, pomógł nam z załadunkiem, a za ten krótki przejazd do Dworca Centralnego wzięł tylko 14 złotych (dostał dwadzieścia). Po chwili byliśmy już na peronie niemal na godzinę przed odjazdem. Potem wsiedliśmy do pociągu, konduktor, a właściwie steward zabrał nasz bilet. Kazał się pozamykać na wszystkie zamki, bo tu się będą takie różne kręcić. W przedziale mieliśmy wodę mineralną, rogaliki, ręczniczki i mydło. Poprosiliśmy o herbatę, ta była w cenie biletu. Potem jeszcze pan porozkładał nam łóżka i już w pełni odprężeni zmierzaliśmy do rychłego snu. Ja się jeszcze pobawiłem zabranym GPS (po polsku nawigacja) i obserwowałem drogę i nazwy miast, przez które przejeżdżaliśmy. Tylko że z Warszawy wyjechaliśmy w pełni lata, niemal przy upale, a teraz w miarę się oddalania na zachód Europy pogoda się stawała coraz gorsza, nawet zaczęło lać. W którymś momencie ktoś załomotał do drzwi i coś wykrzykiwał. Ja odkrzykiwałem, aby przyszedł z konduktorem. Wreszcie dotarło do mnie – straż graniczna. Otworzyłem więc. Pan w stroju właściwie kominiarza, jednak z białym napisem „straż graniczna” poprosił o jakieś dokumenty. Zobaczywszy mój dowód osobisty, stwierdził z wyraźnym zadowoleniem: Acha, rodacy! (To chyba dlatego, że gdzieś tam był wagon z Moskwy, nawet z Mińska i zdaje się z Pragi). Potem dodał: Wystraszyliśmy państwa? Odrzekłem: Konduktor kazał się pozamykać, bo tu będą takie różne chodziły... To się pozamykajcie teraz – rzekł na pożegnanie. Postanowiłem spać na górze i z trudem się tam wgramoliłem, stając stopą na oknie. Schodzenie było jeszcze trudniejsze. Po paru dniach Zosia uświadomiła, że w przedziale przecież była drabinka i wytłumaczyła, gdzie należy jej szukać. Teraz jechaliśmy, usiłując spać, ale nie było to moje wygodne łóżko. Wypita mocna herbata też nie sprzyjała spaniu. Na

dodatek mieliśmy ostatni przedział i za ścianką był wucet, więc ludzie całą noc łomotali drzwiami. Wagon był luksusowy, z szykanami. Na korytarzu na suficie były dwie małe lampki – zielona i czerwona – informujące czy wucet jest zajęty. Jednak gdy wstałem o wpół do drugiej w nocy, ta zielona lampka już była urwana, a czerwona świeciła cały czas.

Rano Kolonia i jej wspinała katedra tuż przy torach kolei, potem dalsze miasta, deszcz przestawał padać, potem zażyczyliśmy sobie kawę (tylko dziesięć złotych za dwie), zjedliśmy zabrane śniadanie, a w tym czasie jechaliśmy wzdłuż granicy holenderskiej, ale nadal po terytorium Niemiec. Całą drogę widoki ożywiały wielkie łąny żółciutkiego rzepaku – ano Europa walczy o paliwo do samochodów – właściwie więcej tego rzepaku, niż zboża na chleb...

Już nas nie zdziwiło, że nie spostrzeżliśmy, kiedy wjechaliśmy do Holandii. Do Amsterdamu przybyliśmy o czasie, potem na peron 2b, skąd mieliśmy pociąg do Haarlemu. Zosia kazała wysiąść na drugiej stacji za Amsterdamem – w takim Haarlem Spaarnewoode (sprawdzić, jak się to pisze). Tutaj było wygodniej Zosi podjechać i zaparkować, niż w centrum miasta. Na peronie podbiegła do nas Zosia, a Daniel z Robertem grzecznie stali nieopodal. Wyczałowaliśmy się, wyczałowaliśmy dzieci i pojechaliśmy do domu.

2009-04-27 Kilka godzin w domu. Wręczanie prezentów. Zaczęło się od węży. Wszystkim prezenty się podobały. Daniel wygrywał na swym parapecie i nawet śpiewał do mikrofonu, który był w zestawie. Rober był zachwycony swym helikopterem, bo helikopter miał pod spodem rączkę z cynglem i gdy się naciskało na ten cyngiel to się kręciły śmigła i na dodatek helikopter tak pyrkał. Zosia była wyraźnie zadowolona z zestawu malarskiego. A że się kroją zwolnienia u niej w pracy (Mitsubiszi) i jej to poważnie grozi, więc radziłem, że wyjdzie na ulice Haarlemu, będzie malować obrazki i sprzedawać turystom. Po południu udaliśmy się w piątkę na Danielowy trening piłkarski w Klubie Olimpia Haarlem. Piękne boisko, sztuczna trawa, sama płyta bez trybun. A tam kilku trenerów i kilkudziesięciu chłopców. Dano im w dwóch kolorach koszulki, często sięgające kolan i rozstawiono na boisku. Było trochę konsternacji wśród zawodników, bo dotychczasowe zajęcia się odbywały na zasadzie „kupą mości panowie”, a tym razem ustalono bramkarzy, obronę, atak i pilnowano, aby nie schodzono z własnych pozycji. Daniel raz był bramkarzem, ale puścił gola, bo nadal gole padały poprzez wjechanie z piłką do bramki. Pogoda była coraz lepsza, dzieci były holenderskie, jedne czarne, inne ciemnoskóre, byli i chudzi blondyni jak nasz Daniel. Gra była przerywana, trenerzy tłumaczyli, polecali, zmieniali układ – wszystko bardzo regularne trenowanie.



Wróciliśmy z treningu, Sjaak wrócił z pracy i wręczyliśmy mu prezent, był uśmiechnięty, obejrzał zawartość każdego pudełka, po czym wszystko spakował do torby i zostawił w przedpokoju. Po pewnym czasie zapytaliśmy Zosię, czy Sjaakowi prezent się spodobał, a Zosia odrzekła, że przecież takich złociń nie można myć w zmywarce i że orzekli, że może kiedyś przekażą to któremuś synowi w prezencie ślubnym. Tak to trudno utrafić w upodobania Sjaaka i jego gust, a Zosia zawsze mówi nam wprost prawdę.

2009-04-28 Rano zrobiliśmy wielkie zakupy spożywcze, bo się zbliżały wielkie święta holenderskie. Potem Anka z Zosią wywozły dzieci do takiej hali zabaw dla dzieci. Ja zostałem w domu, a właściwie w łóżku, by odespać wrażenia i skończyć czytać przywiezioną książkę pt. Śnieg w Wenecji.

2009-04-29 Całe przedpołudnie zeszło nam na siedzeniu w ogródku i na opowiadania rodzinne. Po południu udaliśmy się na osiedlowe uroczystości sportowe H.F.C. Haarlem. Byłem zachwycony, bo klub ten zwołał dzieci z okolicy – chłopców i dziewczynki – zinwentaryzował wszystkich, podzielił na kilka grup wiekowych i w tych grupach prowadził różne zajęcia sportowe w zakresie piłki nożnej. Tuż obok domów mieszkalnych było boisko ogrodzone wysoką siatką, znów ze sztuczną nawierzchnią. Tam trenerzy klubu i nawet kilku zawodników hasało z dziećmi. Potem zrobiono wszystkim zdjęcie i dano na pamiątkę prezenty klubowe oraz bilety wstępu na najbliższy mecz. Byłem wielce zbudowany. Daniel wyraźnie się zmienił od Paryża. Już nie szaleje, stał się poważniejszy, podrośł, wyrósł już z jednych butów piłkarskich.



2009-04-30 Dzień Królowej – wielkie święto dla Holendrów. Dzień pamięci – w tym dniu corocznie królowa się udaje na uroczystości do innej miejscowości w Holandii. Tym razem była próba zamachu na rodzinę królewską – jakiś szaleniec samochodem osobowym staranował widzów, zabijając kilka osób, ale nie trafił w autobus wiozący rodzinę królewską, lecz się rozbił na pobliskim pomniku. Potem Zosia kpiła, że

co przyjedziemy, to ktoś ginie (poprzednio był to premier Peem Fortuin zastrzelony na ulicy). Dziś była żałoba narodowa, flagi opuszczone na masztach, wiele kwiatów i jeszcze większa konsternacja Holendrów. Ale zanim to dotarło do wszystkich, od samego rana się rozpoczął uświęcony tradycją uliczny handel. Na wyznaczonych ulicach we wszystkich miejscowościach się odbywa specyficzny handel uliczny – Holendrzy przynoszą swoje rupiecie i zbędne przedmioty, rozkładają na trawnikach i chodnikach, a reszta Holendrów ogląda, targuje i tak symboliczne ceny. Sjaak w tym roku po raz pierwszy postanowił wziąć udział w tym handlu. Powyciągał różności z zakamarków, załadował w samochód, zabrał synów i pojechali. My z Zosią się udaliśmy na piechotę, było bardzo blisko i bardzo ciepło. Z zainteresowaniem oglądaliśmy stragany, potem Anka kupiła od Daniela kapelusz słoneczny, który natychmiast się przydał. Ja kupiłem nieopodal ciekawy kubek z Delft – będzie prezent do kolekcji Gosi. Potem jeszcze kupiłem za jeden euro jakieś dziwne kleszcze z brązu. Sjaak sprzedał krajalnicę do makaronu i sufitowy wentylator, okulary słoneczne, może jeszcze coś.



Po lanczu udaliśmy się na rytualne zwiedzanie Haarlemu. W centrum zaparkować można było jedynie w wielopoziomowych płatnych parkingach. Już w czasie dojazdu tuż przy jezdni specjalne tablice elektroniczne informowały, na którym z tych parkingów są jeszcze wolne miejsca. Zaparkowaliśmy i Zosia poprowadziła nas po uroczych zakątkach starego Haarlemu. Ja metodą japońskich turystów tylko pstrykałem aparatem... Tylko że potem się okazało, że miałem przełączony aparat na fotografowanie kwiatów, czyli ostrość była od 60cm do jednego metra. Zdjęcia moje wyszły bardzo malarsko – wszystkie za taką lekką mgiełką, szkoda, może będę miał jeszcze kiedyś możliwość powtórzenia ich. A były to przepiękne widoki, wąziutkie uliczki tylko dla pieszych, maleńkie domki parterowe i niewiele wyższe, wszystkie pięknie skomponowane ze sobą (aż dziw, że ta umiejętność tak brutalnie zanikła, że żaden architekt nie

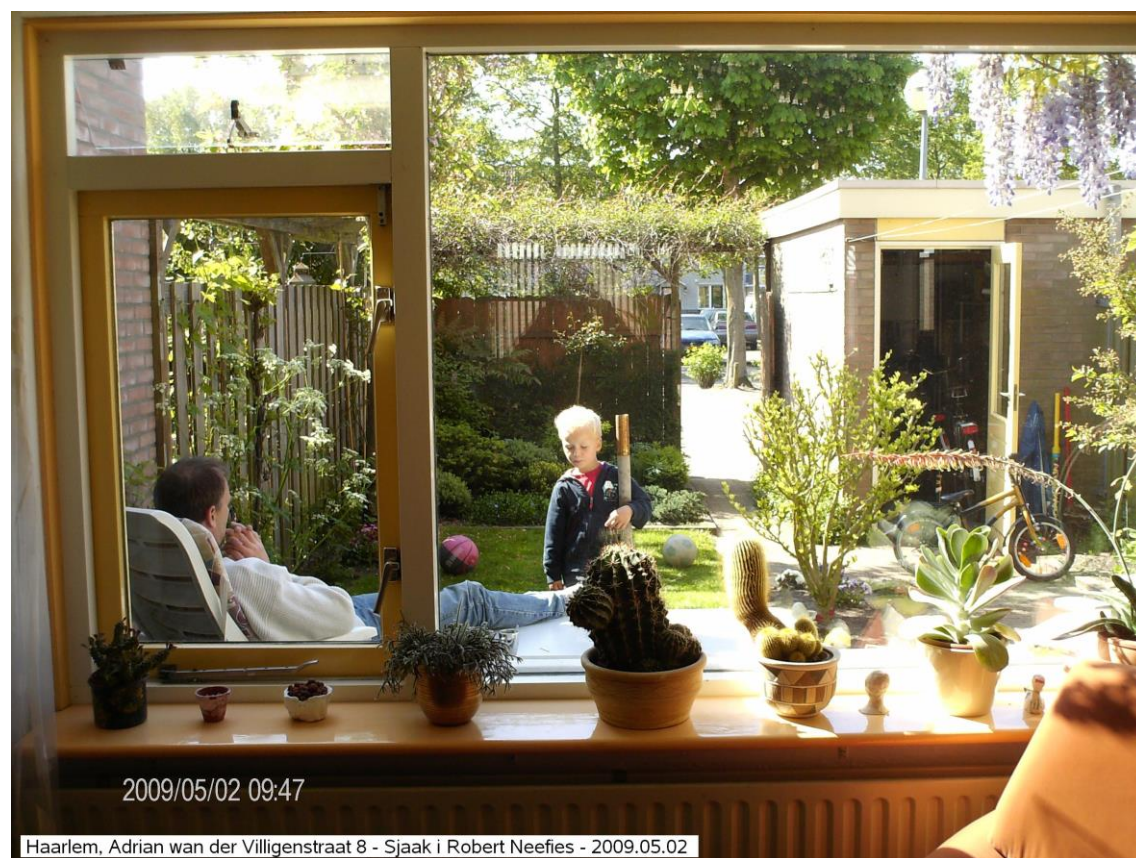
usiłuje powtórzyć tego klimatu), a były jeszcze zachwycające podwórka usiane różowym kwieciami, spadłym z nadal kwitnącego drzewa. Zwiedzanie zakończyliśmy ucztą z holenderskich naleśników, bo Zosia wiedziała, gdzie jeszcze mogą być wolne miejsca, gdzie nie trafiły te tłumy turystów. Było to podwórze, kilka stolików ustawionych pod murem. Przez okno podawano i zamawiano potrawy. Obok usiadły jakieś dziewczyny. Zorientowałem się, że mówią po włosku, ale już nic nie rozumiałem, jedynie melodia tego języka przypomniła lata nauki przed pół wiekiem. Gdy odchodziliśmy, przeciskając się, rzekłem – Skuzate. Wybuchły nerwowym śmiechem, a ja nie wiem, czy to powiedziałem błędnie, czy też omawiały coś, spodziewając się, że nikt nie zrozumie.



2009-05-01 Drugi dzień świąt – tym razem Dzień Zwycięstwa. Na Placu Dam w Amsterdamie zebrali się Holendrzy, od Koninklijk Paleis (Pałac Królowej) wyszła rodzina królewska, wszyscy w żałobie – królowa, jej syn z małżonką, syn w mundurze wojskowym, inni członkowie rodziny – przeszli pod Nationaal Monument (pomnik ku czci Holendrów, którzy zginęli w czasie drugiej wojny światowej). Piękna dziewczyna holenderska, a wygrała specjalny doroczny konkurs, odczytała swój wiersz okolicznościowy, pod pomnikiem złożono kilkanaście wieńców. Było dostojnie i skromnie. To wszystko zobaczyłem wieczorem w telewizji. Relacjonowano również wczorajszy zamach, żałobę.

My od rana w Zandvoort na plaży nad Atlantykiem (nie wiem, skąd mi się to wzięło, może tak bardzo chciałem w wodzie tej widzieć już Atlantyka, że dopiero w szeregu dni później, a nawet lat, obejrzałem mapę i musiałem uznać nazwę Morza Północnego). Musiałem kupić sobie kapelutek, bo słońce silnie operowało. Kupiliśmy również latawiec, który się długo kołysał nad nami w powietrzu. Tylko jakiś nie Europejczyk z synem usiłowali puścić swojego wspaniałego latawca w przeciwnym kierunku niż wszyscy na plaży, głupi wiatrak nie chciał latać pod wiatr.

2009-05-02 Cały dzień się snujemy, przesiadujemy pod parasolem w ogródku, a wieczorem rożen – już obecnie nie może być inaczej w Europie.



2009-05-03 Daniel chory, leży martwym ciapkem na tapczanie. Zosia jedynie przykryła go cieniutką narzutą i sam walczył z chorobą. My dawniej już w takich sytuacjach wprowadzaliśmy pełne pogotowie bojowe – lekarstwa, nawet bywało że bańki, a tu Zosia po holendersku zostawiła go, aby organizm sam zwalczył chorobę. Po lanczu udaliśmy się z samą Zosią na kolejne zwiedzanie starego Haarlemu, a zaczęliśmy od Muzeum Fransa Halsy, gdzie tym razem była wystawa obrazów zgromadzonych przez pewnego Holendra. Pogoda była wspaniała.

2009-05-04 park nad jeziorem koło Haarlemu.

2009-05-05 naleśniki i powrót. Na uroczysty ostatni obiad pojechaliśmy gdzieś na wydmy nadmorskie („Kraantje Lek” Duinlustweg 22, 2051 AB Overveen, Tel. 023-524 1266). Tam była stara gospoda zwana „przy drzewie” – jakoś tak. Gospoda ta istniała od kilkuset lat. Żywiła rybaków wracających z morza. Obok niej rosło drzewo, coraz starsze, aż przyszedł jego kres i uschło. Trzeba było je ściąć. Ale było ono tak znanym symbolem, że właściciel gospody polecił zrobić odlew w brązie tego pnia i dziś już na wieki stoi przed gospodą. My tam zjedliśmy wspaniałe holenderskie naleśniki z syropem klonowym. Potem Zosia nas podwoziła na tę samą stację, potem pojechała jeszcze z nami do Amsterdamu na dworzec, wsadziła do wagonu sypialnego, tym razem będącego pośrodku wagonu, więc nie trzęsło i mieliśmy spokojną noc. Rano byliśmy znów w Warszawie.

*



„Kraantje Lek” (Przy Drzewie) Duinlustweg 22, 2051 AB Overveen, Tel. 023-524 1266
„Kraantje Lek” Duinlustweg 22, 2051 AB Overveen, Tel. 023-524 1266

*

28 maja 2009 10:08

archiwum@apan.waw.pl archiwum@apan.waw.pl

Szanowni Państwo,

pragnę przekazać do Polskiej Akademii Nauk książkę pt. "Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie", której jestem autorem. Proszę o odpowiedź, czy PAN byłby tym zainteresowany.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

*

3 kwietnia 2009 13:18 ? Archiwum PAN ma źle nastawioną datę w komputerze!

APAN4 <apan4@apan.waw.pl>

Szanowny Panie,

z przyjemnością odebraliśmy wiadomość dotyczącą Pana książki i pragniemy poinformować, że jesteśmy zainteresowani Pańską publikacją i chętnie przyjmiemy ją do naszego księgozbioru.

Z wyrazami szacunku

Danuta Mazurczak - bibliotekarz

*

1 czerwca 2009 16:37

APAN4 apan4@apan.waw.pl

Cieszę się bardzo. Ponieważ mieszkam w Warszawie, dostarczę książkę osobiście. Proszę o podanie adresu, ewentualnie godziny. Pozdrawiam

*

4 kwietnia 2009 13:21 ?

APAN4 <apan4@apan.waw.pl>

Szanowny Panie,

przez przeoczenie nie podałam naszego adresu, dlatego czynię to teraz: Archiwum PAN mieści się w Pałacu Staszica, ul. Nowy Świat 72, 00-330 Warszawa.

Ponieważ nasza Pani Dyrektor wyraziła chęć spotkania z Panem, wdzięczni byłibyśmy, gdyby znalazł Pan czas w piątek 05.06.09 w godz. 10-14 lub w dniach 15.06-19.06.2009 w tych samych godzinach. Pani Dyrektor H.Krajewska urzęduje w pokoju Nr 8

Z poważaniem

Danuta Mazurczak - bibliotekarz

*

2 czerwca 2009 18:55

APAN4 <apan4@apan.waw.pl>

Proponuję moją obecność w Pałacu Staszica w piątek 05.06.2009 około godziny jedenastej. Spotkanie z Panią będzie dla mnie zaszczytem.

Łączę wyrazy szacunku

*

Wypada to zapisać. 5 czerwca udałem się do Pałacu Staszica, gdzie w pokoju numer 8 czekała na mnie Pani Dyrektor Archiwum Polskiej Akademii Nauk, oczywiście wiozłem z sobą moją książkę o prezydenturze na uchodźstwie. Bardzo sympatyczna Pani Dyrektor H. Krajewska doprosiła Panią bibliotekarkę Danutę Mazurczak i przeprowadziła regularny egzamin. Ja w takich sytuacjach idę na rękę i kompromituję się, ile tylko można. Nie czynię tego perfidnie, lecz zwyczajnie zapadam się. Może czynię to przez grzeczność. Uważam, że książka powinna sama się bronić. Pani najpierw zapytała mnie, z których archiwów korzystałem. Odparłem, że głównie z Biblioteki Narodowej i z Internetu. Już nie dodałem, że pośrednio z Archiwum Sikorskiego w Londynie i z Archiwum Piłsudskiego w Nowym Jorku. Potem Pani zapytała, czy napisałem

w książce o Junoszy, bo przecież był w Londynie. Odparłem, że niestety nie. Choć wypadło stwierdzić, że żaden Junosza nie był prezydentem w Londynie, nie był też premierem, ani też ministrem w kolejnych rządach; nie stał na czele żadnego tamtejszego stronnictwa. Ja raczej usiłowałem bawić Panię anegdotkami z moich perypetii z wydawaniem kolejnych książek, ale nie udało mi się uniknąć kolejnych konkretnych pytań egzaminacyjnych. Teraz w Internecie odnalazłem jedynie Junoszę Krzyżtoporskiego Zygmunta, ale to pseudonim Jana Michałowskiego z Uniwersytetu Warszawskiego. Był też Kazimierz Junosza Stępowski – znakomity aktor, który żył w latach 1880 do 1943, kiedy to zginął w Warszawie. Może był wśród tych tysięcy Polaków w Londynie jeszcze jakiś inny Junosza – pani nie wyjaśniła. Natomiast poprosiła o podanie nazwisk kolejnych prezydentów londyńskich. Nie chciałem być niegrzeczny wobec gospodyni spotkania i zwyczajnie powiedziałem, że wyleciało mi z pamięci. Bo musi zrozumieć, że ja już jestem na etapie piątej kolejnej książki i jej postaci usunęły całkowicie z mej świadomości osoby z wcześniejszych książek. Zresztą podobnie zaskakują nas aktorzy, którzy zapytani o jakiś film sprzed lat oświadczenia, że już nie pamiętają szczegółów takiego filmu. Pani zatrzymała moją książkę do przejrzania i żegnając się poprosiła, abym zabrał plastikową tak zwaną reklamówkę, w której przyniosłem swoje dzieło, bo może mi się jeszcze przyda – zakończyła.

Ale dałem plamę! Teraz raczej mówi się: – Dałem ciała.

Jak ja śmiałem? ...i to do samego ARCHIWUM PAN!

To naprawdę tak było. Mniej więcej.

Ponieważ książkę zatrzymano „do przejrzania”, więc jednak zapytałem:

*

26 czerwca 2009 11:41

APAN4 apan4@apan.waw.pl

Szanowna Pani,

pragnę zapytać, czy mogę liczyć na przyjęcie do archiwum PAN mojej książki pt.

"Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie".

Z poważaniem

Nie było odpowiedzi.

*

8 lipca 2009 22:24

kancelaria@ukraine-emb.pl kancelaria@ukraine-emb.pl

Szanowni Państwo,

do książki poszukuję godła Ukrainy jako ilustracji. W Internecie nie znalazłem dobrego opracowania.

Mam tylko poniższe godło, które jest jednak nieostre.

Książka moja odwdzięczy się za wykazaną mi pomoc.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Nie było odpowiedzi.

*

6 sierpnia 2009 05:11

bok.fotografie@nac.gov.pl bok.fotografie@nac.gov.pl

Narodowe Archiwum Cyfrowe

Szanowni Państwo,

Jestem autorem kilkunastu książek opisujących ostatnie kilkadziesiąt lat życia w Polsce. Żaden wydawca nie podjął się wydania którejkolwiek z nich – nie rokuje dochodu. Na własny koszt wydałem po kilka egzemplarzy części z tych książek i umieści-

łem w Bibliotece Narodowej. Jestem starym człowiekiem, mam 76 lat, pragnę dotrzeć z nimi do czytelników. Postanowiłem umieścić je w Internecie do czytania. Tak dostępna jest już w Internecie moja książka, olbrzymia, pod tytułem „Rosja – ostatnie imperium”; zapraszam na moją stronę: WWW.peta.waw.pl

Obecnie zamierzam udostępnić do czytania w Internecie moją inną książkę pod tytułem „Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie”. Zinventaryzowałem w niej pięćdziesiąt lat, niemal dzień po dniu, tych rządów. Załączam list Pana Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego. Byłoby bardzo pożyteczne, aby w Internecie została ona zilustrowana zdjęciami tych wielu historycznych postaci.

Ostatnio dotarłem do wspaniałych zbiorów fotografii Narodowego Archiwum Cyfrowego, które bogato ilustrują i dokumentują te rządy na uchodźstwie. Możliwość umieszczenia archiwalnych zdjęć obok opisywanych wydarzeń stałoby się rozwiązaniem bez precedensu. Dopiero zdjęcie obok autentycznych treści nabrałoby pełnego wydźwięku, a czytelnik otrzymałby pełniejszy przekaz opisu niedawnej przeszłości z dziejów Polski.

Dla mnie, starego człowieka, byłoby trudnym do pokonania obciążeniem finansowym opłacenie każdego zdjęcia według cennika NAC. Przecież tak zilustrowana książka w Internecie nie przyniesie mi żadnego dochodu, natomiast skojarzenie zdjęć NAC z treścią mej książki oddałoby liczącą się przysługę w utrwalaniu dziejów Polski. Bardzo proszę więc Narodowe Archiwum Cyfrowe o zrozumienie i wyjście naprzeciw moim dążeniom.

Gdyby to było wskazane, to mogę przesłać do wglądu plik z cytowaną książką.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

*

----- Original Message -----

From: "Filip Kwiatek (NAC)" <filip.kwiatek@nac.gov.pl>

To: <marian.sokolowski@people.pl>

Sent: Thursday, August 06, 2009 10:52 AM

Subject: zdjęcia NAC

> Szanowny Panie!

> Bardzo dziękuję za zainteresowanie zbiorami fotograficznymi Archiwum. Z dużym zainteresowaniem i uznaniem odnoszę się do Pańskiej publikacji, zresztą opinia prezydenta Kaczorowskiego mówi sama za siebie. Byłbym bardzo wdzięczny za przesłanie mi do wglądu tej pozycji, zgodnie z Pana propozycją zawartą w mailu do nas. Liczę na owocną współpracę w tej sprawie i pozostaję w kontakcie.

Z wyrazami szacunku i serdecznymi pozdrowieniami

Filip Kwiatek

Kierownik Oddziału Fotografii

Narodowe Archiwum Cyfrowe

ul. Hankiewicza 1

02-103 Warszawa

0-22 572-16-21

www.nac.gov.pl

*

6 sierpnia 2009 12:36

Szanowny Panie,

jestem zachwycony tak szybką odpowiedzią. Przesyłam więc w załączeniu plik przedmiotowej książki. Chciałbym zapytać, czy Narodowe Archiwum Cyfrowe nie przewiduje gromadzenia elektronicznych wersji współczesnych książek. Chętnie za-

chowałbym dla potomności moje książki w NAC, wszystkie one są w wersji elektronicznej.

Z wyrazami szacunku

*

2009-08-10

5 czerwca zdecydowałem się przyjąć propozycję Home.pl i uruchomiłem swoją domenę

WWW.peta.waw.pl

Umieściłem tam swoją stronę sprzed lat, którą miałem w Aster. Po pewnym czasie uznałem, że umieszczę tam ROSJĘ – zupełnie incognito. Była to pochłaniająca wszystkie inne sprawy praca, dzień, noc, przerwy na spanie, na jedzenie. Tak było od połowy maja (2009) do 4 sierpnia. Rosja zajęła dziwnie mało miejsca w Internecie. Dostyc szybko doszedłem do wniosku, opublikuję tam inne moje książki, zwłaszcza myślałem o Kabotynie, ale potem zdecydowałem się na Stado pasterzy, czyli Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie. I teraz znów mam zajęcie dnie i noc.

*

12 sierpnia 2009 13:28

Marian Sokołowski wrote:

> Bardzo Proszę o informację, ile musiałbym zapłacić za jedno zdjęcie w celu umieszczenia go w mej książce wstawionej do czytania w Internecie. Ps. Gdyby moja książka się spodobała, to mogę przekazać jeden egzemplarz dla Narodowego Archiwum Cyfrowego.

Z wyrazami szacunku

*

Szanowny Panie!

Cennik zdjęć jest uzależniony od rozdzielczości kopii cyfrowej: 72 dpi 15 zł, 300 dpi 20 zł, 600 dpi 25 zł. Do tego dochodzi jeszcze opłata za prezentację w Internecie 10 zł za zdjęcie. Dziękuję za przesłany mi egzemplarz Pańskiej książki. Nie ukrywam, że jej lektura sprawia dużą trudność z racji ogromnej ilości cytatów i różnorodności tematycznej.

Pozdrawiam serdecznie

Filip Kwiatek

Przecież to rozbój! Im oddano za darmo dokumenty dziedzictwa narodowego, a oni robią z tego swój biznes!

*

15 sierpnia 2009 13:25

zdm@zdm.waw.pl zdm@zdm.waw.pl

Zarząd Dróg Miejskich – Warszawa

Szanowni Państwo,

w związku z niedawnym wypadkiem śmiertelnym motocyklisty przy wlocie Alej Jerozolimskich w ulicę Niemcewicza zwracam uwagę na wadliwe oznakowanie w tym miejscu.

Znak ograniczenia prędkości do 50km/godz. winien być ustawiony już przed przejściem dla pieszych przed ulicą Białobrzeską i to powinien być po obu stronach jezdni.

Tymczasem obecnie jest on ustawiony za daleko, bo motocyklista mógł pędzić Alejami Jerozolimskimi ze zwiększoną szybkością, nie zwalniać przed przejściem dla pieszych, nie zwalniać przed wlotem Ulicy Białobrzeskiej, mógł nadal szaleć na ostrym

zakręcie wlotu Alej Jerozolimskich w ulicę Niemcewicza, tu miał kolejne przejście dla pieszych i dopiero za tym wszystkim jest obecnie znak ograniczenia prędkości do 50km/godz.

Jest to bardzo niewłaściwe oznakowanie.

A właściwie już byłby czas na przedłużenie jezdni Alej Jerozolimskich do Placu Zawiszy, a nie ładować ten wielki ruch pojazdów w bardzo ciasną ulicę Niemcewicza,.

Łączę pozdrowienia



Warszawa, wlot Alej Jerozolimskich w ulicę Niemcewicza – miejsce śmiertelnych wypadków.

*

28 sierpnia 2009 11:11

knf@knf.gov.pl knf@knf.gov.pl

Komisja Nadzoru Finansowego

Szanowni Państwo,

szereg miesięcy temu otwierałem rachunek w AliorBank - oddział na ul. Grójeckiej. Jeden fakt mnie zafrapował i do dziś nie daje spokoju.

Gdy przyszło do podpisywania umowy, pracownik Banku polecił złożyć podpis na tak zwanym tablecie.

Rozważam, że tak elektronicznie zanotowany mój podpis może być zastosowany i do innych dokumentów bez mojej wiedzy.

Łączę wyrazy szacunku

*

30 sierpnia 2009 17:55

library@polishlibrary.co.uk library@polishlibrary.co.uk
POSK – Polski Ośrodek Społeczno Kulturalny, Londyn
Szanowni Państwo,

Napisałem książkę pod tytułem "Dziej prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie". Prezydent Ryszard Kaczorowski bardzo przychylnie ją przyjął. Gdyby Biblioteka POSK była zainteresowana w jej posiadaniu, mógłbym ją przysłać. Byłby to wielki zaszczyt dla mnie. Obecnie pracuję nad rozszerzeniem tej książki o ilustracje z tamtych lat. W Warszawie znalazłem wiele ilustracji, ale nadal nie znajduję kilku zdjęć lub są bardzo złej jakości. Pragnę zapytać Szanownych Państwa, czy może POSK dysponuje zdjęciami takich historycznych postaci jak: Zygmunt Szadkowski, Józef Rejtinger, Tadeusz Bielecki, Kazimierz Sabbat. Może zbiory POSK byłyby dostępne dla mnie w zakresie innych ilustracji z tamtych lat.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

*

31 sierpnia 2009 12:05

Komisja Nadzoru Finansowego
Plac Powstańców Warszawy 1
00-950 Warszawa
Anna Skrzypek Anna.Skrzypek@knf.gov.pl
Witam,

Proszę zasięgnąć informacji w banku, na podstawie jakich przepisów podpis jest „pobierany” oraz jakie jest jego wykorzystanie. Tego typu działania są regulowane wewnętrznymi przepisami banku. Proszę prześledzić umowę, która Pan podpisał. Jeśli odpowiedź ze strony banku będzie Pana niepokoiła i bank dopuścił się swoim zachowaniem naruszenia umowy lub przepisów istnieje możliwość złożenia skargi do Departamentu Ochrony Klientów:

http://www.knf.gov.pl/dane_wspolne/Serwis_konsumenta/pomoc/pomoc.html

Pozdrawiam,

Anna Skrzypek
Biuro Relacji Zewnętrznych
(22) 262 48 63

*

Sent: Tuesday, September 01, 2009 9:59 AM

From: APAN4

Archiwum Polskiej Akademii Nauk

Szanowny Panie,

dziękujemy za życzliwą pamięć o nas. Jeden egzemplarz Pana publikacji Dzieje prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie już otrzymaliśmy. Jednak Pana książka cieszy się tak dużą popularnością wśród czytelników, że chętnie powiększylibyśmy nasz księgozbiór o jeszcze jeden egzemplarz. Nadmieniam, że nasze archiwum mieści się w Pałacu Staszica, ul. Nowy Świat 72.

Pozdrawiamy serdecznie.

Z poważaniem

Danuta Mazurczak

*

1 września 2009 10:34

APAN4 apan4@apan.waw.pl
Archiwum Polskiej Akademii Nauk
Wielce Szanowna Pani,

jestem bardzo mile i bardzo zaskoczony zawiadomieniem o dużym zainteresowaniu Czytelników moją książką, na co czekałem od kilkudziesięciu lat i w konsekwencji tych wielu lat mam dużą chęć przyjąć taki anons jako jednak żart, jednocześnie zdałem sobie sprawę, jak bardzo potrzebne są mi złudzenia i z całą obawą przyjmuję ten pozytywny odbiór jako dobrą monetę i niezwłocznie dostarczę drugą książkę, przy czym pragnę zawiadomić, że książka ta, jak i inne są dostępne w Internecie (już bogato ilustrowane) na mojej stronie WWW.peta.waw.pl , a ponadto zalegają one na półkach księgarskich: u Prusa - 1 egz., na rogu Świętokrzyskiej i Mazowieckiej - 2 egz., na MDM też chyba 2 egz., a i na Bagateli również;

dziękując przeto za ogromną radość, jaką sprawił mi Szanownej Pani list, przesyłam wyrazy głębokiego szacunku

*

2 września 2009 16:28

Polish Library library@polishlibrary.co.uk

POSK – Polski Ośrodek Społeczno Kulturalny, Londyn

Szanowny Panie,

Dziękuję serdecznie za chęć przysłania książki Pana autorstwa do zbiorów bibliotecznych – mamy już jeden egzemplarz, ale na pewno następny też się przyda.

Co do zdjęć to przede wszystkim radziłabym Panu zwrócić się do Narodowego Archiwum Cyfrowego w Warszawie, które posiada bogatą kolekcję fotografii <http://www.nac.gov.pl/node/57>

W zbiorach swoich nie posiadamy fotografii Bieleckiego ani Szadkowskiego.

Za zrobienie kopii fotografii liczymy 15 GBP

Łączę pozdrowienia

Jadwiga SZMIDT

Kierownik / Librarian

Biblioteka Polska POSK / Polish Library POSK

238-246 King Str.

London W6 0RF

tel. + 020 8741 0474

fax.+ 020 8741 7724

e-mail: librarian@polishlibrary.co.uk

<http://www.posk.org/biblioteka.html>

*



ZARZĄD DRÓG MIEJSKICH
ul. Chmielna 120
00-801 Warszawa
tel. 620 10 21 fax. 620 91 71
e-mail: zdm@zdm.waw.pl

Warszawa dnia 16 7 WRZ 2009

marian.sokolowski@people.pl

ZDM/ZTOR/5512/4639/09

W odpowiedzi na wystąpienie z dnia 15.08.2009r. Zarząd Dróg Miejskich informuje, że w Al. Jerozolimskich na odcinku ul. Grzymały – ul. Niemcewicza obowiązuje ograniczenie prędkości do 50km/h w godzinach 5.00-23.00 i 60km/h w pozostałym czasie wynikające z ustawionych na granicy obszaru zabudowanego znaków D-42 „Obszar zabudowany”. Natomiast na ul. Niemcewicza obowiązuje ograniczenie prędkości do 50km/h wynikające z ustawionych znaków B-43 „Strefa ograniczonej prędkości”. Takie oznakowanie wyżej wymienionego miejsca jest prawidłowe i zgodne z posiadaną dokumentacją techniczną.

Z-ca DYREKTORA

mgr inż. Mirosław Kazubek

MS 6201021 wew. 209

*

16 września 2009 15:10
Zarząd Dróg Miejskich zdm@zdm.waw.pl
Zarząd Dróg Miejskich
Zastępca Dyrektora
mgr inż. Mirosław Kazubek

Szanowny Panie Dyrektorze,

długo myślałem nad Pana odpowiedzią i jednak nie zgadzam się z Pana argumentacją.

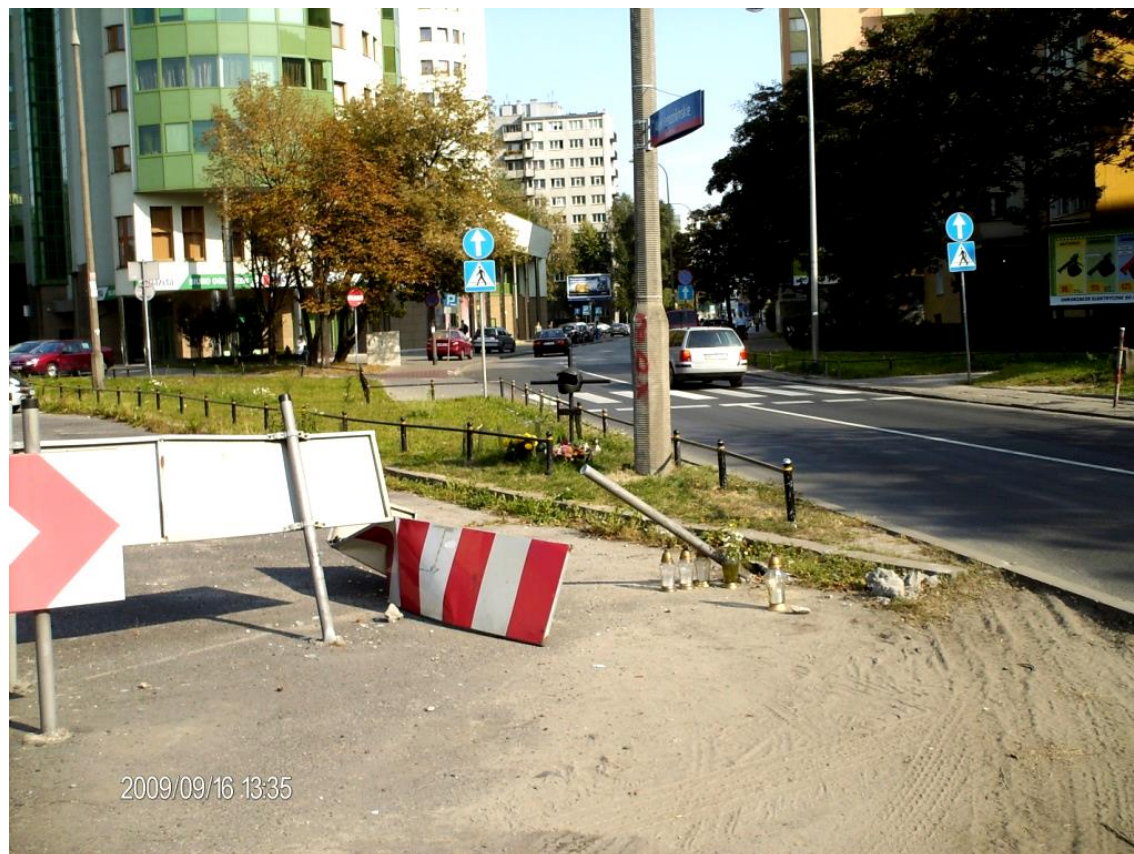
To że znak D-42 „Obszar zabudowany” jest ustawiony na granicy obszaru zabudowanego, czyli z jednej strony gdzieś pod Pruszkowem, a z drugiej strony pod Jabłonką, powoduje, że wielu kierowców jeżdżąc po Warszawie, nawet nie ogląda tego znaku. Tym bardziej że po wykonaniu wiaduktów w Alejach Jerozolimskich kierowcy jadą bardzo szybko na całej trasie i dopiero na Niemcewicza mają obowiązek zwolnić i to tylko jeżeli jest dzień, a nie noc.

To że coś jest zgodne z dokumentacją techniczną, jeszcze nie świadczy o poprawności samej dokumentacji. Raczej jestem zdania, że dokumentacja techniczna w tym przedmiocie jest wadliwa, co weryfikuje samo życie.

Przecież jest to centrum Warszawy, a tylko w ostatnim czasie już trzeci kierowca się tu zabił – nie może to świadczyć o poprawności dokumentacji. Czy jest wiele miejsc w centrum Warszawy, gdzie stałyby przy jezdni krzyże? Przyzna Pan, że nie. Toż to w takim miejscu winny być znaki nawet „Czarnego Punktu”. Jako uprawniony urbanista nie jestem tak znów oddalony od zagadnień komunikacji w wielkim mieście.

Dla zakłócenia Panów spokoju przesyłam zdjęcia.

Pozdrawiam gorąco



Warszawa, wlot Alej Jerozolimskich w ulicę Niemcewicza – miejsce śmiertelnych wypadków.

*

Wednesday, October 14, 2009 5:39 PM

To: adam@goralskidwor.pl

Szanowni Państwo,

W sześć, siedem osób zamierzamy spędzać urlop w górach w drugiej połowie lutego przyszłego roku. Od około 20 do 27 lutego 2010 roku (termin jeszcze uściślię). Poszukujemy czterech pokoi: dwa pokoje po dwa łóżka, jeden z łóżkiem małżeńskim i jeden pokój dla jednej osoby. Każdy pokój z łazienką, a w niej natrysk i wc, z możliwością ugotowania w pokoju herbaty. Mogą to być apartamenty, wówczas jeden apartament dla czterech osób z dwoma pokojami sypialnymi (dwa łóżka i łóżko małżeńskie, ale nie chcielibyśmy, aby to była rozkładana kanapa); drugi apartament z trzema łóżkami w dwóch pokojach.

Chcielibyśmy stołować się na miejscu: śniadanie i obiado-kolacja. Dobrze widziany sklep spożywczy w okolicy.

Przewidujemy raczej tylko jeden samochód osobowy.

Potrzebna możliwość wypożyczenia na miejscu nart i butów dla dorosłych i dla dzieci, ewentualnie sanki. W sąsiedztwie ośla łąka dla dzieci, chętnie z instruktorem. Dla dorosłych wyciąg narciarski. Chętnie weźmiemy udział w większym kuligu.

A ponadto cisza i wypoczynek, żadnych dyskotek, alkoholu czy papierosów.

Bardzo proszę o odpowiedź.

Gościwe pozdrowienia

*

Monday, October 19, 2009 10:47 AM

From: Adam Bukowski

Gościniec Góralski Dwór

Witam serdecznie Pani Marianie,

W interesującym Pana terminie zarezerwowałam pokój nr 8 oraz 12.

Co do ceny to kształtuje się ona następująco:

Osoba dorosła kosztuje za dobę ze śniadaniem 100 zł, dzieci do lat 12 mają 30 % zniżki.

Co do wypożyczenia nart, i całego sprzętu i instruktora to nie ma jakiegokolwiek problemu. Wszystko załatwimy na miejscu.

Co do kuligu to również możemy zorganizować dla Państwa, być może więcej gości z pensjonatu będzie chętnych wtedy pojedziecie Państwo w większej grupie. Koszt kuligu z rozpaleniem ogniska i pieczeniem kiełbasek, herbatka dla dzieci oraz winkiem grzonym dla dorosłych to 70 zł od osoby.

Potwierdzeniem rezerwacji jest wpłata zaliczki na nasze konto, którego numer znajduje się na stronie internetowej w zakładce promocje. Bardzo proszę o wpłacenie 400 zł zaliczki.

Uprzejmie dziękuję.

Pozdrawiam serdecznie

Juśka Krupa

Co do obiadokolacji to serdecznie zapraszamy do naszej restauracji, co do sklepu spożywczego to w okolicy mamy dwa dobrze zaopatrzone sklepy.

*

20 października 2009 12:32

Adam Bukowski adam@goralskidwor.pl

Przelałem przez Internet podane 400 zł. na Państwa konto.

Pozdrawiam

*

20 października 2009 12:49
Zosia zsokolowska@tiscali.nl

Opierając się na wczorajszym zdaniu się na nas przeanalizowaliśmy jeszcze raz dokładnie wszystkie możliwości i zdecydowaliśmy się na Gościniec Góralski Dwór. Dzisiaj rano rozmawiałem przez telefon i zarezerwowałem dla Was pokój nr 12 od 20 do 27 lutego 2010 roku, a dla nas pokój nr 8 od 18 do 27 lutego 2010 roku. W pokojach są łazienki, czajnika nie ma, ale jest system stałego wrzątku na parterze. Wyżywienie w restauracji, która jest w budynku. Można płacić kartą. Reszta w treści poniżej i w Internecie. Wyznaczono zaliczkę 400 zł. i już przelałem pieniądze. Więc wszystko mamy już załatwione.

Ucałowania

*

Sunday, November 01, 2009 7:37 PM
: krzysztof@daukszewicz.com

Szanowny Panie Krzysztofie,
przed chwilą skończyłem słuchać trzecią Pana płytę i pragnę podziękować za rozkosz słuchania Pana i wzruszać się Pana skojarzeniami. Czytam Pana książki, byłem na koncercie. Niech się Pan trzyma, chciałoby się rzec: „tak trzymać”. Dziękuję. Przesłałbym panu coś w prezencie. Napisałbym coś więcej, ale to tylko wówczas gdy otrzymam Pana zgodę. Tymczasem po stokroć dziękuję

*

Monday, November 09, 2009 8:29 AM
From: Krzysztof Daukszewicz

Panie Marianie, proszę uprzejmie pisać, chętnie poczytam, prezenty przyjmuję bo nie jestem urzędnikiem państwowym i mi wolno. Przepraszam za kilka dni zwłoki, ale byłem w podróży. Ukłony. Czekam. Krzysztof Daukszewicz

*

9 listopada 2009 18:01
Krzysztof Daukszewicz krzysztof@daukszewicz.com

Dziękuję za odpowiedź. To ewenement, że Pan odpisał. I nie obawia się Pan, że teraz pociągnę za całą rękę (w myśl przysłowia)? To prawdopodobnie Panu należy przypisać anegdotę, gdy spotkanemu znanemu aktorowi na Nowym Świecie zadano pytanie: - I nie obawiasz się, że się opatrzysz?

Opowiadanie o sobie zawarłem na dwóch stronach zaledwie i przesyłam w załączeniu. Tamże na końcu jest moja propozycja prezentu dla Pana.

Niech nam Pan żyje w wielu jeszcze latach, zachowując obecną swadę.

Też ukłony

*

Warszawa, 2009-11-09
WP Krzysztof Daukszewicz

Szanowny Panie!

Proszę pozwolić, że opowiem Panu, jak się zaplątałem się w sposób absurdalny. Można by powiedzieć, że się załamałem, gdyby to miało dla kogokolwiek jakieś znaczenie.

Mam 76 lat. Jestem architektem, ale od wielu lat opisywałem czasy, w których przyszło nam żyć. Pisanie stanowiło ucieczkę od trudności tamtych lat, pozwoliło trwać. Napisałem dwanaście książek, których maszynopisy oddałem do Biblioteki Narodowej. (Dziś już właściwie trzynaście).

[I dalej treść, którą już kilka razy zamieściłem].

Teraz zwyczajnie przycichłem, położyłem uszy po sobie. Staram się nie przypominać władzom finansowym, bo mnie do grobu wpędzą.

Książki moje umieściłem tymczasem w Internecie na mojej stronie WWW.peta.waw.pl

A książkę, która wywołała tyle szumu, pragnąłbym Panu sprezentować. Myślę, że z uwagą Pan ją przeczyta. Ale w tym celu musiałby Pan podać adres, który po wysłaniu, przyrzekam, natychmiast zapomnę.

Łącząc wyrazy głębokiego szacunku czuję, że powinienem przeprosić

*

12 listopada 2009 21:43

Krzysztof Daukszewicz krzysztof@daukszewicz.com

Przeczytałem list i mogę tylko powiedzieć, że jest Pan jednym z licznych przypadków takiego traktowania przez wydawców i pseudo-wydawców, którzy myślą, że na piszących zrobią większy lub mniejszy interes. Pozostaje nam myśl, że swoje życie przepracowało się z pożytkiem. Bardzo chętnie przyjmę prezent a mój adres

Powodzenia.

*

21 listopada 2009 19:39

ulice@tvn.pl ulice@tvn.pl

Droga TVN!

Zachęcony publikowaniem absurdów drogowych i w odpowiedzi na apel o przysyłanie swoich spostrzeżeń pozwalam sobie przesłać do Państwa relację z utarczki, jaką przeprowadziłem z Drogowymi Władzami Stolicy.

*

19 stycznia 2010 10:23

Around Krakow.pl info@aroundkrakow.pl

Witam, dziękuję za odpowiedź. Proszę Pana o przywiezienie mojej córki Zofii Sokołowskiej z rodziną (4 osoby) w dniu 20 lutego br. z lotniska w Krakowie - (samolot z Warszawy przylatujący do Krakowa o godzinie 17,35) do Kościeliska ul. Salamandra 2 „Gościniec Góralski Dwór”.

Podobnie będę prosił Pana o odwiezienie ich na tej samej trasie w dniu 27 lutego br. na samolot do Warszawy odlatujący z Krakowa o godzinie 14,00. Z żoną będziemy w Gościńcu wcześniej, bo już od 18 lutego br., więc będzie możliwość bezpośredniego kontaktu z nami w Zakopanem lub telefonicznie na numer 604 098857. Prosiłbym również o numer Pana telefonu.

Gościńcu
Gorące życzenia

*

----- Original Message -----

From: Adam Bukowski

To: Marian Sokołowski

Sent: Monday, January 18, 2010 11:01 AM

Subject: Re: rezerwacja pokoi

Witam serdecznie,

Jak najbardziej rezerwacja jest aktualna. Dziękujemy za zaliczkę i czekamy w drugiej połowie lutego.

Pozdrawiamy

Góralski Dwór

Juśka Krupa

*

2010 luty 18 czwartek – 1

Wstaliśmy prze szóstą rano. Mycie, a jakże, oczywiście ubieranie, kończenie pakowania, jedzenie. Na przystanku autobusowym o siódmej, na peronie już 7¹⁵ i teraz czekamy. Ze względu na duże opady śniegu przestrzegano w radio, że pociągi będą odjeżdżać przed zaplanowanym czasem, ale odjechał o 8¹⁸, czyli trzy minuty później. Mamy I klasę. Przez okno zima, dużo połamanych drzew. Od Krakowa jedziemy sami w przedziale. Zakosami do Zakopanego – jedziemy raz przodem, raz tyłem. W Zakopanem totalna odwilż, kałuże. Parking przed dworcem zamknięty szlabanem – tylko za opłatą, toteż taksówki dopiero za rondem. Nagabujących górali z bryczkami, jak zawsze dotychczas, nie ma. Taxi zawozi nas do Kuźnic – Salamandra 2 – Gościniec Góralski Dwór. Jest 14³⁰.

Na zewnątrz obskurnie jak przy wiosennych roztopach. Gościniec ładny, choć trochę zużyty. Przecież ma dopiero osiem lat. Natychmiast fotografuję Tatry z okna pokoju. Doskonała widoczność. Po prawej Giewont, po lewej wydaje mi się, że rozpoznaję Czarny Staw. Na parterze restauracja, tu będziemy się stołowali. Idziemy na pierwszy obiad. Zamawiamy coś, co się zwie Holny, zjadamy po dwa plastry schabowego z plackami ziemniaczanymi, wszystko w sosie z borowików. Pycha. 70 zł. Płacimy za nasz pobyt: dwie osoby, dziesięć dni, równa się dwa tysiące złotych. SMS do Krzysia, Gosi i Zosi, że już jesteśmy i wszystko OK.

Pierwszy spacer do wypożyczalni sprzętu turystycznego: dostajemy dwa kijki do podpierania się, bez pieniędzy, „wystarczy, jak zwrócicie” mówi góral. Teraz trzeba wrócić jakieś 400m w poziomie i około 20m w górę, mordęga, mamy dość. Zupełnie nie mamy siły. Odpoczynek przed kolacją. Kolacja to sok z czarnych porzeczek i strudel jabłkowy z lodami. Brakuje nam lampek przy łózkach, a Anka musi czytać. Daję jej kupioną wspaniałą latarkę i zasypiam. Strop nad nami strasznie trzeszczy, ktoś tam łązi i łązi, aż wstaję zobaczyć, która godzina. Jest pierwsza, a więc kolejny dzień.



2010 luty 19 piątek – 2

O 7³⁰ słońce świeci nam aż do łazienki. Mamy pokój numer 8. Drugi dzień zaczęliśmy dobrym śniadaniem. Wszystko wyłożone, można jeść, co kto chce. Jeszcze pani w recepcji pyta, czy mamy jakieś uwagi. Odpowiadam, że odczuwamy brak haczyków w łazience – nie ma na czym powiesić ręcznika, czy koszuli. Ale wybieramy się do Zakopanego, to tam coś kupimy. Pani obiecuje zwrócić pieniądze. W domu towarowym Granit robimy potrzebne zakupy: dwie lampki nocne, te haczyki, baterie, muszyniankę i znów busem wracamy. – nasz przystanek to Wojdyłówka, a ulica Salamandra nazwana jest „Drogą Papieską”. Na jej początku kamień okolicznościowy z odpowiednimi napisami, duża prawdziwa kotwica (dlaczego?), kapliczka ze zdjęciem Papieża, a i na jej końcu, jak się okazało, też kamień z napisami i góralska kapliczka.

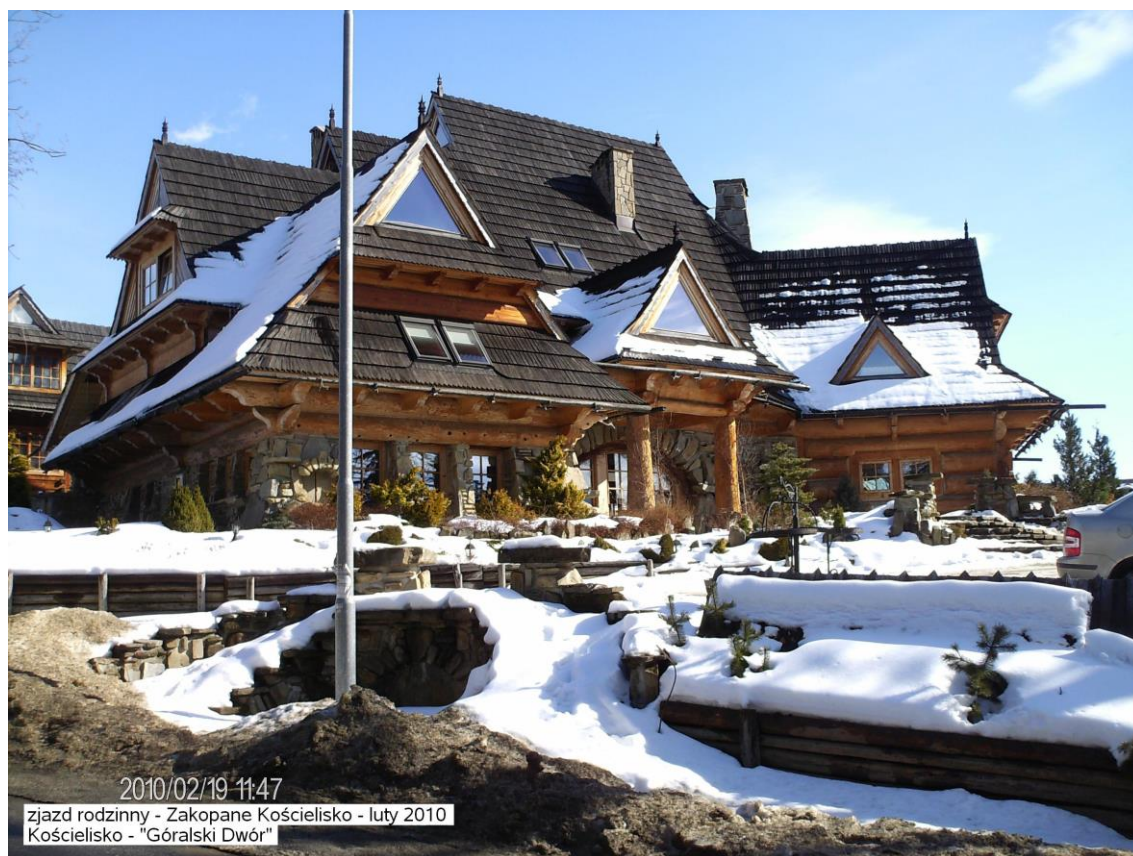
W naszej restauracji proszę o wrzątek. Kelnerka oburzona: – Jaki wrzątek? To jest restauracja! Skonsternowani tłumaczymy, że tu mieszkamy, że informowano nas, że w każdej chwili możemy dostawać wrzątek. Kelnerka, zresztą już trzecia nas obsługująca, bo co dzień jest inna, nieugięta: – Musi pan zrozumieć, że to jest restauracja. Płacimy za sok i idziemy na spacer, ale z zacięciem i determinacją, bo słońce topi śnieg, po asfalcie płynie woda, samochody ją rozbryzgują – również na nas. Uszliśmy kawałek w górę Salamandrą w stronę Butorowego i wróciliśmy na obiad. Panie mówią, że halny. Zamówione pierogi podaje nam nadąsana kelnerka. Ano trudno. Nie musimy zaraz się kochać, choć przyjemnie byłoby wspominać miłą obsługę.

Idziemy twardo na trzeci spacer szosą w kierunku zachodnim. Pogoda się popsula, trochę pada deszcz. Wiele ogłoszeń o wolnych pokojach. Wracamy, odpoczywamy, czytamy leżąc na łóżkach, ja walczę z Seneką. Dzwoni Gosia – już wróciła z Darłówka. Wymieniamy wrażenia. Przeprowadziłem rozmowy telefoniczne i dogadałem dwie możliwości wożenia nas w różne strony czymś większym na 6 osób.

Wieczorem schodzimy do restauracji na naleśniki. Kelnerka długo nas nie dostrzega, więc idę i pytam, czy możemy dostać naleśniki. Kelnerka nie może przyjąć zamówienia, bo musi obsługiwać „tamtych”. Rzeczywiście kilkanaście osób ucztuje przy zsuniętych stołach, ale przecież 70% miejsc jest wolnych. Gdyby był komplet gości, to co by było? Skonfundowany pytam kelnerkę, czy my, mieszkańcy, już się nie liczymy? Pada riposta, że „oni” bardzo dużo zamówili, a zresztą przyszli wcześniej. Wreszcie kelnerka zniechęca, że na naleśniki trzeba czekać aż pół godziny. Proszę, by przyjęła zamówienie, a my wrócimy za pół godziny. Po powrocie siadamy bardziej na widoku i czekamy, bo co nam pozostało. Po dwudziestu minutach kelnerka podaje żonie naleśniki i odchodzi. Pytam – Jak to? To ja nie dostanę naleśników? Kelnerka nawet nie odwracając się stwierdza – Zamówił pan naleśniki raz. Ja pytam za nią już podniesionym głosem: – Dlaczego nas pani tak lekceważy? Po pięciu minutach dostaję i ja naleśniki, ale w sumie jest to po godzinie od pierwszego zamówienia.

Jesteśmy zgnębieni, bezradni. W nocy prawie nie śpię. Postanawiam wyprowadzenie się. Martwi mnie wstyd przed Holendrem – Sjaakiem za Polskę, przed Zosią. Może uda mi się uratować ten nadchodzący tydzień czasu.

*



*

2010 luty 20 sobota – 3

Wstaliśmy wcześniej na śniadanie z mocnym postanowieniem (moim), że się wyprowadzimy. Obok widoczny „Górski Pałacyk” przyciągał moją uwagę. Mieliśmy zjeść i pójść tam dowiedzieć się. Po śniadaniu zacząłem jednak od długiej rozmowy z Józką w recepcji. Wygadałem się, zrzuciłem wszystko, co mi leżało na wątrobie. Józka mnie ugłaskała, przeproszała, zapewniła, że już teraz wszystko będzie w porządku. Zostaliśmy. Obejrzelśmy pokój 12 przewidziany dla Zosi z rodziną. Cudaczny jak cały budynek, ale może być. Płacę za ten pokój jakieś 1900 złotych po potrąceniu 400 złotych zaliczki.

Poszliśmy do pobliskiego sklepu, kupiliśmy dwie „Muszynianki” (naturalna woda mineralna 1,5 litra), obok kupiliśmy mydła, miejscową gazetę i wróciliśmy do domu. A deszcz był coraz bardziej śnieżny – ten drobnutki śnieżek powoli, acz systematycznie zaczął przykrywać tę ohydę przedwczesnych roztopów. Czekaliśmy teraz na wieści z Warszawy. Gdy o wpół do dwunastej nie było nic, wysłałem do Gosi SMS treści „I co?” Natychmiast oddzwoniła. Zosię z Sjaakiem i chłopakami oczywiście przywiozła z lotniska do domu. Już mają karty pokładowe na następny samolot – tym razem do Krakowa. Teraz idą po inny chleb, bo Robert nie zje z ziarenkami. Kot się schował pod kanapę, więc chłopcy też leżą pod kanapą i kokietują kotkę.

My zjedliśmy obiad i poszliśmy w kierunku kościółka w Kościelisku. Na chodniku, może to tylko pobocze, breja. Samochody na nas bluzgają błotem śniegowym, a my nic, idziemy gęsiego. Śnieg systematycznie robi białe porządki. Z kościółka akurat wysypali się górale, wystrojeni, ze skrzypcami. Jeden miał zwinięty już sztandar. Góralki w pięknych, długich spódnicach, czarnych, marszczonych, w kapcach (filcowe zdobione buty, bardzo popularne w czasie wojny). Piękne. Wreszcie kobiety nie w spodniach. Z zaczerwienionych radosnych twarzy górali już się kurzyło. Śnieg na ich gorąco top-

niał. Rozchodzili się do domów. Żałowałem, że akurat tym razem nie zabrałem aparatu fotograficznego.

Potem czekaliśmy. Najpierw była wiadomość SMS od Gosi, że już ich załadowała do samolotu. Potem SMS od Zosi, że już są w Krakowie i zamówiony busik też już jest, odbiorą bagaże i jadą do nas. A śnieg już całkiem zdrowo zasypał, temperatura spadła poniżej zera. Wreszcie tak jak trzeba. Nie będzie wstydu. Tylko samochody odjeżdżających po obiedzie nie radzą sobie w tym puchu. SMS do Zosi: „Daleko jesteście?” Zosia: „Jakieś 20 km od Zakopanego”. Teraz już czatujemy przy wejściu w holu, a ja biegam, a to włożyć wysokie bury, a to po czapkę na głowę, a to odnoszę Anki torebkę do pokoju. Nawet idę do ich pokoju i zapalam tam wszystkie światła.

Wreszcie przyjechali. Wysypują się. Radość, całowanie, Daniel sprawdza śnieg. Kierowcy dziękujemy. 350+20 zł. Miał ciężką drogę. Składający się z czterech części pokój podoba się. W części ciemnej będą oni spać, tam gdzie trójkątne okno i trzy łóżka – chłopcy. Jest jeszcze pomiędzy nimi salonik z kanapą, fotelami, telewizorem i z dziwnym zespołem okien. Jest jeszcze maciupcia łazienka, jakby symboliczna. Jak się ten Sjaak (holenderskie zdrobnienie od Jakub) zmieści w tej kabinie natryskowej? Tymczasem idziemy wszyscy na późny obiad. Pierogi z kapustą i grzybami – to Zosia i Sjaak. Reszta panierowane paluszki z kurczaka z frytkami bądź ziemniakami. Wszyscy sałatki. Piwo dla nas, soki dla dzieci i babci. SMS do Gosi „Przyjechali o 8-ej. Wszystko OK”.

Zwiedzamy nasz pokój. Daniel i Rober dostają po wyścigowym samochodzie i idą spać. A my jeszcze na pogaduszki, piwo i herbatę na dół do restauracji. Podkreślamy teatralność wnętrza, wręcz bajkowy układ belek ścian i sufitu, kamieni kominków i łuków, a między tym naćkane rupieciami różnego autoramentu. Przy tym góralska muzyka, może dyskretna, a i światelka przeróżne. Dość krytyki. Architekt wyszalał się. Niech będzie. My opowiadamy, rozważamy do dalej. Zosia daje nam w prezencie jakąś elektronikę Philipsa – ekranik do prezentacji zdjęć. Dopiero się tym zajmiemy. Tymczasem pełni wrażeń i we wspaniałych humorach idziemy spać. Po przygnębiającym poranku można powiedzieć – wszystko dobre, co się dobrze kończy.

*

2010 luty 21 niedziela – 4

Po dobrym śniadaniu poszliśmy wszyscy zwiedzać drogę w kierunku Zakopanego. Śnieg spadł obfity i przykrył stary śnieg, mróz zmroził breję. Droga była odśnieżona, samochody wolniej jeżdżą, już nie bryzgają. I ewenement – odśnieżony mechanicznie chodnik na głównej drodze, nie trzeba brnąć po brzegu asfaltu. Po bokach wały śniegu, ale nasi chłopcy musieli iść po tych wałach. Takiego śniegu w życiu nie widzieli. Dostyc szybko dotarliśmy do transparentu przewieszzonego przez drogę „WYCIĄG NARCIARSKI”. Poszliśmy tam. Wyciąg Salamandra. Kilkadziesiąt osób jeździ, głównie młodzież. Obok kiosk: kawa, herbata, czekolada i inne płyny, tudzież jest co zjeść, ale wypożyczalni sprzętu narciarskiego nie ma.

Podochoceni wróciliśmy i w pierwszej z brzegu wypożyczalni wzięliśmy narty, kijki, buty (strasznie ciężkie), hełmy dla chłopców i poszliśmy do domu. Tu buty załadowaliśmy w dwie nasze torby podróżne i poszliśmy w górę Salamandrą na wcześniej wypatrzoną polankę. Kiedyś tu był wyciąg orczykowy. Teraz cztery stosy ogromnych pni – będą budowane kolejne domy. Zosia, Sjaak, Daniel i Robert jeździli na nartach, dziadkowie się przyglądali, ja fotografowałem – już mam 90 zdjęć. Pierwsze kroki zwłaszcza Roberta były fatalne. Wpadł w histerię. Ale niezawodny tata ugłaskał, potem tłumaczył krok po kroku i chłopaki szybko chwyciły sens i ładnie zjeźdzali. Upadki były dopiero podczas kolejnych zjazdów.

O trzynastej wróciliśmy na obfity lunch (aż musieli jeździć po dodatkowy chleb, bo nam było mało). Zjedliśmy i znów na łączkę. Wróciliśmy na obiado-kolację i dzieci z ojcem poszły tarzać się w śniegu koło domu. Potem dzieci spać, a my umówiliśmy się na piwo. Jeszcze z panią z recepcji wyszukaliśmy sanki, potem kilka metrów kabla elektrycznego – jutro narty przymocowane tym kablem będą jechały na sankach. Czekając na wyjście na piwo, przyłożyłem się na łóżku. Nawet nie zauważyłem, kiedy oczy mi się zamknęły, a tu Robert szusuje na mnie tak gwałtownie, że się obudziłem. Piwa jednak nie piliśmy, wzięliśmy herbatę w olbrzymich firmowych „Góralski Dwór” s-gankach. Potem poprosiliśmy o grzane wino. Siedzieliśmy w trójkę z Zosią i Sjaakiem i snuliśmy wspomnienia.

Zosia opowiada o postępie czynności w sprawie zmiany domu. Już klienci na ich dom podpisali umowę, po dwóch tygodniach umowa stanie się ważna. Wyprowadzą się, jak chłopcy skończą szkołę w czerwcu. Z kupnem nowego domu nie będzie problemu, jest wiele propozycji, nawet mają już upatrzone niektóre oferty. Jak wrócą, to będą finalizowali sprawy. Bardzo jesteśmy ciekawi tego nowego, już trzeciego domu. Ja współczuję kolejnej przeprowadzki. Sjaak oświadcza, że tym razem będzie to ostatnia przeprowadzka.

Było coraz weselej, aż na koniec opowiedziałem personelowi w kuchni, jak to górale uctowali i zebrało im się na filozofowanie. Chcieli, lecz nie mogli ustalić, co to jest nic. Wreszcie jeden autorytatywnie stwierdził: „Pół litra na jednego to jest nic”. Wszyscy przytaknęli.



2010 luty 22 poniedziałek – 5

Nadal wspaniałe słońce. Po śniadaniu przywiązaliśmy narty, kijki do sanek, buty narciarskie do toreb i wszyscy poszliśmy do wyciągu Salamandra. Tu jednak rozpacz dzieci, bo trudniejszy zjazd i nie potrafili zjeżdżać nawet z kilkudziesięciu metrów sto-

ku. Na dodatek tata uczył, jak trzymać narty, jak skręcać, hamować i stawać, a tu by się pojechało w dół na łeb na szyję, więc chłopcy dąsali się jakiś czas i bawili się w śniegu. Zosia z Sjaakiem wykupili karnet na wyciąg i parę razy zjechali. My z Anką postanowiliśmy wrócić do domu. Potem wrócili oni pełni wrażeń. Wyjeździli jeszcze jeden karnet (12 wjazdów). Podobno Daniel zjechał z samej góry. Robert ma trochę za słabe nóżki do tych ciężkich butów i nart.

Oglądamy wykonane zdjęcia, snujemy dalsze plany. Wieczorem obfity obiad: kwaśnica, żurek, pomidorowa, różne mięsa, pierogi z truskawkami, pstrąg ze szpinakiem, piwo, herbata (215 zł.) Potem jeszcze szaleństwo dzieci wokół domu po śniegu, z soplami – i wreszcie po dwudziestej spać.

*

2010 luty 23 wtorek – 6

Wstaliśmy wszyscy wcześniej, bo na narty. Znów buty narciarskie do toreb, narty i kijki na sanki przywiązane kablem i idziemy na wyciąg Salamandra. Tu Sjaak zjeżdża z Danielem z samej góry, Zosia uczy Roberta obok na kilkudziesięciu metrach stoku – ośła łączka. Potem Zosia zjeżdża z Danielem, a Sjaak uczy Roberta. Anka siedzi na ławeczce przy kiosku z napojami, frytkami itp. A ja z zacięciem filmuję wydarzenia Zosi kamerą. Filmuję na wycucie, bo w tym silnym słońcu nic nie widać na ekranie, nie można odczytać również nic z napisów informacyjnych na ekranie. Pytam nawet Zosię, jak można poznać, czy kamera włączona. Zosia pamięta o czerwonym lub zielonym napisie na ekranie.

Wielkie jeżdżenie, niezbyt dużo narciarzy. Toteż Sjaak, Zosia i Daniel przejeżdżają sześć karnetów po 12 wjazdów wyciągiem. Wczoraj były w sumie trzy karnety. Daniel szybko złapał zasady i zjeżdża raz za razem, wprowadzie pługiem, ale wiele dzieci tak pokonuje stok. Nawet jedna mama beszta córkę – Jak mi jeszcze raz zjedziesz na krechę i mnie wyprzedzisz, to ci uszy pourywan. Chcesz się tam zabić na dole?

Wczoraj jeden chłopak złamał rękę. To snowboardziści – jedna szeroka krótka deska, do której przymocowane są oba buty. Wydaje się to łatwiejsze od nart. W każdym razie większość nastolatków tak musi jeździć – taka moda. Daniel bardzo dobrze sobie radzi, aż miło patrzeć. Ja zająłem się Robertem i jeździmy, to jest Robert zjeżdża na oślej łączce. Już się nie przewraca, na dole ładnie zakręca, tak jak kazał tata. Daniel i Robert jeżdżą w hełmach. Robert zjechał tu dziesięć razy i nauczył się odpinąć i zapinać narty, bo musiał to zrobić również 10 razy. Ja wnoszę mu narty na górę. Posilamy się herbatą, czekoladą na gorąco, pepsi, woda. Babcia i dzieci zjadają frytki oczywiście, Sjaak zapiekankę, Zosia hot doga, ja tylko piję. Czujemy się wspaniale.

Słońce tak bardzo przygrzewa, że śnieg na stoku zamienia się w masło. O szesnastej koniec jeżdżenia naszego, zbieramy się, po drodze zwracamy sprzęt narciarski – koniec narciarstwa na ten raz. Siedzimy na słoneczku na tarasie przy domu. Patrzymy na majestatyczny Giewont, za nim Czerwone Wierchy. Na mapie identyfikujemy niektóre widoczne szczyty. I główna atrakcja – bo chodniki posypują tu żwirkiem, w którym jest wiele takich zielonych kamyków – nefryty? Daniel z babcią, a i ja zbieramy ich wiele po drodze do domu. A teraz na stole na tarasie wszystkie ułożone w rzędki. Daniel je podziwia, zawiezie do Holandii. Robert łapie w butelkę deszczówkę ciekącą z dachu. To chyba nie deszczówka, lecz śniegówka.

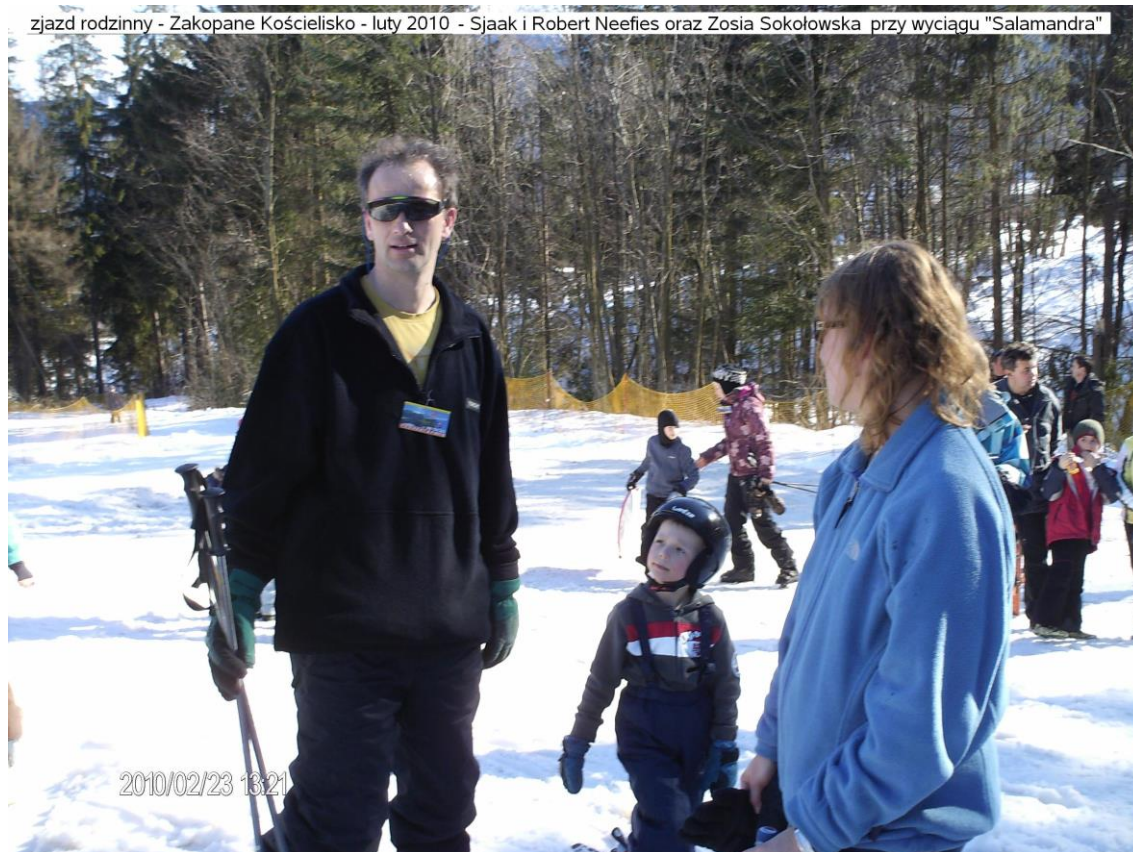
W międzyczasie jesteśmy przepaszani, najpierw ja, potem Anka przez kelnerkę. Przymusza, że już się to więcej nie powtórzy. Została ustawiona do pionu i już potrafi być sympatyczna. Dzieje się to dzisiaj, bo dopiero dzisiaj znów pracuje – trzy kelnerki, więc co trzeci dzień obsługują. Z kamerą konsternacja. Jak Zosia określiła – tylko brzuch taty. Rzeczywiście widać i słychać tylko chodzenie i chodzenie, śnieg pod nogami i dolna część mojego swetra. Dochodzę do wniosku, że gdy włączałem kamerę do

filmowania, to ją w rzeczywistości dopiero wyłączyłem, a gdy wyłączyłem, to cały czas pracowała. Jednak tak dużo nakręciłem, że więcej niż połowa kręcenia jest dobra. Zwłaszcza że potem zwyczajnie wygaszałem kamerę i po włączeniu miałem pewność, że filmuję.

Obiada-kolację jemy tym razem w „Górskim Pałacyku”. Tu tak zwany szwedzki stół, więc kapuśniak, szaszłyki, gołąbki, jarzyny, a nawet ciasto tortowe. Po zapakowaniu dzieci do łóżek jeszcze we czwórkę raczymy się u nas grzany winem z korzeniami i wiele z humorem opowiadamy i wspominamy. To zapisałem przy latarce o czwartej nad ranem, gdy jak zwykle się obudziłem.

*

zjazd rodzinny - Zakopane Kościelisko - luty 2010 - Sjaak i Robert Neefies oraz Zosia Sokółowska przy wyciągu "Salamandra"



2010 luty 24 środa – 7

O 10⁰⁵ bus podwozi nas Salamandrą na Gubałówkę – kilkanaście minut jazdy. W ciągu jednego dnia znikł cały śnieg, który kiedyś napadał. Wlecemy się po kałużach. Raz po raz trzeba schodzić z drogi przed jadącymi samochodami. Kamień upamiętniający Jana Pawła II – Droga Papieska. Wojtyła byłby skrajnie zgnębiony, gdyby teraz przyszło mu znów przejść tą drogą. Tu nieustający jarmark, harmider, odpust. Kaplica na Gubałówce pusta, właściwie wtopiona w ciągi setek straganów. Pijany góral sprzedaje wódkę – wystawia na ławce obok siebie dwie półlitrowki. Nawet jakiś „turysta” ogląda je. Wypożyczalnia skuterów śnieżnych. Nikt oczywiście nie zamierza wypożyczać, bo po czym tu jeździć. Wprawdzie na pobliskiej parceli zjeżdżone niemilosiernie, ale tylko ślady świadczą, że ktoś tu szalał: kilkadziesiąt metrów do przodu, kilkadziesiąt metrów do tyłu. I tylko stragany, stragany, a na nich „pamiątki” – czego tam nie próbują sprzedać pod hasłem pamiątki z Zakopanego.

Tłumy ceprów snują się w obie strony. Wszędzie znów ogłoszenia – wolne pokoje. Dochodzimy do górnej stacji wyciągu z Szymoszkowej. Jakaż technika, chyba cztery albo nawet pięć osób wjeżdża na jednej ławie, choć to nadal wyciąg krzeselkowy. Ale

wspaniałych Tatr jeszcze nie zniweczono. Gdy się precyzyjnie między straganami, to nawet je widać. Wspaniała nadal widoczność, +8°C.

Szukamy stacji kolejki na Gubałówkę, ale stragany nas wyprowadzają na drugi koniec, więc wracamy. Znow górale z dorożkami, kucyki, wielkie chodzące postacie z Disneja wykonane z kolorowego filcu – to do robienia zdjęć, ale kto by pozwolił się sfotografować tamtejszym fotografom w dobre, kiedy nawet telefony komórkowe fotografują i filmują. Wpadam na pomysł kupić Ance piękną chustkę góralską usianą różami. Ale w dotknięciu to szmatka, cieniutka, nędzna. Ale czego można oczekiwać za 20 złotych, może nawet znow wyprodukowane w Chinach.

Jakoś znajdujemy odwieczną restaurację na Gubałówce. Nadal ściana z talerzami, rzeźbione słupy, sceny góralskie. Bywam tu mniej więcej co dwadzieścia lat. A obok jest nadal stacja kolejki. Za 54 złote zjeżdżamy na dół. Dzisiejsza kolejka jedzie bardzo szybko, nawet nie zauważam mijanki. Dwa wagony obsługują całą trasę.

Na dole znow szaleństwo Krupówek, może nawet większe i tylko szosa na estakadzie nad nami i jeszcze przejście podziemne koło kościoła. Stragany i sklepy, i sklepy z tymi samymi okropnościami. Jakiś Janosik odbiera szczeniaka bernardyna od pani, która zapragnęła zdjęcia z Janosikiem: – O, ubrudził panią – mówi Janosik. – Trudno, wypierze się – mówi pani. Dziś już nie znajduję na Krupówkach, ale parę dni temu telewizja grzmiała o reniferze, któremu przywiązano jelenie rogi do zdjęć oferowanych ceprom na Krupówkach. Wnukom coś trzeba kupić. Dziwnym instynktem wszystkich dzieci wynajdują dla siebie największe okropieństwa. Robert jakieś dwie kulki, którymi uderzał o siebie sprzedawca, a te głośno strzelały. Daniel wybrał plastikową kulkę średnicy 8cm z przywiązanym pierzastym ogonem imitującym rybę i ta kulka jakimś wewnętrznym mechanizmem powodowana, obraca się po stole, machając tym ogonkiem w różne strony. Uciekamy z tego szaleństwa, choć nie znajdujemy poszukiwanej jakiegokolwiek informacji turystycznej.



Gubałówka – Szlak Papieski

Przy dworcu PKS busik zabiera nas do Doliny Kościeliskiej: 6x4=24zł. Dostaję od kierowcy laminowaną karteczkę z godzinami powrotu do Zakopanego. Tu są dopiero Kiry. Wchodzimy do restauracji „Harnaś” ugasić pragnienie. Stąd telefonuję do Krzysztofa Grzecha 602 713 771. W naszej recepcji umówiły nas panie z nim na kulig koniecznie sankami, a tylko w Dolinie Kościeliskiej jest trochę śniegu na drodze. Jaka tu cisza – cieszy się Zosia. Ale to stwierdza, gdy jesteśmy na dworze. Krzys Grzech przychodzi po nas do restauracji. Sanki podstawił pod wejście, trochę dlatego by go inni górale nie ubiegli. Ładujemy Ankę, Zosię, Sjaaka, Daniela i Roberta. Oni jadą, mnie szkoda konia, włokę się za nimi na piechotę. W tamtą stronę idę sam, z przeciwka wraca wielu.

Już nie umiem sobie przypomnieć, czy w 1957 roku w tej dolinie, czy może w Strążyckiej biwakowaliśmy z moimi dwoma braćmi oraz Zbyszkim i Grześkiem, a potem w dwa dni zalecieliśmy przez góry do Morskiego Oka. Dziś dochodzę za mostek. Ja mam już nowoczesną technikę – GPS – nawigację. Zwykle służy mi i to dobrze w samochodzie. Tu nie rozpoznaje drogi w Kościeliskiej, jak i wcześniej niczego na Gubałówce.

Gdy wracam, mijają mnie rozradowani moi. Robię zdjęcia, a konik podzwaniając wiezie ich tym razem ochoczo do Harnasia. Jechali ponad godzinę. Nasi Holendrzy będą teraz całe życie pamiętać, że jeździli nie tylko na nartach, ale i na sankach zaprzężonych w konia. W Harnasiu jemy obiad. Dzieci kręcą nosem na przyniesione naleśniki z serem, choć wspaniałe. Daniel spogląda z zachwytem na mój „zbójnicki kociołek” z zupą mięsną. Zbyt późno zorientowałem się, ale oddaję mu resztę pozostałą w kociołku, którą ze smakiem wyjada. Zwała się mnóstwo ludzi, ale gdy my wychodzimy z Harnasia, już jest prawie pusto. Ten sam bus o 18⁰⁵ podwozi nas do Wojdyłówki. Na tym dzień się kończy. Zupełnie nie wiem, co zaproponować na jutro – repertuar się wyczerpał.

Wychodzi na jaw swoiste zwyrodnienie Zakopanego. Pobudowano i nadal buduje się wiele „góralskich” domów – wszystko pod wynajem pokoi, więc wszędzie wiszą tabliczki anonsujące wolne pokoje. Koło nas jest nawet wielki czerwony neon „POKOJE”. A tu totalna klęska. Wprawdzie nadal trochę Niemców i innych, ale Polacy teraz wyruszają dalej, w nieosiągalne kiedyś Alpy Austriackie, Szwajcarskie i Francuskie. Pamiętam nie tak odległe czasy, gdy w Zakopanem wynajmowano pokoje tylko Niemcom, którzy płacili markami. Za złotówki nie można było znaleźć łóżka.

Dzisiejsze Zakopane to dom przy domu, wprawdzie ładne, starannie wykonane, ale już naćkane. Te domy i asfalt dla samochodów to Zakopane. Nikt nie pomyślał o ciągach spacerowych dla pieszych lub o czymś innym dla nich poza straganami. Raz po raz trzeba uskakiwać przed pędzącymi w obie strony limuzynami, a i tak pokornie trzeba znosić te bryzgi błota na ubraniu. Chodniczek i to po jednej stronie ulicy jest tu rzadkością. A przecież turysta chce nie tylko noclegu. Taka zabudowa odgradza nas od gór. Dziś już nie trafi się na „drogę pod regłami”, do Strążyckiej i innych. Dziś turysta musi się snuć pomiędzy straganami, tu jego miejsce. Gdzieś jest Agfa-park z biletami od godziny. Widziałem jedno lodowisko dla łyżwiarzy. Czasami są zawody na Krokwi, rzadziej na Nosalu. Do kolejki na Kasprowy już nie należy próbować, takie tam długie czekanie. Przykre takie Zakopane – znów zakopane.



zjazd rodzinny - Zakopane Kościelisko - luty 2010
powrót sanek Doliną Chochołowską - Robert (niewidoczny), Daniel i Sjaak Neefies oraz Anka i Zosia Sokolowskie

2010 luty 25 czwartek – 8

Obudziłem się wyspany, ale jest pierwsza w nocy czyli piątek, więc opisuję wczorajszy dzień, czyli czwartek. Wczoraj rozdzieliliśmy się. Sjaak uparł się, że pójdzie sam w góry. Oświadczyłem, że idę z nim, ale Zosia się sprzeciwiła, że przecież on nie pójdzie na niebezpieczny szlak. Bałem się o niego okrutnie, ale co robić – idzie i już. Zosia dała mu swój telefon komórkowy, bo przyjechał bez i będziemy utrzymywali łączność na mój telefon. Babcia, Zosia, ja i chłopcy wybieramy się na Halę Kondratową (moja sugestia). O 10⁰⁵ mamy bus z Wojdyłówki do samych Kuźnic (24 zł. za cztery osoby). Idziemy po brei pod kolejką linową (nową).

Dochodzimy do Sanktuarium Brata Alberta. Dzieci z Zosią zwiedzają, my odpoczywamy. Chwilę później płacimy za wstęp do Parku Narodowego. Robert nie płaci, Zosia cały bilet, a reszta ulgowe: $3,20+3 \times 1,60=8\text{zł}$. W prawo w górę droga na Kalatówki, w lewo płasko na Kondratową przez las. Coraz trudniej, droga wyślizgana. Wspominamy, jak 42 lata temu tu szliśmy – Anka w ciąży, Gosia (cztery lata) na saneczkach, też zima, a doszliśmy bez problemu. Dziś wierzyć się nie chce. Nawet musimy przechodzić przez stromizny, ale gęsty las może uchroni przed stoczeniem się na dół. Ja z Anką mamy kijki, Zosia jakoś holuje chłopaków, którzy nadal są rozbrykani.

Z Kuźnic wyszliśmy przed jedenastą. Długo idziemy. Wolno idziemy. Przemykamy się poboczami ścieżki, gdzie można wbić buty w śnieg. Wreszcie widać trochę w górze schronisko na Kalatówkach. Szkoda że stąd nie ma tam dojścia. Idziemy dalej, coraz bardziej zdesperowani. Anka zwyczajnie już nie ma siły. Chce wracać, ale nie puszcze jej samej po tej śliskiej ścieżce. Zosia z chłopcami idą przodem, my wolno podążamy za nimi. Jest parę dołków na ścieżce trudnych do przebycia, ani w nie wejść, ani z nich wyjść. Usadzamy więc Ankę na jedynym kamieniu, by wypoczęła, a my z dwoma kijkami przechodzimy przez to najgorsze. Gdy dochodzimy do „płaskiego”, wracam z oboma kijkami do Anki i przechodzimy przez ten najtrudniejszy odcinek.

Dałem Zosi mój telefon, teraz z Anki telefonu dzwoniemy do niej, oni już widzą schronisko. Na tej trasie wszyscy mijający się mówią sobie – Dzień dobry. Dawny górski zwyczaj.

Wreszcie i my widzimy w dali schronisko. Jest czternasta, gdy dochodzimy. Oni się posilają. Zosia wreszcie zjada upragniony bigos. My kawa, herbata, kielbasa na gorąco, czekolada też na gorąco. Niemal komplet miejsc zajętych. Daniel wzrusza nas pytaniem – To my tak daleko szliśmy, by dojść do tego domku? My dostrzegamy majestat Wysokich Tatr. Dostrzegamy obserwatorium meteorologiczne na Kasprowym Wierchu i niżej stację przesiadkową kolejki linowej na Myślenickich Turniach. Jeszcze zdjęcia na tym samym miejscu na tarasie jak w 1958 roku, jeszcze pamiątkowy stempel na pocztówce i odwrót przed piętnastą. Jeszcze przed odwrotem udało nam się dodzwonić z Anki telefonu do Sjaaka. On już wraca.



Więc wracamy. Niby idzie się łatwiej, ale kiedyś trzeba przebyć te najtrudniejsze odcinki. Tu Daniel oświadcza, że będzie pomagał dziadkowi i babci w schodzeniu. Ja oddaję Zosi swój kijek, bo ma bardzo śliskie podeszwy. Jest bardzo trudno. Obaj chłopcy z wielkim przejęciem podają rączki, to babci, to dziadkowi i tak dzielnie pomagają nam w schodzeniu. Po trudnym odcinku bilans jest następujący: ja trzy upadki, Anka też trzy, Zosia dwa. W jednym miejscu ja z pomagającym mi Robertem zjeżdżamy na pupie. Teraz spodnie mamy mokre. W rejonie Sanktuarium Robert tłumaczy Danielowi – Musimy pomagać babci i dziadkowi, bo nie chcemy, żeby ktoś umarł. Musielibyśmy bardzo płakać i zadzwonić do telewizji. Zosia nam to tłumaczy, po czym wraca do chłopców wyjaśnić tę intrygującą telewizję. Chłopcy oglądają w Holandii program, do którego dzieci zgłaszają bardzo ważne wydarzenia, wtedy przyjeżdża wóz transmisyjny telewizji i nadaje reportaż.

W Kuźnicach jesteśmy po czwartej, tu nas zaganiają kierowcy busów i zwożą pod dworzec PKP i PKS. Drugi bus nas wiezie do Wojdyłówki. Gdy wysiadamy, jest 16⁴⁰, ale nadal widno. Teraz w domu cała męska część musi zmienić mokre spodnie aż do

gołej skóry. Wielkie jedzenie u nas w restauracji. Sjaak pokazuje na mapie, gdzie szedł. Nie spamiętałem, ale przeszedł w poprzek przez Strążycką, był w schronisku, doszedł do miejsca, gdzie zamknięta droga na Giewont i cały wrócił do domu wcześniej niż my. Tu przy jedzeniu wiele opowiadania. Daniel stwierdza, że podobają mu się te ferie w Polsce. Często spotykamy tu Holendrów, jedni mieszkają w tym samym domu, innych rozpoznajemy w busach. Myślę, że nie pałają szczególną miłością do Polski, ale że ich po prostu wszędzie pełno. Taki naród.

Jest druga nad ranem, pójdę spać. Może już nie będę musiał walczyć z bandą pijaków, którym w trosce o ich zdrowie zabrałem dwie butelki wódki, a ci tak mnie ścigali, że musiałem się obudzić.

2010 luty 26 piątek – 9

Zaproponowałem wyprawę nad Morskie Oko. Nie miałem innego pomysłu. Nie wiedziałem, co by tu im jeszcze dało się pokazać. Najpierw bus z Wojdyłówki na dworzec PKS (po 2,50 zł.) Tu bus do Morskiego Oka. Jedziemy długo przez Poronin. Koniec trasy Palenica Białczańska (po 8zł.) Do Morskiego Oka podobno jeszcze 8,5km. Tu górale na furach z ławą i dachem z folii oferują podwiezienie do Morskiego Oka. Sjaak oburzony na męczenie koni – nie wsiądzie. Jednak pogoda paskudna, pada deszcz, więc wszyscy wsiadamy. Zosia postanawia zapłacić, ale góral żąda aż po 40 złotych od głowy. Zosia płaci, ale przerażona pyta, czy mam jakieś pieniądze. Oczywiście mam – noszę dwa tysiące złotych pod koszulą zawieszoną na szyi w specjalnym futerale. Długo jedziemy pod górę, wolno jedziemy, ale wyprzedzamy podchodzących pieszo. Wreszcie wysiadamy, koniec podwożenia, ale to nadal nie Morskie Oko, lecz dopiero Włosienica.



Zziębnięci ratujemy się jak wielu bigosem, frytkami, herbatą, gorącą czekoladą w tamtejszej przystani turystycznej – duża wiata z fantazją ukształtowana, a pod nią pomieszczenie na jakieś 30 osób z bufetem. Kelnerka mówi, że do Morskiego Oka jesz-

cze 1600 metrów, pół godziny drogi. Nie mamy już tyle czasu. Sjaak rezygnuje z dojścia do Morskiego Oka, my już dawno zrezygnowaliśmy. Zawieja śnieżna. Poważne ostrzeżenia przed lawinami. Dalszy marsz tylko na własną odpowiedzialność. Ci co dotarli do Morskiego Oka i już wrócili, opowiadają, że mała widoczność, jezioro zamrznięte, przykryte śniegiem, czyli widoki trzeba przyjąć na wiarę. Robię zdjęcia.

Postanawiamy odwrót. Zosia z Sjaakiem zejda na nogach, dajemy im tylko nasze kijki, a my z dziećmi za jakiś czas wsiądziemy na te fury. Góral bierze teraz 20 złotych od głowy, otula nas kocem, my przytulamy się do siebie. Chłopcy poważni. Czekamy na dalszych pasażerów, gdy jest wreszcie 12 osób, ruszamy w dół. Góral spuścił folię po bokach fury. Teraz szybciej zjeżdżamy. Robert zasypia. Mijamy schodzących, również Zosię z Sjaakiem. Nie czekamy na nich, wsiadamy do busa, przesiadamy się pod dworcem PKS do następnego busa i dojeżdżamy do naszej Wojdyłówki. Od kilku dni myślałem, że to na cześć Papieża ta nazwa, ale przecież on był Wojtyła. Trzeba sprawdzić w Internecie. Niewiele później po nas wracają Zosia z Sjaakiem. Dzieci już szaleją po swojemu. Dochodzi piąta. Wyprawa była doświadczeniem, ale się nie udała. Jutro nasi wracają do Holandii, a my z Anką mamy bilet na pociąg w niedzielę. Wieczorem w naszej restauracji zjawia się duża grupa ludzi, już zestawiają dla nich stoły.

Postanawiamy spędzić ten ostatni wspólny posiłek gdzieś na zewnątrz. W restauracji – pizzerii „Yama” ul. Nędzy-Kubińca 92 raczą nas doskonałym jedzeniem: Sjaak duża pizza, Zosia kotlet schabowy domowy wielkości talerza, chłopcy spaghetti – jedna porcja na dwóch. Ja mam normalny filet drobiowy z jajkiem i duszoną kapustą. Za to Anka, amatorka żeberk, dostaje blok mięsa 8x5x25cm, dobrze upieczony, w nim kilka kostek zaledwie. Jestem w stanie odciążyć ją i zjadam 1/3 tych żeberk. Jedni piwo, inni soki, niektórzy kawa. 132zł. Jakoś wracamy do domu. Tu gdzieś ryczy głośnik, myślę że u sąsiadów, włączam więc nasz telewizor na cały regulator, by zrozumieli, jaka tu cienka konstrukcja. Nie pomaga. Idę sprawdzić. To w restauracji szalona balanga. W naszym pokoju chyba lepiej słycać krzyczącego przez megafon wodzireja, niż tam na sali.

Kładziemy się do łóżek i pozorujemy czytanie, ale tylko ten hałas do mnie dociera. Mam błogą nadzieję, że choć o dwudziestej drugiej przestaną. O dwudziestej trzeciej Anka robi awanturę. Kierowniczka tej grupy buńczucznie obiecuje zwrócić nam za nocleg, ale tylko obiecuje. Jesteśmy bezsilni, roztrzęsieni, zmęczeni, przegrani. Przed północą kelnerka przychodzi z propozycją, abyśmy przenieśli się spać do pokoju nr 2. Sprawdzam. Pokój daleko od restauracji, tu jest cisza. Przenosimy się. Anka bierze tabletki nasenne, ja nie mogę usnąć. Postanawiam natychmiast wracać do Warszawy.

2010 luty 27 sobota – 10

Po trzeciej w nocy pakuję nasze rzeczy. O siódmej odnoszę kijki. Gęściutki śnieg znów sypie, już znów wszystko białe. Przy śniadaniu zawiadamiam naszych, że wracamy z nimi. Na dziesiątą mamy zamówiony transport na lotnisko, to pojedziemy z nimi, a dalej albo z nimi samolotem, a jeśli się nie da, to pociągiem – byle wyrwać się z Zakopanego. Anka milczy, ale nie popiera. Zosia się martwi, że przecież mamy już bilety na jutro. Jestem zdeterminowany. W recepcji pytają, dlaczego. Już nie wracam do przeżyć w nocy, mówię tylko, że trzymały nas tu dzieci, a skoro to ich ostatni dzień, to i my wracamy. Pani zwraca nam 200 złotych za ostatnią dobę.

Samochód pana, mercedes, ma 7 foteli i jedziemy od 9⁴⁰. Na drodze ciasno, śli-sko, ale gdzie lepsza droga pan jedzie bardzo szybko, ale bez brawury. Do lotniska w Balicach dojeżdżamy 12¹⁰. Zosia płaci umówione 350zł. Pan postanawia poczekać i ewentualnie zawiezie nas na kolej do Krakowa. Miejsca na samolot jednak są – 1100zł. Wielkie celebrowanie czynności przed odlotem trwające niemal godzinę, zdejmujemy wszystko, nawet buty. Mnie dokładnie obmacują, może dlatego że strzygę się

na 5mm. W samolocie przypadkiem dostaliśmy miejsca obok naszych dzieci. Start 14⁰⁵, lądujemy w Warszawie 14³⁰. Lecieliśmy na wysokości 7 tysięcy metrów. Ledwo zdążyliśmy zjeść batonik i wypić sok. Długo kołujemy, długo wsiadamy do autokaru, długo nawet jedziemy tym autokarem. Wysiadamy. Transferowcy idą w prawo. Całujemy, dziękujemy dzieciom za miłe spędzenie czasu. Jeszcze raz przyjmujemy zaproszenie do Haarlemu na jesień, gdy już będą mieli nowy dom.

A w Warszawie na lotnisku znów wielka technika i celebrowanie. Myślę, że musi przyjść czas, gdy do samolotu będzie się wsiadało jak do autobusu, samemu upychało gdzieś swój cały bagaż, wysiadając znów samemu będzie się wyciągało bagaż i szło do domu – bez tych dzisiejszych, nielogicznych technicznych celebracji. Przecież nasz lot trwał 25 minut tylko, tyle ile trwa zawiezenie Krzysia do szkoły na Pragę, a tu musiało pochłonąć pełne dwie godziny. Gosia przyjechała po nas na lotnisko. Ja udaję się niezwłocznie na Grójecką do (Intercity) ICC. Gdy drugi raz przychodzę po godzinie, mam już wymagane nie tylko bilety kolejowe, ale i paragony fiskalne, jako że płaciłem kartą, bo nie mogą dać gotówki, lecz jakoś przelewają za pomocą karty na moje konto 90% ceny biletu minus opłata za ten przelew. Uff! Wreszcie w domu. O dwudziestej Zosia przysłała SMS, że też już są w domu i pyta, czy zwrócono mi za bilety. Odpisuję: Tak. Zwrócono mi 90% (sto pięćdziesiąt parę złotych).

Pobyty w Zakopanem kosztował nas około 6800zł. Prawie za wszystko my płaciliśmy; Zosia z rodziną była naszymi gośćmi.

Pomiary:

Gubałówka, ul. Zubka S. 19°55'11''E/49°18'14''N

Kościelisko, Salamandra 2, Gościniec Góralski Dwór 19°53'57''E/49°17'31''N

Kuźnice, Tatrzański Park Narodowy, stacja kolei linowej na Kasprowy Wierch 19°58'47''E/49°16'10''N

Kiry, wejście do Doliny Kościeliskiej 19°52'13''E/49°16'30''N

Z Góralskiego Dworu do domu w Warszawie wg GPS 455km



*

8 marca 2010 10:22

office@um.zakopane.pl

<tp@tygodnikpodhalanski.pl>

Szanowni Państwo,

pragnę przekazać Państwu kilka życzliwych uwag na temat Zakopanego, które załączam.

Wyrazy szacunku

Pragnę przekazać Państwu kilka życzliwych uwag na temat Zakopanego. Jestem emerytowanym architektem i urbanistą, mam 77 lat. Kiedyś mieszkałem w Zagłębiu Dąbrowskim, obecnie mieszkam w Warszawie.

W Zakopanem bywam średnio raz na dziesięć, piętnaście lat. Ostatnio byłem w lutym br. Ale pamiętam lata czterdzieste, kiedy dotarcie do Czarnego Stawu było dla mnie wyczynem. W latach pięćdziesiątych mogłem nocować w swoim namiocie nad rzeką w Dolinie Kościeliskiej. W latach sześćdziesiątych przebywałem w schronisku nad Morskim Okiem przez kilkadziesiąt dni – byliśmy odcięci lawinami. W latach siedemdziesiątych właściwie nie można było wynająć pokoju w Zakopanem – wszystko było tylko dla Niemców za marki enerefowskie. Teraz mnóstwo wolnych pokoi.

Trzeba stwierdzić kilka bezspornych faktów:

Polskie Tatry, choć przepiękne, są zbyt małe jak na wymagania turystyczne całej Polski.

Powszechnie znana jest zmienność aury w Tatrach. Wiemy o przysłowiowych deszczowych lipcach w Zakopanem. W lutym br. w ciągu dziesięciu dni mieliśmy dwukrotnie halny, dwukrotnie wielkie opady śniegu, dwukrotnie ten śnieg zniknął na skutek odwilży.

Te uwarunkowania wymagają szczególnej troski i wyobraźni w obsłudze turysty – turysty dwudziestego pierwszego wieku. Ostatnie dziesięciolecia dały Zakopanemu wiele pięknych domów. Gdyby Zakopane leżało pod Warszawą, byłoby wszystko w porządku, byłaby to piękna dzielnica do spania, jak Wilanów, czy Konstancin. Ale Zakopane nie leży pod Warszawą. Zakopane jest szczególnym samodzielnym organizmem turystycznym, nie może być tylko sypialnią i to sypialnią do wynajmowania na kilkudniowe pobyty.

Po obecnym Zakopanem dostatecznie dobrze przejeżdża się samochodem, ale z zaparkowaniem już jest poważny problem. Znośnie rozwiązują problemy komunikacyjne miasta busiki, tanie, często jeżdżące, ale nie potrafię ocenić, czy docierają wszędzie, gdzie powinny. Nieprzyjemne zdziwienie budzi fakt, że wysiadając z pociągu trzeba iść tak daleko do postoju taksówek. Dlaczego parking przed dworcem jest zamknięty szlabanem, komu on służy? Przecież tu powinny stać taksówki, tu powinno się podjeżdżać samochodem, aby wysadzić swojego gościa zmierzającego do pociągu – jak przed dworcami lotniczymi.

Nie będę pisał, o znanym bardzo trudnym dojeździe do Zakopanego – to jest odrębny problem do rozwiązania w skali państwa (autostrady, nowoczesna kolej i to bez jazdy raz przodem raz tyłem – tak bardzo wydłużającym czas jazdy, może nawet lotnisko).

Zajmijmy się pieszymi. Przecież piesze wędrówki to podstawa turystyki tatrzańskiej. Tak było dawniej i nowoczesna turystyka tatrzańska będzie nadal piesza. Obecnie pieszy nie jest dostrzegany w Zakopanem, poza jednym kuriozum, które omówię później. Szlaki turystyczne, nadal te same od stu lat, tak samo oznakowane, choć już nie tak oczywiste, utonęły w gęstej zabudowie Zakopanego i Kościeliska. Tak. Doszło do zbyt gęstej zabudowy. Piękne wille, z zadbanym najbliższym otoczeniem parceli, tuż za

ogrodzeniem sąsiadują z niczym. Rachityczne chodniczki i to istniejące z rzadka poza centrum. Piesi muszą chodzić gęsiego, zimą wprost po asfalcie, ochlapywani przez auta, narażeni na wypadek. Nie ma żadnych nowoczesnych ciągów pieszych, nie zostawiono na nie miejsca między parcelami. A przecież powinno ich być w Zakopanem wiele. Powinny być miejscem spacerów jak na przykład w Krynicy. Powinny doprowadzać do szlaków turystycznych i wręcz zachęcać do wejścia w góry. Dziś trudno znaleźć początek szlaku turystycznego. Trudno dojść do Drogi pod Reglami, trudno do niej trafić. Wiele obiecujących dróg dojścia do dolin, do gór jest drogami ślepyimi, kończącymi się przy ostatnim domu. Od kilkudziesięciu lat nie powstało żadne nowe schronisko, chyba się nie mylę. Ostatni wybudowany taki obiekt odnotowałem na drodze do Morskiego Oka we Włosienicy, choć nie jest to schronisko.

Mieszkałem przy Drodze Papieskiej (Szlak Papieski). Toż to Papież by się popłakał, gdyby dziś przyszło mu znów iść tym niegdyś pięknym szlakiem górskim, zakończonym makabrą, jaką jest obecna Gubałówka. Te stragany jeden przy drugim z ohydą rzekomych pamiątek z gór, obok wypożyczalnia skuterów śnieżnych, które nie mają po czym jeździć, obok pijany góral siedzący między dwoma półlitrowkami usiłujący je sprzedać i jak zauważyłem, znalazł się chętny „turysta”. My musieliśmy dwukrotnie przejść między tymi straganami, aby znaleźć stację kolejki i przedwojenną sławną restaurację ze śladami Zofii Stryjeńskiej. A gdy zjechaliśmy kolejką do Zakopanego, uderzył nas widok tłumu turystów kłębiących się między takimi samymi straganami, które zawładnęły nie tylko Gubałówką, ale i Krupówkami. Po godzinie przebywania na obecnych Krupówkach można oszaleć. W centrum Warszawy obok Pałacu Kultury też były stragany, ale już ich nie ma, znikły nawet za cenę walki wręcz. Stolica znów jest stolicą. Stolica Tatr też musi się obronić przed tym wynaturzonym handlem.

Noclegi i te stragany to główna oferta Zakopanego, właściwie jedyna oferta – podkreślam to z całą mocą. Nie należy się dziwić, że Zakopane gwałtownie traci turystów. Przecież w Europie jest tak skuteczna konkurencja.

Zimą w Zakopanem niebezpieczeństwo lawin bardzo ogranicza piesze wędrówki po górach. Zimą Zakopane powinno być dla narciarzy i snowboardzistów (może tak to się pisze). Cóż mamy obecnie. Kolejka linowa na Kasprowy, nowoczesna, optymalnie tłoczy narciarzy w góry. Wyciąg Szymboszkowa i wyciągi na Nosalu też obłożone nadmiernie przez amatorów białego szaleństwa. Jeszcze pobliski Poronin coś załatwia w tym względzie. Parę wyciągów orczykowych, głównie na Gubałówkę zamyka zimową ofertę.

W porównaniu z poprzednimi dziesięcioleciami znikły „ośle łączki” dla początkujących narciarzy, zostały zabudowane kolejnymi willami, a ostatnia na Salamandrze nie ma już wyciągu, za to jest tu zgromadzony imponujący budulec na następne wille. Przecież tak nie można. Każdy zespół zakopiańskich i kościeliskich willi powinien czuć się zobowiązany do stworzenia lokalnej bazy do uprawiania narciarstwa i innych sportów – zimowych i letnich. Przecież przyjeżdżamy do Zakopanego nie tylko spać. Obecnie snujemy się w poszukiwaniu czegoś zrobionego dla nas poza noclegiem i jedzeniem – i niczego nie znajdujemy. Można jechać do Doliny Kościeliskiej, można pojechać w kierunku Morskiego Oka i to wszystko. A gdzie są z prawdziwego zdarzenia narciarskie trasy biegowe dostępne również dla amatorów, dla gości Zakopanego.

W Zakopanem wypatrzyłem jedno lodowisko i to pod chmurką. Jedno! Nie ma żadnego krytego lodowiska, nie ma zawodów hokeja na lodzie, nie ma toru dla biegów łyżwiarskich. Nie ma żadnej oferty dla dzieci przyjeżdżających tu na ferie i chcących coś zrobić, zobaczyć w czasie, gdy nie jeżdżą na nartach. Muzea, zresztą nieliczne i specyficzne, nie mogą być jedynymi obiektami, gdzie dzieci mogą spędzać czas, gdy

pogoda nie dopisuje. Przecież przy tak dużej ofercie noclegowej powinno powstać kilka krytych publicznych basenów kąpielowych.

Chodzimy po Zakopanem, po Kościelisku, patrzymy na te piękne szczyty i nie wiemy, co jest co. Nawet z najdokładniejszą mapą w ręku trudno ustalić nazwy szczytów poza Giewontem. A przed laty na Gubałówce była duża tablica z panoramą Tatr, a nad każdym szczytem była nazwa i jego wysokość. Obecnie tę panoramę o długości dwóch metrów odkryłem przypadkowo w mrocznym pokoju Góralskiego Dworu. Przecież taka panorama Tatr winna być podstawową pamiątką z Zakopanego sprzedawaną na ulicach. Przecież taka informacja winna być na dużych tablicach w wielu punktach miasta.

Przed laty byłem w Tatrach u naszych południowych sąsiadów. Zaskoczył mnie zupełny brak płotów w Tatrzańskej Łomnicy. W Zakopanem byłoby to nie do wyobrażenia. Ale jakże Tatrzańska Łomnica świadczyła tym brakiem płotów o szacunku dla turysty. A propos: Połączenie z Tatrami słowackimi jest oczywistą koniecznością. To już pora aby Polacy jeździli i przebywali w całych Tatrach. Na Łysej Polanie winien być wielki drogowskaz w lewo informujący, że tam też są Tatry, nasze wspólne, bo jesteśmy Unią Europejską. Tatry muszą przestać być tylko polskie, tylko słowackie. Mieszkańcy Tatr, całych Tatr i władze miejscowości wokół Tatr muszą wspólnie i z wyobraźnią dać nowoczesną ofertę przyjezdnym i dopiero to przyniesie zyski z turystyki.

W Zakopanem winna być nowoczesna informacja turystyczna, dobrze zorientowana w całej bieżącej ofercie i mająca bardzo dużo do zaoferowania turystyce. Dziś takiej nie ma, bo nie miałyby o czym informować. Nawet w Internecie królują tylko wolne pokoje.

Tego oczekujemy my turyści. Wszak mamy do wyboru turystykę po całym świecie.

Zakopane znów jest zakopane.

Życzę naszemu ukochanemu Zakopanemu, by się nie poddało, by zawalczyło o swoją przyszłość. Pamiętajmy, że Paryż nie byłby Paryżem, gdyby nie dalekowzroczone przeobrażenia Haussmanna.

*

2010-03-13

Po zarejestrowaniu domeny WWW.peta.waw.pl postanowiłem umieścić tam Rosję, ale wymagało to opracowania plików WEB. Miałem tu trudność, bo nie mogłem znaleźć programu FrontPage, na którym opracowywałem dotychczas swoją stronę w Aster. Musiałem uruchomić mój stary laptop, w którym miałem ten program. Jednak na nową swoją domenę mogłem wchodzić z komputera stacjonarnego. Opracowywałem więc pliki html na laptopie, po czym zapisywałem je na pendrajwie i tak przenosiłem na główny komputer, a z niego przenosiłem pliki do serwera. Była to bardzo niewdzięczna praca, ale nie miałem wyjścia. Tak w czasie od 2009-06-14 do 2009-07-17 opracowałem Rosję. Takie opracowywanie było okazją do kolejnej weryfikacji tekstu i ilustracji, co bardzo wydłużało pracę. Ponadto FrontPage był bardzo niedoskonały, powodował przykre niespodzianki, nie pozwalał na dobre redagowanie stron.

Po przeniesieniu Rosji na serwer okazało się, że zajęła ona niespodziewanie mało przydzielonej powierzchni na serwerze (1GB). Postanowiłem umieścić również Dzieje prezydentury, a potem wszystkie wcześniejsze książki.

W tym trybie opracowałem kolejne książki:

Dzieje prezydentury w okresie od 209-08-06 do 2009-08-26.

Gąg od 2009-08-27 do 2009-09-11.

Fi laman od 2009-09-13 do 2009-10-20.

Debiut od 2009-11-04 do 2009-11-12.

Jak z powyższego wynika opracowywałem książki posuwając się do coraz dawniejszych. Internet ponadto uwidocznił swoje ciekawe możliwości i teraz zacząłem bogato ilustrować swoje książki. To też powodowało wiele dodatkowych dni pracy.

±0 opracowywałem w okresie od 2009-11-21 do 2009-12-08. W tym czasie Dziennik Gazeta Prawna załączyła płytę z wykładem, jak można opracowywać strony do Internetu. Okazało się, że teraz strony htm można opracowywać po prostu w Word, a ilustracje w Microsoft Office Picture Manager. Oba programy miałem na dużym komputerze i z wielką ulgą schowałem pod stół starego laptopa. Teraz praca była znacznie wdzięczniejsza, tak że ±0 opracowałem od początku.

Samczy happening opracowałem w okresie od 2009-12-09 do 2009-12-30.

Ostatnia książka Kabotyń istniała dotychczas w swoistym komputerowym brudnopisie i wymagała wiele pracy. Trwała ta praca od 2010-01-04 do 2010-03-13. Dziś już jest ta książka na bieżąco, ale będzie jeszcze uzupełniana ze względu na jej typ, dojdą epizody z przyszłych dni.

Utworzona w maju ubiegłego roku domena WWW.peta.waw.pl okazała się być bardzo trudna do odnalezienia, Google w ogóle jej nie widział, w ciągu tych kilkunastu miesięcy na moją stronę trafiło zaledwie siedem osób. Zdałem sobie sprawę, że nazwa domeny musi być znacznie bardziej czytelna. Postanowiłem zarejestrować inną domenę. Próbowałem: literatura, teksty, pisanie, czytaj, opowiadanie, wreszcie domena „opowiadam” okazała się być niezajęta. Tak więc w dniu dzisiejszym zarejestrowałem WWW.opowiadam.eu zapłaciłem 24,28zł.

Bo ja rzeczywiście opowiadam w swoich książkach.

Teraz trzeba będzie pozatławić formalności i przenieść wszystko na nową domenę – może ta będzie szczęśliwsza.

*

Zosia Sokołowska zsokolowska@tiscali.nl

24 marca 2010 21:34

Kochani,

Właśnie (znaczy dzisiaj rano) kupiliśmy dom. Dla ciekawych link do miejsca gdzie dom jest opisany. Klucze dostaniemy 15 czerwca i wtedy będziemy przebudowywać. Resztę wyjaśnię osobiście.

<http://www.funda.nl/koop/overveen/huis-29435257-prins-hendriklaan-130/>

Pozdrawiam,

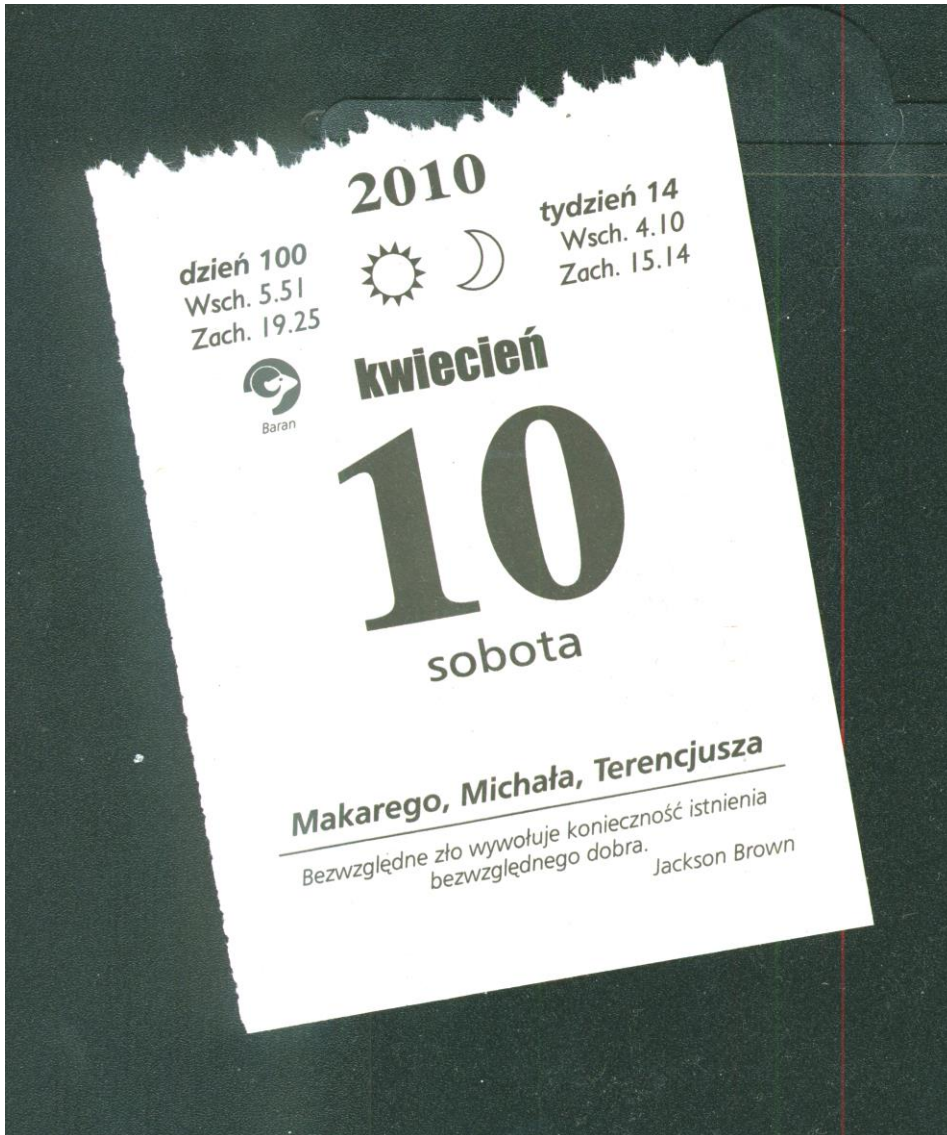


Haarlem, Prins Hendrik Laan 130 (od końca samochodu do latarni).

Natychmiast postanowiłem pojechać do nich, aby im zrobić inwentaryzację budynku i projekt remontu domu, który miała przeprowadzić brygada z Polski. Zosia się opierała, że nie potrzeba, ale byłem nieugięty.

2010-04-09

Wyjeżdżam do Amsterdamu pociągiem o 18¹⁰. Wagon 176, fotel 62, 1 klasa, jak w samolocie bez przedziałów. W nocy jakoś się śpi, a poza tym dużo czytam.



2010-04-10

Rano w czasie jazdy pociągu najpierw jeden pasażer odebrał telefon od rozhisteryzowanej siostry, a potem niemal jednocześnie dzwoniły Zosia, Anka, a Gosia przysłała SMS: Lech Kaczyński – prezydent Polski nie żyje. Samolot rządowy rozbił się przy lądowaniu w Smoleńsku. Zginęło 89 osób, potem nawet głoszono, że 132. Zginął Kaczyński, jego żona, Ryszard Kaczorowski – ostatni prezydent na uchodźstwie, ministrowie z kancelarii prezydenta, całe kierownictwo PiS (Prawo i Sprawiedliwość; Jarosław Kaczyński nie leciał), wielu generałów, prezes NBP, prezes IPN Kurtyka oraz wielu działaczy i z „rodzin katyńskich” oraz cała załoga samolotu. Na zdjęciach tylko parę większych części samolotu było widocznych, a tak to drobny mak. Wszystkie ciała natychmiast wywieziono do Moskwy na identyfikację, w co nie wierzę, bo samo zebranie szczątków musiałoby trwać wiele godzin. Raczej chodziło o uzasadnienie nie wpusz-

czania na teren wypadku nikogo. Ogłoszono, że była gęsta mgła, wojskowe lotnisko pod Smoleńskiem nie miało aparatury do lądowania we mgle. Podobno samolot cztery razy podchodził do lądowania, podobno lotnisko proponowało odlot na inne lotnisko. Ale tak mówią żywi. Jak było w rzeczywistości, nigdy się nie dowiemy. Samoloty rządowe pochodzące z PRL już dawno powinny być wycofane, wielokrotnie się psuły, od paru lat mówiło się o konieczności zakupu nowych samolotów dla prezydenta i rządu, ale nigdy nie było pieniędzy. Sam premier Tusk parę razy leciał w świat samolotem rejsowym.

Na czym polegała specyfika sytuacji. Otóż tegoroczne obchody mordu katyńskiego miały szczególny przebieg. Najpierw premier Rosji, Putin postanowił osobiście wziąć wreszcie udział w tych obchodach i zaprosił na obchody premiera Tuska, ale prezydenta Kaczyńskiego nie zaprosił. Ostatecznie w środę 7 kwietnia odbyły się na miejscu obchody z udziałem obu premierów – raczej pod hasłami „żyjmy przyszłością, a nie przeszłością w trosce o pojednanie narodów rosyjskiego i polskiego”. Były to tezy nie do przyjęcia dla polskiej opozycji i prezydent Lech Kaczyński postanowił zrobić prawdziwe obchody w sobotę 10 kwietnia. Samolotem więc leciała cała opozycja, miały w Katyniu popłynąć słowa prawdy o zbrodniach rosyjskich. W świat miały popłynąć wieści niezakłamane, jedyne prawdziwe, upamiętniające, niepozwalające na zapomnienie krzywd, niepozwalające na tuszowanie zbrodni rosyjskich. Czyż można się dziwić, że Rosja nie życzyła sobie takiego rozwoju sytuacji. Uważam, że sięgnięto po wypróbowane azjatyckie metody zlikwidowania ostatecznie problemu. Uniestwienie kilkudziesięciu wrogów Rosji i to zajmujących tak znaczne stanowiska w Polsce stało się racją stanu Rosji. Okazja była jedyna w swoim rodzaju – wszyscy oni w jednym samolocie. Już dawno bez trudu zakłóca się lot wrogich rakiet, już zakłócono lot jakiegoś samolotu pasażerskiego i to skutecznie, po latach już jawnie samoloty rosyjskie przeleciały nad Natowskim okrętem w czasie manewrów na Bałtyku i przez kilkadziesiąt minut elektronika na tym okręcie zamilkła, podobny przypadek miał miejsce na Morzu Czarnym – wówczas w roku 2010 w Smoleńsku nie było trudności z zakłóceniem elektroniki prezydenckiego samolotu, przecież samolotu wyprodukowanego w Rosji. Przyrządy samolotu wskazywały błędne pomiary, zaczepił o drzewo. A potem komunikaty o gęstej mgle, o czterokrotnym podchodzeniu do lądowania, nawet lotnisko proponowało wylądowanie w innej miejscowości, ale należy rozumieć, że prezydent się uparł, nikt znów nie pokrzyżuje mu planów. Cała wina spadła na pilota – na tego najmniej winnego w międzynarodowym incydencie politycznym.

Zaślepienie i brak strategicznej wyobraźni organizatorów wyjazdu okazały się być monstrualne, a przez to proroczo bardzo znamienne. Zadufanie nie dopuściło do świadomości organizatorów, że zamierzają grzmieć przeciwko Rosji z jej terytorium, że byłby to fakt bez precedensu w dziejach świata. Któreż państwo pozwoliłoby na taką demonstrację.

Sensacyjne wieści obiegły świat. Wszystkie telewizje, wszystkie środki masowego przekazu tym żyły na świecie, ale przez jeden dzień.

**POGRZEB W KRAKOWIE NA WAWELU
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
LECHA KACZYŃSKIEGO I JEGO MAŁŻONKI**





LISTA OFIAR - PASAŻERÓW TU-154M

Rządowa lista ofiar prezydenckiego samolotu

1. Lech Kaczyński

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

2. Maria Kaczyńska

Małżonka Prezydenta Rzeczypospolitej polskiej

3. Kaczorowski Ryszard

b. Prezydent RP na uchodźstwie

4. Agacka-Indecka Joanna

Przewodniczący Naczelnej Rady Adwokackiej

5. Bąkowska Ewa

wnuczka Gen. bryg. Mieczysława Smorawińskiego

6. Błasik Andrzej

Dowódca Sił Powietrznych RP

7. Bochenek Krystyna

wicemarszałek Sejmu RP

8. Borowska Anna Maria

przedstawiciel Rodzin Katyńskich i innych organizacji

9. Borowski Bartosz

przedstawiciel Rodzin Katyńskich i innych organizacji

10. Buk Tadeusz

Dowódca Wojsk Lądowych RP

11. **Chodakowski** Miron
Prawosławny Ordynariusz Wojska Polskiego
12. **Cywiński** Czesław
Przewodniczący Światowego Związku Żołnierzy AK
13. **Deptuła** Leszek
przedstawiciel Parlamentu RP (PSL)
14. **Dębski** Zbigniew
osoba towarzysząca
15. **Dolniak** Grzegorz
przedstawiciel Parlamentu RP (PO)
16. **Doraczyńska** Katarzyna
osoba towarzysząca
17. **Duchnowski** Edward
Sekretarz Generalny Związku Sybiraków
18. **Fedorowicz** Aleksander
tłumacz języka rosyjskiego
19. **Fetlińska** Jania
senator RP
20. **Florczak** Jarosław
funkcjonariusz BOR
21. **Francuz** Artur
funkcjonariusz BOR
22. **Gągor** Franciszek
Szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego

23. **Gęsicka** Katarzyna
przedstawiciel Parlamentu RP (PIS)
24. **Gilarski** Kazimierz
Dowódca Garnizonu Warszawa
25. **Gosiewski** Przemysław
przedstawiciel Parlamentu RP (poseł PiS)
26. **Gostomski** Bronisław
ksiądz prałat
27. **Handzlik** Mariusz
Podsekretarz Stanu w Kancelarii Prezydenta RP
28. **Indrzejczyk** Roman
Kapelan Prezydenta RP
29. **Janeczek** Paweł
funkcjonariusz BOR
30. **Jankowski** Dariusz
Biuro Obsługi Kancelarii Prezydenta RP
31. **Jaruga-Nowacka** Izabela
przedstawiciel Parlamentu RP (SLD)
32. **Joniec** Józef
Prezes Stowarzyszenia Parafiada
33. **Karpiniuk** Sebastian
przedstawiciel Parlamentu RP (PO)
34. **Karweta** Andrzej
Dowódca Marynarki Wojennej RP

35. **Kazana** Mariusz
Dyrektor Protokołu Dyplomatycznego MSZ
36. **Kochanowski** Janusz
Rzecznik Praw Obywatelskich
37. **Komornicki** Stanisław
Przedstawiciel Kapituły Orderu Virtutti Militari
38. **Komorowski** Stanisław Jerzy
Podsekretarz Stanu w MON
39. **Krajewski** Paweł
funkcjonariusz BOR
40. **Kremer** Andrzej
Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych
41. **Król** Zdzisław
Kapelan Warszawskiej Rodziny Katyńskiej 1987-2007
42. **Krupski** Janusz
Kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
43. **Kurtyka** Janusz
Prezes Instytutu Pamięci Narodowej
44. **Kwaśnik** Andrzej
Kapelan Federacji Rodzin Katyńskich
45. **Kwiatkowski** Bronisław
Dowódca Operacyjny Sił Zbrojnych RP
46. **Lubiński** Wojciech
lekarz prezydenta RP

47. **Lutoborski** Tadeusz
przedstawiciel Rodzin Katyńskich i innych organizacji
48. **Mamińska** Barbara
Dyrektor w Kancelarii Prezydenta RP
49. **Mamontowicz-Łojek** Zenona
przedstawiciel Rodzin Katyńskich i innych organizacji
50. **Melak** Stefan
Prezes Komitetu Katyńskiego
51. **Merta** Tomasz
Podsekretarz Stanu w MKiDN
52. **Mikke** Stanisław
Wiceprzewodniczący ROPWiM
53. **Natalli-Świat** Aleksandra
przedstawiciel Parlamentu RP (PiS)
57. **Orawiec-Löffler** Bronisława
przedstawiciel Rodzin Katyńskich i innych organizacji
58. **Osiński** Jan
Ordynariat Polowy Wojska Polskiego
59. **Pilch** Adam
Ewangelickie Duszpasterstwo Polowe
60. **Piskorska** Katarzyna
przedstawiciel Rodzin Katyńskich i innych organizacji
61. **Płazyński** Maciej
Prezes Stowarzyszenia "Wspólnota Polska"

62. **Płoski** Tadeusz
Ordynariusz Polowy Wojska Polskiego
63. **Potasiński** Włodzimierz
Dowódca Wojsk Specjalnych RP
64. **Przewoźnik** Andrzej
Sekretarz ROPWiM
65. **Putra** Krzysztof
wicemarszałek Sejmu RP
66. **Rumianek** Ryszard
Rektor UKSiW
67. **Rybicki** Arkadiusz
przedstawiciel Parlamentu RP
68. **Sariusz-Skąpski** Andrzej
Prezes Federacji Rodzin Katyńskich
69. **Seweryn** Wojciech
przedstawiciel Rodzin Katyńskich i innych organizacji
70. **Skrzypek** Sławomir
Prezes Narodowego Banku Polskiego
71. **Solski** Leszek
przedstawiciel Rodzin Katyńskich i innych organizacji
72. **Stasiak** Władysław
szef Kancelarii Prezydenta RP
73. **Surówka** Jacek
funkcjonariusz BOR

74. **Szczygło** Aleksander
szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego
75. **Szmajdziński** Jerzy
wicemarszałek Sejmu RP
76. **Szymanek-Deresz** Jolanta
przedstawiciel Parlamentu RP
77. **Tomaszewska** Izabela
osoba towarzysząca
78. **Uleryk** Marek
funkcjonariusz BOR
79. **Walentynowicz** Anna
osoba towarzysząca
80. **Walewska-Przyjałkowska** Teresa
Fundacja „Golgota Wschodu”
81. **Wasserman** Zbigniew
przedstawiciel Parlamentu RP
82. **Woda** Wiesław
przedstawiciel Parlamentu RP
83. **Wojtas** Edward
przedstawiciel Parlamentu RP
84. **Wypych** Paweł
Sekretarz Stanu w Kancelarii Prezydenta RP
85. **Zajac** Stanisław
senator RP

86. **Zakrzeński** Janusz

aktor

87. **Zych** Gabriela

przedstawiciel Rodzin Katyńskich i innych organizacji

88. **Michałowski** Dariusz

poseł RP

89. **Pogródka-Więclawek** Agnieszka

funkcjonariusz BOR

LISTA C ZŁONKÓW ZAŁOGI

90. **Protasiuk** Arkadiusz

Kapitan

91. **Grzywna** Robert

członek załogi

92. **Michalak** Andrzej

członek załogi

93. **Ziętek** Artur

członek załogi

94. **Maciejczyk** Barbara

stewardessa

95. **Januszko** Natalia

stewardessa

96. **Moniuszko** Justyna

stewardessa

Dla odreagowania po tej strasznej polskiej tragedii zapraszam na spacer po pięknym Haarlemie:



Haarlem, Schipholweg, most zwodzony nad Spaarne



Haarlem, barka na Spaarne



Haarlem - Kampersingel i Kampervest



2010/04/12 07:54



2010/04/12 08:05

Haarlem - Bakenessergracht



2010/04/12 08:14

Haarlem - Korte Jansstraat



2010/04/12 08:17

Haarlem - Jansstraat



Haarlem, Jansstraat 40



Haarlem, Jansstraat 40 (za bramą z poprzedniego zdjęcia)



2010/04/12 08:22



Haarlem - Jansstraat



2010/04/12 08:25

Haarlem - Grote Markt



2010/04/12 08:27

Haarlem - Grote Markt - Archeologisch Museum

Haarlem - Groot Markt - pomnik Costerus'a



Haarlem, Groot Markt, Laurentius Joannis-Filius Costerus

Laurens Janszoon Coster (jego nazwisko zostało również zapisane jako Laurens Jansz Koster) żył w latach 1405-1484 w Holandii w Haarlemie. Był kupcem i urzędnikiem. Legenda głosi, że pewnego dnia wykonał list rzeźbiony w drewnie. Pismo spadło w piasek i Coster zobaczył wydrukowane litery na piasku. Coster był w 1430 drukarzem, z rzeźbionych desek wytłaczał książki prasą. Jego wynalazek został skradziony przez pracownika, który uciekł z nim do Mainz. I tak mógł Gutenberg skorzystać z Costera wynalazku. (wg Rene de Vries)





2010/04/12 08:36
Haarlem - Zijlstraat



2010/04/12 08:37
Haarlem - Zijlstraat



Haarlem - Gedempte Oudegracht - PTT
(poczta)



Haarlem, Gedempte Oudegracht, Indonesisch Afhaalcentre Terang Boelan









Haarlem - Kleine Houtstraat



Haarlem - Justine de Gouwerhof



Haarlem - Kleine Houtstraat



Haarlem - Lange Hofstraat



Haarlem, Lange Hofstraat



Haarlem - Boter Markt



Haarlem, Botermarkt







Haarlem, Rustenburgerlaan



Haarlem, Voorhelmstraat



Haarlem, Rustenburgerlaan



Haarlem, H. J. Koenenstraat



Haarlem - Spaarne z mostu Buitenrust br



Haarlem, barki na Spaarne przy Schalkwijekerstraat

Haarlem - Schipholweg



Haarlem, Schipholweg/ Amerikaweg

Buforowy parking rowerowy przy przystanku autobusowym



Haarlem, skrzyżowanie Schipholweg, Prins Bernhardlaan, Amerikaweg



